



210

ROZPRAWY I SPRAWOZDANIA.

ST. TARNOWSKI.

STUDYA DO HISTORII LITERATURY
POLSKIEJ.

WIEK XIX.

ROZPRAWY I SPRAWOZDANIA

TOM. III.



472

Z KSIĄG
KSIĘDZA KAZIMIERZA
ROGOWSKIEGO.

W KRAKOWIE,
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA.
1897.



II-1278

W KRAKOWIE, W DRUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządkiem Józefa Łakocińskiego.

I.

KSIĄDZ HIERONIM KAYSIEWICZ.

O mężu wielkiej przed Bogiem i Ojczyzną zasługi, o pracowitym w winnicy Pańskiej robotniku a silnym filarze Kościoła polskiego, o znakomitym w Kościele kapłanie i znakomitym w świeckiem społeczeństwie obywatelu, mówić nam po świeżym jego zgonie ¹⁾ nakazuje cześć względem niego i powinność najprostsza względem czytelników naszego pisma. Ale kiedy powinność nagli a cześć zmarłego wielką po temu zapala ochotę, wstrzymują nas niemal od pisania dwie obawy. Jedna płynie z licznych a upartych między nami przeciw zmarłemu uprzedzeń: a nie tego się lękamy, byśmy o nim dobrze mówiąc sami siebie na gniew i obmowy nie wystawili, ale wątpimy, czy przyda się na co nasze marne słowo tam, gdzie oczywistość faktów na tak mało się przydała, czy nie próżna rzecz nam walczyć z uprzedzeniami, których życie zmarłego i jego dzieła nie zwyciężyły? I z tej myśli pierwsza nasza wątpliwość i obawa co do przedsięwziętej pracy. Druga jest ta, czy z życia tak czynnego, obejmującego różne kierunki i sprawy, a skupiającego wszystkie w doskonałą jedność celu i jednolitość działania, zdołamy wyciągnąć całą tę, która w niem tkwi naukę, czy potrafimy przedstawić zawód kaznodziei, działanie założyciela zakonu, i pokazać jak w jednym i w drugim nieustannie i niezmiennie działa nie tylko ksiądz i zakonnik, ale Polak i patriota. Przecież odsuwamy te obawy. Przygotowani na to, że materji dostatecznie wyczerpać nie zdołamy, mniej się o to troszczymy, mówiąc sobie, że zrobimy na co nas stać, ani chwale zmarłego tem nie ubliżymy, ani temu, który kiedyś po nas, lepiej

¹⁾ Pisane w roku 1873.

od nas, o nim mówić będzie, nie zaszkodzimy. Co do pierwszego zaś, nieraz, prawda, przyjdzie nam wspomnieć o uprzedzeniach i sądach fałszywych, ale polemiki z nimi prowadzić nie myślimy. Uda nam się przypadkiem kogo przekonać, tem lepiej; ale nie ten jest nasz cel, żeby uprzedzonych przekonywać i walczyć z niechętnymi. Nie mamy nawet tego uroszczenia, żeby bronić od potwarzy dobrej sławy, która przed ludźmi dobrej wiary obrony nie potrzebuje. Chodzi nam w tem pisaniu tylko o dopełnienie prostej powinności; a kiedy umrze człowiek źle czy dobrze, pożytecznie czy szkodliwie, ale wiele w społeczeństwie naszym i w naszej literaturze czynny i znaczący, obowiązkiem jest pisma poświęconego przeglądaniu spraw polskich, przypomnieć życie i dzieła takiego człowieka.

Zaczynamy więc pomimo wątpliwości i obaw; a nigdy jeszcze podobno zabierając się do pisania nie mieliśmy takiej ochoty powiedzieć sobie, jak na ambonie, zaczynamy w Imię Boże. Bo mówiąc o tem dzielnym słudze Boga i Kościoła, tak łatwo jest, nie z własnej zasługi, ale z natury przedmiotu, przynieść ludziom pożytek; tak łatwo z drugiej strony mówiąc o nim niewłaściwie i niezręcznie, przynieść szkodę dobremu, któremu się chce oddać świadectwo, że dla uniknięcia tego niebezpieczeństwa, dla osiągnięcia tamtego pożytku, czuje się wyraźnie potrzebę powiedzenia sobie na wstępie: „w Imię Boże“.

My radzi cieszymy się i chlubimy temi dwoma faktami, w których widzimy, i słusznie dowód naszej żywotności i rękojmiej przyszłości: jednym jest ten, że od stu lat, pomimo naszego politycznego stanu, wydaliśmy z siebie rzeczy tak silne i wielkie, na jakie nie zdobyliśmy się nigdy za naszej niepodległości (mianowicie w literaturze), drugim ten, że pomimo wszelkich utrudnień nietylko nie daliśmy się oderwać od związku z cywilizowaną Europą, lecz owszem utrzymaliśmy związek tem ściślejszym i żywszym niż bywał za czasów Rzeczypospolitej. Jedno i drugie staje nam, jeżeli nie za dowód, to przynajmniej za nadzieję, że jesteśmy w postępie, że się odradzamy wewnętrznie. Istotnie, drzewo spróchniałe,

o uschłych i martwych korzeniach nie wydaje takich kwiatów jak Mickiewicz i Krasiński, ani tej żywej, bujnej zieleności umysłowego życia, która ich poprzedza, otacza i po nich jeszcze z nich żyje. A jeżeli nasz związek z cywilizacją powszechną, bliższy dziś niż dawniej, może być w wielkiej mierze skutkiem materyalnych ułatwień komunikacji, to przecież nie jest w żadnym razie powszednim widok narodu, który pozbawiony niepodległego bytu, chce być jako naród oświecony i cywilizowany, który wszelkie prądy, złe czy dobre, europejskiego życia przyjmuje w siebie, jak żeby chciał mówić, stosując do siebie sławne *homo sum*, „europejskim narodem jestem, i nie, co europejskie, obcem mi nie jest“. Odbyliśmy pospołu z innymi i nie gorzej od nich wielkie odrodzenie poezyi, zdążyliśmy za nimi ileśmy mogli w nauce, nie było wypadków w Europie, któreby się u nas nie były odbiły i nie znalazły oddźwięku, dzielaliśmy żywo wszystkie drugich zapawy, dążności, złudzenia i błędy nieszczęściem — ale nawet ktoby chciał twierdzić, żeśmy ztąd nic prócz szkód nie odnieśli, nawet ten nie zdoła zaprzeczyć, że żyliśmy i żyjemy tem samem życiem co Europa zachodnia, że oddychamy tą samą atmosferą uczuć i myśli, że u nas pulsa spieszniej lub wolniej, ale tętnią zawsze tak jak tam, serca podnoszą się w górę i opadają w takt z tamtymi, biją dla tych samych uczuć, cierpią temi samemi cierpieniami.

Prawda; ale jeżeli lubimy wspominać to, że w odrodzeniu europejskiej poezyi nie byliśmy ostatnimi, jeżeli na dowód zamiaru i pragnienia cywilizacji przytaczamy sobie to, że chwytałyśmy skwapliwie wszystkie, choćby błędne idee i systemy filozoficzne, polityczne i społeczne, i jeżeli to wszystko ma nam oznaczać pewien postęp i dźwiganie się w cywilizacji, to wartoby chociaż przez samą ciekawość, choćby dla sprawdzenia czy istotnie są w nas wszystkie czynniki i prądy współczesnego europejskiego życia, wartoby poszukać u nas i w naszych najświeższych dziejach pierwiastku jednego, który w historyi XIX wieku znaczy tak wiele, że bodaj czy potomni nie uznają go kiedyś za główny i dominujący.

Chcemy mówić o ruchu katolickim, o tem rozbudzeniu energii w Kościele, o jego poczuciu siebie i działaniu tak potężnem jak dawno się w dziejach nie objawiło.

Przypuścimy, jak chce wielu, że są to tylko ostatnie konwulsyjne wysilenia, ostatnie śmieszne podrygi błędu konającego w złości i wstydzie, który widząc się odkrytym, przekonanym o oszukaństwo, i zgubionym bez ratunku, miota się i rzuca, żeby w siebie samego wmówić, że ma jeszcze siłę i życie: przypuścimy, że cały ruch katolicki w naszym wieku nie jest niczem więcej. To i wtedy jeszcze ta obrona katolicyzmu, nieustająca, rozpaczliwa, wszędzie obecna, stosująca środki obrony do siły i rodzaju napaści, będzie faktem, którego historyk wszystkich walk naszego wieku pominąć nie zdoła. Znajdzie on ją bowiem wszędzie: naprzeciw wszelkich rodzajów filozoficznego niedowiarstwa, zmądrzałego wielce w naszym wieku, naprzeciw społecznego rozstroju i anarchii, naprzeciw rewolucyi w frygijskiej czapce i rewolucyi w koronie, naprzeciw prześladowania piórem i inkaustem czy prześladowania krwią i żelazem, wszędzie. Państwo sięgające po zwierzchność w rzeczach kościelnych spotyka się z oporem. Napoleon ma Piusa VII., Bismark ma biskupów niemieckich; szturm demagogów rzymskich do Kwirynału w roku 1848, czy otworzenie go wytrychem dla króla włoskiego w roku 1870, napotyka opór Piusa IX. Ze spuścizną XVIII wieku, Voltaira i wielkiej Rewolucyi, walczy De Maistre i Bonald, z panteizmem Hegla, z anti-chrześcianizmem Straussa, cały szereg wielkich prac, cały zastęp wielkich umysłów i talentów, że tu jednego tylko przypomnimy, najdzielniejszego zapewne ze wszystkich, Lacordaira. Mikołaj wychodzi błady i drżący z posłuchania u Grzegorza XVI, ale Rosya jest Rosya, car carem, i nowe, gorsze prześladowania Kościoła pod następcą Mikołaja, sprowadzają na jego głowę nowe groźniejsze upomnienia następcy Grzegorza, na pozór tylko bezskuteczne, na prawdę zapisane jako dokument w tej księdze, w której zawarte jest wszystko *ex quo mundus judicetur*. Po za Kościołem coraz nowe formy i rodzaje wrogów, w Kościele coraz nowe formy i rodzaje obrońców. Po-

wstają nowe do potrzeb dzisiejszych zastosowane zakony lub reformują się dawne: władza świecka Papieża zniesiona, duchowna w tej samej chwili affirmuje się Soborem: a ktokolwiek chce, schizmatycki samozwańczy Papież, czy bezwyznaniowa halastra, koronowany cesarz największego państwa w Europie, czy zgraja paryskich komunistów, ktokolwiek chce robić męczenników, ten ich znajduje gotowych, spokojnych i śmiałych. Od Voltairiańskiego *écraser l'Infame*, aż do Bismarkowego „Siła przed prawem“, wszelka dążność i zasada zła, która się tylko w historię naszego wieku wcieliła, musiała zawsze walczyć z katolicyzmem, z Kościołem: i walka ta jest samą istotą i treścią naszych dziejów. To uznać musi nawet ten, kto katolicyzm uważałby za kłamstwo, a Kościół za wroga ludzkości. Napaść i zajadłość przeciwników nigdy nie były podobno silniejsze i głębsze: podają sobie w nich rękę rewolucye i rządy niby porządne, pomaga im szkoła historyczna przecząca bóstwu Chrystusowi i szkoła filozoficzna przecząca człowiekowi duszy, pomaga publicystyka, prześladowanie pismem i czynem rozpostarło się od Neapolu aż do Petersburga; obrona była może świetniejszą za dni Augustów i Atanazyuszów, ale stateczniejszą i wytrwalszą, pomimo obojętności ogromnej większości katolików, nie była może nawet i wtedy. Czegóż to dowodzi? oto wielkiego podniesienia sił, wielkiego poczucia się w sobie, wielkiego odradzania się katolicyzmu. I jak nasze dzisiejsze walki, dojrzawszy ostatecznie, dadzą się sprowadzić do swego najprostszego wyrazu, (myśl to nie nasza, lecz pożyczona i powtórzona), kto wie czy nie staniemy wszyscy w dwóch przeciwnych obozach pod godłami *Tak* i *Nie*, *Coś* i *Nic*. W jednym zleją się wszystkie przeczenia i wszystkie gwałty, wszelka bezwyznaniowość i wszelka „siła przed prawem“: do drugiego zbiegnie się wyrzekając się różnie, które nas dziś dziela, wszystko co ma Boga w sercu, a chce go mieć w kościele, w domu, w życiu prywatnem i publicznem, w historii naszego świata.

A więc, jeżeli tak skrzętnie śledzimy dowodów naszego związku z Europą, w naszym ruchu literackim i umysłowym

w naszych wyobrażeniach politycznych i społecznych, możemy choćby dla samej konsekwencji, dla sprawdzenia, zapytać, czy w tym jednym względzie jesteśmy do narodów zachodnich podobni, czy odbił się, u nas ten popęd do odrodzenia się katolicyzmu? Jeżeli odpowiedź będzie twierdząca, jedni przekonają się jeszcze lepiej o tej wspólności, którą tak wysoko cenią, inni znajdą w niej może coś więcej, może jakieś źródło pociechy, uspokojenia, odwagi i nadziei.

Odpowiedź?... zapewne, nie mamy czem się chwalić. Te resztki tradycyjnej religijności, połączone u nas z grubą niewiadomością i z leniwą w tych rzeczach obojętnością, nie dają nam prawa ani do spokojności w sumieniu, ani do bezpiecznej ufności, że wiarę u siebie utrzymać i przechować zdołamy. Owszem jest ona u nas bardzo zagrożoną. Tępiona z góry pod rządem rosyjskim i pruskim, podkopywana z dołu przez pozytywizm i socjalizm pod wszystkimi trzema rządami, broniona zaś przez katolików albo bardzo słabo i nieczynnie, albo jeżeli czynniej to nie bardzo zręcznie, najczęściej nie broniona wcale, religia u nas wydaje się daleko bliższą upadku aniżeli odrodzenia. Przecież są fakta, które przeciw temu świadczą. Kościół którego wszyscy biskupi (pod rządem rosyjskim) są na wygnaniu, Kościół polski, może być w Kościele powszechnym najbardziej zagrożonym, ale oczywiście nie jest najmniej wiernym ani najmniej stałym. Postawa jaką zajął był naprzeciw rządowi pruskiego arcybiskup Dunin przed laty trzydziestu, ta którą zajął dziś naprzeciw tegoż rządowi arcybiskup Ledóchowski dowodzą, że jest w naszym duchowieństwie silne poczucie kościelnej jedności, wierności i podległości, i każe się spodziewać, że w innych częściach kraju, episkopat polski gdyby był wystawiony na próbę, wyszedłby z niej z godnością i chlubą. Ruch katolicki jest u nas niezawodnie słabszy niż we Francyi lub w Niemczech; ale katolickie uczucie jest, jest zatem główny warunek i możność religijnego odrodzenia. A jeżeli nie wiele po temu zrobiono, to nie idzie zatem, żeby nic lub mało robiono: i kto wie czy dziś nie więcej jest w duchowieństwie polskiem gorliwości, nie

więcej związku z Papieżem i solidarności kościelnej, niż przed rokiem 1830, niż za Księstwa Warszawskiego, niż za Stanisława Augusta i przed pierwszym rozbiorem. Zwrot ten rozpoczął się przed laty blisko czterdziestu, a jednym pierwszych, którzy mu dali popęd, jednym z tych, którzy mu służyli najdzielniej, którzy go reprezentowali najświetniej, jednym z tych, którzy najwięcej w Polsce w naszym wieku na polu religijnem działali i najwięcej na niem sprawili, był ksiądz Hieronim Kaysiewicz.

Praca jego dzieli się sama naturalnie na trzy niejako epoki. Pierwsza, od jego wyświęcenia do roku 1848 lub 1849, to epoka przeważnie kaznodziejska, ta w której ksiądz młody jeszcze przemawiał do Polski, a bezpośrednio do emigracyi z ambon paryskich, i gromił nas z ojcowską surowością i nawoływał w kazaniach, jakich u nas nikt od bardzo dawna nie słyszał, do *wytrwałości* w wierze i miłości ojczyzny, do *cierpliwości* w narodowych nieszczęściach, do *jedności* w naszych niejednościach i niezgodach, do *pokuty* wreszcie za nasze dawne i nowe grzechy. Młody i pelen zapału, pelen zatem nadziei, widział on wtedy przed sobą i przed nami przyszłość lepszą, i widział ją bliską, a podchlebiał sobie może, że słowa jego nie padną jak groch na ścianę, ale że się przyczynią do tej poprawy wewnętrznej, bez której poprawy Rzeczypospolitej nie przypuszczał i w nią nie wierzył. Wypadki roku 1848 rozczerowały go prędko, pokazując mu, że nam wytrwałości i jedności nietylko nie przybyło, ale żeśmy od poprawy dalsi niż wiedział i sądził. I wtedy (1849) powiedział ostatnie ze swoich wielkich kazań emigracyjnych *O Duchu Narodowym*, w którym zjednoczył i powtórzył wszystko o co w latach poprzednich upominał i prosił, tylko surowiej, groźniej i smutniej, bo choć w Polskę nigdy wierzyć nie przestał, w Polaków swoich współczesnych mniej niż przełtem wierzył, i choć nie mniej kochał, mniej ich niestety cenić musiał.

Od tej chwili w zawodzie jego wzięła górę czynność inna. Kazał mniej, rzadziej, i nawet już nie tak świetnie. Okrzyczany, podany w nienawiść u wielkiej części emigracyi za swoje kazania (czy słusznie, to zobaczymy), czy się znie-

chęcił, czy raczej widząc się celem nienawiści potwarzy powiedział sobie, że skutecznie w Paryżu wśród emigracyi działać podówczas nie mógł, zwrócił całą swoją energię do innego celu, do ukonstytuowania swego zakonu. Ta druga epoka to może najtrudniejsza i najboleśnieszka w jego życiu. W Rzymie ostrożność wielka, niekiedy blizka niedowierzania, względem księży polskich, czy oni czasem nie myślą o założeniu zakonu czysto polskiego, któremu religia byłaby pozorem tylko, celem patryotyzm i polityka. Ze strony ambasad rosyjskiej, mądrzejszej od nas Polaków, niezliczone przeszkody i podstępny, ze strony swoich niezliczone oskarżenia i potwarze. W domu niedostatek taki, że często nie było za co kupić chleba; potwierdzenie reguły ociągało się i ociągało. Na domiar smutku, w sprawie między Kościołem a jednością włoską, cała niemal Polska złudzona pozorami i szumnie głoszoną zasadą narodowości przekonana, że nazajutrz po zjednoczeniu Włoch przyjdzie niepodległość Polski, stanęła mniej lub więcej otwarcie przy Włoszech przeciw Papielowi. Dla Polaka, który widział, to co dziś po faktach widzimy wszyscy, że ta jedność włoska obróci się na korzyść nie Polski, ale jedności niemieckiej, i, nie daj Boże, rosyjsko-słowiańskiej, widok to musiał być bolesny, i gorzko zapewne było, za to, że się przyszłość dobrze widziało, być okrzyczanym za nieprzyjaciela ojczyzny i wolności. A cóż dopiero, gdy w lat parę później zaczęło się zanosić na powstanie roku 1863 i gdy ksiądz Kaysiewicz ogłosił swój list do księży spiskujących. O jakieśmy wtedy na niego rzucali kamieniami! jak unikali, jak odstępowali nawet tacy, którzy znając go dobrze wiedzieli co on o Polsce i jej niepodległości myślał!

Po tem przejściu, dla niego może najboleśnieszkiem, zaczął się jego horyzont wyjaśniać. Dolegały mu może potwarze i oskarżenia jakoby księży polskich za granicą prześladował, z posłami i wielkimi książętami rosyjskimi przeciw Polsce spiskował, ale wiedział on dobrze, że w to mało kto wierzył, najmniej ci, którzy to pisali i drukowali. A za to doczekał się pociech innych i wielkich. Reguła jego uroczycie przez

Papieża potwierdzona, misye w Bułgarii powierzone jego zakonowi, coraz większy do tego zakonu przyływ ochotników, kolonije jego rozchodzące się po obu półkulach naszego świata, zatem przyszłość jego zapewniona, a stan, wyjąwszy pod względem materyalnym, jak na pierwsze początki bardzo kwitnący. Na tych też pracach przełożonego nowego zakonu, na zakładaniu nowych domów, na odwiedzaniu założonych w Europie i Ameryce, schodzą głównie ostatnie lata życia księdza Kaysiewiczu. Słowa i pióra nie zaniedbuje on ani wtedy; ale oczywiście mniej niż dawniej może się im poświęcać. A zawsze, za młodu czy na starość, w emigracyjnym kościele polskim, czy za oceanami wśród Kanadyjczyków i Brazylijczyków, w celi między braćmi zakonnymi, czy w Watykanie przed Papieżem i biskupami, w powodzeniu, kiedy go cała Polska słuchała z uszanowaniem jak swego wielkiego kaznodzieję, czy w przeciwności kiedy go cała niemal prześladowała jak swego nieprzyjaciela, zawsze i wszędzie, w każdym jego kroku, w każdym słowie jego ust, w każdym uderzeniu jego serca, jedna i ta sama niezmienna myśl, jedna siła ożywiająca i poruszająca: służyć Bogu w Polsce i przez Polskę, służyć Polsce, odradzać ją, nawracając ją do Boga.

I.

Kiedy się mówi o ludziach i wypadkach składających naszą współczesną historję, zawsze chcąc jedne czy drugich poznać czy ocenić, zawsze potrącić trzeba o rok 1830. Tam jest źródło wypadków, tam powód, który tak a nie inaczej ukształcił ludzkie charaktery i czyny. Na polu wypadków łatwo jest wywieść pochodzenie roku 1846 i 1863 od 1831, jak skutku od przyczyny; na polu myśli patryotyczno-mistyczna poezya, podobna do niej filozofia historii, nawet powstające wśród społeczeństwa polskiego religijne systemy i błędy, otwierają się jak kluczem wielką narodową przegrana, uczuciem bólu i krzywdy, wreszcie faktem emigracyi,

i tą tęsknotą, temi smutkami, tem oderwaniem się od ziemi i rzeczywistości, które fakt ten logicznie za sobą pociągnął. Bez roku 1831 i bez emigracyi nie byłoby ani trzeciej części *Dziadów*, ani *Ksiąg Pielgrzymstwa*, ani *Anhellego* i *Kordyana*, ani *Nieboskiej komedyi* i *Przedświtu*, jak nie byłoby *Ojciec-Nasza*, jak nie byłoby Messyanizmu, jak nie byłoby Towarzystw Demokratycznych, Centralizacyi Wersalskiej, emsaryuszów i usiłowań nowego powstania. Kiedyś, głównym i rozstrzygającym faktem całej naszej historyi XIX wieku wyda się nie rok 1815, ani 1863, ale 1830: a jak naszych czynów i książek, tak naszych ludzi nikt bez niego zrozumieć nie zdoła. Książdz Kaysiewicz miał lat ośmnaście, kiedy poszedł się bić; młodziutki i nikomu zrazu nie znany, w pierwszych latach emigracyi nie jest widocznym i nie nie znaczy, pierwsze jego słowa głośnie i wyraźne odezwały się w lat dziesięć dopiero po wyjściu z kraju: możnaby zatem sądzić, że nie ma bezpośredniego związku pomiędzy nim i jego zawodem a tym faktem. Przecież jak wszystko u nas jak emigracyjna poezya, polityka, filozofia, mistyka, jak Towiański i Cieszkowski, jak Władysław Zamoyski i Mierosławski, jak Krasiński i druga połowa zawodu Mickiewicza, tak i on, jego kazania, jego zakon, jego usiłowania około religijnego odrodzenia Polski, wszystko w tym fakcie zawarte jest jak w ziarnie, wszystko się z niego rozwija, wszystko to różne konary: wysokie, proste i bujne, albo „łyse, skarłowaciałe, robaczliwe, chore“, ale wszystkie z jednego i tego samego, z tego korzenia wyrosłe.

Sąd historyi o listopadowem powstaniu będzie zapewne surowym, a dziś już widne to jest wyraźnie, że ono nie na odbudowanie Polski, ale na jej szkodę wypadło; a ktoby z najuporczywszym z góry postawionym optymizmem chciał skutki jego obliczać, to i ten nawet zaprzeczyłby nie mógł, że więcej ono przyniosło nam złego niż dobrego. Ale na odwrót, kto odnosząc do tego źródła wszystkie nasze późniejsze błędy i nieszczęścia, chciałby bez względu i miłosierdzia źródłu temu zlorzezyć, to i taki jeszcze nie zaprzeczy, że wyszły z niego piękne rzeczy i piękne charaktery, wielkie

dzieła i znakomici ludzie. O skutkach emigracyi można różnie sądzić, ale w jej myśli była wielkość. Wielka illuzya? wielka utopia? Zapewne. Ale jeżeli ta żywa protestacya przeciw bezprawiu i przemocy nie sprawiła swego skutku w Europie, jeżeli nawet podówczas, czego nie wiemy, można było i należało tę bezskuteczność wygnania przewidzieć, to przecież małym i zwykłym nie był widok ludzi idących na wygnanie, w znacznej części bez koniecznej potrzeby, z tą myślą, żeby unieść z sobą i przechować niepodległość narodowej duszy, i szukać sposobu jakby ją wcielić na nowo w niepodległe państwo. Smutny zapewne czasem i gorszący jest widok emigracyjnych rozterek,

„przekleństw i kłamstwa, nikczemnych zamiarów,
„zapóźnych żalów, potępieńczych swarów“:

ale piękny jest widok tej miłości ojezyny, bolejącej, czasem z nadmiaru cierpienia uwiedzionej lub uwodzącej do złego, ale wiernej zawsze i bądź cobądź. Smutne to i rozdzierające bardziej niż wszelkie przez człowieka wymyślone tragedye: ludzie którym się sprawiedliwość należy jak Bóg na niebie, a którzy jej szukają i nie znajdują, a nie mogąc znaleźć nie wiedzą już co myśleć i robić i gdzie szukać powodu swego nieszczęścia. A wtedy jedni szukają go w drugich i zlorzeczają sobie wzajemnie, inni samego Boga pytają gdzie sprawiedliwość? a nie słysząc odpowiedzi wnoszą, że sam Bóg się przeżył i potrzebuje się w nowem objawieniu odrodzić. Jeszcze inni nie mogąc zrozumieć tego, co się z nimi dzieje, uznają się jakąś bezwinną za grzechy świata ofiarą i wierzą w Chrystusa narodów Polskę, z żalu wpadają w polityczne i religijne błędy, a choćby i szaly: ale na dnie samych tych błędów i szalów miłość i wierność jest. W jednym z pomników tego emigracyjnego czyszcza, jakie wydała poezya owych czasów, w Anhellim, jest obraz trzech gromad zwaśnionych między sobą, zaślepionych, grzesznych, ale z każdej z nich wychodzą ludzie, którzy dobrowolnie i z dobrą wiarą za swoją sprawę na śmierć się wydają. Szaman mówi,

że ten krzyż, do którego się przybić dali, na którym pomarli, oczyści ich z ich grzechów. Podobnie kiedyś powie może o naszej emigracji historia, że miłość i wierność, powód wszystkich jej działań, jeżeli odrobieć nie może tych które były błędne i szkodliwe, to nawet takie uszlachetnia i za wymówkę im staje.

Pośród tej więc gromady tłuczej a pytającej Boga i ludzi co z Polską zrobili i dlaczego, znajdował się i ten nawet nie dwudziestoletni jeszcze ze studenta ulan, cięty pałaszem przez twarz, jak żeby Bóg był chciał, zanim go do swojej służby powołał naznaczyć go piętnem męztwa i świadectwem świeckiego żołnierstwa, na to by wszyscy wiedzieli i pamiętali: on sam i drudzy, że był i miał być nie samego tylko Chrystusa żołnierzem — ten, który kiedy jedni Boga nie chcieli wcale, a drudzy chcieli jakiegoś nowego, do prawdziwego nawoływał i nawracał. Ten, który kiedy inni, najwięksi nawet, z wielkiej miłości prawda, ale szkodzili narodowi podchlebstwem i adoracją, pierwszy i najśmielszy spełniał gorzki a święty obowiązek gromienia. Ten wreszcie, który po latach i wypadkach wielu, kiedy przeszłość zdawała się zmarnowaną a przyszłość straconą tak, że nie zwątpić o niej było prawie niepodobieństwem, nie wątpił o niej nigdy, bo, i jak, nie wątpił o Bogu: ten który po „walce i żołnierstwie orężnem“ podjął „walkę i żołnierstwo duchowe“, który przez miłość i służbę ojczyzny przeszedł do miłości i służby Bożej, i obie na zawsze i doskonale w duszy swojej spoił i połączył.

Czy odrazu w samych początkach emigracji zastajemy przysłego księdza Kaysiewicza już gotowym do swego zawodu, z poczuciem wyraźnem duchownego powołania, ze świadomością kaznodziejskiej zdolności, z tą całością wyrobionych i stałych pojęć i zasad religijnych, społecznych i politycznych, która się później w całym jego życiu tak wyraźnie objawia? Bynajmniej. Nie o habicie on myślał, kiedy z kraju wychodząc zrzucał z siebie mundur, nie o różańcu, kiedy odpasywał szablę; księdza, zakonnika, kaznodziei, nie czuł w sobie wcale, kto wie nawet czy czuł w sobie wogóle jakie religijne uczucie. Było ono tam na dnie, i było niezwykle

silne, gorące, sprężyste, ale musiało być niejasne i nieokreślone jak zwykle u ludzi a zwłaszcza u Polaków, bardzo młodych; jakaś szlachetna i wysoka miłość i żądza dobrego, w której miesza się i zlewa ojczyzna, ludzkość, i Bóg, ale ten tamtemi zasłonięty i samemu człowiekowi zaledwo z poza nich widzialny. A jak księdz w żołnierzu, tak w młodym rewolucyoniście trudno było dopatrzeć późniejszych tego księdza zasad i przekonań. „Politykował i on lat parę choć mniej zajadle“ (jak jego późniejszy towarzysz Semenenko) mówi sam a sobie w Pamiętniku o początkach swojego zgromadzenia. Mniej zajadle, to znaczy zapewne mniej czynnie; to znaczy, że jego trafny rozsądek poznał się prędko na marności klubowych i dziennikarskich swarów, a jego natura jędrna, męzka, szukająca instynktem skutku, rzeczywistości, czuła wstręt i odrazę do czczych, marnych, słownych szermierek. „Politykował“ więc „mniej zajadle“ — ale w jego młodocianych wyobrażeniach nie ma śladu późniejszych, owszem jest zupełnie ich przeciwieństwo. Formą pod którą się jego miłość ojczyzny najeźściej i najżywiej objawia, jest zemsta, środkiem który go miał do celu doprowadzić, rewolucya. A w ówczesnym młodym poecie, trudno by także było przeczuć przyszłego kaznodzieję.

Bo syn prawy swojej epoki był ksiądz Kaysiewicz za młodu poetą. Któż nim być nie próbował z tych którzy byli młodzi, kiedy wychodził *Wallenrod* i *Dziady!* Tylko, kiedy wielu pchała do poezji prawdziwa jej admiracya przerodzona w fałszywą do niej aspiracyę, to u tego była poezya niewłaściwą tylko formą zdolności, która w nim rzeczywiście była, ale nie świadoma siebie weszła na drogę nie swoją. Wychodziły te wiersze po różnych ówczesnych emigracyjnych pismach, a niektóre z nich, Sonety, wyszły nawet w osobnej książeczce. W późniejszych swoich latach autor czy że się wstydział tych światowych marności, czy że odstąpił wielu swoich ówczesnych wyobrażeń i uważał je za szkodliwe, z niechęcią o tych grzechach swojej młodzieńczej muzy myślał i mówił, i o ile mógł wykupywał i niszczył egzemplarze. Przecież, choć rzadkie, dochowały się *Sonety Józefa Hiero-*

nima Kaysiewicza, wydane w Paryżu, w drukarni Pinarda przy nadrzeczu Wolterowem (1833), (cena egzemplarza 30 sous), i szczęśliwie się stało że się dochowały, bo są dziś najwyraźniejszym, a może jednym wizerunkiem wielkiego kaznodziei, jakim był w latach dwudziestu. Zajmująca jest rzecz w ówczesnych rysach jego charakteru szukać podobieństwa z temi, które wykształciły się później: w fałszywym często stylu poetycznym szukać zarodków wielkiego stylu mowcy, przypatrzeć się temu niegotowemu jeszcze materiałowi, z którego zrobił się znakomita w narodzie i kościele postać.

Dwudziestoletni Kaysiewicz przedstawia się w swoich wierszach jako młodzieniec z duszą gorącą i namiętą, dumny i pewien siebie, aż do zuchwałości. Zdaje mu się, że poezya polska po rewolucyi wchodzi na inną drogę, i otwiera nową dla całego świata erę poetyczną, poezyi politycznej i wijszezej. „Innej poezyi“ — mówi w przedmowie — „nie znam, bo wszelka inna poezya jest dziś cikliwą i niesmaczną, bo umysły nasze nie są na teraz usposobione do słuchania czezych marzeń i miłosnych trelów“. — Cała poezya polska w swojej wielkiej epoce (1830—1850) od drugich *Dziadów* do ostatnich *Psalmsów* Kraszińskiego stwierdza te jego uczucia i słowa. „Polityka“ mówi dalej, „to myśl wielka obejmująca całą ludzkość a objawiona w działaniu; myśl czasu, myśl wieku, czynna, żyjąca, a myśl taka objawiała się zawsze i wszędzie, i objawiać się koniecznie musi“. — Przedewszystkiem w poezyi, bo — „poezya to matka religii i filozofii, tłumaczająca najwyższe żywe prawdy, bo sama najwyższą prawdą będąca, powinna być brandkuglą oświecającą grunt, na którym się ludy rozprawiają, który nieraz krwią polewają, coby wydał róższekę nowych wyobrażeń, nowych społeczeńskich ustaw. Powinna to objawiać, co filozofia później wyrezonuje, a prawodawstwo do życia praktycznego wprowadzi. Ta jest rola poezyi, tak ją pojmuję, inaczej byłaby niepotrzebna, zbyteczna“. Ojciec Hieronim musiał z uśmiechem litościwego pobłażania wspominać tego młodego Kaysiewicza, który poezyą uważał za „matkę religii“ a u celu swoich marzeń widział nie mniej

nie więcej tylko Sycylijskie nieszpory. „Nie z popiołem na głowie“ pisze, zawsze w tej samej przedmowie, „wieszczę nasi nuca płacziwe Jeremiady, ale z pośrodku zwalisk, kurzących się dymów, i dogorywających pożarów, wzlata pieśń zemsty, dzika, straszliwa i groźna. Bo i naród jest taki. Myli się, grubo się myli, kto sądzi, że Polacy, zmordowani niepomyślnością, na zawsze lub na długo usną, zapominając czem byli, czem są, a czem być muszą.... Trzeba być ślepym, ażeby nie wiedzieć, że te wszystkie ofiary, te pozorne trupy, ockną się z letargu, opuszczą groby, i ze sztyletem w rękę i z puharem krwią napelnionym nie zanucą straszego hymnu Sycylijskich niesporów“.

Dotychczasowa więc poezya, mająca na celu piękność tylko, a czerpiąca natchnienie z osobistych uczuć poetów, już nie wystarcza; skazana jest na śmierć jako niedołężna, nieodpowiednia potrzebie, nie mająca racyi bytu. Ale ta nowa, którą młodzieńiec przeczuwa i wzywa, zkądże ona się weźmie, kto ją zaintonuje? Ciekawe i charakterystyczne jako odpowiedź na to pytanie, jest godło z *Wallenroda*, które poeta na czele swoich wierszy położył:

„Tu róże zwiędły. Innego chcą Barda.
 „Zakonnik — rycerz innej chcą piosenki.
 „Niechaj mi będzie tak dzika i twarda
 „Jak hałas rogów i oręża szczęki
 „I tak ponura jak klasztorne ściany
 „I tak ognista jak zalotnik pijany.
 „Dla nas co święcim i mordujem ludzi
 „Mordereza piosnka niech świętość ogłasza
 „Niechaj rozczula i gniewa i nudzi
 „I znowu niechaj znudzonych przestrasza
 „Takie jest życie — taka piosnka nasza!
 „Kto ją zaśpiewa? kto?

„ Ja!“.

Wszak dość dumnie, dość zuchwale? Poeta sam to czuje, kiedy mówi „wezmą mi za zarozumiałość, za zuchwał-

stwo, pewne uczucie własnej sily, i to bardziej na przyszłość niż na teraz. — „Smutna to дума poznawać własną godność poniżonem wyobrażeniem o ludziach otaczających! Tak przecie jest, i na to niema ratunku“.

W jakim stanie goryczy i żalu pisane były te sonety, jak biedny poeta boleśnie czuł rozczarowanie jakie odebrał od ludzi i od wypadków, to najlepiej może odbija się w wierszu umieszczonym w przedmowie jako jej zakończenie, a jego spowiedź:

Do moich wierszów.

Szczęśliwi ci, szczęśliwi, co w młodości wiosnie,
 Cichej, pogodnej marnej — na marzenia błoni,
 Uszczkną kilka fijołków — i na jasnym skroniu
 Skromny zaplotą wianek — i znowu radośnie
 Nucają jako skowronek strzeliwszy w obłoki...
 Lecz nie dla mnie to szczęście — już w tak wczesnych latach
 Dziko gra w w piersi serece, po najdroższych stratach —
 Bracia, krewni, Rodzice, Ojczyzna! o Boże,
 Ty mi nieraz przebaczysz, że w cierpień nadmiarze,
 Tarzając się po piasku lub tłukąc o ścianę,
 Krwawe łzy z oczu, i krwawą z ust pianę
 Spędzając ręką, na Twe rzucałem Ołtarze;
 I pytałem się gdzieżeś Chrześcijański Boże??!!
 Kochałem niegdys ludzi — dziś świat kocham jeszcze,
 Lecz już inszą miłością — wprzód skromny, nieśmiały
 Sądziłem żem ostatni w istot ludzkich kole:
 Dziś mi olbrzymy w oczach w kartów pomalały,
 Widzę ludzi złych, głupich, śmiesznych i dziecinnych:
 I wytrzeźwiałem z smutkiem z omamień niewinnych!
 Pytam was ludzie znający me bole,
 Którzy wiecie jak mocniej wszystko czują wieszczę?
 Czyliż winien że pełen i zgrozy i dumy,
 Nogami nieraz depcę poboczne mnie tłumy?
 Tak to więc rymy moje na świat wychodzicie,
 Nie pełne woni, wdzięków, jak pierwotne dziecię,
 Lecz zlane krwią i żółcią, i krepą rozpaczy

Zwite, służyć będziecie za bukiet tułaczy.
 Może kiedy z nich siarki trucizny zapachy
 W jednych zbudzą gniew, zemstę, a w drugich przestraszy.
 Czy kiedy serce strute obrazą śmiertelną
 Ożyje na głos Matki, lubej, przyjaciela.
 Czy czoło groźne, blade, uśmiechem wesela
 Rozjaśni się — czy dłonią mą w strunę weselną
 Kiedy, by na czas uderzę?
 Chciałbym może, lecz nie wierzę.

A Sonety same? Piękne? tego powiedzieć nie można.
 Zawile często, czasem w formie wadliwej, niekiedy najeżone
 sztuczniemi lub napuszystemi wyrażeniami. Ale wszystkie tchną
 jakąś jednością i siłą. We wszystkich jest ta śmiała pewność
 siebie, pewność, że życie autora marnem nie będzie, która
 byłaby zarozumiałością zapewne, gdyby wiek jego mężki
 nie był tych młodzieńczych przeczuć sprawdził i usprawie-
 dliwił. Weźmy jako przykład Sonet pierwszy:

Ja nie nucę jak inni miłostek kłamanych,
 Szatan, Bóg u mnie inszy, niż są drugich bogi;
 Ja dojdę jednak szczytu i przez nowe drogi,
 Wysnuję pieśń w mej piersi i z uczuę nieznanym.

Wydieram się z tych sieci gąsiennicom tkanych,
 Rzucam ścieżki szkolarstwa, przesądów nałogi;
 I mierności nie ścierpię, klnę przez wszystkie bogi,
 Będę jednym z wyśmianych, albo z uwielbianych!

Może do młodych pierzy mam za wiele dumy?...
 Lecz i duma się w małych sercach nie urodzi,
 Wzgardzić mną mogą czasu, uprzedzeń rozumy,

To i ja światem wzgardzę — gdzieś samotny siędę.
 Bóg dał dość siły wieszczom, wieszcz się z Bogiem zgodzi,
 Nowy świat sobie stworzę — i w nim światem będę.

2*

Niema co mówić, stworzył on sobie „świat nowy“ wedle własnej duszy, „wysnuł z swej piersi pieśń“ inną zapewne niż ta o której myślał, ale niezwykłą; a jeżeli tak dumnie czuł w sobie zdolność tworzenia, to przynajmniej nie mylił się i nie zawiódł na sobie, bo nosił w duszy istotnie materiały i siłę na kreację, bo był jednym z tych rzadkich, którzy coś stworzyli.

Sonety te są tak wielką bibliograficzną rzadkością, a dla wielu, sądzimy, mogą być przedmiotem ciekawości, że ulegamy pokusie i niektóre z nich tu przytaczamy, w nadziei, że czytelnik, który nie miał sposobności poznać wszystkich, rad będzie choć z tych próbek zrobić sobie wyobrażenie o poetycznym talencie i rodzaju X. Kaysiewicza. Pierwsze z nich poświęcone są wyłącznie wspomnieniom wojny. W jednym naprzykład młody chłopiec, szczęśliwy że został ułanem, opisuje swego karego konia rysami pożyczonymi od Farysa, i chlubi się swoją czapką, która patrzy w cztery świata strony:

„Jakby chciała wzywać świat cały w przegony“.

Dalej unosi się, w sonecie twardym zapewne, może złym, ale nie pozbawionym energii, nad swoją szablą i lancą:

Ułan II.

A kiedy w pełnym biegu wyteżę me ramie,
 Puszczona lanca w piersi głąb przewierci wroga;
 Przez pancerz w żyłę piersi trafi palcem Boga
 I ssie krew jak pijawka nim jest życia znamie.
 Gdy mój miecz z pochwy łyśnie to; w odłamie
 Jego jasnym jak kryształ, kiedy oko wroga
 Przejrzy się to grób ujrzy — bo dni jego droga
 Kończy się z ostrzem stali — chyba piekiel ramie

Kuło go — a pioruny, paliły żelaza —
 Z ust żmij znać węń wszczepiona trucizny zaraza.
 Z koniem mym zawsze w przedzie — z moim mieczem w rękę

Dziesięć łbów w dwaj rozplątam — dziesięć jeźdźców z łęku
 Lancą mą zsadzić zdołam — dziesięć dusz wygonić —
 Bodaj to być ułanem; a na ostre gonić!

Oto inny, w którym poeta przechował wspomnienie owej
 rany odebranej pod Nową-Wsią, z której, jak się pokazuje
 mniemał umierać, a z której została mu szrama, znamię po
 którym twarz jego zawsze ludzie będą poznawali:

Myśl w skonaniu na polu bitwy.

Taje ziemia podemną ciepłą krwią mą zlaną
 Tyle ran — a dość jednej by zabić człowieka;
 Słyszę głosy ratunku, lecz wzrok mgła powleka
 Nie bez żalu cię rzucam Ojczyzno kochana —

Tak młodym, tyle nadziei — nie krzyknę: wygrana!
 Rodzice! już nie ujrzy rozdarta powieka
 Was wszystkich — lecz mam wiarę przyszłość niedaleka,
 Wam, wnukom, zawsze wejdzie wolność pożądana.

Już cię więc ziemio żegnam, życiem przedałem drogo —
 Jak oddycham szeroko — jak mi lubo błogo —
 Jak ma myśl wielka czysta — chmury rozsunięte —

Zkąd te blaski, te wonie, jakie chóry święte!!
 Weź mię Boże, zlituj się nademną śmiertelnikiem.
 „Kto mię budzi — żyć muszę — i żyć niewolnikiem!“

Sen wygnańca znowu, to głos tęsknoty za domem, za
 starymi rodzicami, pięknymi siostrami, za małym bratem
 i jeszcze za kimś więcej, za jakąś „lubą“, która wygnańca
 czule powita, jeżeli on kiedy powróci! Pomimo całej wzgardy
 dla „miłosnych trelów“ w poezji, przecież wspomnienie to
 odezwało się parę razy w wierszach młodego ułana.

Dalsze sonety zawierają już wrażenia z emigracyjnych
 czasów. W jednym przysięga wieczną wierność sprawie,
 w drugim (XXIV), grozi zemstą; inny jest wyrazem wzgardy

dla „ludów spodlonych, na które kiedyś przyjdzie dzień kary,
a wtedy Polska:

Nazbyt szlachetna, wspierać was niewdzięcznych będzie.

Jeszcze inny odbija widocznie niesmak, zniechęcenie, nudę, które opanowały autora na widok domowych naszych zatargów; jeden, ciekawy wcale, odzywa się „Do wyrobników paryzkich“ jako do wyboru ludów i „rządców losów świata“ i zakrawa nie żartem na manifest rewolucyjny:

Do wyrobników paryzkich.

Witaj wyborze ludu! rządzcy losów świata!

Gdy wyszedłszy z tych podziem Marsylijskie dźwięki,
Nucąc niesiecie w zamek królowi podziękii...

A po nadrzeczach krwawa rewolta przelata...

Europa oekniona z głów korony zmiata —

I ci co nas deptali klęcząc szerzą jęki —

Obcy żołnierz dziś z wami — nie ubliżcie ręki,

Czarna wiem jest i szorstka, lecz szczerza dla brata. —

Ci co podle w rozpuszcie spędzają dni marne,

Jak śnieżne mają dłonie, ale dusze czarne.

Brud pracy po bitw znoju — niech pot krwawy płynie.

Niech się ciało rozpada, lecz kiedyś, w godzinie...

„Bo Konrad płakał ażeby mordował“.

I nie lada kto pojmie dla czego pracował.

Swojemu zawodowi poetycznemu, swoim o nim marzeniom, poświęcił jeden wiersz tylko, ale nad tym wierszem stał napis *Do A. M.*, a w środku jest co następuje:

Do A. M.

Tyś mi! ty zawsze jeden, w oczach, w myśli, w duszy!
Cieniu wielki, złowieszczy, czemuż chciały Nieba,

Że dość by nie być Tobą miernym być potrzeba,
I studnię życia wiadrem wyczerpać katuszy.

Milcydzie snów moich! objaw co cię wzruszy,
Prośba, klątwa, wypełnię jak chcesz, jak potrzeba;
Tylko ustąp mi słońca, ściągnij skrzydła z Nieba,
A pieśń duszy mej wzleci do wszechświatów duszy,

Śpią Twoi zawodnicy silniejsi odemnie...
Ty czuwasz, wlatasz, zaśnij; niech i ja podlecę
Niech się wprawię — lecz próżno — za młodu daremnie.

Matka chce rodzić — roni — nie tworzę ja, klecę....
Czyż przynajmniej te walki strawiwszy me życie
Wyrodzą z łona zwłok mych nieśmiertelności dziecie?

Trzebaż być dumnym, żeby Mickiewicza nazwać Milcyadesem swoich słów i marzyć o jego laurach! A przytem, on czuje przecież, że tego co chce dotąd, stworzyć nie może, że „roni“ nie „rodzi“ i kleci nie tworzy. Ta wiadomość słabości rzeczy dotąd zrobionych, połączona z ambicją zrobienia innych i lepszych, była widoczną może rękojmnią, że ten człowiek coś w końcu z siebie wydobędzie, coś stworzy. Jakoż, jeżeli się nie mylimy, to już w tych młodych latach, i w tych samych sonetach, są niejaki wskazówki zwrotu w jego duszy. Zwrot to bardzo niewyraźny jeszcze, nieokreślony, ale bodaj czy się już wtedy nie rozpoczynał. Oto naprzykład Sonet XXIX, w którym poeta się żali, że wszystko co wkłóło siebie widzi, to „małe brazki“. Żąda więcej, i w końcu każe duszy swojej klęknąć przed jedyną prawdziwą wielkością:

Morze huczy i pieni, i z swych wnętrów piaski
Żłópie, i paszcza pianą w srebrne gwiazdy ciska;
I zęb skały wydziera, co nad wody łyśka,
I nogami tratuje w chaosie niełaski.

Patrz ma myśli, i dum się! „za małe obrazki“.
Lećmy, wskażę ci inne — tam góra wytryska

Wieża świątyni świata — z kąd już droga bliska
Do przedsionka wieczności — gwiazd, księżycy blaski.

Widzisz z kąd szkłem natury — „widownia zbyt mała“...
Patrz jak srebrnymi włosy planety przejryste
Ścierają pył stóp twoich; jak słońce złociste

Opona Niebios wzlata, a z nią chmury mgliste, —
Oto Majestat Pana, brzmi śpiew chwała! chwała!!
Słuchaj, patrz i uklęknij, korna, zadumiała...

W ostatnim wreszcie z oryginalnych XXXV (bo jest kilka tłumaczonych lub naśladowanych), tak mówi:

Z istotą mą tu nisko, a z uczuciem w niebie,
Przebiegłem kraje ziemskie, i wyższego świata:
Wspomnienia z pola bitew, dom, dziecinne lata
Śpiewałem.

Lecz pieśń tę czuję jeszcze za niegodną siebie, kiedyś
później

Z piersi całej
zagrzmie piorunem pieniem, że ojczyste skały
Echem dzięki rodaków będą mi składały.

I stało się jak mówił. Zagrzmiała z jego piersi pieśń
inna, nie rymowana, ale od pierwszej nierównie wyższa i go-
dna tego, co on dla niej marzył: pieśń, której „echo długo
w sercach polskich rozlegać by się winno, a za którą od ro-
daków należą mu się dzięki gorętsze, powszechniejsze, niż
je dotąd odbiera.

Ale zanim do tej drugiej, prawdziwej jego pieśni, do
jego wymowy kaznodziejskiej przyjdziemy, starajmy się
z przytoczonych wyjątków złożyć sobie obraz jego, jakim
był w pierwszej młodości, przed poznaniem swojego właści-
wego kierunku, talentu i powołania. A naprzód parę słów

o jego wierszach. Daru poetycznego oczywiście w nim nie było, a przynajmniej nie tyle ile go potrzeba poecie; bo że była i wyobraźnia, i święty ogień natchnienia, i niepospolita siła liryzmu, o tem świadczą jego kazania. Wydając swoje sonety, zastrzega się on przeciw posądzeniu, jakoby naśladował w nich Mickiewicza: „tamtego sonety, mówi, są miłosne, albo opisowe, moje polityczne“. To prawda, przecież pomimo tej różnicy treści, obrony jego przyjąć nie można: w formie bowiem naśladował Mickiewicza jak mógł najbardziej, choć skoro się przeciw temu zarzutowi zastrzega, to wierzyć trzeba, że się naśladownictwa chciał wystrzegać. Ale nie mogło być inaczej: człowiek, który sam oryginalnej twórczości poetyckiej nie miał, musiał, czy chciał czy nie chciał, wiedział czy nie wiedział, musiał pisać wedle wzoru, który miał przed oczyma, na który patrzył przez całą swoją młodość jak na ideał rodzaju, na skończoną doskonałość. To też, choć nie zawsze on umie władać trudną formą sonetu i okrążyć ją wytoczyć, przecież przejmuje lub stara się przejąć od Mickiewicza niektóre jego właściwości i (że tak rzekę), sekreta. Mickiewicz naprzykład lubi, zwłaszcza w sonetach krymskich, położyć całą wagę myśli, albo najdosadniejszy rys obrazu, albo najgłębszy ton uczucia, w samym zakończeniu sonetu, nieraz w ostatnim jego wierszu: lubi w tem miejscu zmienić ton, albo wprowadzić jaki zwrot niespodziewany, odsłonić myśl dotąd starannie ukrytą, i tym sposobem wywołuje efekta bardzo silne. Kaysiewicz, choć twierdzi, że go nie naśladowuje, z wiedzą lub bez wiedzy stara się robić tak samo. Zresztą nie bawiąc się dłużej nad sonetami, powiedzmy tylko, że pomimo całej niedoskonałości, znać w nich przecież tę siłę i jędrność stylu, tę powagę w tonie, którą się odnajduje później w prozie ks. Kaysiewicza; znać nawet ten pociąg do staropolskich zwrotów, wstręt do wyrażen obcych i chęć zastąpienia ich nowo utworzonymi, które mu zostały na zawsze.

Skończmy przecież z wierszami, które obchodzą nas dlatego tylko, że w nich rozpoznać można osobę autora, a przejdźmy do niego samego.

Co naprzód w jego ówczesnem usposobieniu daje się dostrzedz, a każe szanować, że on o sobie nie myśli. Dumny, zarozumiały jest, ale nie jest sobą zajęty. O swojej osobie, o swoich cierpieniach, wspomnieniach, nadziejach szczęścia lub żalach mówi bardzo mało. Nawet kiedy roi sobie jakąś wielką przyszłość dla siebie, to nie jest ona w jego myśli celem i końcem: on wyjdzie wysoko, stanie się wielkim, ale na to by wtedy coś wielkiego robić. Co? tego oczywiście nie wie, to rozległa a nieznana kraina młodocianych marzeń, w której jeden jest punkt oznaczony, stały i jasny, odbudowanie Polski, a wszystko inne niewyraźne, zamglone, niewidzialne. Ale to pewna, że cała energia, cała essencya jego duszy, zwrócona jest w tę jedną stronę jak igła magnesowa ku północy. Widoczne są w nim wszystkie te uczucia, które ożywiały ludzi i dzieła jego epoki i generacyi. Miłość ojczyzny góruje nad wszystkim, a z niej płynie żal do ludzi i bodaj chwilowy żal do Boga, nienawiść wszystkich rządów i pogarda wszystkich ludów Europy, pragnienie zemsty, marzenie o Polsce, najszlachetniejszej, najdoskonalszej z narodów europejskich, wszystko tu jest, wszystko to, co w trzeciej części Dziadów, co w księgach Pielgrzymstwa: jest i ta co w Anhellim, smutna i niska opinija o współczesnych, o ich charakterach, zdolnościach, i sposobach służenia sprawie: jest wreszcie i to zniechęcenie do poezyi, które czuł Mickiewicz kiedy mówił, że „to tylko dzieło coś warte, które może ludzi mądrości nauczyć“, jest nawet, jak u wielu ówczesnych poetów i nie poetów, wiara w odwet sprowadzony rewolucją, marzenie o „Sycylijskich Nieszporach“. Ukazuje się ks. Kay-siewicz w tych latach jako dokładny typ i streszczenie wszystkich uczuć i pojęć, któremi żyło jego pokolenie. Oprócz jednego wszakże: mistycyzmu. Dziwna rzecz, kiedy tylu innych, geniuszem od niego wyższych, nie mogło pogodzić swego uczucia religijnego i swojej wiary w Boga ze swoim patryotycznym bólem, tylko za pomocą takich mistycznych przywidzeń i odgadnień, kiedy krzywdy Polski tłómaczyli sobie jej pokutą za grzechy świata, kiedy teoria o jej Chrystusowej misyi szerzy się i określa coraz wyraźniej i mieści

w sobie zaród niejednego złego, podchlebiania sobie samym naprzód, a następnie zabląkania się aż do Messyanizmu, w tej samej chwili, ten człowiek, który ze wszystkich znakomitych na emigracji ludzi miał w sobie jak się pokazało najwięcej religijnego ducha, ten jeden nie wpadł w religijno-patryotyczny mistycyzm. Mickiewicz, Krasiński, Słowacki, Cieszkowski, za nimi cały szereg większych i mniejszych umysłów: Kaysiewicz nie, on jeden został zupełnie trzeźwym. Czy brak uczucia, patryotycznego cierpienia, natura nie zdolna czuć żywo lub tak spokojna i łagodna, że się silnie oburzyć nie umiała? Czy może brak wyobraźni? głowa chłodna i pozytywna? Bynajmniej. Nie zbywało na fantazyi, na poezyi tej głowie, która snując różne marzenia o wielkiem i pięknem życiu zatrzymała się wreszcie nad jedną myślą, nad średniowiecznym obrazem bractw rycerskich powołanych do obrony spraw dobrych, bractw zakonnych przeznaczonych do szerzenia dobrych uczuć, i uderzona pięknnością tego rodzaju życia, na niem spoczęła, chcąc z owych tradycyi stworzyć coś nowego, stósownego do dzisiejszego stanu i potrzeb Chrześcijaństwa i Polski. Na poemat może w tej głowie dość wyobraźni nie było, ale na poetyczny pomysł, na poetyczny czyn, było jej dosyć. A natura? Natura była nie tylko gorąca, ale gwałtowna i namiętna, zdolna doskonale nienawidzić i pragnąć zemsty: umysł był nawet przystępny wszystkim ówczesnym bieżącym emigracyjnym uprzedzeniom i niechęciom do osób, opinie były daleko posunięte w kierunku rewolucyjnym, więc nie apatyczna spokojność i łagodność ustrzegły Kaysiewicza od fałszywej mistycznej exaltacji: nie brak patryotyzmu także, bo ten był samem tłem jego duszy, więc co?

Domyślałbym się, że ustrzegła go od tego zboczenia siła, prawdziwa siła, którą miał w sobie. Była to w całym znaczeniu słowa natura męska, z wolą energiczną, z uczuciem głębokiem i żywym, ale i z pewnem zawsze i rzadkiem u nas Polaków uczuciem rzeczywistości. Fantazyja poetyczna i zbolale uczucie mogą w krainie marzeń pocieszać się fikcyjami: ale organizacya przeważnie czynna i działająca ma

zawsze zmysł praktyczny i dar widzenia rzeczy jak są. Ksiądz Kaysiewicz nie był poetą, na twórczej fantazyi mu zbywało; ale miał naturę i siłę twórczą innego rodzaju, miał po sobie zostawić dzieła nietylko pisane, a jako taki, musiał mieć trzeźwy rozsądek, musiał rzeczy widzieć jak były. Dlatego choć miał i miłość ojczyzny wielką i wysoki jej ideał przed oczyma, choć jednego ani drugiego nigdy na chwilę i do końca nie stracił, dlatego patriotyczny ból nigdy go nie sprowadził z gruntu rzeczywistości na manowce teorii, dlatego wytlómaczenie upadku Polski znajdował w rzeczywistych powodach politycznych i moralnych, a nie w fantastycznych i mistycznych, dlatego i odrodzenie jej w jego przekonaniu musiało zależeć od takich rzeczywistych i bliższych, prostszych, naturalnych powodów, kiedy inni żeby je przypuścić, potrzebowali aż wierzyć w cuda i nadzwyczajności, w powtórne objawienie Słowa Bożego, w epokę Ducha św., w kościół św. Jana, i podobnie.

Jest więc, w tej swojej pierwszej epoce, pod względem patriotycznym, bardzo gorący, exaltowany, ale trzeźwy przytem, od złudzeń i mistycyzmu daleki. W swoich wyobrażeniach politycznych gwałtowny, rewolucyjny; wróg wszystkich tronów i rządów, a dla ludów ma dobrej woli wiele, ale nie wiele już do nich zaufania i wiary. Względem swoich rozczarowany; arystokratów i konserwatystów nie lubił, do demokratów zraziły go kluby. Od siebie wiele wymagający, i wierzący, że coś zrobi, dumny; ale nie można powiedzieć, żeby był zarozumiałym, skoro to co dotąd zrobił widocznie mu nie wystarczało, skoro mówi, że „innej chce piosenki“, nie stósując oczywiście do siebie tego tytułu Zakonnika Rycerza, który przecież tak dobrze do niego przypada, jak żeby go sobie był dał wiedziony przecuciem. A pod jednym względem jeszcze, pod tym który miał właśnie stać się główną treścią jego późniejszego życia, pod względem pojęć i uczuć religijnych? oto jego własne zeznanie: „zrosłem i żyję w czasach zawikłania, wykrzywienia czystych wyobrażeń, w czasach zaparcia się prawd żywych. Filozofia francuska XVIII wieku, różnemi kanałami niepostrzeżona wpływała w umysł

młodzieńczy. Jest to prawdziwe piętno Kaina ciężące na ludziach XIX wieku. I jakkolwiek te doktryny zupełnie są dla mnie obumarłe, czasem się jeszcze gdzieindziej materializm objawia, jeżeli nie w myślach, to w samym wysłowieniu“. Jest już przekonanie, że „prawdy żywe“ są gdzieindziej, jest może pragnienie tych prawd, dążenie do nich, ale zdobyte jeszcze one nie są, jeszcze ich sobie nie przyswoił i nie zrósł się z nimi. Jeszcze jego wyobrażenia i uczucia, a te prawdy, te dwie rzeczy różne, to linije, które się ku sobie nachylały, ale się dotąd w jednym punkcie nie zeszyły.

Ale ten poetyczny wstęp do jego zawodu, pomyłka jego zdolności, która szukając odpowiedniej dla siebie formy, zrazu wpadła na niewłaściwą, nie trwały długo. Sonety wyszły w roku 1833: z w dzień Wniebowzięcia Matki Najświętszej (1835) Kaysiewicz poczuł w sobie powołanie do stanu kapłańskiego“. Tyle mówi jego „Pamiętnik o założeniu zgromadzenia“, nie wspominając ani słowem o tych przejściach, które się w duszy jego odbyć musiały, zanim nowe powołanie wyraźnie mu się uczuć dało. Ale jakkolwiek w pamiętniku tym milczy on z umysłu i z zasady o wszystkim co się tyczy jego wewnętrznych dziejów, przecież domyślać się wolno jaką drogą on do powołania kapłańskiego doszedł: i te dwa lata przerwy pomiędzy jego głosem młodzieńczym i świeckim a poświęceniem się na stan duchowny, zapełnić hypotezą, jeżeli nie pewną, to przynajmniej prawdopodobną.

Widzieliśmy go niewiedzącym gdzie szukać ratunku dla Polski, a w skutku tego zniechęconym i smutnym. Powstanie zbrojne upadło, głośnie rozprawy po demokratycznych klubach były marnym hałasem bez treści i skutku; dyplomatyczne zabiegi innego w emigracyi stronnictwa nie więcej znajdowały u niego ufności: polityczny stan Europy nie dawał nadziei żadnej, więc gdzie, skąd wziąć tego ratunku i pomocy? Pytanie to musiało w nim fermentować przez ciąg tych dwóch lat, o których on milczy; ale choć śladów widocznych tego procesu nie mamy przed sobą, możemy przecież przypuszczać, że tak wątpiacemu i pytającemu, coraz wyraźniej, coraz dojrzałej, zjawiać się musiała odpowiedź,

że pomoc i ratunek trzeba wydobyć z siebie. Z siebie? jak? jakim sposobem i cudem? Mieliśmy wojsko własne, i kraj i rząd w swoim ręku a nie udało się, jakżeby dziś udać się mogło bez niczego? Jak? Sposobem najtrudniejszym, ale i najpewniejszym zarazem, przez uzdrowienie, przez odrodzenie duszy narodu. A lekarstwo, a pierwiastek ożywecy i odradzający, gdzie, w czym? nie w powstaniach zbrojnych, które się nie udają, a nie udawszy zostawiają tylko ruiny na wieżach, gorycz i wzajemną nienawiść wewnątrz. Nie w klubach i towarzystwach demokratycznych, nie w rewolucyjnych ideach i środkach, nie w socjalistycznych propagandach, które siejąc wichry, zbierają burze; nie w systemie reprezentacyjnym: dyplomacyi, i w całym oficjalnym rządowym konstytucjonalizmie europejskim: ten, jak dowodził wyraźnie przykład Francyi za Ludwika Filipa nawet w jego pierwszych latach, nie miał w sobie dość życia, siły i prawdy żeby to co było, utrzymać w pokoju i równowadze, a miał żeby jej dość, by stworzyć na nowo to, czego nie było? Nie trzeba czegoś głębszego, żywniejszego, opartego nie na teoriach filozoficznych i politycznych, ale na samym gruncie sere i dusz ludzkich. To trzeba odrodzić naprzód, chcąc złożyć na nowo i na długo społeczeństwa i narody w organizacje prawdziwe i silne. Tak musiał rozumować Kaysiewicz; a kiedy szukał w około siebie i na darmo tej siły, któraby to sprawić mogła, stawały mu w myśli te „prawdy żywe“, których zaparcie i odrzucenie, jak mówi w przedmowie do swoich sonetów, spowodowały „wykrzywienie czystych wyobrażeń i wielkie nasze zawikłanie czasów“. Prawdy żywe, prawdy boskie, one jedne mogą odrodzić, jak już raz odrodziły ten świat, który dalej czem żyć nie ma: a jedynym który tej massie złego jaka jest w Europie może dać radę, jest wszechmocny Bóg. Tak. To sprzymierzeniec najsilniejszy, i najłatwiejszy do pozyskania. Jego nie trzeba ani straszyc spiskami i bagnietami, ani żebrać uprzejmemi dyplomatycznymi pismy, Jego dość prosić. Czy odrazu i sam z siebie doszedł Kaysiewicz do tej myśli drugiej, że prosić nie dosyć, ale trzeba i słuchać, czy też naprowadziły go na nią

zawiazane już wtedy stosunki z Bohdanem Jańskim i z Mickiewiczem? to pewna, że umysł ten energiczny i śmiały, nie lękał się dalszych konkluzji raz przyjętej zasady, ale je przyjmował bez wahania i poddawał im się szczerze, bez restrykcyi. Wyobrażamy więc sobie Kaysiewicza, zanim jeszcze uczul w sobie powołanie duchowne, może nawet zanim się poznał z Mickiewiczem i z Jańskim, już własną wewnętrzną pracą gotowym do religijnego stanu duszy i do przyjęcia wszystkich takiego stanu konsekwencyj. Kiedy zrobił krok ostatni i czy go zrobił o własnej sile, czy z pomocą drugich, nie wiemy: ale znamy wielką logikę jego umysłu i możemy śmiało twierdzić, że bez niczyjej pomocy, sam byłby poszedł dalej w raz przyjętym kierunku. Bóg? dobrze. Ale Bóg nie jest abstrakcją i musi mieć jakiś z ludzkim światem stosunek, zatem, nie dość samej wiary w Boga, potrzeba żywej i czynnej religii; powtóre, Bóg tym światem ludzkim, światem wolnej myśli i woli nie może rządzić tak, jak rządzi światem fizycznym, pewnym, niezmiennym, raz przy stworzeniu postanowionym porządkiem: musi mieć na niezliczone, nie dające się przewidzieć fenomena ludzkiej myśli i woli, jakiś wyraźny i gdzieś złożony wyraz swojej myśli i woli, musiał to gdzieś na ziemi objawić i zostawić i komuś oddać pod straż. Zatem, jeżeli Bóg, to i Kościół. Z Jańskim lub bez Jańskiego, z Mickiewiczem lub bez Mickiewicza, Kaysiewicz raz przekonany o Bogu i religii, musiał dojść i do przekonania o konieczności Kościoła, musiał na ogólnem religijnem usposobieniu nie przestając dojść aż do końca, do ostatniej konkluzji, to jest do ściśle katolickiej wiary i zasad.

Jak stanęła przed nim ta myśl, żeby został księdzem? Któż to wiedzieć lub odgadnąć może. Łatwiej wysledzić drogę którą, ryba płynęła przez wodę, którą ptak przeleciał powietrzem, niż odgadnąć tę, którą się zwróci umysł młody i nieustalony, mówi jakiś dawny filozof czy ojciec Kościoła; a i to ostatnie jeszcze łatwiej, niż poznać drogę, którą Bóg trafił do serca człowieka. To zostaje pomiędzy nimi dwoma tajemnicą na zawsze. Ale choć samej chwili powołania, ani

uczuc powołanego w tej chwili dobrze znać nie możemy, choć nie wiemy i nigdy wiedzieć nie będziemy, jak się to w jego duszy odbyło, przecież twierdzić możemy, że do miłości Boga i jego służby doszedł Kaysiewicz drogą uboczną, przez miłość ojczyzny i chęć gorącą służenia jej, że przygotowaniem do powołania duchownego było dla niego patryotyczne cierpienie, że te same uczucia i myśli, które Mickiewicza doprowadziły przez Księgi Pielgrzymstwa do Mesjanizmu, Krasińskiego przez „Trzy myśli Ligenzy“ i „Przedświt“ do „Psalmu Dobrej Woli“, jego zawiodły do Seminaryum i do klasztoru. I niech kto mówi co chce, było w tem jego postąpieniu coś szlachetnego i pięknego; coś dzielnego, męskiego, zupełnego. Kiedy się chce pomocy od Boga, to trzebaż się i Jemu oddać zupełnie: kiedy się uznaje potrzebę wiary dla odrodzenia Polski, to trzebaż i ludzi, którzyby w jej imieniu do polskich sumień przemawiać mogli; któż pójdzie? kto się na to odważy i poświęci? Jański? nie mógł, był żonaty. Mickiewicz? mówił wprawdzie, że powołanie takie czuł w sobie, ale albo było ono przemijającą fata-morganą fantazyi, albo je późniejsze wypadki życia przygłuszyły; przeto i nie wróciło. Inni z gorętszych wśród emigracyi katolików zbyt może byli przywiązani do świata, żeby się z nim rozstać zdołali. Dość, że wszyscy, którzy pragnęli dla Polski odrodzenia religijnego ducha, wyglądają jak ten młodzieniec z Ewangelii, który, gdy mu powiedziano „sprzedaj co masz i chodź za mną“, zasmucił się i poszedł, ale w swoją stronę. Znalazło się ich zrazu dwóch tylko, którzy istotnie porzucili wszystko i poszli tam, gdzie ich wołał głos przekonania i poznanego obowiązku. Może poświęcali nie wiele? nie sztuka porzucić wszystko temu, kto niema nic? Prawda; nie mieli majątków, nie mieli świetnych na świecie stanowisk, nie mieli tego z czem rozstać się najtrudniej, domów i rodzin, bo te porzucili wychodząc na wygnanie. Ale wiele ten daje, kto daje wszystko co ma, a kto daje siebie samego, ten już więcej dać nie może. Oni dali siebie, a z sobą przynieśli na ofiarę nie pieniądze, których nie mieli, ale wszystko czego na świecie spodziewać się mogli: naprzy-

kład, wszystkie marzenia o sławie, u Kaysiewicza jakieśmy widzieli, bardzo silne i głęboko zakorzenione, wszystkie tryunyfy miłości własnej, wszystkie powaby i rozkosze wolności, wszystkie nadzieje szczęścia, miłości, rodziny; doprawdy, kto się tego wszystkiego wyrzekł, szczerze i stanowczo i to w latach kwitnącej młodości, ten choć nie porzucił skarbów i pałaców, miał prawo powiedzieć o sobie, że „sprzedał wszystko co miał i poszedł.“

Od postanowienia przyjęcia święceń kapłańskich do myśli zakonu, był już tylko krok jeden i nawet mały. Największa rzecz, najtrudniejsza ofiara, była zrobiona: reszta, wymagała już nierównie mniej odwagi, owszem dla ludzi tak usposobionych jak byli ci podówczas, musiała być łatwą, ponętną, nieledwie konieczną. Rzecz dziwna na pozór przynajmniej, jak nasz wiek, pomimo całej swojej trwałej i systematycznej anti-religijnej dążności, jak jest zarazem płodny w nowe religijne instytucje. Trzeba się cofnąć daleko w wieki średnie, żeby ich zobaczyć tyle naraz powstających. Reformacja wydała Jezuitów i św. Teresę: wiek XVII zakony św. Wincentego i Pijarów, XVIII, jeżeli się nie mylimy tylko jednych Redemptorystów, w naszym XIX ile to nowych zakonów, ile reform w dawnych, ile nowych gałęzi wyrastających ze starych reguł, ile różnych zgromadzeń poświęconych specjalnie tym lub owym dziełom i odcieniom miłosierdzia, tym lub owym potrzebom? Zda się jak żeby rozpowszechniona w świeckiem społeczeństwie zasada podziału pracy i stowarzyszeń opanowała także i społeczeństwo duchowe, tak liczne powstają w niem coraz nowe stowarzyszenia męskie i żeńskie do coraz innych zadań i celów. Ten popęd zakonny jest w sprzeczności z wiekiem tak mało religijnym, tak trzeźwym i pozytywnym. Ale jeżeli wogóle może się wydać dziwnym, to w tym razie był on naturalnym. Naprzód, sam rozsądek wskazywał, że do dopięcia celu nie wystarczą luźne i ochotnicze usiłowania ludzi pojedynczych i samopas chodzących, że trzeba to działanie połączyć, ustalić i zorganizować. Mickiewicz, zajęty bardzo w tych latach religijnem odrodzeniem Polski, nie darmo powtarzał, że „trzeba zako-

nu“; czuł on swoim trafnym instynktem, że dzieło takie nie może się udać bez sił wielu, które otrzymać można przez stowarzyszenie, ale i bez sił zjednoczonych, które to zjednoczenie znowu daje reguła i karność zakonna. Powtóre, dla ludzi już o władniętych powołaniem duchownem, myśl nowego zakonu musiała mieć urok nieprzewyciężony. Wiązały się z nią wszystkie wielkie tradycje Kościoła i wszystkie najpiękniejsze wspomnienia jego Świętych: klasztory wieków średnich, zakony rycerskie przeznaczone do walki z niewiernymi, święty Benedykt szerzący po Europie światło, święty Franciszek reformujący w niej obyczaje, święty Bernard głoszący krucyatę przeciw temu co za jego czasów było najgorsze, najgroźniejsze. Dziś inne złe, inne niebezpieczeństwo, ale czy mniejsze? czy nie bardziej byłaby potrzebna jakaś wielka wojna święta podniesiona w imię Boga i sumienia przeciw bezprawiom i bezładom Europy? A nadto jeszcze, widok tego co się działo we Francyi, odmłodzenie dawnych zakonów, Benedyktynów i Dominikanów, przykład takiego Lacordaira, czy to nie mogło działać pociągająco i rozbudzić chęć naśladowania, dorównania? Zresztą, historia Kościoła mówiła wyraźnie, że każdy zakon powstawał zawsze w pewnej danej chwili, która mu sama jego misję oznaczała i niejako podsuwała, i żył i kwitnął jak długo trwała potrzeba działania w tym pewnym danym kierunku i celu. Tu misya taka otwierała się wyraźna, szeroka i bardzo piękna. Naród, na którym spełniono największą historyczną zbrodnię, ale który sam wiele się przyczynił do tego, że ta zbrodnia na nim spełnioną być mogła: naród który się dźwignąć koniecznie chce, a nie może, opuszczony od drugich, zawiedziony sam na sobie; naród z naturą dobrą i szlachetną, ale nieszczęśliwy, więc narażony na wszystkie pokusy nienawiści, zemsty, zazdrości, niesprawiedliwości, i nieraz im ulegający; nie zepsuty, ale już nadpsuty, a przytem bardzo zakochany w sobie, lekki, leniwy, zatem z dawnych swoich narowów nie wyleczony, w sobie niejedny, od ludzi odepchnięty, od Boga po części odwrócony, taki naród, dobry, a chory, co za pole do działania, co za misya wspaniała, godna natchnąć najwyższym zapalem! Strzedz Boga w jego

sercu jeżeli tam jest, a jeżeli nie, tedy Bogu to serce otworzyć, to nietylko apostołski połów dusz, ale to praca, która zbiorowej duszy polskiej może dać tę jedność i równowagę, na której jej zawsze zbywało, to naprzeciw prześladowań Mikołaja i postępu schizmy obrona i wiary i ojczyzny, to wreszcie, daleko, „gdzieś na wieków późnej fali“ zapewne, ale przez uzdrowienie narodowej duszy, uzdrowienie i społecznego i politycznego organizmu, to ratowanie dusz polskich dla Boga, a przez Boga ratowanie Polski dla Polaków.

„Zakonnik-rycerz takiej chcę piosenki“. Niech teraz wystąpi kto śmie i powie, że ona nie była wielka? Kiedy młody, biorący się za poetę Kaysiewicz mówił gniewnie, że „świat porzuci i nowy sobie utworzy“ wydawał się zuchwałym: ale dotrzymał tego co mówił stworzył sobie świat, godny może samego świętego Bernarda.

Po długich szukaniach, wahaniach, namysłach, po długim oglądaniu się za regułą i celem zakonu, któryby najlepiej do ich myśli przypadął, przekonali się przyszli Zmartwychwstańcy, że najlepiej odpowie im ta reguła, którą sami dla siebie ułożą, ich celowi ten zakon, który ustanowią sami; i wyszli do Rzymu, po utwierdzenie w wierze i zamiarach, po teologiczną naukę i po święcenia kapłańskie.

II.

Nie pisząc żywota księdza Kaysiewicza, ani tem mniej historii jego zakonu, nie zatrzymamy się nad temi latami, które spędził w Rzymie jako kleryk i świeżo wyświęcony kapłan. W życiu jego wewnętrznym musiały to być lata bardzo ważne. Tam bowiem uzbroił się naprzód w naukę teologiczną, tam urósł i utwierdził się w wierze, tam może ostatecznie ukształciły się jego zasady, jego pojęcie świata i historii, tam widocznie, do przyniesionej z sobą miłości Boga i ojczyzny, przybyła trzecia, miłość Kościoła, od tamtych nadal nierozdzielna, tak że mógł powiedzieć sobie to co po dłuższym pobycie w Rzymie mówi tak wielu, iż poszło

niemal w utarte przysłowie: *sono venuto catolico, sono divenuto romano*. Że jego tajemny, dla nas niewidzialny związek z Bogiem, przez te lata rozmyślania, modlitwy, skupienia i podniesienia ducha musiał nabrać wielkiej ścisłości i mocy, musiał mieć piękne chwile rozczuleń, natchnień, exaltacji, to, nie wiedząc nawet, można przyjąć za pewne. Wreszcie tam w Rzymie dojrzała coraz bardziej myśl założenia nowego zakonu, a przyszła jego reguła przybierała coraz pewniejsze i wyraźniejsze zarysy. Zatem epoka to w jego życiu niezmiernie ważna. Przecież pominąć ją musimy, bo ślady jej, jeżeli wogóle są przechowane, to chyba w najpoufniejszej jego korespondencji, albo w pamięci ówczesnych towarzyszy i braci zakonnych¹⁾. Korespondencya ta nie ogłoszona, te wspomnienia, nie wiemy nawet czy są spisane, a jego własny pamiętnik, choć mówi o materyalnych wypadkach życia, o przeszkodach i trudnościach, jakie mu w Rzymie stawiało poselstwo rosyjskie, i polskie uprzedzenia i prześladowania, o niedowierzaniu władzy kościelnej względem młodych księży, którzy mogli być tylko księżami politycznymi, o pomocy wreszcie i przyjaźni jakiej doznawał tam od swoich i obcych, o nim samym i jego wewnętrznych przejściach i dziejach milczy zupełnie. Zatem pozbawieni źródeł informacyjnych, i my nie o tych czasach powiedzieć nie możemy, chyba to tylko, co z późniejszych już śladów, z jego kazań dostrzedz i wnosić się daje.

Z tych zaś pokazuje się wyraźnie, że ksiądz Kaysiewicz powrócił z Rzymu znacznie zmieniony, zupełnie już dojrzały, w doskonałej równowadze umysłowej i moralnej, z której już nigdy odtąd nie wyszedł. Później zmienia się w nim już tylko jedno: po powrocie z Rzymu, aż do roku 1846 i 1848, widoki jego dla Polski są pomimo wszystkiego świetne: w samych jego upomnieniach i groźbach czuć, że na dnie jego serca i myśli żyje nadzieja, że przecież nie może być do tego dłużej i daleko. Po tych latach, podobnie jak Zy-

¹⁾ Dziś już odkryte; patrz: X. Smolikowski, *Historja Zgromadzenia Pańskiego*.

gmunt Krasiński, z którym się nieraz w myślach spctyka, którego czasem nawet cytuje, a który bardzo musiał przypadać do jego uczuć i wyobrażeń, później tę nadzieję i więcej, bo wiarę, ma zawsze, ale widzi ją bardzo oddaloną, „gdzieś na wieków później fali — Zmartwychwstanie! — Z tym jednym wyjątkiem nie się w nim dotąd nie zmienia.

Pojęcia o świecie i historii, o kościele i społeczeństwach świeckich, o bieżących kwestiach i fenomenach politycznych, o stronnictwach, ich zasadach, celach i środkach, o narodzie polskim wreszcie, o jego naturze, złych i dobrych własnościach dawnych, i dzisiejszych grzechach, o jego powinnościach i drogach, któremi do swego celu dojść może, wszystko to zostaje już na zawsze takie, jakim było w chwili, kiedy po raz pierwszy ukazał się na ambonie w Paryżu przy otwarciu nabożeństwa polskiego w kościele św. Rocha (1842).

O jednym jeszcze wspomnieć trzeba, co w tych latach dojrzeć w nim musiało. Dotychczas żołnierz, wygnaniec, żyjący z ludźmi i zajęty wszystkimi bieżącymi kwestyami, miał Kaysiewicz sposobność przypatrzenia się Polakom i poznania ich. Ale czy miał czas i możność zastanowienia się głęboko i spokojnie nad tem co widział i owoce spostrzeżeń swoich systematycznie i filozoficznie uporządkować, odnieść je do przyczyn, wyrozumieć gruntownie? zapewne nie. Pierwszą zaś rzeczą, która w jego kazaniach od pierwszego razu zadziwia, nie mówiąc o darze wymowy i wspaniałym stylu, jest gruntowna i głęboka znajomość tak natury polskiej w ogólności, samej przez się, jak i tej natury pod warunkami czasu i położenia, charakteru narodowego ze wszystkimi jego skłonnościami złemi czy dobrymi i z najgłębiej ukrytymi powodami tych skłonności i obecnego, dzisiejszego stanu i usposobienia polskiej duszy. Dusza ta jest dla niego na wskróś otwarta, przezroczysta, jak żeby była szklaną. On zawsze widzi nie tylko to, co Polak robi, ale dlaczego robi, co czuje, co cierpi, co zamierza i myśli w każdej chwili; widzi dlaczego myśli tak a nie inaczej, wie przez jaki proces moralny doszedł do tych lub owych myśli, przekonań, uczynków. Jako psycholog i znawca narodowej duszy, ksiądz

Kaysiewicz należy do znakomitszych w naszej historyi. Szczęśliwem, opatrzmem może, było dlatego jego życie wojskowe i emigracyjne, bo ono oczywiście służyło mu za przygotowanie, on wtedy żył tem wszystkim, o czem później miał mówić: ale refleksya nad tym zebrany zasobem wrażeń i spostrzeżeń, a wskutek niej dopiero gruntowne i zupełne zdanie sobie sprawy z natury i duszy polskiej, to, domyślamy się, nastąpić musiało w Rzymie, kiedy kandydat stanu duchownego, poświęcający się na to, by zostać księdzem polskim i dla Polaków, widzący w tej służbie najbliższy obowiązek, najprostszą formę swego powołania, musiał wiele rozmyślać o tych którym miał służyć, musiał się zastanawiać bardzo nad wszystkimi ich właściwościami, musiał się starać zrozumieć i przejrzeć ich na wskroś, jeżeli chciał potem trafić im do serca i skutecznie im służyć.

Nie licuje to, na pozór przynajmniej, z charakterem naszego wieku, ale nie da się i zaprzeczyć, że jak w zgromadzenia zakonne, tak też płodny jest bardzo i w niepospolitych mowców kościelnych. We Francyi wielki Lacordaire otoczony mnóstwem kaznodziei mniejszych od niego, ale dobrych i bardzo dobrych, aż do naszych czasów. We Włoszech Ventura. Kardynał Wiseman, którego sami protestanci uważali za jednego z mistrzów tego rodzaju wymowy w Anglii... Niemcy dodają do tego nazwiska Roder, Haslachera, Roh'a, Hanneberga, Klinkowströmów i inne. Wiek XVIII, a może nawet XVII (z wyjątkiem jednej Francyi), nie pochwali się tak licznym zastępem kaznodziei, tak szeroko rozlanym prądem wymowy religijnej, nie mówiąc już o tem, że nietylko w XVIII, ale nawet w XVII, panujący zły smak znacznie obniżał, we Włoszech zwłaszcza, ale i we Francyi, ton kazań i szkodził ich powadze. Pod tym względem nowsza estetyka, odrodzenie zdrowych zasad w sztuce, nie było bez wpływu na wymowę kościelną, owszem, oddało jej ogromne usługi. A u nas? U nas trzeba się cofnąć o dwa wieki w tył, żeby spotkać prawdziwego kaznodzieję. Ostatnim takim był podobno Starowolski, ze smakiem skrzywionym, z formą często skażoną, ale z powagą, z namaszczeniem, z niezwykłą siłą

uczucia; a zwłaszcza więcej od niego Młodzianowski. Po nich aż do Stanisława Augusta same kazania potworne w formie, puśte w treści; za Stanisława Augusta, kazania w treści i formie przyzwoite, poprawne, do rzeczy, ale chłodne i martwe. Rzecz znacząca, cały wiek XVIII nie zostawił po sobie ani jednego imienia kaznodziei, któreby było zapamiętanem i znanem komu innemu prócz literatów z profesyi (bo o legendowym księdzu Marku mówić nie możemy, nie doszło do nas ani jedno słowo z jego konfederackich lub niekonfederackich kazań). W naszym już wieku, Woronicz miał wielką sławę i istotnie lepszym był kaznodzieją niż poeta, ale wymowa jego bardzo do współczesnej poezyi, do Osińskich, Wężyków, Koźmianów podobna; podobna nawet, co gorzej, do ówczesnej wymowy świeckiej, do Stanisława Potockiego i mów pochwalnych w Towarzystwie Przyjaciół Nauk. Najlepsze rzeczy, najzdrowsze myśli, najświętsze uczucia, ale w formie tak stereotypowej, tak akademicznie poprawnej i zimnej! Po rewolucyi i aż do naszych czasów, wielka pod tym względem zmiana: są kaznodzieje niepospolitego talentu. Wielu z nich żyje, więc przypominamy tu tylko zmarłych, księdza Antoniewicza, jednego z najbardziej pociągających i sympatycznych, i księdza Prusinowskiego, któremu można zarzucać skłonność do szumnej retoryczności, ale któremu talentu zaprzeczyć nie można. Otóż pośród tej grupy kaznodziei, która się składa z osób kilku¹⁾, może więcej jak kilku, stoi ksiądz Kaysiewicz ze wszystkich najpierwszy, od wszystkich wyższy, ze wszystkich najbardziej oryginalny, najbardziej typowo polski, ze wszystkich największy mistrz polskiego słowa i stylu, najsilniejszy wreszcie uczuciem i natchnieniem.

Kto w nim tę zdolność wymowy odkrył? czy w Rzymie Włosi nie mogli poznać się na takiej zdolności Polaka, który jeżeli przed nimi mówił kiedy dla próby w seminaryum, to chyba w języku obcym, w którym całej świetności swego daru oczywiście pokazać nie mógł? Najpewniej talent jego

¹⁾ Biskup Janiszewski, ksiądz Golian, nie wymienieni jako podówczas jeszcze żyjący.

musiał się odkryć sam; to jest, że nikt, ani on sam o nim nie wiedział; aż dopiero kiedy przysza sposobność i konieczność mówienia, rzekł sam do siebie i do drugich że pójdzie i spróbuje, może się uda. I poszedł na ambonę na ochotnika, tak się przynajmniej domyślamy, może przeczuwając swój talent, może słysząc w sobie te grzmoty, te głębokie tony żalu, skargi, oburzenia, miłości, które w dawnych jego wierszach zabrzmieć nie zdołały, może je w sobie czuł, ale znać ich, i pewnym być swojej wymowy, nie mógł. Tymczasem, od pierwszego razu, od pierwszego słowa, objawił się jako kaznodzieja, jakiego w Polsce od czasów Skargi nie było.

A kiedy to imię już wymienione, to powiedzmyż że jest w naszych kaznodziejach polskich coś dziwnego i szczególnego, co im tylko jednym jest właściwe. Zwykle mowcy z ambony przemawiają do jednostki ludzkiej, mają ją na oku, przedmiotem ich jest natura ludzka jako taka, objawiająca się różnymi ale zawsze się powtarzającymi rodzajami złego, w indywidualnej duszy: Ty powinienes robić tak a tak, a nie robić tego i tego, boś człowiek, chrześcianin, i masz duszę do zbawienia. Ale obowiązki i grzechy człowieka i chrześcianina pod warunkami społecznego i politycznego życia, wytknięcie złego jakie się na tem polu popełnia, to najrzadziej spotyka się w kazaniach nawet wielkich mowców. Takie, które ze stanowiska religijnego powstają na grzechy polityczne i patryotyczne, u nas zdarzają się częściej niż gdziekolwiek indziej, są jeżeli nie wynalazkiem i monopolem, to przynajmniej charakterystyczną odznaką kaznodziei polskich. Najwyżsi z nich, Skarga nadewszystko, ale i Birkowski, i Starowolski, wszysey dochodzą szczytu wymowy i natchnienia w takich kazaniach politycznych, patryotycznych, obywatelskich. Ta obrona interesów ojczyzny z kazalnicy, to przypomnienie patryotycznego obowiązku jako obowiązku religijnego, chrześcijańskiego, to widok prawdziwie wspaniały, który sam jeden mógłby zamknąć usta tym wszystkim, którzy twierdzą, że katolicyzm tłumi i tępi pojęcie ojczyzny i jej miłość. Dowodzi on w sposób niezbity, że w sumieniach najściślejszej i najwierniej katolickich te dwa uczucia, religijne

i patryotyczne, godziły i łączyły się z sobą doskonale. Dlaczego ten rodzaj wymowy kwitnie najbujniej między kaznodziejami polskimi? czyliż duchowieństwo nasze miało więcej publicznego ducha niż inne, było ściślej ze społeczeństwem żyjące, bardziej obywatelskie? Tego nie wiemy i nie wazymy się sądzić: ale gdybyśmy się nie bali posądzenia o mglisty mistycyzm, powiedzielibyśmy jakim powodem tłomaczymy sobie to zjawisko. Czy Polska, jak mówił Mickiewicz i Krasiński, jest przeznaczoną do tego, żeby kiedyś, odrodzona, wprowadziła chrześcijaństwo w stosunki polityczne i w prawo narodów, tego oczywiście wiedzieć nie możemy, choć wierzymy święcie, że jeżeli będzie niepodległą, to będzie taką, i na to. Ale to wiemy, jak wie każdy kto cokolwiek zna historję, że ze wszystkich narodów w Europie Polska drugim najmniej złego zrobiła, że z wiedzą i wolą swoją nie skrzywdziła nikogo. Ta strona najczystsza jej politycznego życia, jej uczciwość w stosunkach postronnych, międzynarodowych, dowodzi, że miała zmysł moralny bystrzejszy, sumienie czulsze niż drudzy, i jeżeli nie uczucie i świadomość to przynajmniej instynkt polityki chrześcijańskiej, jej wymagań i obowiązków. Rozumiała takie maksymy jak: *nie kradnij, nie zabijaj, nie rób drugiemu co tobie nie miło*; i tych się wiernie trzymała. Otóż jeżeli naród ten istotnie miał poczucie lub choćby tylko przecucie tego czem jest obowiązek chrześcijański w polityce, a pod względem polityki zagranicznej myśmy je mieli, tedy naturalną było rzeczą a nawet konieczną, iżby niektórzy przynajmniej w tym narodzie znali i rozumieli to, co ten sam chrześcijański obowiązek nakazuje względem ojczyzny własnej, iżby mieli pojęcie i ideał polityki chrześcijańskiej i na niej opartego życia publicznego wewnątrz własnego państwa. Tamto pierwsze było u nas bardzo powszechne, to bardzo wyjątkowe: ale było, u mężów stanu, i u pisarzy tak świeckich jak duchownych. Być może, że sama nasza konstytucya robiła zadanie to łatwiejszem dla kaznodziei niż być mogło w państwach monarchicznych, bądź co bądź, prędzej można było gromić sejm polski choćby najburzliwszy, niż osobę, czyny,

i majestat Karola V-go, albo Ludwika XIV. Ale jakikolwiek jest powód, fakt jest ten, że w żadnym kraju nie było tyle kaznodziei i tyle kazań politycznych, że w żadnym obowiązki względem ojczyzny nie były tak i tylekroć ze stanowiska religijnego tłumaczone, grzechy przeciwko niej z tego stanowiska karcone co u nas. Weźmy starych mowców kościelnych z XVI-go i początków XVII-go wieku, znajdziemy ich gromiących w imię Boga, religii, i zbawienia wszystko to, co dziś umiemy wyliczyć na pamięć jako powody upadku Polski, od sejmów zmarnowanych, magnackich rokoszów, niepłaconych lub odmawianych podatków, aż do ucisku poddanych, do rywalizacji możnych domów, do łapania starostw, do gnuśnego używania i próżniactwa, wszystko. Robili nam oni w tych dawnych wiekach doskonały rachunek sumienia i wierny wizerunek naszej zbiorowej duszy, i powtarzali jeden po drugim, że jeżeli chcemy zbawić nie tylko Rzeczpospolitą, ale każdy siebie na tamtym świecie, powinniśmy na tym lepiej o ziemskiej ojczyźnie myśleć, lepiej ją kochać, lepiej jej służyć.

Ta wielka tradycya kaznodziejstwa polskiego zerwała się potem na długo; w najgorszych czasach Rzeczypospolitej kazalnice milezały. Aż wreszcie po dwóch wiekach zjawił się mówca, który tradycyę tę wskrzesił, od takiego politycznego kazania zawód swój rozpoczął, i w nim, jak tamci, najwięcej miał siły i natchnienia.

Prawda, że chwila w której X. Kaysiewicz po raz pierwszy miał się do współwyznawców i do narodu odezwać, mogła go przejąć strachem, ale mogła i natchnąć. Naprzód, to wzruszenie głębokie człowieka, który się zawodowi jakiemuś poświęcił, który o nim marzył z zapalem i z miłością się do niego sposobił, a teraz po raz pierwszy ma spróbować i dowiedzieć się czy mu podoła lub nie. On dlatego został księdzem, żeby pełnić służbę duchowną przy emigracyi, a teraz stał u celu, i miał ją pełnić w jej formie najpiękniejszej, najponętniejszej, ale i najtrudniejszej. To jedno wystarczyłoby żeby tę chwilę w jego życiu zrobić uroczystą, a były rzeczy inne, które ją robiły zupełnie dramatyczną. Bo z kim to miał się młody ksiądz spotkać i zmierzyć? Ze zbiorem słuchaczy

częścią niewiernych, częścią niechętnych kościołowi, częścią niechętnych i niedowierzających jemu samemu, uważających jego powołanie za fałsz i hipokryzyę, jego kapłaństwo za środek intrygi lub ambicyi. I z czem przed nimi stawał? Ze słodkiem i głaszczącym słowem uzalenia i pociechy, pochwały i nadziei? Nie: inaczej on i głębiej rozumiał swój obowiązek kapłański i obywatelski, i wiedział że kiedy go Bóg na ambonie postawił to nie po to by prawdę cukrował i obwijał w bawelnę, i szedł z postanowieniem by ją powiedzieć całą, szczerą, nagą, niech boli jako chce, by nie darować słuchaczom żadnego wyrzutu, żadnego upokorzenia. Ludziom cierpiącym, nieszczęśliwym, bez tego dość upokorzonym i poniewieranym! co za przykrość, co za gorycz dla niego! A z drugiej znów strony karcieć i gromić Polaków w jakiej chwili, w tej samej kiedy Mickiewicz uczył ich, że w nich i przez nich zbawienie świata, kiedy Krasiński prawie się zabierał do pisania Przedświtu, ludziom upojonym tą wielkością, rozmarzonym tą pięknnością, kołysanym słodką tą nadzieją którą im głoszone, powiedzieć że są występni i grzeszni, i własnego zbawienia, dusz czy sprawy, niepewni, nie dopiero żeby mieli zbawiać innych, co za przepaść, co za rozdźwięk między myślami tych słuchaczy a słowem, które na nich spaść miało z ambony. Gdyby ksiądz Kaysiewicz nie był w życiu swoim zrobił nic innego, tylko to jedno, że Polsce „dymem kadzidel obwianej i wonią poklasków“ śmiał powiedzieć gorzkie prawdy, byłby tem jednym dał dowód największej odwagi i zdobył sobie tytuł do obywatelskiej korony.

A to nie wszystko jeszcze. Okoliczności składały się na to jak umyślnie, żeby chwilę jego pierwszego wystąpienia zrobić ważną i stanowczą. Powoływano go z Rzymu do Paryża na gwałt, czempredzej, bo było niebezpieczeństwo w zwłoce, bo między emigracją szerzył się Mesyanizm, a szerzył go niestety Mickiewicz. Więc ten boży, nie żołnierz jeszcze ale rekrut, idąc pierwszy raz w ogień miał się potykać z nową sekta, z nową herezyą, i boleść jedna więcej, z pierwszą i jedyną herezyą jaka się urodziła w Polsce, a tem niebezpieczniejszą, że odzianą we wszystkie powaby

i blaski patryotycznej idei i nadziei! Miał się zmierzyć, z kim? z najpotężniejszym umysłem, z pierwszym człowiekiem w Polsce, z tym, którego niegdyś znał wiernym i gorliwym katolikiem, którego czczył i kochał, któremu zawdzięczał utwierdzenie w swoim powołaniu i niemal popchnięcie do zakonnego życia, z Mickiewiczem! Doprawdy, bywali nieraz kaznodzieje w położeniach trudnych, ale to z pewnością należało do trudniejszych.

Poszedł przecież, i mówił. O czym? Nigdy może nie miał ksiądz Kaysiewicz szczęśliwszego, a rzekłbym, świętszego instynktu, bo doprawdy można tu wierzyć w wyższą pomoc i natchnienie jak w tem swoim pierwszym kazaniu. Oddzielony od swoich słuchaczy całą przepaścią wyobrażeń, przekonań, zasad, tak że zdawało się nie mógł nic znaleźć wspólnego pomiędzy nimi a sobą żadnego pola, na którymby się zgodnie spotkać mogli, trafił odrazu w jedyny punkt wszystkim wspólny i wszystkim zarówno znany i zrozumiały, uderzył w jedyną strunę, która nie mogła nie oddźwięknąć w sercach jego słuchaczy, wybrał przedmiot, którym musiał schwycić odrazu ich uwagę i ich uczucie, a który zarazem obejmował i otwierał jak klucz wszystkie niemal grzechy ich publicznego obywatelskiego życia. *Bóg sprawiedliwy a Polska cierpi*, słowo to powtarza się wielokroć w ciągu kazania, i jest jego głównym tematem i tonem! O jak te słowa, które były i są zawsze w każdym polskim sercu odkąd ono czuć zaczyna, w każdej głowie polskiej odkąd ona zaczyna myśleć, jak wiele one znaczyły, jak wiele one sprawiły w naszej historii! Z nich wyszło co najwznioślejsze, i co w niej najgorsze. One uwodziły do niewiary i bezbożności, one do odstępstwa i herezyi, one do zwątpienia i rozpacz i do mistycznych zachwyceń, z nich wyszedł Mesyanizm, i z nich „Psalm Dobrej Woli“, z nich pierwsze wypadki warszawskie... z nich także cały zawód kaznodziejski, cały żywot Kaysiewicza. Ale temi słowy zacząć, i to wtedy jeszcze, w r. 1842, to znaczyło trafić w dominujący ton uczucia każdego ze słuchacza, w sam środek tych powodów, którego zrobiły mistykiem, niedowiarkiem, rewolucjonistą, czemkolwiek był. Mowca

stawał na gruncie wspólnym, z którego słuchacz, choćby chciał, zejść nie mógł. O tem mu mówiąc przyswajał go, przyciągał, pocieszał, rozbrajał swoim współczuciem i zrozumieniem zupełnem jego uczuć, a przytem trafiał prosto do swego celu, przykładał siekierę do samego korzenia złego, i tym jednym zamachem godził we wszystkie jego konary i odrośle, kiedy dowodził, że „Bóg może być sprawiedliwym a Polska może cierpieć i dlatego.

Pierwsze kazanie X. Kaysiewicza (10 Września 1842 r.) było o „Rządach Opatrzności“.

„Nie aby zranić więcej, ale przeciwnie aby ulżyć tyle już cierpiącym sercom waszym drodzy mi nad wszystko bracia, pokuszę się o usprawiedliwienie Opatrzności Pańskiej w objawieniu się jej doczesnem nawet, tak co do pojedynczych osób jak i całych narodów, biorąc za przykład Ojczyznę naszą. A to aby pokazać, że *sądy boże są prawe i usprawiedliwione same w sobie* i aby *Pan był usprawiedliwiony w mowach swoich i zwyciężył gdy jest posądzany* (Ps. L. 6)“. Tak mówi X. Kaysiewicz we wstępie do kazania o *Rządach Opatrzności*, a ze słów tych widać, że zakreślił sobie plan szeroki i cel potrójny, miłosierny i litościwy naprzód, pocieszyć cierpiących, ukoić ich, pokazawszy że ich cierpienie ma powód, zatem musi mieć i cel i koniec; apostołski drugi, pociągnąć ich do Boga, przekonawszy że „sądy jego są mądre i usprawiedliwione“; wreszcie trzeci, spowiedniczy, jeżeli wolno się tak wyrazić, i patryotyczny, skłonić ich do poprawy, wytykając to złe w nich, dla którego rządu Opatrzności nad Polską muszą dotąd być surowe.

Pierwsza część kazania dotyka tej nieśmiertelnej kwestyi starej jak świat i ze światem dopiero skończyć się mającej, kwestyi, dlaczego człowiek cierpi, dlaczego Bóg stwarzając go tak świat urządził, a przynajmniej dopuścił to, że bez cierpienia żyć nie możemy. „Czy żeś ty taki jak jeden z nas, i czy ci miło patrzeć jak się twoje stworzenie dręczy?“ mówi do Boga Job, nad którego żaden z ludzi tego uczucia i pytania piękniej i żałośniej nie wymówił. I dodaje Job dalej: Dlaczego droga bezbożnych pomyślna?“ a Dawid mu wtó-

ruje słowami: „Zachwiały się stopy moje kiedym patrzył na pokój grzeszników... jakże to wie Bóg, i czy jest wiedza na wysokościach?“ O te słowa zaczepia rzecz kaznodzieja znający dobrze, że pomiędzy jego słuchaczami jest wielu których „zachwiały się stopy“, zachwiała się wiara, „kiedy patrzeli na pokój grzeszników“ że wielu ich pytało jak król Psalmista „Jakże to wie Bóg“ i nie robi? „czy jest wiedza na wysokościach?“

Ale ta pierwsza połowa mniej nas obchodzi; ona mówi o tem tylko, że i dlatego, w życiu prywatnem „żli są szczęśliwi, nieszczęśliwi dobrzy“. „A wasze cierpienia wszystkie prawie pochodzą z położenia waszego jako Polaków, i te są wam najdotkliwsze. Znam ja was za dobrze abym nie wiedział, że o wszystkich innych łatwo byście zapomnieli. Pójdźmy do ogniska cierpień waszych i szukajmy ich przyczyny“.

Zaczyna się część druga, streszczenie wszystkich mowcy pojęć o dawnej i dzisiejszej Polsce, i o jej przyszłości także, którą więc dlatego uważać możemy jakoby za postawiony z góry program tych jego kazań, które on nazywa przygodnemi, a które my, wedle ich charakterystycznej cechy, oznaczylibyśmy jako polityczne i obywatelskie.

„Bóg sprawiedliwy! miłosierny nawet! a Polska cierpi! Rzecz dziwna, tem bardziej, uważajcie bracia moi, tem bardziej, że dla narodów jest zupełna sankcyja doczesna na tej ziemi, bo w wieczności zostanie jak dziś jest myśl, którą wyobrażały, którą żyły; w rzeczy, jednostki tylko czas przeżyją. Narody, jako takie nie będą karane ani nagradzane w przyszłym życiu. A królestwo Boże, chociaż nie jest z tego świata, jest przecie, jakkolwiek niedoskonałe, i na tym świecie“.

Następuje wytłumaczenie tej „rzeczy dziwnej“. Jakież ono być może?

„Narody i narodowości są dziełem Bożem, powiadacie; prawda: ale nie ludźcie się, aby były same ce-

lem swego istnienia; są tylko środkami w rękę Boga do rozkrzewiania Jego królestwa na ziemi, do wyznawania, bronięcia prawdy i sprawiedliwości. Dlatego losy ludu żydowskiego, który wtenczas jedyny stanowił to królestwo Boże na ziemi, jako ciało przynajmniej, są dotychczas doskonałym wzorem losów doczesnych narodów katolickich, a i naszego, dziwnie jak bardzo“

W tem przypomnieniu dziejów Izraela ma kaznodzieja okresy wielkiej mocy i potężnego efektu, naprzykład.

„Świsnął Pan na Assura, a przylatał z północy lud mnogi, skory do rozlewania krwi, a łupu głodny, jak roje pszczoł leśnych, jak chmury szarańczy stepowej. I próżno się miotali Żydzi, próżno wołali, że są synami Abrahama, próżno wyglądali pomocy z Egiptu, wybiegali na puszcze: na nic się wszystko zdało, dopóki się nie upamiętali, dopóki nie wyznali: *Ty sprawiedliwy jesteś we wszystkim co przyszło na nas: boś prawdę uczynił, a myśmy niezbożnie czynili*: (Ezdr. IX, 33), dopóki nie ponowili z Bogiem przymierza. Natenczas odrzucił Pan kij już niepotrzebny, ha czasem druzgotał, bo straszne powołanie być narzędziem gniewu Bożego. Oto jest treść dziejów“.

A to podobieństwo dziejów Izraela do dziejów Polski, która także, jak długo chodziła w zakonie, żyła w pokoju i pomyślności, jak on je na faktach wykaże? Warto zobaczyć, bo to sama essencja jego rozumienia historii polskiej, które się już nigdy u niego nie zmieni.

„Po przyjęciu wiary świętej katolickiej w Polsce rozszerza ją Chrobry poprzedzany świętym Wojciechem; społecznie rośnie ład, prawo, wielkość i pomyślność kraju. Syn *gnuśny* wraz z narodem odpada w bałwochwalstwo, Polska się rozpada. Wraca Kazimierz zwany Mniczem, pierwszy bodaj wygnaniec Polski, wraca z no-

wymi Apostoły, podnosi ołtarze, krzewi dobry obyczaj, oświatę; wraca i doczesna pomyślność. Bolesław Śmiały, dopóki za młodu słuchał św. Stanisława, przewodzi Rusi, Węgrom, jest sędzią pokoju w Słowiańszczyźnie; za zbrodnię na nim dokonaną spada mu z głowy korona, i Polska maleje. Dźwiga ją znowu pobożny i wojenny Krzywousty, i nawracając Pomorze, szeroko granice za Odrę rozpościera... Widzicie bracia mili, że nie tworzę ani nakręcam faktów, tylko je wam poprostu przypominam. A po nieszczęśliwym podziale, za Łokietka potrójnego wychodźcy, pokutnika, pielgrzyma, wewnętrzne odrodzenie i zjednoczenie Ojczyzny, poprzedziło zewnętrzne, jak zawsze musi, jeżeli tamto ma być trwałe i prawdziwe“.

Przechodzi potem dalsze dzieje, nawrócenie i pozyskanie Litwy, powagę i siłę Polski, największego państwa na północy w wieku XV, aż w XVI wszystko się psuć zaczyna, przez dwie rzeczy, przez „chciwość osobistej wolności kosztem rzeczy publicznej i przez odstępstwo od wiary“:

„Bóg nam dał wszystko, czego dziś tylko najśmielsza rozpalona nieszczęściem wyobraźnia zapragnąć może, myśmy tylko dzierżyć nie umieli, i samo chcąc z rąk upuścili. Przyjęliśmy z oświatą i handlem zbytek i zepsucie obyczajów, ztąd zobojętnienie dla surowej wiary przodków, a chwywanie się nowych, wygodniejszych wiarek, skrzywienie umysłowych pojęć. Chciwość osobistej wolności, kosztem rzeczy publicznej, wyrodziła się w samolubstwo. Współcześnie z naszą niebacznością i nadużyciami podnosi głowę schyzma. Nie pozwalamy innym uskromić, owszem dla związków krwi bierzemy pod opiekę ożenionego krzyżaka, usadawiamy ostatecznie protestantyzm, i wszystkie klęski ztąd dla nas aż do dni dzisiejszych, sobie wyłącznie przypisać winiliśmy. W domu rokosze szlacheckie, protestantyzm i schyzma polityczna. Złe się szerzy za Zygmunta Au-

gusta, umiera bezdzielnie ostatni niepowściągliwy Jagiellończyk, jak Piast ostatni umarł, chociaż wiele błędów nagroził przyjęciem Soboru Trydenckiego i dołączeniem narodowej Unii. Odtąd zaczynają się odpowiednio o nastąpić mającej karze i upadku narodu“.

I tak przechodzi dalej, zestawiając poprawę, acz nie zupełną, za Batorego i Wazów, zasługi około Unii, krew przelaną w obronie Chrześcijaństwa pod Chocimem, świętość Stanisława Kostki i męczeństwo Józafata, z pomyślniejszą dola i większą siłą Rzeczypospolitej, wspomina Jana Kazimierza, który w ucisku oddaje koronę swoją w opiekę Najświętszej Panny i w imieniu narodu przyrzeka poprawę. „Bóg ci się zmiłował“ mówi, „kazał się cofnąć wojskom najezdców, zasmucić a nie zatracić Polskę dopuścił; ale Polska, czy się poprawiła? czy ślubów dotrzymała?“ Idzie dalej ten przegląd jej dziejów aż do ostatniego rozbioru, w obrazach nagłych, krótkich, zwieszłych, ale wielkiej prawdy w myśli i wielkiej energii w słowie:

„Czy owszem zbytek i bezprawia możliwych nie rosły z ciemieniem biednych? Wewnątrz już ani myśleć nawet o politycznej poprawie; w zewnętrznej trzeba było przyjść do płacenia haraczy sułtanom, aby się duch dawny raz jeszcze ocucił, a Polska zaświeciwszy szeroko na świat cały pod Wiedniem, uwinięta w tę świętą szatę, snem ciężkim zasnęła na długie czasy niesławy i nieszczęścia. Miejsce Sobieskiego zajął natychmiast Piotr, zwany Wielkim. Polska przy wszystkim złem nie już dobrego nie robiła, a raczej nie nie robiła. Bóg ze złych nawet działań wielu narodów umie w mądrości swojej wyciągnąć dobre; ale kiedy który przychodzi do zupełnej otrętwiałości, jakież może mieć prawo do istnienia? A nie możemy się skarżyć, aby Opatrzność nie zostawiła nam czasu do upamiętania się i poprawy. Nie brakło i napomnień. Wołał z granicy mądry doświadczeniem Leszczyński, wołali później w do-

mu wielcy biskupi Sołtyk i Załuski, wołał i święty Berdyczowski Karmelita. Była wprawdzie myśl poprawy, ale czysto zewnętrzna, polityczna, ziemską, bez polepszenia wewnętrznego w sercu, w obyczajach, w obliczu Boga, który śledzi nerki i biodra. I kiedy większa część narodu trzymała się wiary katolickiej, ale przy niej chciała utrzymać wszystkie niekatolickie narosłości, przesady i nadużycia, słowem kanonizować całą złą swoją szlachecczynę, strona reformatorska znosiła część nadużyć, w imię państwa i ziemskiej filantropii, a otwierała wrota nowym, w zmienionym kształcie. W takim usposobieniu narodu, i kiedy Bóg spełnił groźbę swoją dając mu za karę niemądrego króla, zaczęła się pierwsza wojna o niepodległość, i z pomienionych powodów upadła. Przynajmniej Barsecy rycerze postawili walkę narodową na stanowisku wiary i Kościoła; wołali, że wolność przenoszą nad życie, ale wiarę nad samą wolność. Wkrótce jednak i to stanowisko, w sobie zawsze jedno, niezrozumiałem się stało i skrzywionem, pod wpływem wyobrażeń i wypadków francuskich. Wzięto się do nauk, do przemysłu; prawodawcy wielkiego sejmu pisali prawa, chcieli się papierem skwitować ze sprawiedliwością Bożą; ale jakże spędzali noce? Współcześnie więcej było rozwodów w jednej Warszawie, niż w reszcie katolickiego świata. Szczyciliśmy się nędzni, że stolicę naszą nazywano małym Paryżem, kiedy wielki był wielkim domem nierządu serca i umysłów. Do podłej i dziecinnej przedajności, niezgody, przybyła naśladowana z Francji nienawiść a przynajmniej obojętność ku religii, targanie się na kościoły i osoby duchowne, jakkolwiek zresztą może winne, i sami sprawę naszą tak czystą ochrzciliśmy imieniem rewolucyj zachodnich; potem skarżymy się, że nas Kościół ma w podejrzeniu. Kara Boża posuwała się jednak z wolna, cząstkowemi rozbiorami, jak wylew wody dla dania jeszcze czasu; — w końcu „powiedział Pan słowo w Izraelu, aby za-

dzwoniło w uszach wszystkich“, i w krwi, dymie a pożarze Pragi, znikła Polska z oblicza narodów“.

To przeszłość; to to, co w dawnej Rzeczypospolitej usprawiedliwiało rządy Opatrzności nad Polską. A dzisiejsza? czemu ta usprawiedliwia jej srogą nad sobą chłostę? czemu? oto, że jest, ile w tak zmienionych warunkach być może, do dawnej zupełnie podobna. To co następuje, jest już wymierzone wprost do emigracyi bezpośrednio, a pośrednio do nas wszystkich, bo się wszyscy w tym obrazie poznać możemy:

„Nie nauczyły nas dawne emigracye obronić się i zachować od upadku, zaczęto inne, aby się nauczyć i stać godnymi odzyskania wolności. Czy się lepiej udały?“ Jeżeli słusznie było mówić tak po roku 1831, o ile słuszniej dzisiaj. Czy się lepiej udało? Czy dziś nie możnaby tak samo zapytać Polaków, z pod rządu rosyjskiego przed rokiem 1863, z pod rządu austriackiego teraz, na co użyli swobodnego czasu jaki im był dany?

„Na co były obrócone piętnaście lat pokoju? na rozszerzanie nędznych płodów zeszłego wieku, na pokątne związki, które schlebiają miłości własnej, a nie wymagają wewnętrznej poprawy ani cichego, skromnego, stałego poświęcenia; gdzie każdy myśli o wszystkim a nie robi dobrego około siebie, ku któremu dość się schylić, aby je podnieść“.

Położmy, zamiast nędznych płodów zeszłego wieku nędzniejsze publicystyczne i niby filozoficzne dzieła wieku obecnego, położmy zamiast „pokątnych związków“ otwarte działania „schlebiające miłości własnej, a nie wymagające ani poprawy, ani stałego, a zwłaszcza cichego poświęcenia“, i uderzmy się w piersi przed innymi my w Galicyi.

A niech nikt nie myśli, że ksiądz *wsteczny i klerykalny* jak się dziś mówi, tylko demokratów i rewolucjonistów karcieć umie, lub chce. Bo oto słowa wymierzone widocznie i głównie

do ludzi posiadających, do konserwatystów czy arystokratów, jak ich kto chce nazwać:

„Mieliśmy kościoły pod bokiem, aleśmy chodzili do nich najczęściej dla zgorzenia i urągania się pobożności ludu. Mieliśmy szkoły i uniwersytety, ale nauka pozbawiona balsamu religii, rozkładała się i psuła, i zśliśmy wielkim krokiem do największej ciemnoty jaka być może, do ciemnoty fałszywej, próżnej, dumnej umiętności. Tak się sposobili przyszłe pokolenia, w oczach których pobożność była bez wyjątku niemylnym dowodem nierozumu i płytkości. Cała opozycja była zewnętrznie narodowa i wyłącznie świecka na ostatnim jeszcze sejmie; kiedy sam rząd schyzmatycki chciał zabezpieczyć służby kościelne i pochamować rozwody, piętnaście tylko głosów świeckich w obu razem izbach poparło prawa Kościoła. W takim usposobieniu, z takim zdrowiem i gotowością wewnętrzną zaczęliśmy walkę o niepodległość. Mogliśmy zapewne liczyć na łaskę Bożą i błogosławieństwo Kościoła! Jakaś tradycyjna poezya, jakaś wodnista religijność, wkrótce wywietrzała, zamierchła. Nie rozumiał nas lud nucący sobie wśród grzmotu dział hymny Dawidowe, a myśmy aż w obozach ścigali jego wiarę. A jednak dla tego ludu może, dla malej liczby sług swoich, Bóg nam dał raz jeszcze w ręce losy ojczyzny naszej, sami to dziś przyznajecie. I znowu w skutku nieuleczonych grzechów narodu upuściliście je z ręki, Opatrzność temuż winna? Okryła nas ona jak czuła matka miłe zawsze, bo swoje, choć grzeszne dzieci, piękną sukienką niezasłużonej chwały na przykre lata tulactwa. A wy zamiast okrycia nią nagości naszej, zamiast słusznego upokorzenia, wzbici w dumę poklaskiem nierozumnej tłuszczy, samiście ją poszarpali, i wzajemną oszpecali potwarzą. I nie spędzajcie jedni na drugich, starzy na młodych, podwładni na dowódców, boście, bośmy raczej wszystkie winni“.

Prawda, że i drudzy dostają co im należy:

„Ci co nie mieli czasu wydobyć się na wierzch w kraju, pokazali za granicą, jakimby byli szli torem. Z jakimi złączyliście się tu ludźmi? jakie pokochaliście księgi? jakieście wyznawali, rozszerzali zasady? Na czym zużyliście świeżość dusz waszych, na czym siły waszego ciała? o! bodajby tylko w skutku nędzy i cierpienia. Ilu sobie samolubstwem dni przyspieszyło, ilu z bratniej poległo ręki? O dziękujecie Bogu, że was nateczas gorączki wysłał bezbronnych z kraju! niepodobna byście sami tego dziś nie czuli. Tuście zużyli wiele piór, zmęczyliście prasy, ale w kraju byłaby się lała krew bratnia, bratnieby się kruszyły oręża. I w końcu oddalibyście byli wielką pustynię w posiadanie najeźdźcy, i zapewne na zawsze“.

Koniec wreszcie stosuje się do jednych i do drugich:

„Ucisk obcy podnosi, skupia, czyści; ale wojna domowa kazi charakter narodowy, rozdwaja umysły, kala serca i wiekuiste nieraz waśnie zasiewa. Macie przykład na zachodniej Europie, gdzie jakoby po kilka narodów w jednym, Bóg wie sam jak na długo, i Bóg wie tylko ile się jeszcze krwi rozleje, nim się zupełnie wewnątrznie zjednoczą. O! nie zazdroście im pozornej pomyślności, porównywając się z niem, w grzechach i karaniu. Miały one swoje dni żałoby i jeszcze mieć mogą“.

A konkluzya? treść jej odgadnąć łatwo, ale słów tak silnych i gorących, ale takich dźwięków miłości i nawet nadziei, przy tak surowem zgromieniu, tych domyśleć się nie można, trzeba je znać:

„Ludu mój, ludu boleści! wzywam cię słowy kościelnymi. „Stójmy podle krzyża z Maryą Matką Jezusową, której duszę „przebił miecz boleści“. Stójmy po-

dle krzyża, w tych smutnych dla nas czasach. Wielka mądrość, umieć przetrzymać zwłoki Pańskie. Nie już przyszła pożądana chwila łaski, przeto, że nam się cierpieć sprzykrzyło. Nie odchodźcie na krok od znaku zbawienia, choćby wokoło wołali, że tu albo tam jest Chrystus. Przyjdzie do was herezyja jak żona do Hioba na śmietnisku, mówiąc: *złorzecz Panu i umrzyj*. Ludu mój, Hiobie ludów! siedź odważnie podle krzyża na śmietnisku ojczyzny twojej, i zgarnując skorupą przeszłej chwały dzisiejsze rany twoje odpowiedz ze sprawiedliwym: widzę żeś niemądra niewiasta. Dobre mogliśmy przyjąć, złego dlaczego przyjąć nie mamy? Pan zasmuca, Pan pociesza, Bóg dał, Bóg znowu dać może.

„Przyjdzie i niedowiarstwo, każąc bluźnić ze złym łotrem na krzyżu: *jeśliś Bogiem pomóż nam i sobie*. Ludu mój, ty się bij w piersi z pokutującym, dobrym łotrem, świętym jednym z polskich patronów, a oskarżając się serdecznie, usłyszysz słowo zbawienia. Do krzyża wszyscy, do krzyża! czy kto jeszcze nie przyszedł, czy już chciał odchodzić, do krzyża wszyscy, do krzyża! Ludu mój, ludu siedmiu boleści, Hiobie narodów, stój podle krzyża z Maryą, Matką Jezusa, proś żeby się koronowała na nowo cierniową dziś twoją koroną, a będziesz z Hiobem na ziemi jeszcze pocieszon, będziesz z dobrym łotrem w wieczności zbawion“.

Zatrzymaliśmy się długo nad tem kazaniem, nie dla tego, żebyśmy je uważali za najlepsze (bo choć do piękniejszych niezawodnie należy, to są takie, które natchnieniem i wymową wzbijają się wyżej), ale dla tego, że było pierwszym, a jako pierwsze dawało już wyraźnie i miarę talentu mowcy i miarę jego kapłańskiego i obywatelskiego ducha, i dokładne wyobrażenia o całości jego pojęć i zasad. I jak późniejsze o lat siedm kazanie o *Duchu Narodowym i duchu Rewolucyjnym* może być uważane za rekapitulację i konkluzję wszystkich kazań politycznych księdza Kaysiewicza, tak to pierwsze z nich jest jakoby ich wstępem i przedmową,

która w ogólnych zarysach obejmuje i zapowiada, co w dalszej treści dzieła rozwinięte będzie po szczególe w idących po sobie rozdziałach.

Jakoż zaledwo wprowadził słuchaczy swoich na swoją drogę, jedyną furtką jaka mu po temu stała otworem, przez pytanie „Bóg sprawiedliwy, a Polska cierpi“, zaledwo im wytłumaczył, że drogi Pańskie mogą być usprawiedliwione, zaraz robi krok dalej. Kazanie *o cudownem rozszerzeniu się i trwaniu wiary Chrystusowej, z powodu ostatnich walk Kościoła katolickiego w Polsce*, wymierzone jest na to, by przed słuchaczami usprawiedliwić nie już rządy Opatrzności, ale konieczność Kościoła, i obudzić w nich wiarę i miłość do niego. Kazanie to, pierwsze w szeregu kazań rozwijających myśl tę samą, jedno tylko doszło do nas w druku, innych autor nie uznał za godne ogłoszenia. Żalujemy tego bardzo, bo byłoby rzeczą ciekawą porównać sposób, w jaki przedmiot ten obrabia ksiądz Kaysiewicz, ze sposobem jakiego użył Lacordaire w swoich *konferencyach*, z których kilka poświęconych jest tej materii. W tem kazaniu, które mamy przed sobą, dowodzi ksiądz Kaysiewicz Boskiego początku Kościoła temi samemi argumentami, któremi dowodzi go tamten; rzecz naturalna, żaden mówca katolicki innych użyć nie może, bo innych nie ma, a te które są, są znane i niezmiennie. Ale nie idzie zatem, żeby kaznodzieja polski był z francuskiego korzystał: naprzód to jego kazanie jest od tych właśnie konferencyj Lacordaira (które wypadają na rok 1844 czy 1845) wcześniejsze. Powtórę, układ, budowa, sposób przedstawienia rzeczy, wszystko to jest własne, oryginalne, i od rodzaju Lacordaira zupełnie odmienne. Dla nas, który pisząc o tych kazaniach wyszukujemy przedewszystkiem przystosowania do Polski, ich strony obywatelskiej, to, które z natury przedmiotu może służyć zarówno ludziom wszelkiego narodu, ma dwa ustępy zasługujące na szczególną uwagę. W jednym z nich otwarcie już i bez ogródek występuje ksiądz Kaysiewicz, osób oczywiście nie wymieniając, przeciw Messyanizmowi, przeciw ludziom „podającym się za proroków, cudotwórców, ba nawet, „odpuść mi Boże, że po-

wtórę bluźnierstwo, za Messyaszów i „Chrystusów“. Drugi, odnosi się do mniemania, dość między katolikami polskimi powszechnego, że skoro walka nasza z Rosyą, jest walką z państwem schyzmatyckiem, które raz nas pożarliszy rozniosłoby dalej swoją fałszywą wiarę, więc Bóg, w interesie Kościoła i wiary i prawdy, w interesie własnym, żeby się tak wyrazić, nam zwycięstwo dać *musi*. Ksiądz Kaysiewicz zbija to mniemanie. Kościół jako całość ma obietnicę niepożytości i wiekuistości, ale żadna część Kościoła nie ma jej dla siebie. Dla tego i Polska pewną tryumfu nie jest, musi na niego zarobić, a ta niepewność dręczy i boli mówcę nad wszystko:

„Nie katolik i ledwo chrześcjanin wołał do nas: „jeżeliście się nie umieli uchronić upadku, nie dajcie się przynajmniej strawić“, otóż religia daje tę siłę zachowawczą narodowi, ten balsam chroniący od zepsucia; religia udziela coś z niepożytości i wieczystości swojej. Dlatego życie narodu katolickiego tak uparte, dlatego żaden naród katolicki nie upadł niepowrotnie, póki się wiary swej nie wyrzekł. Patrzenie na Irlandyę, która, po tylu wiekach męczeństwa i letargu, obudziła się jak ze snu w całej świeżości zmartwychwstania. Mówię, dopóki się wiary swej nie wyrzekł, bo żaden naród, żadna część pojedyncza powszechnego Kościoła, nie ma obietnic właściwych całemu Kościołowi. Za niewierność, może być gałąź nieużyteczna odcięta. Ta obawa mię ścisza i pali. Ach! na Boga z prześladowców naszych nie jeden kosztem majątku, bezpieczeństwa, ojezyny, garnie się do Kościoła. Życzę i proszę Boga, i wiem, że w każdej chwili może sobie i z kamieni syny Abrahadowe stworzyć, ale nuż my natomiast syny królestwa będziemy wyrzuceni. O! Boże nasz! nie dopuść tego; tak nie będzie!“

W przytoczonych dotąd wyjątkach z kazań, widzieliśmy księdza Kaysiewicza przejętym, czasem rzecznym, ale zawsze

spokojnym. Czy taka jego natura? czy jego wymowa patetyczną być nie umie? Odpowiedź na takie pytanie znajdzie się w jednym kazaniu, zawsze jeszcze z roku 1842, którego powód i przedmiot wywołały wielkie w jego sercu wzruszenie. Grzegorz XVI ogłosił był allokucję o prześladowaniu Kościoła w Polsce (prześladowania apostaty Siemiaszki); księża polscy w Paryżu odbyli z tego powodu nabożeństwo; na ambonie, jako zwykle w ważniejszych okolicznościach był ksiądz Kaysiewicz. Do zbytku może przytaczamy tu jego własne słowa w tak obszernych wyciągach? Ależ bo nie umiemy lepiej dać wyobrażenia o ich wielkiej rzewności i mocy, a wrażenie, jakie one robią, znikłoby w cudzem streszczeniu i powtórzeniu. Mówił więc o prześladowaniu Kościoła w Polsce o *ważności Męczeństwa* i zagrzany przedmiotem, w drugiej połowie swojej mowy umieścił ten ustęp, który pod koniec zwłaszcza zdaje nam się należeć do najpiękniejszych, jakie są w całym kaznodziejstwie polskim:

„Po co ta krew, może kto zapyta; po co ta krew? — mógłbym odpowiedzieć, że nie wiem; dość, że płynie zwykle w podobnych okolicznościach. Ale od czasu jak Chrystus Pan, w imieniu naszym i ku spłaceniu grzechów naszych, wylał swoją na krzyżu, pojmuję że gdzie grzech wraca, tam nowej krwi ofiarnej potrzeba. Chłosta ogólna, powszechna, jest zarazem dziełem sprawiedliwości, bo słabość ludzka potrzebuje widzieć niekiedy, nawet w czasie, sankcję Bożą, karę za złe, szczególnie kiedy to ciężkie, trwałe, publiczne. Pod chłostą złe niepoprawne bierze nagrodę zasłużoną, niknie jak plewy wiehrem rozwiane, jak słoma w ogniu. Ludzie znowu mniej zepsuci, widząc i cierpiąc karę, budzą się ze snu, biorą się do poprawy, a pomoc im ku temu otrzymują prośby — zasługi rzadkich niewinnych cierpiących z niezmierną dusz swych zasługą, które Bóg w moc Świętych obcowania potrzebnym przypisuje. Cierpienie tedy niewinnych właściwie rozbija gniew Boży, służy ku zbawieniu i upamiętaniu

wielu, którzyby się inaczej nie przebudzili, a ich samych stawia w stanie doskonałości i czyni z nich Świętych. Święci najwięksi i najliczniej w ucisku i walkach Kościoła rodzą się i wyrastają. Jednak próba męczeństwa to środek ostateczny, heroiczny; dlatego też rychło i nie za lada grzechy, Bóg lud swój na taką próbę wystawia. Prześladowanie krwawe dopuszczone na Kościół cały lub jaki członek jego, dowodzi wielkiego już tam zdrętwienia wskutek zepsucia żywotnych soków, od czego tylko silnem tarcie ratować można. Jeżeli oddziaływanie rychłe i silne, jakkolwiek choroba ciężka, można się rychłego spodziewać uzdrowienia, jak się pokazało w ostatniej próbie Kościoła francuskiego, gdzie grzechów wiele wiele szlachetnej krwi spłaciło. Jeżeli oddziaływanie mniej silne, pomimo dłuższego cierpienia, zdrowie zwykle wraca, jak naprzykład w Anglii. Jeżeli oddziaływanie słabe lub prawie żadne, jak naprzykład Kościoła afrykańskiego w prześladowaniu Wandalów, Bóg taki naród odrzuca, jak garnek zbity niewydający dźwięku, odrzuca na długo lub na zawsze. Od tej ekonomii Bożej, nie były wyłączone pierwsze wieki chrześcijaństwa. Pisarze spółcześni zauważali, iż prześladowanie wracało wzmocnione, a wracało razy dziesięć w chwilach zwolnienia z pierwszej gorliwości. Ani był wyłączony sam lud żydowski nienauczony niewolą; bo właśnie kiedy przyjął *sprawiedliwość i szkoły pogan* (I. Mach. 1), to jest zepsutą ich oświatę i obyczaje, wtenczas Bóg spuścił na nich Antyoeha wspaniałego, oświeconego Greka. Ten zbezczesciwszy i złupiwszy świątynię, uczynił mord wielki w ludziach przez trzy dni: 80.000 zabitych, 40.000 powiązanych, i tyluż zaprzędanych. Święta obróciły się w płacz, szabbat na hańbę, a według sławy... rozmnożyła się zelżywość (Tob. Am.). Antyoch „mówił z pychą wielką“ i kazał: „aby lud był jeden, a każdy zakon swój opuścił... Zezwoliło wielu. I biada Judzie, gdyby się nie był znalazł Eleazar, biada gdyby się nie był znalazł gorliwy o Zakon Boży

Matatiasz ze swymi, biada gdyby nie było tysiąca tych, którzy napadnięci w jaskiniach w dzień szabbatu wołali: pomrzyjmy wszysey w prostocie naszej, a będą nam świadkami niebo i ziemia, że nas niesprawiedliwie tracicie“. Biada powtarzam Judzie, gdyby się tacy wśród niego nie znaleźli zrazu; nie doczekałby się był późniejszych czasów bohaterskich... Biada każdemu narodowi, który kiedy Bóg po nim żąda najwyższej odwagi, bo męczeńskiej, z żołnierską się tylko nastęcza. Tak i naród nasz, w młodości swojej mniejsze grzechy, odkupywał służbą orężną przeciw sąsiedniej i azyjskiej dziczy, upamiętał się w jasyrze, pod mieczem, wśród pożarów, spustoszenia i zarazy. Bóg z czasem, w miarę zatwardziałości prawicę obciążył. Nie tak łatwa sprawa z Samaryą chrześcijańską, ze schyzmą. Cały naród powołany do męczeństwa. Ile razy przed Panem rozmyślałam o tej miłej ojczyźnie a Kościele naszym, przychodzi mi na myśl przepowiednia Chrystusowa, św. Piotrowi uczyniona: *Piotrze, Piotrze, kiedyś był młody przepasywałeś się sam, chodziteś kędyś chciał, a kiedy się zestarzejesz, przepasze cię inny, i powiedzie tam, gdzie nie zechcesz.* Polsko! Polsko! w młodości twojej dostałaś darmo, bez trudu, bez krwi, bez męczeństwa najdroższy dar wiary; ah! może też dlatego nie dość głęboko w cię weszła i wsiąkla. Dopókiś się jej jakkolwiek trzymała, Bóg ci łatwiej inne grzechy przebaczał, boś się łatwiej upamiętywała; przepasywałaś się wtenczas sama, i chadzałaś kędyś chciała, szeroko, dalekoś brodziła po ziemicach sąsiadów twoich. Dziś cię sąsiadka przepasuje i wiedzie gdzie ty nie chcesz, do ziemi swojej, puste, zimnej, dzikiej!... Polsko! Polsko! kiedyś i wiarą samą pomiatać zaczęła, Bóg chce abyś się raz drugi boleśnym chrztem krwi ochrzciła. Chce, aby krew twoja dotknęła krwi okupnej jego Syna, nie by On jej potrzebował, ale przeto, iż ty potrzebujesz ku oczyszczeniu, ku odrodzeniu twemu. Czyś dała jej dosyć? czy dasz dosyć, jeżeli jeszcze zażąda? czy dość

czystej? czy dość szlachetnie? Ach! w tę przepaść z bijącym od ucisku sereem, spojrzeć nie chcę, lecz muszę.

„Widzę z za Dniepru pchnięte kozactwo, widzę hajdamaki ukraińskie, Ukrainę i Ruś całą kapiącą we krwi. Widzę kilkanaście tysięcy starców, niewiast, dzieci bezbronnych wymordowanych na ulicach Humania; widzę wszędzie szubienice, na nich katolików, między żydem i psem, z napisem, że to wszystko jedno, aby się nikt nie pomylił za co umierają. Widzę kościoły siłą brane i bezczeszczone, ludność czepiającą się węglów ołtarzy i mordowaną. Krwawo dotychczas świeci w Warkabułowie krzyż krwią i ręką własną konającego wypisany w słowach: „bracia pomrzyjmy tu wszyscy za prawdziwą wiarę“. Widzę popy dające namaszczenie braciom swoim Unitom, a kapłany nasze konające pod kijami, konające od głodu, gnijące po więzieniach, kapłany i ludność całą jak wojsko wielkie pędzone pod batem kozackim w głąb Moskwy, w Sybir gdzie nie ma nadziei, z ciałem i duszą na śmierć.. znaczące krwawymi ślady drogi, któremi kiedyś pójdzie — oby! — miłosierdzie Boże. Reszta została w domu bez kościołów swoich i kapłanów... dzieci i wnuki ich zapomnieli o wierze, której nie znali. Kilka milionów dusz poszło na zgubę... potem czterdzieści lat niby pokoju... i znowu męczeństwo idzie na ostatki Kościoła unickiego, idzie i na Kościół łaciński“.

Potem opowiedziawszy krwawe dzieje spełnionych podówczas na księżach, na zakonnicach i na ludzie unickim okrucieństw, tak kończy, słowami, które w dzisiejszych okolicznościach z większem może niż wtedy czytają się wzruszeniem:

„O! Boże mój, ilu świadków szlachetnych dał ci Kościół nasz, ile ofiar, ile czystej krwi męczeńskiej! Czy okupią grzechy nasze i odstępstwo tyłu? Czy pozwolisz, aby dziatwa unicka znów w schyzmie wzro-

sła? Czy zasańce nie zamrą bezowocnie i nową szerszą Unię przysposobią? Czy Kościół łaciński na podobnie krwawą puścisz próbę? Ah! Panie, niech dotychezasowe cierpienia tułaczów, zasańców, męczenników wystarczą, niech resztę zastąpią niewyczerpane zasługi i Krew Syna Twego.

„Widziałem (woła Ś. Jan) pod ołtarzem dusze pobitych dla słowa Bożego i dla świadectwa które miały. I wołały głosem wielkim, mówiąc: *Dokądże Panie, święty i prawdziwy, nie sądzisz i nie mścisz się krwi naszej nad tymi, którzy mieszkają na ziemi* (Apoc. VI, 9, 10). Ach Panie! jeżeli krew ich pomimo nich woła o sprawiedliwość, oni: „daleko iście więcej proszą miłosierdzia braci swojej“. (Ś. Hier. contr. Vigilant). I my z nimi i przez nich wołamy: Miłosierdzia Panie, miłosierdzia, dla braci naszej i dla nieprzyjaciół naszych, miłosierdzia dla wszystkich“.

Ale z tych wszystkich dawniejszych kazań najpiękniejsze, naszym zdaniem, a przynajmniej jedno z najważniejszych jako rachunek narodowego sumienia, jest kazanie *O Pokucie*.

O pokucie mówić tym biednym ludziom bez domu, rodziny, ojczyzny, a często bez chleba? O pokucie narodowi bez niepodległości, niewolnikowi na własnej ziemi? O pokucie tym, z których każdy ma brata, ojca, syna, przyjaciela, w fortecy, albo żołdatkach, albo w katorżnych robotach, albo pogrzebanego pod drzewem szubienicy? Polakom i Polsce o pokucie, kiedy nie było dawno na świecie pokuty cięższej i dłuższej jak ich życie każdego z osobna, i ich życie narodowe?

O tem przecież chciał mówić kaznodzieja, i to kiedy jeszcze? 29 listopada! przy pamiątkowym obchodzie dwunastej rocznicy powstania! w ten dzień, który słuchaczom jego przypominał wypadki, w których wszyscy, mniej lub więcej, ale wszyscy działali, do których przywiązani byli fanatycznie, w których widzieli swoją zasługę, swoją chwałę, je-

dyny czyn swego życia. I w taki dzień, zamiast ich pocieszyć i ukoić, zamiast wtórować uczuciom z jakim do kościoła przyszli, martwić ich wyrzutem, gnębić upokorzeniem, przeszywać boleścią i strachem, że Polski mogą nigdy nie zobaczyć, oni ani żadni inni? mówić im o pokucie? Ten ksiądz chyba nie miał litości, chyba nie miał ludzkiego serca w piersi! I nie dość na tem, że ich wszystkich oskarżył o pychę, o zazdrość, o samolubstwo, o zbytki i zgorszenie, o wszelkie publiczne i domowe grzechy, jeszcze im dodał, że to powstanie, którego pamiątkę właśnie obchodzili, ich chwała, ich miłość, ich wielka narodowa bohaterska wojna, była niewczesną! że jej na fizycznej i na moralnej sile zbywało! że sprowadziła klęski i nieszczęścia na ojczyznę, która im, sprawcom, może dziś złorzeczy. Jeszcze raz, on chyba był bez litości i bez serca, chyba odurzony szaleem religijnego fanatyzmu, żądał od nich pokuty, za co? czy za to, że Moskale w Polsce a Polacy na wygnaniu, na Sybirze, na tamtym świecie? pokuty za łzy, za krew, za nędzę, za naj-srozsze krzywdy?

Ah! bo nieszczęście i pokuta, to nie jedno. Nieszczęście spada na nas bez naszej woli, jako kara, jako dopust, jako próba, jakkolwiekby, ale nie jest koniecznie zarazem zadostęuczynieniem i poprawą. Przyjęcie nieszczęścia w duchu expiacji i ofiary, prowadzące do poprawy ze złego jakie w nas jest, ten stan duszy, w którym rozum człowieka poznaje, że nieszczęście jego jest zasłużonem, a może być pożytecznem, w którym wola statecznie postanawia i wyteżę się, by taki pożytek z cierpienia wyciągnąć, to jest dopiero duch pokuty jak go pojmują kościół, jak o niego wołał ksiądz Kaysiewicz. Czy był taki w jego narodzie? w tym narodzie, który czuł i widział tylko zbrodnię, jaką na nim spełnili drudzy, a nie poznawał co sam zawinił? czy był duch taki w narodzie, który się wielbił i kochał w sobie zawsze, a w tych latach może najbardziej? który późno w wiek XIX przechował wszystkie swoje dawne nałogi anarchii i prywaty w formach tylko zmienionych? Na to odpowiedzi szukać nie trzeba, znamy ją wszyscy. Ale nie będzie rzeczą zbyteczną

przypomnieć, że w tej samej chwili, kiedy nasza adoracya siebie samych, wydawała swój wyraz najszczytniejszy, i bądź co bądź, najlepszy, kiedy Krasieński zabierał się właśnie do tej najwyższej apoteozy Polski, która się nazywa *Przedświtem*, inny Polak, prawda, że w owym czasie jedyny, wyzwał tę samą Polskę do pokuty i poprawy. Chronologiczne zbliżenie kazania o Pokucie z *Przedświtem*, nie jest przypadkowym. Kazanie poprzedziło poezję; ale choć tej poezyi jeszcze nie było, to kaznodzieja znał ten cały prąd uczuć i myśli z którego ona wykwitła, i ze świadomym dobrze zamiarem chciał mu położyć tamę. W naszym przekonaniu kaznodzieja miał więcej słuszności, więcej prawdy po sobie niż poeta. Nie żebyśmy mieli *Przedświtem* pomiatać, jak się niektórzy wazą, albo mu nie wierzyć. Jest w nim prawda. Ideał ojczyzny jaki w nim jest, jest jeden prawdziwy, albo nie ma żadnego: a wtedy rezygnujemy się, i kładźmy się, każdy w swoim łóżku, żeby spać, albo każdy w swojej trumnie, żeby już raz umrzeć. Ale obok prawdy ideału nie ma w *Przedświcie* prawdy rzeczywistości. Polska powinna być taką, jaką on ją w przyszłości widzi; ale nie jest i nie była taką, jaką ją widzi w przeszłości i w teraźniejszości. Otóż ta prawda rzeczywistości, ta Polska, jaka była za Stanisława Augusta, i dawniej, i później, i na emigracyi w roku 1842, i jaką jest niestety dzisiaj w roku 1873, ta jest w kazaniu o Pokucie. Potrzebny jest i konieczny wzniosły ideał ojczyzny w sereu, w myśli, w słowie, w uczynku, we wszystkim i wszędzie, bo bez niego rzeczywistości nie będzie nigdy: ale potrzebniejsza jego podstawa, znajomość siebie samych i tego co jest, bo bez niej ideał na niczem nie oparty, nie zdoła nawet próbować wcielić się w życie, i zostanie w powietrzu jak fantazya, jak marzenie, jak mgła, jak tęcza, która się ująć, na ziemię ściągnąć i przytwierdzić nie daje, ale się tylko zawsze rozchodzi, rozplywa i rozwiewa. Nie w głowie nam porównywać księdza Kaysiewicza z Krasieńskim jako geniusz: ale praktycznej, patryotycznej, obywatelskiej zasługi, więcej zdaniem naszym jest w kazaniu o Pokucie niż w *Przedświcie*. Nie mówiąc o tem, że więcej

trzeba odwagi na to, by zrobić rachunek sumienia narodu, niż jego apoteozę, i że ten, który koebając Polskę z całego serca, z całej duszy i ze wszystkich sił swoich, widział ją przecież taką jak była, od ideału bardzo daleką i dobrowolnie do zguby idącą, że ten także cierpieć musiał nie mało, i miałby być także prawo powiedzieć o sobie, że *jak Dant za życia przeszedł przez piekło*.

„Uczynię zatem z wami, o bracia, rachunek sumienia narodowego, spowiedź niejako publiczną. Chwalić was nie będę; bo i obcy nas i samiśmy się już dosyć, bodaj nadto może nachwalili, a najczęściej kosztem innych niestety! nieraz odsłaniając przed obcymi domowe nędze nasze. Niech się chwali i weseli kto może, ja nie widzę z czego. Po chwilach przelotnej i wątpliwej chwały, długie oto lata cierpienia i niesławy; widzę mój naród na krzyżu i takim go noszę w sercu, widzę przyszłość zasunioną gęstymi obłokami i krwi pełnemi. Jawne, sterczące grzechy narodu, dotychczas niepoprawione, leżą mi w oczy i serce bodą. Na nie się tedy obracam, na nie, źródło i powód trwania wszystkich nieszczęść naszych; nie sfolguję im jakiegokolwiek i gdziekolwiek są, otworzę w goryczy usta moje; ja proch i pył kościelny, ja dzieciuch Pański, grzeszny i ostatni służka domu jego, przecie mówić będę. Dzień sam, wigilia św. Andrzeja namiętnego miłośnika i Apostoła krzyża — wszystko, wszystko woła do pokuty. Od dawna się już zbierałem na tę wyprawę, i dotychczas serca mi nie stało. O! nie tak to łatwo grzesznemu, wytykać grzechy innych; nie tak łatwo gromić z miłości i żalu, jak z pychy i nienawiści. Miłościwy niech mi Pan będzie w dzień sądu mojego! jemu samemu polecam pocieszenie dusz pokutujących, a pójdę ścigać zbłąkanych rozprószeńców z domu Izraela, pójdę wydierać im własność Bożą i narodową, w cierpieniach, których za naród nie ofiarują Bogu; do nich

mam sprawę, na nich wołam: *czyńcie owoce godne pokuty, bo już siekiera jest przyłożona do korzenia.*“

I następuje zaraz po tych słowach prawda gorzka, głęboka, żywotna, ta prawda, że sama przemoc, sama zdrada, sama zbrodnia zewnętrzna, nie byłaby zdołała przyprawić Polski o upadek, że musiał być powód głębszy, tkwiący w woli, zatem w odpowiedzialności narodu samego.

„Kiedy naród jaki, opatrzony we wszystkie warunki fizyczne potrzebne do istnienia, i mający za sobą długowieczne doświadczenie, upada, najracjonalniej każdy wniesie: więc musi być w tym narodzie zaród złego, który osłabił lub wytrawił siłę jego żywotną. Ślizga się bowiem po powierzchni, kto się czepia okoliczności zewnętrznych, i na nie wszystko spędza. Cóż dopiero, jeżeli spojrzymy ze stanowiska wiary i Opatrzności! jak wkorzone i uparte być musi zepsucie w narodzie katolickim, gdy go Bóg w gniewie swoim podaje w ręce ludów niekatolickich. Przepowiadał wam to wielki Skarga, przepowiadali inni ludzie z ramienia Bożego; długo grozili, dziś już grozić nie trzeba, już się groźby spełniły... zostaje jedynie obawa ostatecznej niepokuty, ostatecznego opuszczenia ze strony Bożej. Aby od pierwszego was odwieść, a od drugiego ochronić, jeszcze raz wołamy na was: Pokutujcie, *bo siekiera do korzenia jest przyłożona.*“

Na złe wewnętrzne, wewnętrznych oczywiście potrzeba środków, inne nie pomogą. I ten ciąg myśli doprowadza mowę do zewnętrznych, materialnych środków odrodzenia ojczyzny: do powstań, które się udać nie mogły, bo im brakło na wewnętrznych warunkach powodzenia, na żywotnej sile.

„Zawszeście chcieli siłą i przebojem wydobyć się z pod chłosty, nie usuwając jej przyczyn; a przeto

wciąż idziecie przeciw woli Opatrzności, i zdwajacie wasze cierpienia. Naród, jak człowiek jest wprawdzie wolnym; ale jeżeli nie wczas lub źle użyje swej woli, grzeszy i cierpi karę, aż póki użycie onej nie spotka się z chwilą laski i wyroków Bożych. Cóż po tem, że powiadacie: pomimo pozorów zaczepności, bronimy się tylko; wolno człowiekowi napadniętemu, skępowanemu przemocą, wolno podług wszelkiego prawa, przy każdej pogodzie próbować, ażali nie zdoła pętów skruszyć, wolności swej i własności odzyskać. Choćby i tak było, zostaje jeszcze całe, wielkie, przeważne zdanie, wczesności. Naród nie jeden człowiek; naród pobity, długi stanowi szereg więźniów przykowanych do siebie jednym łańcuchem. Wszelki wysiłek, wszelkie poruszenie nieużyteczne, okropny, bolesny jęk wyrwie z piersi wszystkich współtowarzyszów. Tak człowiek, jak naród, nie tworzą wypadków. W ich odgadnięciu, w ich dobrem użyciu, leży zasługa i mądrość; a do tego trzeba czystego bardzo sumienia, wyrzeczenia się siebie, szukania większej chwały Bożej i pożytku bliźnich. Wolność nadużycia wolności, czyli grzech, i podniesienie się z grzechu przez pokutę i zadośćuczynienie, oto treść dziejów tak ludzi jak narodów. Nie rozumieją lub nie chcą tego rozumieć drażkowi politycy, i dlatego tak krótko widzą; nie rozumieją palca Bożego w kierowaniu narodami, dlatego tyle błędów i tyle cierpienia.

Dlatego i powstanie listopadowe, pomimo tylu najczystszych pojedynczych poświęceń, nie miało za sobą błogosławieństwa Bożego. Nie sił fizycznych, ale siły moralnej zabrakło.“

Wiele w tych krótkich słowach treści! wiele mądrości w tych uwagach o „zadaniu wczesności“, o „języku bolesnym wyrwanym z piersi towarzyszy poruszeniem niepożytecznym“: mądrość, której my „drażkowi politycy“ nie umieliśmy wyrozumieć i wziąć do siebie!

Ale to wewnętrzne zło, na które trzeba nam wewnętrznej poprawy, gdzież ono jest i w czym? Oto sam jego rdzeń i jądro, oto gdzie przedewszystkiem potrzeba ratunku:

„Religia katolicka, bracia moi! była i jest podstawą całego życia umysłowego, moralnego i historycznego Polski. Powiecie, że i innych narodów katolickich; prawda, ale na jednym tle wymalowane różne młode narodowości europejskie, odmienną przyjęły barwę i kształty. Życie Polski tem wyłącznie spoczywa w katolicyzmie, iż on jeden był spójnią tego kruchego ciała, w którym indywidualność zawsze przemagała, a poza rodzinę nie wychodziła. On zastępował tę sklejęność i organiczne instynkta, których zarówno z innymi ludami nie posiadamy; on zastępował ten zbiorowy rozum narodu publiczny, który nigdy weń nie bogaci, dziś z osłabieniem wiary zupełnieśmy ztratili. Katolicyzm przy tak odrębnem naszym urządzeniu społecznem, wiązał nas jedynie z resztą zachodniego świata, i przyniósł nam to wychowanie, co nas czyni wyższymi nad wszystkie inne ludy tego plemienia. Bo jeżeli wszędzie i zawsze wielkie myśli z serca płyną, tedy najbardziej u nas pobożność, zapal płynący z wiary, zastępował wszystkie niedostatki rządu i rozumu. Na rodowość więc nasza jest, jak obraz na murze malowany, weń wpity, wrośnięty. Dopóki mur cały, jakkolwiekby obraz uszkodzony, wszystko da się naprawić; ale skoro się mur obali, a dziś już jest podważony, wszystkie wasze teorye, cały patryotyzm nie zbawi narodu, Polska przestanie być Polską. A gwałtem chcecie bronić samego obrazu, co niepodobna; a co najgłówniejszego, bierzecie zawsze za podrzędne. Nie od dzisiaj już tak grzeszycie. Od XVI wieku ubiegacie się za śmieciem zachodu, stroicie się i pysznicie poważnie starszyzną germańskich i romańskich ludów... Pokazał się nareszcie filozofizm francuski, ten rozum nierozumu, to twierdzenie nicestwa, i toście przyjęli. I iluż

jeszcze starannie pielęgnuje i upornie go broni! Teraz młodzież ciśnie się do dymnika niemieckiego panteizmu. Truje się w najlepszej wierze tym niedokwasem zdrowego rozsądku, tym rozczywnikiem wszelkiego poświęcenia, wszelkiego natchnienia, wszelkiego obyczaju. W samą porę przynoszą nieszczęśliwemu krajowi nieugięte fatum, kiedy on najbardziej potrzebuje wierzyć w Opatrzność dającą się przebłagać! W samą porę ten świerzb nowych systematów i religii! W czas uciekać z pola, aby szukać nowej taktyki do walki, kiedy naród stoi pod ogniem działowym męczeństwa. W samą porę dzielić siły, jakobyśmy ich mieli za wiele! Wyborny sposób szukać wiecznie prawdy, aby nigdy nie pełnić obowiązku.“

Dziś gorzej: dziś nie już filozofizm francuski, nie dymny niemiecki panteizm, dziś do tego ustępu trzebaby dodać straszniejszy od tamtych tak zwany pozytywizm, który z człowieka duszę chce wypędzić, a którego się młodzi Polacy chwytają. Dziwna, że niepowstrzymani choćby tylko swoim uczuciem polskiem. Gdzież wtedy podzieją swoją swoją miłość ojczyzny, jak się wyprą duszy? Zwierze ojczyzny nie zna, zna tylko potrzebny sobie klimat i okolicę, która mu dostarcza właściwej żywności. I człowiek, gdyby był jak ono fizykiem tylko stworzeniem, nie pojmowałby ani pragnął więcej. Cóż się stanie z miłością ojczyzny, jeżeli potrwa dzisiejsza bieżąca filozofia? Tęsknić doprawdy przychodzi za Voltairem i za Heglem, bo przy nich na to przynajmniej było jeszcze miejsce.

Jakiż więc u nas stan religii?

„Bracia moi! Z grzechów to naszych wyrosło, śmieszkami się tego nie pozbędziecie. Wyrzuty te i rany na ciele ojczystem zdradzają zepsucie soków żywotnych siły narodowej; wszystko to pochodzi z nieprowadzania w życie religii waszej. Urządziliście sobie wiarę, jakiej nigdzie nie ma na świecie. Z małym

wyjątkiem katolik polski, szczególnie człowiek mający się i miany za oświeczonego, spowiada się jakkolwiek raz około Wielkiejnocy, nie dopełniając przez cały rok przepisów ani Bożych, ani kościelnych; a po spowiedzi zaczyna od zbytków stołowych, od mów przeciwko wierze i obyczajom, od gier, od procesów niesprawiedliwych, od niedotrzymania słowa i zobowiązań, od uciemiężania słabych i poddanych, i tym podobnych drobnostek: i tak znowu trwa rok cały, aż do drugiej Wielkiejnocy. Kto inaczej robi, bigot jest i fanatyk. A cóż mówić o tym trądzie naszym moralnym i kulturowym: rozwodach. Przedmiot żalu i wstydu dla Kościoła i wiernych, dla obcych przedmiot tryumfu i pogwizdu. Poszliśmy w przypowieść i pogardę. Na bujnych ziemiach ruskich, z większym dostatkiem, nie cnoty, ale grzechy bujniejsze. Tak i dary Boże w przekleństwo sobie obracamy.

Wielki Boże! jaki dziw potem, że kiedy w tyłu krajach religia wzrasta, u nas upada. Jaki dziw, że Bóg dopuszcza klęsk i prześladowania. Co Bogu i co ludziom po takich katolikach.“

Czy dziś inaczej? a to nie wszystko jeszcze. Jest ustęp inny tak smutny, że się serce ściska i drży ze strachu:

„Mówiliśmy o Kościele unickim, zostawił on trochę nasienia, trochę krwi męczeńskiej, obudził on sumienie dzieci swoich przed kilkudziesięciu laty w podobny sposób nawróconych, nie przystał na schyzmę, ale sądził, że mu wolno ugiąć się powierzchownie. Teraz burza spada na Kościół łaciński. Już na Rusi blisko przychodzi wybierać między wyrzeczeniem się wiary przodków a majątkiem i ojczyzną, przyjdzie kolej na inne części Polski. Duchowieństwo rozpędzają, lub głodem morzą. Mówią o zamiarach targnięcia się na Ostrobragę, na Częstochowę, to ognisko sere, tę stolicę duchowną katolickiej Polski i Słowiańszczyzny.

Aby wytrwać, trzeba by gorliwości pierwszych Chrześcian, gęstej i gorącej modlitwy, uczęszczania do świętych Sakramentów, żywej pamięci na obecność i sądy Boże, pogardy bogactw i życia. Czy im dostarczy tej siły ów letni, materialny katolicyzm, jaki sobie wytworzyli? Mrowie przechodzi myśląc o liczbie odstępców, o rzadkich wyznawcach i męczennikach. *Oto siekiera przyłożona do korzenia.*"

Kiedy to pisano? lat temu trzydzieści, czy dzisiaj? ah wtedy, bo gdyby dzisiaj, byłoby smutniejsze jeszcze, bo ta siekiera do korzenia przyłożona, jakżeż ona przez ostatnich lat dziesięć sam pień podcięła, że się ledwie nie wali.

Dotąd była żalność, teraz przechodzi gniew. Ależ bo nie na świecie tak nie boli jak wstyd; a ze wstydu najprzykrzejszy jest ten, który nam każe spuszczać oczy przed obcymi. Polski awanturnik za granicą jakiegobądź rodzaju i pozoru, czy ten co paradując swoim tytułem wygnańca robi burdy po podejrzanych kawiarniach i staje potem przed policją poprawczą, czy awanturnik arystokratyczny, modny elegant z tytułem hrabiego, żyjący na kredyt, wyrzucany z mieszkania za rachunek niezapłacony, z klubu za karciane długi, ścigany przez krawców, szewców, rękawiczników, nie mogących się o swoje doprosić: polska awanturница błyszcząca strojem, dowcipem, zalotnym wdziękiem po zagranicznych wodach, a choćby i na najpierwszych zagranicznych dworach, te wszystkie polskie męty wypryskujące z kraju, gdzie dobrze znane wygodnie przebywać nie mogą, i szarżujące po świecie dobrą sławę narodu przyczepioną do podejrzanej własnej, któżby się na to nie oburzył! Do takich to mówi ksiądz Kaysiewicz:

„Widzimy ich za granicą w tych okropnych czasach, żyjących z dnia na dzień jak ofiary pod nóż rzeźniczy, niechęcych nawet myśleć o swem położeniu, bawiących się; jak gdyby Sas u nas, tu Ludwik XV panował. I Sasa nie ma, nie ma oddawna, a Pol-

ska jeszcze nie wytrzeźwiała. Miał Polak zostać mądrym po szkodzie, a tu mniej mądry jeszcze. Widzimy tyle młodzieży zarozumiałej i płochej ze czczem sercem i umysłem goniącej za zbytkiem i rozkoszami; widzimy rozślawiających imię Polski za kulisami teatrów, po domach gier, i gorzej jeszcze, stawających przed sądem, idących do więzienia, nie za wiarę, ani za ojczyznę... ale za długi.“

Gniew ten doprawdy chyba jeszcze za łagodny, za umiarkowany. Ale czy tylko ci jedni winni? A emigracyjne rozterki, a cała ta marna, zbyt często osobista, wojna o demokrację, monarchię, republikę, czy o tej mógł mowca zapomnieć?

„A wy, bracia moi! którzyście popchnęli naród do tej toni, który dziś was, nie oszukujecie się, w chwilach rozpacz, porywania mężów, dzieci, ściga może nie raz swem złorzeczeniem i przekleństwem, — o czym myślicie? Jeżeli macie jakie powołanie, to pewno to, abyście raz wprowadzili katolicyzm w życie; abyście świecili narodowi przykładem, i kiedy on dzisiaj daje świadectwo prawdzie, abyście podnieśli błagalne ręce ku Niebu, w skrusze i pokajaniu. Nie żyjąc życiem narodu, jesteście kupą piasku, którą wiatr w rozmaite rozwiewa garstki, a piasku mniej coraz, i coraz lichszy. Klóćcie się o zasady. Ale jeżeli tymczasem braknie gruntu, na którym je zasiewać chcecie, na co się one wam zdadzą? Cóż tak pilnego — czy zaginą książki, z których je wzięliście i pisma wasze? Czy prócz was nikt się ich nie dopyta? Wolnoż tak myśleć wam, ludziom postępu? Jużście wszystko powiedzieli, każdy pochwyił jedną myśl, na jednej strunie gra od lat dziesięciu, jedno ma tylko oko na widzenie co chce widzieć, jedno ma tylko ucho na słyszenie tego co mu się podoba.

O, gdyby o zasady tylko chodziło, tobyście dawno zbliżyli się i porozumieli, ustąpili każdy coś ze

swego, przynajmniej nie przeszkadzali sobie nawzajem. Jest coś innego na dole, pycha i zazdrość, która wszelką jedność i miłość niepodobną czyni. Pycha, nawet nie pycha, bo ona się wielkich rzeczy czepia, górno chodzi, na wysokie się kasze, ale jak ją Skarga zowie: „szara pyszka. Zdrobniliście, politykując na piasku, w powietrzu zawieszeni bez żadnej podstawy, straciliście już instynkt do wielkich, do jakokolwiek praktycznych rzeczy; w wielu umysłach skrzywionych, śpiących na jawie, prawda marzeniem, marzenie prawdą. Gdybyście czysto szukali dobra powszechnego, na byłoby tylu ochotników do władzy. Chęć władzy, to choroba powszechna, mania emigracyjna; władza nad czem i nad kim? nad pajęczyną, nad dymem? Każdy chce ojczyzny, ale podług siebie i z sobą, zawsze tak u nas było. Działacie, jak mówicie (już ten wyraz jak wiele innych zużyty nadużyciem i w śmieszność podany); działacie, nie ażeby co zrobić, ale aby się krzątać, wołać głośno, podpisać, wydrukować; działacie, aby drugiemu przeszkodzić, aby się nie dać ubiedz wypadkom. Pilno wam o te wypadki! a ja pragnąc ich z jednej strony, z drugiej drzę z obawy, by was niegotowych nie zaskoczyły. Boże mój! jak was takimi znajdują wypadki, czego się tu dobrego spodziewać! O, pokutujcie póki czas! nie czekajcie, aby Pan podniósł swą prawicę, i oświadczył, że już więcej nie będzie czasu. *A już siekiera do korzenia przyłożona.*“

„Działacie, nie ażeby co zrobić, ale aby się krzątać, podpisać, wydrukować, działacie, aby drugiemu przeszkodzić!“ czy wtedy tylko? Albo to znowu:

„Wystawiliście dzienniczki jak owe rozbójnicze zameczki w średnich wiekach; kto wam się nie opłaci, obedrzenie go z imienia i poczciwości; niczego nie szanujecie, przewyższyliście rychło w nadużyciach dziennikarstwo zachodnie; szlachetnie bezpieczni, że obrażony

nie zechce obcym się sądem spierać i pod Jagiełłową cisnąć was ławę. Piękne zadatki dobrego używania wolności w waszym kraju.“

Namnożyło się od tego czasu tych rozbójniczych zamczków, namnożyło się tych „szlachetnie bezpiecznych“ oszczerców, doświadczył tego sam mowca w późniejszych latach swego życia, namnożyło się złego. To też bez dreszczu czytać nie można tych słów: „jak was takimi znajdują wypadki, czego się tu dobrego spodziewać!“ strach pomyśleć, że takimi zastały nas wypadki roku 1846 i 1848, z których wiemy co wynikło, a jeżeli w porównaniu wtedy było przecież lepiej niż dziś... „o Boże mój! czegoż się tu dziś spodziewać!“

A przecież, choć tak surowy i gniewny, przecież miał ksiądz Kaysiewicz jeszcze o nas illuzję.

„Skończył się, mówi, ten patryotyzm robaczywy! Nowy się zaczyna, patryotyzm z poświęcenia. Długo Pan pozwolił operować nad biednym narodem ludziom nie mającym w sercu, na czole, znamienia krzyża, ale dziś Pan widocznie sam się wdał w rządy. Do szkoły swojej Pan mój naród powołał. Nie znalazł innego środka na zbawienie człowieka jedno krzyż: nie ma środka, prócz krzyża, na upamiętanie grzesznego narodu. Wszystkie uczynki dziś mierzą się krzyżem, gdzie tego piętna nie ma, to pieniądz fałszywy; jakiegokolwiek nosi światowe godła, na nic się nie zda Bogu ni ojczyźnie. Najlepszy dziś patryota, kto jest najczystszy moralnie człowiekiem, najgorętszym chrześcianinem.“

Prawda, najlepszy dziś Polak, kto najczystszy moralnie człowiek i najlepszy chrześcianin. Ale czy skończył się, czy pomimo krwawych nauk roku 1846 i 1863 skończył się patryotyzm robaczywy, patryotyzm hałaśliwy, patryotyzm nieodolny, patryotyzm samolubny i pyszny, patryotyzm zardzośny, patryotyzm plochy, i wszystkie w nim rodzaje ro-

bactwa i robaczywości? czy każde słowo tego kazania nie robi na nas dzisiejszych takiego wrażenia, jak żeby było rozpalonem żelazem i piętnowało nas piętnem złych Polaków? A wreszcie zakończenie, to zakończenie, które brzmi jak dalszy ciąg kazań sejmowych Skargi, czy ono do nas, do naszego wewnętrznego stanu i zewnętrznego położenia nie przypada dziś tak dobrze, i może lepiej niż przed laty trzydziestu :

„Naciągnął Pan mój naród na krzyż, jak strunę na lutnię — on Boski lutnista, naród mój najmłodszy z katolickich, Benjaminka narodów, — i stroi go do Boskiej swej harmonii; co raz to próbuje, struna jęczy przeraźliwie... ach! czuję jak jęczy, ale jeszcze nie doszła, a dojść musi, albo pęknie. Polska wytrzyma próbę albo upadnie, emigracya się nawróci lub marnie zginie. Prorokiem nie jestem, co potem będzie nie wiem; ale to wiem pewno, że bez poprawy wewnętrznej nic dobrego być nie może, lub co gorsza, a czego nie daj Boże, będzie powód nowych ostatecznych nieszczęść narodu, bez korzyści, i nawet bez chwały. Dlatego nam tak pilno, bracia moi, dlatego mówimy do was, jak gdybyśmy mówili po raz ostatni. Gdyby naród miał obietnicę trwałości jak Kościół, pogwizdywałbym bezpiecznie na wszystkie wysiłki nieprzyjaciół naszej wiary. Gdyby czasy nie były tak ciężkie, bylibyśmy cierpliwsii; ale oto naród się rozkłada, wszystkie w nim zarody śmierci, życie tak słabe. Pytamy się nieraz czyśmy już opuszczenie Pańsey, czy Bóg was odepchnął ostatecznie za tak długą niepokutę? Wszystkie nieszczęścia nas otoczyły dokoła, jak wody wielkie przejadają się w trzewia i w koście. Jakby wałem z żaru otoczył nas Pan jak owada: żadnej pokuty. Tymczasem wiara upada, odstępców bez liku, między wami już kosztem wiary zebrzą o powrót do domów. Dlatego nam pilno — zachodzimy w głowę jak do was mówić, jak obudzić z letargu; oto już grabarze we drzwiach — a obudzić

nie możemy. Biada nam grzeszonym! *nad tem kwilić i narzekać będę z Prorokiem (Mich. 1, 8, 9), uczynię lament jak młode strusięta. Przeto że nieuleczone są rany jej, gdyż doszły aż do Judy, a dosięgły do bramy ludu mego, aż do Jeruzalem.*"

W ostatku wreszcie odzywa się szorstka energia i krew gorąca dawnego żołnierza, kiedy mówi:

„Już mi się żyć przykrzy, nie chcę patrzeć na hańbę i utratę wiary i upadek mego narodu. Panie, weź mię z tego żywota, nie jestem lepszy od ludu mego. „Ale póki żyję, wołam i wołać będę: czyńcie godne owoce pokuty, oczyszcicie sumienia wasze w skruszeniu serca i złamaniu ducha, padnijcie na kolana, módlcie się, wołajcie w niebogłosość, może się zmiłuje. Pokutujcie! Pokutujcie!! Pokutujcie!!!

Przebrzmiały te słowa jak głos wołający na puszczy, ale znalazły odpowiedź i usprawiedliwienie w roku 1846 i 1863, znajdują je i dzisiaj. Wszędzie, gdzie spojrzeć, w kraju czy za granicą, wszędzie gdzie są Polacy, rozlega się ich smutne echo: wszędzie, prócz w naszych sercach podobno. Miłością ojczyzny, duchem obywatelskim i religijnym, siłą natchnienia i wymowy, najbardziej ze wszystkiego co mamy w naszym języku do kazań sejmowych Skargi zbliżone, miałyby być zbliżone do nich i losem, bezskutecznością swoją? Nie daj Boże. Jeszcze to od nas zależy.

Przytaczamy wyjątków tak wiele, że nam samym nasuwa się pytanie, po co pisać? czy nie lepiej byłoby, żeby każdy wziął w rękę i przeczytał tom kazań księdza Kaysiewicza. Byłoby lepiej, niezawodnie: ale czy każdy ma go pod ręką? czyby każdy przeczytał? Gdyby to zrobił każdy, wyciągnąłby te same z nich wnioski. Ale bez pewności cóż robić? Cytować trzeba, może wyjątki zachęcą kogo do poznania całości; raz zaś zacząwszy, powstrzymać się trudno, nie chce się pomijać wielu piękności, wielu mądrych przy-

stosowań, ma się uczucie, że pomijając zrobiłoby się krzywdę czytelnikowi i ubliżyło zasłudze i sławie kaznodziei.

Stary książę Adam Czartoryski dając jednemu z towarzyszy prac swoich wizerunek swój na pamiątkę, położył pod nim jako prośbę i radę od siebie te słowa: „katolicyzm nasz nie powinien być z miłości ojczyzny, ale patryotyzm z miłości Boga.“ Myśl tę samą rozwija ksiądz Kaysiewicz w kazaniu o *Trojakiem życiu i Trojakim patryotyzmie*. Musimy dać je poznać. Naprzód dlatego, że powiedziane „z powodu zdawkowego zarzutu, że katolik nie może być potryotą“, zarzutu, który do dziś dnia tuła się jeszcze po naszych głowach i pismach, jest urzędową niejako ze strony kościoła odpowiedzią, obroną, wytłumaczeniem jego stanowiska względem uczuć patryotycznych. Powtóre, jest jak żeby spowiedzią mowcy samego z tych uczuć: nigdzie on tak obszernie nie opisał patryotyzmu, jak go pojmował i czuł. Wreszcie, znajdujemy w tem kazaniu piękności i prawdy, których pod korzec chować się nie godzi.

Rozróżnia więc ksiądz Kaysiewicz trzy rodzaje miłości ojczyzny. Pierwsza, czysto fizyczna, instynktowa, nałogowa, to związek człowieka z naturą, pośród której urodził się i żyje, związek nieledwie fizyczny, który sprawia, że góral naprzykład, oderwany od gór, umiera z tęsknoty. Drugi, umysłowy albo rozumowy, zdolny wydać wielkie charaktery i czyny, patryotyzm starożytnych naprzykład, polegający na zakochaniu się w życiu historycznym, umysłowym i moralnym swego narodu, od owego pierwszego nierównie wyższy, ale nie doskonały jeszcze, nie tak wysoki jak być powinien, bo:

„w miarę starzenia się, psucia narodu, a raczej wzrostu samolubstwa w wydatniejszych jego jednostkach, ojczyzna przestaje być, w praktyce przynajmniej, przedmiotem miłości; staje się nim sobie sam człowiek. Ojczyzna wtenczas zostaje środkiem tylko, punktem podpory, podstawą działań, obrębem, pośród którego się porusza, rozwija czynność pojedyncza dążąca do nieśmiertelności ziemskiej, materyałem, który myśl i woła

indywiduów obrabia, przetwarza na obraz i podobieństwo swoje — słowem z oblubienicy uwielbianej ojczyzna zostaje służebnicą. Taki patryotyzm niestety zbyt powszechny między nami. Silny, namiętny, ale skrzywiony, nieplodny samolubnym indywidualizmem. Miłość to zalotna, zazdrośna. Niejeden dałby wszystko dla ojczyzny, ale też sam jeden chce nią rozporządzać. Tyle i dopóty jej służy, dopóki nią może kierować i rządzić podług woli swojej.“

Historya stwierdziła nieraz, i sama nawet historya polska, a w ostatnich czasach francuzka bardzo wyraźnie, że patryotyzm taki na zawsze nie wystarcza, że przy nim przychodzi czas, kiedy „w praktyce, przedmiotem miłości przestaje być ojczyzna, a staje się nim człowiek sam.“ Historya polska zaś, więcej może niż każda inna wskazuje ludzi takich, którzy daliby wszystko dla ojczyzny, byle nią rządzić“ — to patryotyzm wszystkich naszych rokoszanów.

Wreszcie patryotyzm trzeci, taki jak być powinien:

„Aby uniknąć tego nierządu, nie kochać ojczyzny dla niejże samej a tem mniej dla samego siebie, trzeba ją pokochać w Bogu i dla Boga. Wtenczas nie będziemy niewolnikami rodzimej ziemi, ani nas samych, zachowując przecie co czystego z uczuciowej i rozumnej miłości. Kochać ojczyznę w Bogu, nie jest przedłużać jej trwanie, przenosić ją w wieczność absotutnie; bo łaską Bóg uświęca i w chwale nagradza, słowem zbawia, tylko indywidua. Każdy pojedynczy człowiek mając jeden wszystkim wspólny cel ostateczny, różne ma przecie powołanie i przeznaczenie na ziemi, i osobnemi środki dopełnia woli Bożej nad sobą. Podobnie całe narody (a narody Bóg stworzył, człowiek zaś może tylko ulepić państwo, to jest sztuczną mozaikę lub mieszanie ludów) mają w tem życiu przechodnem odmienne stanowisko, osobne powołanie, które spełniać są winne pod karą potępienia ziemskiego, na czas lub

na zawsze, jako osoby samoistne. A jako wiedza o każdym człowieku trwa wciąż i na zawsze w Bogu, tak wiedza o narodach trwa i trwać będzie na zawsze w Bogu, choć przejdą i ta ziemia i ród ludzki.“

Na uzupełnienie zaś rzeczy daje mowca obraz i trzech rodzajów patriotów. Rozróżnia je podług środków, jakich używają lub użyć są gotowi na korzyść ludzkości, ojczyzny, lub rodziny:

„Pierwsi, ludzie cielesni, którzy poza ziemią nie znają nic wyższego, ani Boga w praktyce, ni przeto mają sumienia, istne Beliala i ciemności syny, nie znają też skrupułu w wyborze a użyciu środków w ich mniemaniu prowadzących do celu. Nie ma dla nich właściwie złego ni dobrego, godziwego i niegodziwego; tak mówią, tak rozprawiają, jakoby powodzenie samo nadawało moralność i prawość wypadkom. Tacy będą się spokojnie grzać przy łunie buchającej z dachów ojczystrych, z głupią radością i dumą Herostrata; będą podrzeźniać ostatni krzyk wstydu bezczeszczonych niewiast, zatkną uszy na charkanie konających z bratobójczej ręki, umyją ręce we krwi bratniej bez sromu i rzekną jak owa cudzołożna niewiasta, *która ucieraając usta swoje, mówi: nie uczyniłam nic złego* (Przyp. Salom. XXX, 20). Drudzy nie idą dzięki Bogu tak daleko, nie powiedzą, wprzódymy Wenecyanie niż Chrześciance; ale też nie szukają naprzód Królestwa Bożego i jego sprawiedliwości, i dlatego reszty w przydatku nie dostają, a Królestwa Bożego często przez to nie osiągają. Prawi zresztą, sądzą przecie, iż jest jakaś osobna, szersza moralność dla ludzi politycznych, szczególnie na raz ciężki: że wolno od złego złem się bronić, i wet za wet oddawać. I ztąd ciągle niebłogosławieństwo Boże na tyle prac i wysień i poświęceń. A tyle razy wam mówiłem, co się wciąż sprawdza, iż jakkolwiek niektórzy nadspodziewanie postąpili w sy-

stematycznym umarzeniu sumienia chrześcijańskiego, przecie są zawsze niedorostkami i nowotnymi w złem: każdy was w niem wyprzedzi, owoc grzesznej pracy waszej sam zbierze i przeciw nam obróci.

Człowiek duchowy, jak wszystko, tak i ojczyznę kochając w Bogu, tych tylko użyje środków na jej korzyść, których zakon Boży pozwala. Woli później a z Bogiem, niż prędzej a z szatanem. Wie, że Bóg w miłosierdziu swoim i ze złego dobre wyprowadzić umie; ale wie także, iż nie wolno złego czynić, aby ztąd wyszło dobre, zwykle wątpliwe, późne, i za drogo kupione. Wie, że Bóg odpuszcza, daje siłę jednym zaślepieńcom albo złoźnikom, dla ukarania drugich, jak wie, że dotychczas bez oprawców obejść się nie zdołano; dlatego jednak nikt pocziwy takiego się rzemiosła nie podejmie. Znajomość dziejów i przykład nowożytnych narodów, pominąwszy nawet kwestyę moralności, uczy go, co to za nieskuteczność i niebezpieczeństwo środków gwałtownych, operacyj chirurgicznych, że tak powiem, odbywanych na narodach. Krwawe akcye i reakcye, pomimo pozornego przyspieszania, opóźniają ostatecznie postęp wolności i błogości społecznej, który regularniej i powolniej się rozwijając, prędzej istotnie zdąży, z niezmierną korzyścią niezachwiania podstaw moralnych wszelkiego społeczeństwa. Środki gwałtowne dają sztuczną siłę na chwilę; ale potem długie za sobą ciągną omdlenie, niemoc często chroniczną, śmierć zwykle tam, gdzie organizm towarzyski słaby jak u nas. A najsmutniejsza ze śmierci, samobójstwo. Co żyje, żadną sztuką i wysileniem zabite być nie może; owszem udziela życia. Zakopane jak ziarno w ziemię, przygniecione, w nowym może i zmienionym kształcie, ale bujniej wejdzie. A gdyby już umrzeć trzeba, lepsza śmierć uczciwa i sławna, od lichego i niesławnego żywota. Są ludzie i narody zgasałe, o których każdy mówi z uroczystym uwielbieniem i serdecznem współczuciem; są ludzie i narody, które

się przeżyły, i póty tylko trwają, lub wracają do sztucznego galwanicznego życia, aby były przedmiotem szyderstwa i wzgardy. Nie daj Boże takiego życia! wolalbym, aby koście nasze jak Elizeusza w samym grobie prorokowały. Ale nie idąc tak daleko, powtarzam, iż chcieć wprzód zepsuć naród, odjąć mu wszelką wiarę i cnotę, aby wydobyć z niego siłę i podźwignąć go, uważam jako zaślepienie, na które nie ma wyrazu. Niechby się taką ojczyzną cieszył kto chciał, taką ojczyzną można znaleźć i w piekle.“

Łatwo pojąć, że za słowa takie spadać musiały na mowcę wielkie gniewy tych, którzy się w powyższym wizerunku poznali; a mając cokolwiek tylko doświadczenia, można sobie wyobrazić, jak zła wiara rzuciła się żarłocznie na te słowa, jak je pochwyliła i przekręciła. „Nie daj Boże takiego życia“, a więc oczywiście nie daj Boże Polski! „Taką ojczyzną można znaleźć i w piekle“, więc podług katolickich pojęć i nauk, patryotyzm, miłość ojczyzny, prowadzą dopiekła! Wniosek jasny jak słońce. Nie brakło napaści takich w owym czasie, ale w porównaniu z późniejszymi były tak słabe jeszcze, że nie rozwodząc się nad nimi długo, wystarczy tylko przypomnieć je, a przytoczywszy *corpus delicti*, zostawić każdemu sąd o ich słuszności.

W kazaniu o *Walce i Żołnierstwie Duchowem*, jest taka piękna charakterystyka dziejów trzech głównych szczepli słowiańskiego plemienia, Polski, Czech, i Rosyi, a zwłaszcza takie wspaniałe porównanie trzech wielkich gałęzi chrześcijaństwa, protestantyzmu, schyzmy, i Kościoła katolickiego, że mielibyśmy wielką ochotę tutaj je umieścić. Jednak dla znacznej ich długości, musimy się tego wyrzec, prosząc czytelnika, żeby je sobie sam wyszukał, jeżeli chce coś pięknego przeczytać. Koniec wszakże, na to się nie spuszczać, przytoczyć sobie pozwolimy:

„Może się ta powódź posunąć jeszcze na Europę, aby ją ukarać i obudzić, może zniszczyć, ale czy zbu-

dować, czy ostać się potrafi? Czy oświata europejska, czy wolność świecka, duchowna, czy przeszłość wielka i przyszłość, którą Kościół nosi w głębokich wnętrznościach swoich, zaginą? Czy sądzicie, że Europa da się zarzynać, aby broniąc się, nie była pomówiona o walkę religijną, jak to wpośród was śpiewają? Czy losy ludów jednych mniemań i wiary nie są wspólne; czy pomyślność lub upadek jednych, nie daje się czuć drugim; czy od dwóch wieków jak Ewangelia wygnana z polityki, wszystkie ludy katolickie nie cierpią, one jedne szukając przecie innego, lepszego życia? A jeżeli tak jest, czy wątpliwe stanowisko Polski, wystawionej na pierwszy ogień, na pierwszy nacisk schyzmy, wstrzymującej dalszy jej pochód na Europę? Słabo się broni, wśród powszechnej obojętności, ale się zawsze u nóg płacze. Lecz choćby też po jej trupie przewalił się zwycięzca, choćby się tarzała w krwi własnej, dopóki z pola nie zejdzie, dopóki chorągwi nie upuści i hasła nie wyda, może się spodziewać odsieczy; inaczej niczego, nawet ucziwego skonu. Zresztą niema wyboru; com zapowiedział zeszłego roku, co się zdało i może zdaże przesadą, sprawdza się: Polska stoi w tej chwili między apostazją, a żebractwem i wygnaniem. Przed nią życie i śmierć. Czy ugnie kolano przed Baalem? chwila uroczysta, sąd Boży na ziemi. A wy bracia, czy się raz odmienicie, czy zdecydujecie się szczerze za Bogiem i Jego Kościołem? pół Polski już straciło wiarę, za nią straci narodowość, jak dawniej Smoleńszczyzna, Siewierskie, Ukraina zadnieprńska; czy może chcecie zaczekać, aż się wszystko skończy? może zwyciężycie Boga?

„O! Boże, sprawa nasza święta, sprawa to Boga i Kościoła, cywilizacyi i wolności; ale jaka jej obrona? Sprawa ta zwycięży, ale Polacy?... pewna, że naród sam tworzy losy swoje. Sprawa święta, sprawa Izraela, ale wśród nas dotychczas obyczaj Babilonu. Krzyża

Pańskiego w sercach nie ma: krzyż Pański o ziemię rzucon, bałwany Babilonu wpośród nas czezzone — chorągwie, hasła i zamięszanie Babilonu. Prorok i kapłany Pańskie wołające do pokuty, do poprawy, do modlitwy, niesłuchane, wyśmiane temiż samemi wyrazy, jakie im dają w Babilonie. Lękamy się fanatyzmu. Dziwna, że i konający lęka się kochać Boga, modlić za wiele, i to w jakich czasach? Letni i otyli lękamy się zawsze fanatyzmu; nierządni aż w szpikach kości naszych lękamy się zawsze despotyzmu; o obludo!“

Następuje potem wezwanie, żeby zamiast targować i rachować się z Papieżem, że dla Polski zrobił za mało, garnąć się do kościoła, a w słowach ostatnich jakiś biblijny, psalmowy ton nadziei i tryumfu, rzadki u tego mowcy, ale piękny, jak najpoetyczniejsze ustępy z tryumfalnych zwycięskich mów Birkowskiego :

„O! niechże już raz na pobojuwisku dymy gęste niedowiarstwa i zepsucia, rozpacz i hardości opadną — niech się Babilon od Jeruzalem rodzieli; niech sprawa święta święcie pojęta i broniona będzie. Niech Chrystus, wódz nasz niewidzialny na niebie i Namiestnik Jego widomy na ziemi, niech ujrzą na kogo wśród nas liczyć można; niech ujrzą Polaków z przyłbicą żywej wiary na czole, z tarczą mocnej ufności i nadziei na piersiach, z ogniem miłości w sercu, z mieczem prawdy w dłoni, z pobożnym śpiewem na ustach, z krzyżem podniesionym za chorągiew, z hasłem: *kto jak Chrystus! kto jak Kościół!* A co nam się zdaje zapóźno, przyjdzie w sam czas. W sam czas głos wiekuisty z Syonu zabrzmie piorunowem echem na wieki i narody. A Pan, jakoby śpiący dzisiaj, podniesie się na tronie swoim i uderzy w grzbiety nieprzyjacioly swoje. Wśród uczyty zwycięztwa i spijania z naczyń świętych, wyjdą głoski tajemnicze na ścianę, a moc Babilonu rozleje się jak woda i upadnie. I wstydzić się będzie

swego złego imienia, dla narodów, które chwiać nad nim głowami będą i dziwić się i szukać go napróżno w miejscu jego. A wygnanie zniknie jak lody na rzekach, jak śniegi na górach pod powianiem wiatru południowego. Chwalić będą Boga wyzwoleni, wtórować im wszystkie narody i wysławiać będą Ojca, który uderza i pieści, rani i leczy dzieci swoje, przyprowadza do bram śmierci i życie powraca, a wszystko w czasie swoim“.

Znowu przyszła rocznica 29 listopada (w roku 1844), znowu sposobność i konieczność mówienia z ambony o ojczyźnie. Tym razem o *Cierpliwości*.

„Po co szukać daleko, mili bracia! przedmiotu do mojego zagajenia. Rok ten ubiegły dziwnie mi się zdaje obfitym w wypadki, pełniejszym od innych: wszystko jakoś idzie, ba, pędzi przyspieszonym biegiem. Mogę tu stosować słowa z hymnu kościelnego: *Vita et mors duello conflixere mirando* (Życie i śmierć dziwnym ścinają się pojedynkiem). Ile zarodów życia pojawiło się lub wzmoгло w ciągu tego roku na polskiej ziemi, ile zarodów śmierci mamy jeszcze do stłumienia: taki przedmiot i taki podział dzisiejszej przemowy mojej. A to, aby się ucieszyć z iskier życia i przy nich się zagrzać na walkę z żywiołami śmierci, walkę nieubłaganą, ale spokojną; abyśmy w *cierpliwości utrzymali dusze nasze* i na lepsze je zachowali czasy, i abyśmy z czasem zagrzmieili pieśń zwycięstwa, co Duch św. w innym obiecuje miejscu: *Vir obediens loquetur victorias*“.

Do zarodów życia liczy kaznodzieja, prócz innych, jako najgłówniejszy, stałość księży prześladowanych na Litwie i w głąb Rosyi zasłanych. Wygnanie to wydaje się kaznodziei, zbyt porywczmo może, opatrzniem rządzeniem, ale nasuwa mu ustęp wielkiej piękności:

„Zapomniemyż o krocjach apostołów świeckich polskiej wiary i wolności, rozrzuconych po całym obszarze carstwa, po miastach i pałacach, wsiach i obozach? czy nie zgadujecie myśli Bożej, czy nie widzicie wielkiej przyszłości? O! Panie Wszehmogący, którego mądrość igra po ziemskim obszarze, który grzeszników rady przeciw nim samym obracasz, ja Cię z góry chwale i wysławiam Boże mój! Chcieli nieprzyjaciele Twoi o Panie, zagasić ogień święty w ojczyźnie naszej! nie zgaszą go, nie zgaszą; ale roznieśli dość główni po domu swoim, aby ten sam u siebie rozniecić. Chwała Ci Panie! a dla nas pociecha. Ucieszmy się bracia w cierpliwości naszej. Czytaliście jak muzulmanin pomścił się nad zwycięzcą, wszczepiając weń zarazę śmierci zatrutemi usty i konał w boleściach piekła, ciesząc się nadzieją, że takież los wkrótce i wroga czeka; ale my się cieszymy zemstą polską i chrześcijańską w boleściach czyśca naszego, bośmy pocałunkiem miłości i łez naszych, wszczepili w zwycięzców zarazę prawdy i wolności, i już się z tej zarazy nie ulecą, jużesmy ich ukarali za wszystko złe, jakie nam zdawna uczynili!“

A zarody złego, zarody śmierci, które w tym rocznym obrachunku narodowego sumienia przypomnieć mu wypadało? Były niemi rozpoczęte już na dobre i czynnie prowadzone przygotowania do tak zwanego powstania 1846 r.:

„Czas już wrócić do chleba naszego powszedniego, do chleba boleści. Zaczęliśmy od Boga i modlitwy, jak słuszna, tembardziej w ciężkich razach; na modlitwie i Bogu skończmy. Smutne nas dochodzą z kraju i pewne i straszniejsze jeszcze samą niepewnością wieści. Ojczyście rzeki nasze wylały, ciągnąc za sobą nie obfitość, ale głód, i już zdala sina zaraza żałobną powiewa chorągwią. Wielka wojenna oblawa, świeccy i kapłani zapelniają więzienia, część młodzieży już skazanej pój-

dzie na nowe męczarnie... już słyszę ich jęki, chrzęst rozczłonkowanych kości... ach! jeżeli o czem, to o tem dziś mówić niepodobna; tu by nie stało cierpliwości, a w *cierpliwości posiadać dusze nasze mamy* i mąż cierpliwy ma zaśpiewać zwycięstwo. Przecie poskarżę się w boleści mojej, wszak nikomu nie zaszkodzę. Nie ja, nie ja zapewne wystąpię ze słowem chłodnego rozumu, bez wnętrzości, nie; ale przecie, czy mądrze sądzą, czy mądrze sobie poczynają ludzie, którym się zapewne w najlepszej wierze zdaje, że nowe coraz ofiary wzmacniają, podnoszą życie narodu? Cóżbyście powiedzieli o lekarzu, któryby osobę młodą i czerstwą, ale omdlałą i osłabioną świeżym krwi upustem, ranił od czasu do czasu, dla przekonania się czy jeszcze krew pójdzie, czy jeszcze żyje? Najmilsi! krewci pójdzie, krew jest znakiem życia, ale czy powtarzany upust krwi sił dodaje? Jakże pochwalić tych, którzy zdaleka popychają indywiduala, gdzie miliony ludzi przykrzy sobie życiem, którzy popychają zdaleka młodzież zawsze szlachetną i gotową, ale w doświadczenie nie bogatą i długiej tajemnicy nie zdolną, słowem, próbują czy proch się zapali, skoro iskra weń wpadnie. O biedni my! my chcąc skrócić cierpienia, przedłużamy, chcąc zmniejszyć, zwiększamy. Kusi nas tyle poznań życia, co wskazują, że Bóg nas chce mieć narodem, i wciąż własnym kosztem przekonywamy się, że jeszcze nie był czas, bo się nam wszystko w rękę łamie, rwie i kruszy. Jeszcze się nieba nie otworzyły, rosa błogosławieństwa nie spłynęła, jeszcze niebo miedziane nad nami, czegoś nam nie staje jeszcze, czegoś nie dosyć. O ludzie mądrzy, ludzie dobrej woli, tego czegoś poszukajcie, o te coś się postarajcie“.

Kazanie o Postępie religijnym uważamy za bardzo ważne pod dwojakim względem. Powiedziane w czasie, kiedy najbardziej wśród emigracyi szerzyła się doktryna Mickiewicza o nowem wcieleniu Słowa i doktryna Krasiń-

skiego o epoce Ducha św., jest ono repliką katolicyzmu polskiego na te dwie myśli wielce podówczas znaczące w naszym życiu, a przez ludzi od których wyszły, znaczące na zawsze w naszej literaturze. Powtórę ciekawe jest bardzo, jako argument przeciw temu zarzutowi martwości i nieruchomości, jakim zawsze wojują przeciwnicy Kościoła, i jako określenie stosunku jego do państw urzędowych i istniejących, i do narodowości:

„Wiadomo braterstwu waszemu, że niektórzy, tak z obcych jak z naszych, czekają już to epoki św. Jana, już św. Ducha, zawsze epoki szczególnego panowania miłości Bożej. My po prostu czekamy trzeciego wybuchu Chrystyanizmu, jak się jeden z katolickich pisarzy wyraża: Dałby Bóg, abyśmy się na jedno zgodzili, a sił rozdziałem i walką wzajemną nie osłabiali. Kilka wieków Kościół się pasował, nim przemógł i podniósł ciężkie ciasto zepsutego pogańskiego świata. Młode a żartkie dusze, jak jeden z naszych pisze, gorszyły się tą długomyślnością, bo łatwiej czynić o prawdę jak cierpieć za nią i czekać. Kilka wieków o postęp pasował się z średniowiecznem barbarzyństwem, od kilku wieków pasuje się z pogaństwem wracającym w naukach, sztukach, prawodawstwie; z autonomią czysto ludzką rządów, z polityką materyalną. Walka długa i oporna, zewnętrzna i wewnętrzna, ale da Bóg, wiek nasz zobaczy jej rozstrzygnięcie. Nastąpi rozróżnienie między złem a dobrem oświaty nowożytnej; dobre, myśl katolicka wciąż sobie przyswaja i przyswoi do reszty. Złe upada i upadnie. Ale trzeba było nauki dla świata, aby poszło do ostatnich następstw swoich, aby się samo zniszczyło zbytkiem swoim, i aby ludzie, budujący bez Boga, raz jeszcze, jak nad wieżą Babel posłyszeli śmiech Boży. Zaczyn ewangeliczny porusza wciąż masę światową — burzenie się i kipienie długie, niewdzięczne, cierpkie nawet, ale zbawienne; w tym zaczynie Bożym jest siła, która wszystkie siły przeciwne zwy-

cięży, wszystkie żywioły odporne, zgubne, przegryzie i strawi. A że w katolicyzmie odpór jest zawsze w stosunku napadu: jak działanie niewiary jest silne i głębokie, tak oddziaływanie wiary być musi silne i głębokie. A jak działanie niewiary jest rozgałęzione i powszechne, tak oddziaływanie wiary musi dać się uczuć (i już się daje) po całym świecie, dziś wszędzie dostępnem i więcej niż kiedykolwiek solidarnem. A jak pogaństwo z ideą stanu zgwałciło narodowości wypielegnowane przez Kościół, tak reakcyja katolicka musi znieść państwo czysto ludzkiego utworu, a podnieść i uświęcić narodowości. A jak materjalizm stara się dać ludowi oświatę bez wiary i przez dźwignię stowarzyszenia podnieść dobry byt jego, ale kosztem obyczajów i rodziny, tak myśl katolicka da rychło światło równe i większe ludowi obok wiary i z wiarą; byt ziemski polepszy, rozwijając nadto i podnosząc w stosunku życie wewnętrzne i duchowe, aby zmysły nie przemogły nad umysłem, ciało nad duszą. Bo Kościół musi w swej ziemskiej pielgrzymce wszelką myśl Chrystusową w życie przeprowadzić, musi wszelkie dobro możebne rozwinać, musi siłę złemu wydrzeć, obnażyć z wszelkiego dobra, którem się pokrywa, przyswoić je sobie, zastosować i uświęcić. A że im więcej światła, obok jasności rośnie i ciepło: tak prawda katolicka rozlewając się falą jasną po świecie upał miłości Boga i bliźniego niezmiernie podniesie. Jeżeli ci o których wspomniałem tak rozumieją tę epokę św. Jana, św. Ducha, słowem miłości, możemy się zgodzić, wspólnie pracować, prosić, oczekując obfitszego wylania się tegoż samego Ducha świętego, który zstąpił na Apostołów, którym żył i żyje Kościół, uświęcał i uświęca wciąż ludzi i narodowości, a za dni naszych coraz to silniej światem porusza. Kto przeżył już kilka dziesiątków lat, niech powie, czy nie widzi, czy nie czuje, że coś nowego, dziwnego święci się na ziemi? przyzna każdy, choć nie każdy pojmuje; nie jeden się gniewa. I nie dziwnego, starsi z braci

naszych zrodzili się w czasach osłabienia wiary — widzieli odpływ morza, wzięli w posiadanie suche wybrzeże, dziś kiedy kędzierzawią się zdaleka fale, wspinają, ściskają się i pędzą z szumem ku lądowi, chcieliby zostać na miejscu, nadstawiają piersi, wytężają ramiona, aby wstrzymać przyływ wiary. Igraszka dziecinna! Ducha Pańskiego kto wstrzyma? Nieszczęśliwi, wołam, dajcie się fali unosić ku lądowi, inaczej nędznie zużyjecie zdrowie i życie. Kiedy ten ruch dojdzie mety swojej? kiedy ten okres nowy stanie w zenicie? kiedy przeczucia się stwierdzą, spełnią pragnienia i nadzieje? — ja nie wiem — Bóg wie. On Panem godzin i dni jak lat i wieków — dość, że idziem ku temu, a przeczucie mówi, żeśmy bliscy przesilenia. Czy my dojdziem do ziemi obiecanej? czy tylko ujrzymy ją z góry, czy w drodze polegniemy? ja nie wiem. — Bóg wie, to dosyć. Kiedyście drzewo sadzili, nie myśleliście, czy sami pod jego cieniem spoczniecie. Kiedyście pierś na ostrze i pociski wystawiali, nie myśleliście czy dla was samych wywalczycie ojczyznę?“

Zostają nam dwa jeszcze ważniejsze z tej epoki kazania o dwóch cnotach, które nieszczęściem nie były nigdy narodowemi cnotami Polaków o *Wytrwałości* i o *Jedności*. Wytrwałość? jaka i z jakiego powodu? Dwojaka. Wytrwałość w wierze naprzód, z powodu Messyanizmu, z powodu przykładów apostazy jak emigranta Mirskiego, który przeszedł na schyzmę; wytrwałość także w wierności i poświęceniu dla ojczyzny, w narodowej cześci i honorze, z powodu, że niektórzy na wychodźstwie słabli, i prosili o pozwolenie powrotu, o amnestyę, o przebaczenie. Przedmiot ten nasunął kaznodziei słowa jedne z piękniejszych, jakie kiedykolwiek wyrzekł:

„Połowę zrobił, kto dobrze zaczął, słusznie mówią; połowę zrobił istotnie, kto dobrze zaczął. Ważny zatem bardzo namysł, przed wzięciem się do dzieła. Człowiek, istota obdarzona rozumem i wolą do działania, jak ptak

dwoma skrzydły do latania, jeżeli czuje się od woli wzywanych lub popychanych do czynności, wprzód rozumem zważyć winien słuszność, a podobieństwo wykonania. Wtenczas dopiero obmyśliwszy środki wiodące do celu, korzystnie kieruje, a nawet pobudza działalność woli. Chrystus Pan w paraboli o wojowniku, radzi przed spotkaniem się obliczyć siły, azali ich dosyć do zwycięstwa; inaczej, lepiej wcześniej godniejszego szukać sojuszu. W przypowieści o budującym, również każe zmierzyć zasoby i materiał, aby gdy zacznie, a skończyć nie zdoła, przechodnie nie chwiali głową, a nie naigrawali się z niebacznego. Jest wprawdzie drugie niebezpieczeństwo, namyślać się za długo, namyślać się długo i wiecznie; „chce leniwiec i nie chce“, nie do końca życia nie zrobi i z próżnemi przed Bogiem w wieczności stanie rękami. Nie nasza to wszakże wada; owszem, grzeszym zwykle przeciwną ostatecznością. Porywamy się gorąco bez namysłu i rychło się nieśhęcim, porzucamy dawne i równie porywco do innego bierzemy się dzieła. Bogaciśmy w te dobre chęci i pragnienia, któremi, jak Bourdaloue się wyraża, piekło wybrukowane. Pełni liści, dojdziem do kwiatu, rzadko do owocu. Poczynamy wciąż i równie łatwo ronimy. Potoki Tatrzańskie, spadamy z gór pierwszego popędu, z szumem i łoskotem jak wielkie rzeki: obejrzyć się, a oto i wąskiej błękitnej wstęgi nie widać. Obyśmy przynajmniej doszli równowagi męskiej, kiedy inne ludy Europy spadną do wahania się niedoleźnej starości. Tą równowagą w działaniu, tym ideałem czynu, jest zapal w pomyśle i postanowieniu, obok ciągu i upornej wytrwałości w wykonaniu. Kto, po namyśle czy bez namysłu, zbłądził w obraniu drogi, z prostotą i pokorą postzedz się i cofnąć powinien. Kto się jał dobrego, by też porywco i nie obliczywszy sił swoich, powinien trwać, wzywając pomocy Bożej, a Bóg jak obiecał, nie zawiedzie“.

Wspomnieliśmy raz podobno, że ksiądz Kaysiewicz był jednym z głębszych znawców natury polskiej; oto ustęp, który spostrzeżenie to, zda się nam doskonale stwierdzać:

„Zastanawiając się nad powodami niewytrwałości pomiędzy nami, znajduję przedewszystkiem nie znajomość, nie poczucie, lub zaniedbanie obowiązku, tej sprawiedliwości pierwszej, ścisłej, nieodzownej. Tymczasem tak powszechnie dziś w ustach wyrazy: poświęcenie, ofiara: znać, że nie tak się w sercach ma; im więcej słów, tem mniej rzeczy. Istotnie, wyobrażenie poświęcenia rośnie wciąż kosztem uczucia obowiązku. Poświęcenie jest dobrowolne i niejako jest z łaski; zwykle wyobrażamy sobie, że można go poprzestać, kiedy nam się podoba. Gdyby przynajmniej w tym odwrotnym pochodzie zatrzymać się i bronić w okopach ścisłego obowiązku. Ale niestety! najczęściej porwawszy się na wiele, kończymy na niczem i gorzej jeszcze. Inaczejśmy się przebrali, inaczej i rozmaicie przezwali, zawsze przecie jesteśmy nieodrodnymi potomkami tej szlachty polskiej, która nie chciała płacić stałych podatków, jedno darowizną skarb zasilać, i zwykle skarb zostawiała pustym. Jesteśmy potomkami tej szlachty, która nie chciała przystać na wojska stałe, wychodziła z ochoty na popolite ruszenie i odgrażała się na kopijach swoich zatrzymać choćby walący się strop nieba: a która w czasie największej potrzeby wracała do żon i dzieci, i sądziła, że się dobrze zasłużyła ojczyźnie. Bo poświęcenie z łaski nie obowiązuje do ciągu; a poczucia obowiązku u nas nie ma. Tak, iż bez przesady możemy powiedzieć, żeśmy upadli poświęceniem, dla zbytku poświęcenia podnieść się nie możemy. Słowem giniemy poświęceniem! i wołać przychodzi: od podobnego poświęcenia wybaw nas Panie! Zresztą nie chcę naganiać co jest zacnego, świętego w narodzie i charakterze naszym, nie przeczę rzeczywistego ducha poświęcenia: nie chodzi mi o wyrazy, ale o rzecz, o ciąg w działaniu, o wy-

trwałość, o uczucie obowiązku. Dopóki zapał, korzystać z zapału. Kiedy wiatr dmie pomyślny, rozwiń wszystkie żagle u łodzi; ale wśród burzy nie opuszczaj rudła, wśród ciszy nie leń się pocić przy wiosle. Mądry żeglarzu nie rozbijaj się w porcie, nie trać pracy tyle i nakładu, nie leń się jać wiadra, nie daj się zalać weiskającej się fali smutku i boleści. Myśl o końcu, *respice finem*, pamiętaj, że koniec dobry wszystko naprawia, tembardziej wszystko uświęca“.

A wytrwałość w honorze, wierność chorągwi, szlachetna duma narodowa, uczucie godności i czci? zobaczmy jak się te zgodzą z ciasnym rzymskim fanatyzmem tego mnicha, i czy on takie rzeczy czuć i rozumieć jest zdolny? Zobaczmy to, już nie przez ciekawość, ani dla literackiej przyjemności, ani dla dobrej nauki, ale dla sprawiedliwości. Mnich ten tyle razy, tak zajadle prześladowany był za to, że Polskę zaprzęda i zdradza, że warto rzucić potwarcom w oczy te słowa, które dowodzą, jak on godność Polaka w sobie i w drugich czuć i szanować umiał.

Chodzi mu o to, żeby emigranci wytrwali na swoich miejscach, a o amnestję nie prosili:

„Bracie miły, przyjmiesz jak zecheesz ostrzeżenie moje, pytam cię, jak św. Piotr Ananiasza i jego żonę, kto zmusił, co cię zmusiło jać się pielgrzyskiego kosztura, który dziś cheesz rzucić? Spytaj się, jak święty Bernard pytał siebie w zakonie „po coś tu przyszedł Bernardzie?“ Mogłeś wtenczas bez poniżenia i niebezpieczeństwa pozostać w domu: ale czy dziś bez poniżenia i niebezpieczeństwa doń wrócić potrafisz? Co cię zachęca, co cię zmusza do powrotu? czy się okoliczności zmieniły, czy tylko serce twoje, — bo czy dziś lepiej w ojczyźnie jak wtenczas, kiedyś o nią w polu czynił, a zwyciężony opuścił? czy lepiej?... ach! gorzej sto razy, gorzej jak wtenczas, i ty stan taki twej ojczyzny cheesz uznać twym powrotem, cheesz potępieć

się sam i swoje szlachetne poświęcenie, i czujesz się widać na siłach widzieć wszystkie nadużycia zwycięzców, słyszeć jęki męczonych braci i niczem swych uczuć nie zdradzić? Czy dlatego wracasz, że tu cierpisz biedę i nędzę? czy tam jej nie cierpią, czyś pewny, że cię tam gorsza nie spotka? czyś zresztą jej z góry nie przewidział? Jeżeli nie, toś był dziwnie płochy i młodość cię nie wytłumaczy. Jeżeliś tu obiecywał sobie szczęście i pomyślność, to szlachetniej było pozostać w domu; a jeżeliś przewidział wszystko, czegoś się dziś cofasz? Możesz jeszcze z tych liczby, którzy się własnoręcznie podpisali, że upadku ojczyzny nie przeżyją, możesz to bez liku powtarzał, śpiewał! i jakże to dziś znowu osobą twoją rozporządzasz? Kto na śmierć skazany, rad ulaskawieniu, choćby na dożywotnie, najcięższe więzienie; cóż dopiero który się sam na śmierć skazał. Czy się składasz tęsknotą za swojemi, tym krzyżem wygnańca, dopieroż Polaka? — Ale czyś ich wtenczas nie miał? czy rana przygojona od świeżej boleśniejza? — a jeżeli oni dziś słabsi w duchu, i równie nieroztropni, czyż ich koniecznie słuchać winienes? Naprózno wołać będziesz, że ci tak żyć niepodobna; tysiące głosów żywych ci odpowie, my możemy, czemuś ty nie mógł; tysiące głosów z mogił się odezwie: myśmy umrzeć na obcej mogli ziemi, a ty żyć nie możesz?... Ale przypuszczam, że mię nie usłuchasz, że owszem słysząc w sumieniu swoim wyrzut tyłu braci żywych i umarłych, prędzej się jeszcze oddalisz. Będziesz wracał tą samą drogą, którąś przybył, ale nie sławnie jak wtenczas, nie w tryumfie, nie wśród okrzyków i wieńców, ale pokryjomu, tając się z twojem imieniem i celem podróży. Opuszczasz nas wtenczas, kiedy nowi nam przybywają towarzysze tułactwa; spotkasz niejednego może na granicy, który i majątek i rodzinę rzuciwszy z duszą uchodzi; któryż z was teraz winny i nierozważny? W nowych może brak roztropności, może brak odwagi utrzymywania się w trudnem stanowisku, — ale

przynajmniej mają za sobą radę, pozwolenie, rozkaz Zbawiciela naszego, który radzi opuszczać miejsce, gdzie panuje prześladowanie, a schronić się gdzieindziej. A ty rzucasz się na oślepa w miejsce i chwilę najgorętszego prześladowania, które wciąż rośnie; wystawiasz na niebezpieczeństwo duszę twoją, a wiesz, iż kto szuka niebezpieczeństwa, zwykle w niem ginie. Kościół zakazywał następcą się na męczeństwo, i niejeden z grzeszących gorliwością nie jak ty obawą, upadł w próbie. Powiedz mi, cóż odpowiesz tym nowym pielgrzymom, pytającym o wiadomości, o radę, o powody twego powrotu? Ah! aby siebie usprawiedliwić, iluż to będziesz musiał potępić? — nas wszystkich; a maszże do tego prawo, ty który mając wady nasze, nie masz jedynej wielkiej cnoty: wytrwałości?

Idźmy dalej: znam duszę wygnańca Polaka, wiem jakie wrażenie religijne czy narodowe i jak nań działać może; chcę wszystko z góry pokazać i potem wybór zostawić. Jużeś na ziemi ojczystej; przechodzić będziesz koło pobojowisk, koło mogił świeżo jeszcze darniną pokrytych, w których spoczywają twoi towarzysze broni. Usłyszysz narzekania, płacz przeciągły żon i matek, których męże i syny pędzone do Azji, do pułków nieprzyjacielskich, na jatki męźnych górali, żegnają się na zawsze jak potępienicy na śmierć. Ujrzysz kapłany twojej wiary uniżone w łańcuchach, świątynie zamykane lub użyte na służbę fałszywej wiary. Usłyszysz podejrzenia, ujrzysz smutek dobrych obywateli, którzy się mścić będą, żeś im tyle odebrał nadziei, tyle rozwiął uludzeń. Spotka cię także grzeszna pogarda wrogów, urągające pochwalanie rozsądku twojego, niejedna przedajna i skalana dłoń cię uściśnie. Najmilszy! cóż się wtenczas w sercu twojem dzieć będzie?... Przypuszczam żeś się na to wszystko przygotował, zahartował z góry, że się poddasz konieczności i w zaciszu domowem i kole rodzinnem szukać będziesz na wszystko osłody. Ileż ci jeszcze rodziny zostało, i na jak długo jeszcze? Po-

ciecha ta rychło przeminie z ich strony, a potem znowu obudzi się paląca troska o ciebie. A ty sam przy każdej nowej nadziei, choćbyś mógł się bezpiecznie ostać, co uczujesz w duszy, spomniawszy żeś tyle lat zasług zmasał, i to dla czego? dla krótkich lat lub miesięcy mniemanego pokoju i szczęścia. Cóż dopiero kiedy nam Bóg lepszych da się doczekać czasów... Oh! Bracie żaluję cię z góry. Wracaj teraz jeżeli chcesz i możesz. Co do mnie, o Boże mój, Kocham i ja ziemię swoją i naród, Kocham moją rodzinę, a przecie nie wrócę chyba z podniesionym krzyżem w ręku... albo na krzyż... jeżeli Bóg dozwoli“.

Ksiądz, który to mówił, był złym Polakiem: — a z tych, którzy go oskarżali, zwłaszcza w roku 1863, nie jeden znalazłby się może, gdyby poszukać, pokornym poddanym, jeżeli nie uniżonym, płaskim i płatnym sługą rosyjskim!

Kazanie o *Jedności* z natury samego przedmiotu musi należeć do ważnych, jako mówiące o najpowszechniejszej może wadzie naszego charakteru, a o wadzie tak trwałej i upartej, że kiedy o niej mowa, podobieństwo i nauka stosują się do dawnej tak samo jak i do dzisiejszej Polski. Nietylko emigracya, nietylko Towarzystwo Demokratyczne i Stronnictwo Trzeciego Maja, ale cała historia polska, wszystkie rywalizacye osób lub domów ozdobione pompacyjnie nazwą stronnictw, wszystko aż do Komitetu Centralnego z roku 1863 i tego zazdrosnego pośpiechu z jakim on działał, żeby przez innych nie był ubieżonym i usuniętym z pola, wszystko może się przejrzeć jak w zwierciadle w słowach takich jak: *nie siebie wcielić w naród, ale naród w siebie*, jak: *nie mówcie że wam naród rzeczą pierwszą, a teorye podrzędną*, albo: *głównym bodźcem działania co rychlej, jest obawa, aby się nie dać wyprzedzić, choćby też przez to popsuć wszystko*. Wiele naszych lekkomyślności, wiele naszych Pompejuszowych przechwałek, wiele naszych licytacyj partyotyzmu opisanych jest temi słowami:

Zamiast biedz do jedności, uciekacie od niej co sił. Zamiast ścisnąć się by z własną niewygoda, każdy chce się rozeprzeć jak najszerzej, ba radby sam jeden, gdyby mógł, czas i przestrzeń ogarnąć. Nie wcielić się w naród, ale naród wcielić w siebie. Nie służyć mu, ale się nim posługiwać. Naród przestając być czemś żywym, celem czci i zabiegów, staje się materiałem, nad którym ma pracować myśl nasza, doświadczać teorii swojej. Nie chodzi już o to głównie aby był, aby żył, aby miał miano swoje, aby był u siebie i sobą, ale o to jak ma być urządzony. Zgłodniały woła o pokarm by najgrubszy, najpospolitszy; każecie mu czekać na nową strawę, którą uczenie zaprawiacie. Konający woła ratunku, odpowiadacie mu, iż jeszcze narzędzia do nowego rodzaju operacji nie gotowe. O! nieszczęsne, o ciężko winne samoluby! napróżno szukam w pośród was prawdziwych synów. Widzę tu i tam ludzi dobrej woli; ciała po Bożemu urządzonego, myślącego, czującego nie widzę. Słyszę głosy: nie ma być podług mojej teorii, niech lepiej nie będzie. To bluźnierstwo. Nie mówcie, że wam naród zawsze rzeczą pierwszą, główną, a teorye podrzędną. Wierzę, że sami siebie ludzicie; w teorii tak jest, w praktyce nie, ani w sercach waszych, aniby w czynie było. Tak łatwo wniówić w siebie, iż środek nasz jedynie jest zbawienny, że później się już przy nim z pewną dobrą wiarą, jako przy bezwzględny i jedynym upiera. Gdyby naród istotnie był rzeczą pierwszą, główną, byłyby szkoły polityczne, socyalne; stronnictw, sekthy nie było. Byłyby sejm otwarty, wolny, korzystny dla narodu; nie byłoby rządów tyle, nietylko na teraz, ale i na przyszłość, nietylko dla garstki wygnańców, ale w zamierzeniu dla całego narodu. Gdyby wam o naród przedewszystkiem chodziło, nie stroniłibyście od siebie jak od zarazy, nie mierzylibyście się mężobójczym wzrokiem, groźniejszym, nienawistniejszym niż wobec wroga. Dzięki Bogu nie od was samych tylko i coraz mniej od was los narodu zależy, ale mógłby

i od was jeszcze. Moglibyście być w nim i dla niego poważnym, doświadczonym rozjemcą; dziś jesteście zastarzałym gorszycielem. Każde stronnictwo chlubi się, że ma naród za sobą; to kłamstwo! ale to prawda, że każde ma w nim pewną liczbę podobnie myślących. Tem gorzej dla was i dla narodu; nie dość, żeście się sami podzielili, jeszcze i naród rozrywacie. Moglibyście być zbudowaniem dla obcych, jesteście zgorszeniem. Najlepsi z nich, tacy nawet, którzy ostro przyganiają nieprawości na nas dopełnionej, powiadają: cóż po tem że mają prawo do istnienia, kiedy istnieć przez się nie potrafią, bo niezgoda, to rana ich nieuleczona!... Moglibyście los braci, los własny odsłodzić, boć i cierpieć i zapłakać milej w objęciach przyjacielskich; wy go zaprawiacie goryczą, czynicie nieznośnym. Moglibyście przebłagać Boga, który się chętnie lituje *nad biedakami i skruszonymi w sercu*: wyzywacie go do ciągłej chłosty, bo kto rani miłość bratnią, jak gdyby się dotknął żrenicy jego oka. Bracia moi! wolno się wam zgubić, — choćbym pragnął z serca, aby się każdy nawrócił i był szczęśliwym, i dla tego mówię i tak mówię. A zarazem ostrzegam, iż każdy niepoprawny ciężko odpowie, nietylko przed Bogiem, ale i przed narodem i potomnością.

Odpowiedzą najwięcej naczelnicy, i dlatego ważę się do nich szczególniej obrócić, poniżywszy duszę moją przed Panem. Obracam się do tych kilkunastu książąt ludu podług pisma, *królików* podług wyrażenia Skargi, którzy zyskawszy jakimkolwiek sposobem zaufanie braci, nie pracują ku wspólnemu dobru otrzymanym talentem, ale go zakopują, trzymając jak skąpiec w zamknięciu zazdrosnem, nieużytecznem, co mówię szkodliwem. Bo głównym bodźcem do działania co rychlej, o wyłącznych siłach, jest chęć i obawa, aby się nie dać wyprzedzić, choćby też przez to popsuć wszystko.

Surowsze jeszcze, a zarazem psychologicznie głębsze, jest to co mówi dalej do naczelników emigracyi; tu każde słowo tak trafia w jakąś prawdę, każde jest tak dojrzałym owocem znajomości historii i natury swego narodu, że każde niemal mogłoby służyć za maksymę albo za przysłowie, bo wszystkie znane dotąd fakta i spostrzeżenia sprawdzają je zupełnie:

„Znam dosyć emigracyę i wiem, że szeregowi gotowi do pojednania, jeżeli nie z enoty i miłości, to z tęsknoty i potrzeby. Nie widzę także coby to pojednanie czyniło niepodobnem. Namiętność stronnicza rozmyślnie przesadza różność zdań i pojęć społecznych, by mieć jakiś pozór prawa do dalszego odrębnego istnienia. Jeżeli się wam trudno porozumieć, możecie pytania różniące zawiesić. Wszak i tak naród ostatecznym sędzią myśli waszych i projektów będzie, ani pochlebiajcie sobie, byście mu je gwałtem narzucili. A rozszerzać przekonania wasze cóż przeszkodzi? już dziś myśli ni słowa nikt nie uwięzi, — przeciskają się wszędzie jak powietrze. Wierście w postęp absolutniejszy, nie wszyscy odrazu wyrzecie — w każdym razie pisma wasze zostaną. Nie troszczcie się tyle o przyszłość; myślcie o czasie obecnym — to wasz obowiązek; — następne pokolenia pomyślą o sobie. Powiadacie: nie można działać nie mając wyrobionej myśli, pewnej całości, jasnego pojęcia celu i środków. Wiem, iż tak jest, a przynajmniej być powinno. Ale wiem także, co i sami czasem przez zapomnienie powiadacie, iż największą mądrością w rzeczach ziemskich jest chcieć tego, co na teraz najłatwiej wykonać można. Wódz im biegleszy, im jaśniej widzi w swej sztuce, tem rychlej plan i szyk zmieni podług okoliczności i położenia. Przymiotem miernych umysłów jest trzymać się upornie jednej myśli, jak lekcyi szkolnej, której się z biedą nauczyło. W rzeczach ziemskich, przemijających, nie ma nic absolutnego jak w prawidłach nie-

wzruszonych religii, moralności; a dziwna, ci którzyby chcieli przykrajać religię podług przywidzeń swoich rozumków, pomysły swoje socyalne chcą krystalizować w pewniki nieruchome, niezmienne.

Pytam się was teraz naczelnicy wygnania, w imię Boga i narodu, coście dotychczas w tym kierunku pojednawczym uczynili? Boć widoczna, że wszystkich połączonych sił nie dosyć bez cudu łaski Bożej; cóż tedy poczniecie z ich częścią? Jeżeli *wszelkie królestwo rozdzielone przeciwko sobie będzie spustoszone* (Mat. XII, 25), jakże się podzielone podniesie? Ni Bóg, ni ludzie pomogą. Któryż tedy z was, gdzie, kiedy, jak często, zrzuciwszy pychę z serca szedł do drugiego, radził się, prosił, zaklinał w imię dobra powszechnego, na kolanach i ze łzami jeżeli potrzeba, szukając środków pojednania się, porozumienia? Im kto wyżej stoi, tem więcej do pierwszego kroku obowiązany, bo tem łatwiej mu się poniżyć; choć w tak świętem dziele poniżenie niepodobne, owszem największą przynosi chwałę. Czyś to czynił bracie mój z gotowością ustąpienia coś ze swego? boć szyderstwem jest wołać, jak dotychczas, podpisz się na mnie, poddaj się, to będzie zgoda. A jeśliś u jednego nie wskórał, czyś poszedł do drugiego, trzeciego, aż do ostatniego. Błogosławieni którzy tak uczynili, błogosławieni którzy uczynią! Bo choćby, czego nie przypuszczam, nigdzie się nie udało, znajdują się przecie ludzie, którzy krok tak chrześcijański i obywatelski ocenić potrafią, a błogosławieństwo Boskie prędzej czy później na takim spocznie obficie.

Dotychczas błogosławieństwa nie ma, bo nie ma jedności, a wśród niezgodnych Bóg nie mieszka. Ofiar pełno, nietylko bez korzyści, ale już i bez chwały: wychodzimy na spiskowców południowych. Drogo, drogo, za drogo kupuje się nauka, ale zawsze miłosierny Bóg, że nie błogosławi przedsięwzięciom stronnicy, wyłącznym, nienawistnym. O poprawcie się, rychło poprawcie; „nawróćcie się i zawstyďte bardzo prędko“; bo

inaczej pokażecie, że się Boga nie boicie, że tej ojczyzny, którą macie wciąż na ustach, nie kochacie, że wam najdroższe wasze widzimi się — słowem żeście samoluby. A wiecie na czym skończycie? *Jeżeli jeden drugiego nie nie zjadł.* (Galat. V, 15). *Jeśli pokutować nie będziecie wszyscy... zginiecie* (Luc. XIII, 3), i *pomrzecie w grzechach waszych* (Joan. VIII. 24). Do tysiąca już legło w grobie na wygnaniu: śmiertelność pójdzie przyspieszonym krokiem. Powymieracie samotni, bez chwały, nie żalowani nawet.. Może was śmierć pogodzi, zmniejszając liczbę ochotników do rządzenia. Bodaj że i ona nie pojedna, bo nawet na jednym cmentarzu obok siebie spoczywać nie chcecie, gdzieby was wspólnie opłakać można... W końcu zostanie jeden naczelnik bez żołnierzy, i wtenczas zgoda będzie. Zostaną nagrobki wasze staraniem stronników wystawione z szumnymi napisy; potomność je przemaże, i wyrzeje na nich płomiennymi głoski: „Bez chwały i korzyści pomarli w swarach na wygnaniu, bo grzeszni siebie nad wszystko byli pokochali“.

Zakończenie, smutne i gorzkie, jest bardzo piękne, przez to połączenie surowości a nawet gniewu z jakąś dziwną, szorstką a miękką, przytem rzewnością i czułością, która jest tajemnicą stylu księdza Kaysiewicza, a raczej zapewne właściwością jego duszy:

„Ale na co się to wszystko przyda? jak znaleźć posłuchanie wśród panującej gorączki i obłąkania z namiętności i zepsutego sumienia. Napróżno wołamy od lat tyłu, stojąc na stanowisku Bożem i narodowem: *Już nam głos zachryplł i szczęki ścierpły* (Ps. LXVIII, 4). Jak rozjemca zwaśnionych od obu jest bity, tak my od wszystkich, by przynajmniej z jaką korzyścią dla was samych! Ale chcąc rozbierać braci, coraz słyszemy tę odpowiedź co i Mojżesz: *Kto cię postanowił sędzią*

naszym? (Exod. II, 14). Głos mój w tej chwili niejednego zapewne obudził, poruszył nawet; wielu przyzna mi słuszność. A po chwili, dziś jeszcze, pójdziecie słuchać namiętnych nienawistnych głosów stronniew; podobają się wam one jak kwas i gorycz choremu podniebieniu. Dziś jeszcze zlorzeczyć może będziecie tym, którzy was wołają do upamiętania się, do przebaczenia wzajemnego, do jedności. Obym przynajmniej wstrzymał, wyrwał z ust co gorsze słowo, oby przetrącone w biegu zastygło na ustach. A moje potem niech przebrzmi w powietrzu i niech śladu nie zostanie po nim, jak po uderzeniu wiosła, jak po ruchu kół na oceanie, jak po przelocie ptaka na niebie. Czasem jednak choć kula działowa zaryje się w piasku, jeszcze w odbiciu rani, to i głos mój echem odbije się w odczyźnie, i dzięki Bogu, o ile wiem nie napróżno. Czasem choć ziarno padnie na opokę, wiatr je lub ptak usłużny przeniesie dalej, i powietrzny siewca Boży na lepszą upuści ziemię, tak i słowo moje znajdzie gościńcę w niejednej pogodnej, kochającej duszy, w sercach lepszej części młodzieży nowego pokolenia. A choćby i o tem nie myśleć, dla czegoż nie mam mówić jakoby na wiatr, ja pył i proch, kiedy Pan mój tyle mówił do upornych? Westchnienie puszczone ku niebu nad człowiekiem niechętnym, opada nań, lub na chętniejszego sąsiada, ożywczą rosą z góry. Przeto prosiłem Pana, aby słowo moje było śpiewem duszy, płaczem serca i modlitwą; aby pomimo waszej woli krążyło wciąż koło was w powietrzu, śpiewało do ucha, płakało w sercu, jak ptaszyna wypłoszona ze spalonego domu, z podciętego drzewa, ze zgwałconego gniazda: *Ojcie święty zachowaj je w Imię Twoje, któreś mi dał, aby byli jedno... poświęć je w prawdzie, aby byli doskonałymi w jedno.*

To było mówione na rok przed temi stronnierzami zabiegami i wyścigami, które sprowadziły rzeź galicyjską. Od tej chwili lata przejdą, a ten rodzaj wymowy nie odezwie

się u księdza Kaysiewicza. Po roku czterdziestym ósmym dopiero powtórzy on jeszcze raz i streści to wszystko co co przez lat kilka w tym szeregu kazań powiedział; ale na teraz, czy że sam zbyt cierpiał, czy nie chciał przygnębionych wypadkami i własną winą (jeżeli nie przygnębionych, to takich, którzy przygnębionymi być i wejść w siebie byli: powinni) gnębić gorzej ulubionem pospolitych ludzi słowem a widziecie, a nie mówiłem — czy wreszcie rozczarowany i zwątpiały powiedział sobie, że na nic się nie zda mówić i rozbijać głowę o mur, słowa swoje o rozumy i sumienia, których wypadki roku 46 nie wstrzęsły i nie skruszyły, czy to wreszcie, że obowiązki przełożonego trzymały go przez lata następne najczęściej w Rzymie, cokolwiekbądź, urywają się odtąd kazania polityczne księdza Kaysiewicza, i nieszczęściem urywają na zawsze. Raz jeszcze, okrągło, co do dnia w lat cztery po ostatniem o *Jedności* przyjdzie jak żeby finał i na zamknięcie kazanie o *Duchu Narodowym*, a potem, w późniejszych latach, mnóstwo jeszcze w jego kazaniach i pismach rozproszonych nauk i przystosowań podobnych, ale epoka kaznodziejstwa przeważnie politycznego zamknięta.

A z którejkolwiek strony na nią spojrzymy, musimy przyznać, że jej nie brakło na wielkości. W literaturze na-przód dawała ona wzór języka i stylu wspaniałego prostotą, czystością, powagą i siłą, i wskrzeszała dawno uspioną wymowę kościelną. W życiu naszym społecznem i politycznem znacznie jej nierównie jeszcze większe. Ona reprezentuje najświetniej ruch katolicki w Polsce; wszystkie usiłowania około utrzymania i podniesienia ducha religijnego w narodzie, do rozbudzenia gorliwości i łączności z Głową Kościoła w duchowieństwie: wszystko to ma w ówczesnych kazaniach X. Kaysiewicza wyraz najjawniejszy, pomnik najbardziej w oczy bijący. Jeżeli stan, w którym się obecnie znajdujemy, skończy się reformą religijną w Polsce, to przyszły jej historyk pomiędzy jej źródłami i pierwszemi objawami będzie musiał zapisać te emigracyjne kazania. Pod względem już nie religijnym tylko, ale politycznym i patryo-

tycznym, mają one tę zasługę ogromną, że same jedne mówiły nam prawdę, kiedy jej nikt mówić nie śmiał, a widziały ją trafnie i dobrze: tak dobrze jak w swoim czasie widzieli ją najlepsi z nas w wieku XVI i XVII, ci, których żałujemy dziś, żeśmy służyć nie chcieli. Wreszcie wobec Kościoła samego, wielką jest zasługą nawoływać i nawracać naród po części zbłąkany do Boga, ale i to można robić roztropnie i mądrze, lub przeciwnie. Książd Kaysiewicz nawracał mądrze: żądał od ludzi najmniej jak mógł, nie kazał wyrzekać się żadnego dobrego uczucia ziemskiego, żadnego przywiązania szlachtetnego, owszem wszystkie rozumiał, wszystkie zostawiał, we wszystkich utwierdzał. Surowy i groźny, niekiedy gniewny, namiętym nie był nigdy; fanatyzmu, wyłączości, skłonności do potępienia nie dopatrzy w nim nikt. Miłość Boga i Kościoła jest u niego wielka, ale jest i wielka miłość ludzi i wiele dla nich wyrozumiałości. Jest obok pewnego i jasnego sądu o Polsce, wzniosły ideał ojczyzny i wielka jej miłość, jest wreszcie w tych kazaniach obrona najlepsza na mniemaną wyłączność katolicyzmu i niezgodność jego z patriotyzmem. Czy zarzut taki spada na osobę i zgromadzenie X. Kaysiewicza, czy na Kościół katolicki jako taki, odpowiedź na niego jest tu jasna jak słońce, a zwycięzka jak prawda. Zasłużył się więc dobrze temi kazaniem Kościołowi, a ojczyźnie swojej zasłużył się niemi w wieloraki sposób. A jeżeli nie sprawił skutku jaki zamierzał, jeśli nas do Boga nie nawrócił, do kościoła nie przywiązał, w służbie ojczyzny nie poprawił, to już nie jego wina, on zrobił wszystko co mógł.

Wielu z nas pamięta jeszcze te lata, kiedy po raz pierwszy rozchodziły się po Polsce kazania X. Kaysiewicza i jego przedtem nieznanego, po raz pierwszy zasłyszane imię. Zakazane, jak wszystko co przychodziło z emigracji, przekradane przez granicę, w domu starannie i głęboko chowane, kazania te przechodziły cichaczem z rąk do rąk tak mniej więcej jak emigracyjne poezje, jak współczesny im *Przedświt*, i były przyjmowane, czytane, przepisywane z podobnym zapalem. Widzieliśmy i pamiętamy twarze blednące ze wzru-

szenia, oczy błyszczące łzami, żalu zapewne, ale i szczęścia, że ktoś tak o Polsce mówić może, że o niej myśli tak wzniośle, że sądząc ją tak surowo, przecież o niej nie wątpi. Urok, jaki te słowa podówczas wywierały, (w kraju, bo zapewne nie na emigracyi), był bardzo potężny. Dziś? dziś kto je zna i czyta? A przecież nie wywietrzała z nich siła, nie uszła piękność, prawda nie obróciła się w fałsz, owszem widoczniejszą się stała i potrzebniejszą niż była, bo jak Kaysiewicz w swoim pierwszym kazaniu o *Opatrzności*, tak my dziś o nim powiedzieć musimy: „usprawiedliwiony jest w mowach swoich“, usprawiedliwiły go nasze dzieje i czyny. Dlaczego go nie czytamy? dlaczego?

Stary Tomasz à Kempis, wielki znawca ludzkiego serca, robi w *Naśladowaniu* jedną uwagę, która nam się bardzo głęboką wydaje. „Gdyby Msza — mówi — była odprawiona, a Komunia rozdawana, na jednym tylko miejscu na świecie i przez jednego kapłana, z jakim zapałem, z jakim upragnieniem i wzruszeniem cisnęliby się ludzie do tego kościoła i do tego księdza. A dziś, że kościoły, że msze, że księża sprawujący sakramenta są wszędzie, takeśmy się z nimi oswoili, że na nic nie zważamy, że w obojętność wpadamy“. Nie wiem czy tym samym powodem głęboko w naturze ludzkiej zakorzenionym, nie tłumaczy się i nasza obojętność względem księdza Kaysiewicza, nasza nieznanostwo jego kazań. Niegdyś były one pod cenzurą, miały cały powab nowości, patriotyzmu, i zakazanego owocu. Dziś są one wszędzie, każdy może je czytać, a kiedy może, to nie chce. Są wprawdzie tacy, którzy z umysłu i zamiaru szerzą oszczerstwa przeciw kaznodziei i kazaniom: ci wiedzą dobrze co i dla czego robią, godzą w Kaysiewicza, żeby trafić w wiarę, w uczucie religijne, w resztki katolicyzmu Polsce, ci przynajmniej są zgodni sami z sobą. Są inni, którzy nic nie znając i nie wiedząc, tamtym mniej lub więcej wierzą, i jak pacierz za panią matką powtarzają za gazetami hasła wydane z tych „rozbójniczych zameczków“ o wsteczności kościoła, o katolickiej reakcyi, o konspiracyi Jezuitów przeciw ludzkości w ogólności a Polsce w szczególności, tym także dziwić się

nie mamy prawa, jeżeli krzyczą o tem czego nie znają, to ich natura i rzemiosło. Ale inni, ale ludzie rozumni, myślący, dla niczego co polskie i piękne nie obojętni, Bogu wierni a przeciw Kościołowi nie zbuntowani, jak tych zrozumieć i wytłumaczyć? Czy uprzedzeniem? nie: najczęściej spotyka się u nich raczej uszanowanie i sympatyę dla księdza Kaysiewicza. A więc co? nie innego tylko chyba przyzwyczajenie, opatrzenie, oswojenie się, z człowiekiem i dziełami, które przestały być nowością i ciekawością. Gdyby wiedzieli wiele tam nowości? bo prawda ma to do siebie, że jest zawsze nową, dopóki rzecz do której się odnosi, zostaje taką samą: gdyby wiedzieli wiele tam rzeczy mądrych, wiele myśli które albo będą dla nich nowe, albo takie w ich głowach obudzą, możeby wyjść zechcieli z tej nieznanomości prawdziwie niegodnej, której powód, nie zbyt także godny, widzimy w przyzwyczajeniu, w oswojeniu się. Innego szukać nie chcemy, z obawy żeby szukając nie wpaść na coś głębszego i gorszego, na usposobienie obojętne i zmartwiałe, które wzniosłych uczuć i rzeczy zrozumieć ani się do nich zapalić już nie umie.

Przyszedł rok czterdziesty ósmy, a z nim nadzieja spełnienia najdroższych marzeń, jaka taka nadzieja, że da się wrócić do Polski, i tam jej i Bogu służyć. Zrazu udał się ksiądz Kaysiewicz do Wielkopolski, ztamtąd przez władze pruskie wydalony do Krakowa, gdzie kilka miesięcy przemieszkał, dopóki go podejrzliwość ówczesnego rządu, i groźba uwięzienia przez zbliżających się do granicy, idących na wojnę węgierską Moskali, nie zmusiły do wyjazdu. Trwał ten pobyt na polskiej ziemi krótko, i krótko bardzo jest zbyty w *Pamiętniku* X. Kaysiewicza. Przecież ze skąpych jego słów pokazuje się wyraźnie jak ten człowiek do działania stworzony, gdziekolwiek był, na długo czy na tymczasem, zawsze od razu brał się do roboty, zawsze znajdował pole, i to nie jedno, dla swojej czynnej energii. W Krakowie naprzykład łączy dobre chęci i starania miejscowego duchowieństwa i urządza konferencyę dla młodych księży, trudni się wydawnictwem pisma peryodycznego dla nich głównie przerna-

czonego, którem kładzie tamę jakimś objawionym tu i owdzie dążnościom do mniemanej reformy kościelnej, która zasadzać się miała na wprowadzeniu narodowego języka do liturgii, na zrównanie niższego i wyższego duchowieństwa w dochodach, i na małżeństwie księży; pierwszy warunek tej reformy, upozorowany patryotyzmem niby i zrozumiałością nabożeństwa dla wszystkich, nedorzeczny tylko z powodu koniecznej zmienności języków żyjących i łatwości przemycenia różnie w rzeczy, w znaczeniu, pod różnicami formy; dwa inne takie, że powiedzieć o sobie pozwalają i każą: *wyszło szydło z worka*. Zdziwiony znaczną liczbą pozostałych jeszcze w Krakowie bractw pobożnych, a przenikając od razu pewną w nich ospałość i zastój, próbuje jakby je ożywić się dało; przyczynia się do założenia stowarzyszeń miłosiernych, przytulików dla dzieci, słowem rusza się, działa i do działania pobudza. Każę przytem, a w kazaniach swoich ma cel pewien przed oczyma, nasunięty mu właśnie ówczesnemi wypadkami we Włoszech, przekonać kraj że niema katolicyzmu bez Papieża i Kościoła, bez jedności z nimi. Szkoda, że w zbiorze pism swoich nie pomieścił ksiądz Kaysiewicz tych ówczesnych kazań krakowskich. Jest tylko jedno, a przecież, jeżeli dobrze pamiętamy, było wiele takich, które warto i dobrze było ogłosić. W naszej, dziecinnej podówczas wyobraźni, został z nich tylko obraz kościołów zapełnionych ludem, kaznodziei z wielką przez twarz szramą na ambonie, dźwięk jego pięknego, męskiego, silnego głosu, a wreszcie czegoś niezwyklego przedtem niesłyszanego. Starsi z ówczesnych jego słuchaczy, możeby w pamięci swojej zdołali jeszcze odszukać i treść tych kazań, z których wychodzili do żywego przejęci i wzruszeni. Największe, jeżeli się nie mylimy, wrażenie zostawiły po sobie cztery kazania w niedzielę adwentowe na zamku, kazanie o Męce Pańskiej w wielkim tygodniu w kościele Marków, a zwłaszcza jedno, które miał u Dominikanów, w dzień nowego roku 1849, późnym wieczorem, w ciemnym prawie kościele. Została nam z niego pamięć ledwie słów kilku, i wielu westchnień i płaczów

między ludźmi, ale co w niem było, tego dziś zgoła powiedzieć nie umiemy.

Z tego przecież jednego kazania, które ocalało, uważamy za swój obowiązek przytoczyć niektóre wyjątki. Utarte jest u nas uprzedzenie o namiętnym fanatyzmie księdza Kaysiewicza w sprawie władzy świeckiej papieża. Słyszeliśmy i czytaliśmy wszyscy tysiące razy, że dla niego i jemu podobnych to rzecz ważniejsza, nietylko od ojczyzny ale od religii samej. Byle Papież miał Rzym i państwo kościelne, mniejsza o świat cały a tem bardziej o Polskę: władza świecka jest samą istotą i ostatecznym celem dążności i działań katolickich, a w pierwszym rzędzie jezuickich; X. Kaysiewicz zaś i jego zgromadzenie, choć nie Jezuiti wcale, uchodzili i jeszcze czasem u łatwowiernych uchodzą za gałęź, za filię, za ukrytych braci sławnego zakonu. Otóż o władzy świeckiej właśnie mówił ksiądz Kaysiewicz. Sposobność miał dobrą. Pius IX, oblężony w Kwirynale, potem wypędzony z Rzymu, był podówczas w Gaecie. Na intencję jego powrotu odbywało się nabożeństwo, a kaznodzieja powziął myśl zuchwałą zbierania składki dla pozbawionego zwykłych dochodów Papieża, nie żeby grosz tak zebrany mógł mu zwerbować wojsko i otworzyć bramy Rzymu, ale żeby Jemu, a zwłaszcza dającym samym, służył za akt podległości i wierności, za znak, że się do wspólności z Głową Kościoła poczuwają. Cóż więc powiedział X. Kaysiewicz o władzy świeckiej? Warto uważać, bo to jego przekonanie stałe. W późniejszych jego mowach i pismach, kiedy jedną po drugiej prowincję odrywano od państwa kościelnego, kiedy wreszcie sam Rzym stał się stolicą Włoch zjednoczonych, przedmiot ten wraca bardzo wiele razy, a zawsze tak jest pojęty i przedstawiony jak go teraz ujrzymy:

„Potrzeba stanu doczesnego dla Papieży nie jest rzeczą wiary, powtarzam, ale czy nie jest rzeczą pobożności synowskiej dla dzieci Kościoła? Kto zabezpieczy starym rodzicom swoim utrzymanie, już dopełnił ścisłego obowiązku sprawiedliwości, ale jeżeli nie dba

nadto, aby nie byli pomiatani od pierwszego lepszego włodarza lub sługi, jeżeli nie stara się pobytu ich uprzyjemnić, od wszelkiego niebezpieczeństwa i poniżenia zasłonić, pewno nie dowiedzie miłości synowskiej i nie dopełni przykazania: *Czczij ojca twego i matkę swoją*. Podobnie, względem Stolicy Apostolskiej Naczelnika Kościoła, nie przesadzając woli Najwyższego, powinniśmy, ile z nas, pragnąć i czynić co możemy, aby stroż i sędzia całości wiary i sumień naszych był doskonale i zupełnie niepodległy na zewnątrz. By nie tylko był, ale by każdy mógł i musiał widzieć, że jest niepodległym, a do tego potrzeba, aby był panującym“.

„Jak skoro tedy Bóg, wzięwszy ciało ludzkie i stawszy się widzialnym, widzialny Kościół założył, i nie aniołom, ale ludziom rządu jego powierzył, Kościół, jak wszelki zakład, potrzebuje miejsca stałego, potrzebuje pomocników i robotników, potrzebuje zasobów, ile być może pewnych i stałych. Papież sam wszystkiego sprawić nie może. Ma przy sobie radę przyboczną, ma kilkanaście kongregacyj albo wydziałów, do utrzymania stosunków z całym katolickim światem. On wysyła, do niego przybywają Biskupi i Misyjonarze od kończyn ziemi; któż nie widzi, iż Papież nie może bez największej niedogodności wiernych, żyć z niepewnej jałmużny, tem mniej może pielgrzymować o kiju z miejsca na miejsce, niepewny jeszcze, czy kto gościnności swojej nie każe mu drogo opłacić, uciskając jego wolność, a przynajmniej w podejrzenie ją podając?

Ktokolwiek opowiada zakon Boży, a karci namiętności, musi się niejednemu narazić, podobnie sędzia: przeto jeden i drugi potrzebują całej wolności i niezależności, aby obowiązku swego w pełni, i nie dając cienia podejrzenia o stronność lub uległość, dopełnili. Cóż dopiero powiedzieć o najwyższym mistrzu, opowiadającym przykazanie z Syonu, o najwyższym sędzi sumień, który, to pojedyncze bunty zbłąkanych geniuszów musi przytłumiać, to panujących o nadużycie władzy,

to podwładnych o jej nieszanowanie upominać, to między książętami a narodami spory a wątpliwości rozstrzygać? Pytam teraz, czy Papież może być podwładnym jakiego rządu lub obywatelem jakiego kraju, którego by nie był panem? Ważność tej niepodległości dała się uczuć wraz po rozpadnięciu się cesarstwa Rzymskiego na wiele królestw i księstw niepodległych. W Cesarstwie, które świat obejmowało, ścisła udzielnosc była niepodobną; to też niebezpieczeństwo ze strony jednego Cesarza wciąż groziło, i bez szczególnej pomocy Boskiej, stanowisko takie, na jakie spadli Patryarchowie Carogrodzcy. Kiedy Papież zamieszkali w Awinionie, i zanadto stali się Francuzami, Niemcy groziły odszczepieństwem, nie widząc już bezstronnego i wspólnego ojca w następcach św. Piotra. Myśmy świeżo skarżyli się na stronność tejże Stolicy Apostolskiej w sprawie naszej; o ileżby podejrzenia te były natrętniejsze, gdyby Papież był zagrożony w wolności swojej, czy potrzebujący jałmużny jednego z władców naszych.

Jeżeli tedy wolność wiary i bezpieczeństwo sumień naszych wymaga, aby Papież nie był poddanym żadnego króla, nie może też być poddanym własnego ludu w tem mieście Rzymie, gdzie jego stolica. Nie, nie może zależeć od rajców i ławników miejskich, tem bardziej od czerni ulicznej. Jeżeli w każdej chwili czerń nierozumna może być obłąkana i poruszana przez umników nieporządku i mistrzów bezbożności, jeżeli Papież może być obłączony w swoim mieszkaniu, jeżeli groźne wymagania mogą być poparte strzałami ruszniczymi do okien, działowemi do bramy: wtenczasby wolność Stolicy Apostolskiej ustała, i my Katolicy mielibyśmy w Papieżu coś niższego od Bizanckiego Patryarchy, bo służalca ulicznej tłuszczy. I któryż prawdziwy Katolik, któremu droga jego wiara, miłe jego sumienie, znieść to potrafi, komu na jagody nie wyskoczą rumieńce? Kto ręki Malchusowej podniesionej w Rzymie na Ojca naszego nie czuje, jak raz ten pali? Posłu-

chajcie, co mówi oddalając się z Rzymu najszczerzy i najłagodniejszy z ludzi: „Pomiędzy powodami, które nas skłoniły do tego rozdziału, najważniejszy jest ten, abyśmy mieli zupełną wolność w wykonaniu najwyższej władzy Stolicy Apostolskiej, które to wykonanie świat katolicki mógłby słusznie podejrzewać w okolicznościach obecnych, iż już nie jest w zupełnie wolnym ręku naszym.

Chybaby kto żądał, żeby ksiądz, w kościele, z ambony, wbrew Papieżowi, mówił przeciwko władzy świeckiej, chybaby kto żądał od tego księdza niepodobieństwa, niedorzeczności i buntu: ale inaczej, kto tego nie żąda, ten musi przyznać, że w tych wszystkich zasadach i słowach, przesady, fanatyzmu, nie ma ani cienia: owszem jest wielki spokój i wielkie umiarkowanie. A kto bez uprzedzeń, sprawiedliwie, bez nienawiści Papieża i katolicyzmu (choćby bez przywiązania do nich), patrzył na dalszy ciąg tej sprawy aż do dni dzisiejszych, ten musi przyznać, że w tych słowach jest nie tylko spokój i miara, ale i prawda; że dziś nie znamy takiej formy bytu dla Papieża, w której on mógłby być niepodległym, nie będąc panującym, nie mając kraju, w którymby nikt nad nim nie panował.

Ale może względem przyjaciół jedności włoskiej, zawziętych lub tylko naiwnych przeciwników Papieża, był X. Kaysiewicz namiętnym i nieubłaganym, może na tych rzucił pioruny i klątwy? Bynajmniej. Oto co z ich powodu mówi:

„Że niedowiarki, że krótkowidze wśród różnowierców biją w dłonie, widząc Papieża na wygnaniu, pojmują bez trudności; ale że ludzie szczerze myślący i przychylni Kościołowi uważają za rzecz obojętną, a może nawet pomyślną dla rozkrzewienia wiary poniżenie doczesne Papieżstwa, tego doprawdy nie pojmują. Dowodzi to tylko, jak się dziś mało myśli przez się, jak się powtarza słowa i mniemania innych, nie pytając nawet ich źródła; jak się zuchwale sądzi o wszyst-

kiem. Co do mnie, mówiąc dla tego właśnie, że wielu inaczej sądzi i że się im słowo moje niepodoba, mam sobie za obowiązek ostrzedz, aby nie rozprawiano za bezpiecznie i nie sądzono w kwestyi, w którejby sobór powszechny ze drżeniem i obawą pewno postępował. Nieznośna przeto i nie do strawienia, iż niewiastki, chłopięta, ledwo co z pieluch wywinięte, sądzą Ojca św. i kardynałów, i mówią o nich w sposób, w jaki niewolno Katolikowi mówić o własnym Proboszczu.“

Oto jego przekonanie o władzy świeckiej, oto ciasny, wyłączny, namiętny. wściekły fanatyzm z jakim jej broni! Broni, to prawda, bo ma obowiązek bronić: broni gorąco, jak może najlepiej, bo wierzy, że władza doczesna, jest Kościołowi i religii potrzebna, jako jedyna znana forma niepodległości Papieża; ale ani zasady tej bezwzględnej nie czyni, za dogmat udać jej nie myśli ani chce, ani też przeciwników jej na stos w tem życiu, na piekło w przyszłym nie skazuje. *Sicut fluit cera a facie ignis*, tak przy jego słowach topnieją potwarze wymyślone przez nieprzyjaciół jego i jego wiary.

A właśnie po tym pobycie na ziemi polskiej przyszła chwila, że one miały się dopiero na dobre rozpocząć. Nie brakło ich dotąd. Dopiero myślał Kaysiewicz z towarzyszami wejść do Seminaryum, a już ich okrzyczano za hypokrytów albo za waryatów; *Demokrata Polski* dopóki wychodził przesładował księży, z dwóch stron bitych (jak się raz X. Kaysiewicz wyraził, myśląc o Moskalach, którzy im na każdym kroku stawiali przeszkody, i o swoich); w samym Krakowie nie obeszło się bez oszczerstw i gróźb na złego Polaka, który ostatni grosz z biednego kraju wyciąga, ostatnią kroplę krwi z biednego ludu ssie jak pijawka, byle wzbogacić Papieża; do oskarżeń tego rodzaju był więc X. Kaysiewicz przyzwyczajony. Ale dotąd jeszcze, czy imponowała jego sława, a popularność wtedy jeszcze znaczna, wstrzymała od zbyt śmiałych wybryków, czy też namiętność rewolucyjna nie była tak gwałtowną jak po roku 1848, kiedy się zagrzała w akcyi,

dość, że to przesładowanie Zmartwychwstańców na emigracji było stosunkowo znośnem. Naraz gruchła po kraju wieść dziwna, smutna, okropna. Ksiądz Kaysiewicz, ten sam, który niegdyś mówił o *Pokucie* i o *Wytrwałości*, ksiądz Kaysiewicz uważany za wzór kapłana i Polaka, Kaysiewicz pierwszy kaznodzieja swego narodu. a niegdyś jego żołnierz, zaprzeczył całą swoją przeszłość, wyparł się publicznie Polski, przeszedł do Moskali, mówił tak podle, tak ohydnie, że jakiś stary emigrant, uniesiony gniewem, nie mógł wytrzymać, i wychodzącego z kościoła uderzył! Słuchano tego z osłupieniem, w którym było niedowierzanie, ale było i przypuszczenie, że przecie on coś złego zrobić musiał, że coś prawdy w tej pogłosce być może, bo inaczej któżby był śmiały skłamać tak bezczelnie i tak zuchwale targnąć się na nieskalaną sławę takiego jak Kaysiewicz człowieka. Byliśmy więcej naiwni, mniej do fałszu przyzwyczajeni w owych latach; i potwarz, nie tak jak dziś zwyczajna i śmiała, przynajmniej w kraju znajdowała wiarę łatwiej, bo prostoduszniejsi niż dziś, nie tak nauczeni doświadczeniem, nie łatwo mogliśmy wierzyć, żeby w ludzkich słowach dobrej wiary i prawdy wcale nie było. Tu nie było jej ani krzty: nawet materialne fakta były przesadzone i przekręcone. Zgorszenie skończyło się na szmerach i hałasach, dalej posunąć się nie śmiało, więc już w tem była nieprawda: a jeszcze większa była w pogłoskach rozsiewanych o kazaniu samem. Ale rzucone wtedy ziarno kłamstwa i potwarzy przyjęło się i wydało plon bujny, a piękna zasada: *calomniez, mentez hardiment il en restera toujours quelque chose*, sprawdziła się w tym razie zupełnie. Zawsze coś zostało i zostało do końca ówczesnego oszczerstwa: została jakaś pamięć, jakies przypuszczenie, jakies podejrzenie, że ksiądz Kaysiewicz kiedyś w Paryżu coś złego i brzydkiego zrobił; został jakiś zaród niedowierzania, którego ani jego słowa ani jego czyny zupełnie wykorzystać nie mogły. A na tę podejrzliwość i na to uprzedzenie, które w głębi serc zostało jak garść mąki w naczyniu wdowy z Pisma św. padł kwas niewyczerpany niustających nowych kłamstw i potwarzy, i zaczął to obrzydliwe

ciasto zlej sławy, którem karmiliśmy oskarżonego ze złościwą i brzydką, a siebie samych z głupią uciechą. Gdyby fałsz z roku 1849 nie był przygotował roli, nie był łatwowiernych umysłów uprzedził i nastroił, fałsze późniejsze, z roku 1863 i dalsze, o prześladowaniu księży polskich przez Kaysiewicza, o jego konszachtach z agentami i książętami rosyjskimi, nie byłyby śmiały tak hardo i bezczelnie się odzywać. Ale kiedy jeden znalazł wiarę, wszystkie inne precisnęły się za nim raz utorowaną drogą. System w tym razie stwierdził się jako dobry: *il en est toujours resté quelque chose*.

Ale czy w tem co było na prawdę? Jaki powód lub przynajmniej pozór oskarżeń? Co ksiądz Kaysiewicz złego zrobił? Co? — powiedział kazanie o *Duchu narodowym* i o *Duchu rewolucyjnym*.

Przypatrzmyż się tej zbrodni.

Było nią wypowiedzenie wojny Duchowi rewolucyjnemu, zawstyżenie go jako takiego, który duchem narodowym, patriotycznym nie był, ale się tylko pod tamten podszywał. Gniew odkrytych i odsłonionych łatwy zatem jest do pojęcia: trudniej zrozumieć to że ludzie prawdziwie patriotycznego ducha, jednego od drugiego rozróżnić nie umieli, ale w procesie tym między ideą ojczyzny a ideą rewolucyi, w wielkiej części oświadczyli się przeciw adwokatowi ojczyzny. Prawda że dziś łatwiej nam to rozróżnienie zrobić, bo mamy pomoc w dotykanych faktach, w doświadczeniu, bo widzieliśmy paryzką komunę, a w niej najoczywistszą i najbezczelniej otwartą negacyę ojczyzny, bo nawet u nas w Polsce głosy rewolucyjne, jakie się w panującej u nas ciszy odzywają, przestały już nawet uderzać w ton patriotyczny; o ojczyźnie, o Polsce nie mówią, tylko o jakiejś równości, o jakiej wolności, o jakimś braterstwie, do którego można podać rękę każdemu i do którego każdy ją poda: Cesarz Aleksander tak chętnie jak ostatni z rosyjskich socyalistów. Rewolucya w miarę jak rosła i rozwijała się, rozbiierała się też z niewygodnych przyborów, ze zwyciężonych przesądów, z zasad już przebytych, z dawnych nałogów, dziecinnych uprzedzeń, aż nareszcie objawiła się w całej czy-

stości swojej istoty, kiedy spaliła Paryż w oczach zwycięż-
kich Prusaków. Przed laty dwudziestu pięciu znać ją było
trudniej zapewne, ale wypadki roku 1848 dawały przecież
możność po temu. Rzeź czerwcowa w Paryżu, zabójstwo Ros-
sego i wypędzenie Papieża w Rzymie, dowodziły wyraźnie,
że nie chodziło tam wcale ani o wolność, ani o narodową
niepodległość i godność. U nas w Polsce rok 48 mało sto-
sunkowo przyniósł nieszczęście: ruchawka poznańska, bombar-
dowanie Lwowa i Krakowa, drobne to rzeczy w porównaniu
z tem co było dwa lata przedtem, a cóż dopiero z tem, co
przyszło w lat piętnaście później. Ale i dla nas była to epoka
zła i smutna: zła, bo wszystkie męty emigracyjne rozlały się
szeroko po kraju i zostawiły w nim swój namuł, smutna, bo
nasz nierozum i niedołęztwo zajaśniały wtedy po raz pierw-
szy w całym blasku swojej strasznej tragicznej śmieszności.
Te krzyki, te szumne frazesy, te tryumfalne powroty, te rady
i narady, te przygotowania niby do jakiegoś działania, a bez
żadnej myśli, bez żadnej wiedzy o tem co i jak robić się
miało, ten stek krykaczów którzy obiecywali odbudować
Polskę, a umieli tylko zrobić małą uliczną burdę, którą tylko
niezręczny rząd austriacki uratował od ostatniej śmieszności
tłumiąc ją bagnietami i działami, wszystko to było smutne
jak śmierć, wstydlive jak znieważenie wielkiej sprawy. Że
ksiądz Kaysiewicz wrócił do Paryża zbolwały i gorzki niech
się temu dziwi kto może. On tak niedawno jeszcze widział
przedświt wielkiego dnia zwycięstwa i chwały, tak niedawno,
choć nie wielbił nas jak poeci, wróżył nam jak oni zmar-
twychwstanie:

„O! Emigracyo! siostró ty moja, wdowo i sieroto,
pójdź, pójdź do Pana twego, do milego Zbawiciela
twego, czy go nie poznajesz po tym tronie i tym pa-
łacu? .. Słuchaj jak dzwoni: *pójdźcie do mnie wszyscy
którzy spracowani i obciążeni, a ja was posilę, ja was
ochłodzę.* O Marto, Marto troszczysz się o wiele i nie-
pokoisz, szwendasz się zawiele, i cóż ci z tego przy-
było? pracowałaś wiele, wieleś siała, wiatry albo na

wiatr, cóżeś zebrała? nie, albo burze, ból, albo wstyd; bo nie zaczniesz od tego co pierwsze, co główne. O ty Magdaleno pierwsza, opaliłaś się na słońcu namiętności, śniadaś i rozzechrana, bratałaś się z rozlicznemi błędami, patrz, i zabrudziłaś stopy twoje po złych miejscach chodząc, a przecie Pan na cię miłosierny, Pan cię kocha jeszcze. I tobie tęskno za Panem, tylko pójdź co prędzej, o leniwa, boś już wiele czasu straciła. Pójdź, Pan cię omyje, Pan cię ukocha, Pan cię upieści, ubierze cię w szaty świąteczne, i nie będziesz więcej zwaną niepłodną w pośród narodów. Nie kłosa ci już zbierać, ale wielkie żniwo cię czeka, o Moabitko moja. O siostrze! o córko! bieżmy do oblubieńca naszego. Jużes w rosie lez wykąpana, jużes biała jak śnieg, wonna jak kwiat pustyni, zwiąże cię Pan jak pęczek mirry i zatknie przy sercu swoim gdzie ojczyzna twoja schowana. Weźmie cię Pan na kolana, i na dłoniach cię swoich wyniesie, na tych małych rączkach, i kołysać cię i przed oczyma swemi wciąż trzymać będzie. Możeż Matka zapomnieć dzieciny swojej, albo pan służki swojej? Długo cię karał krnąbrną, twarz łzawą odwracając, chce cię już pocieszyć, tylko ty chciej się upokorzyć. Padnij na ziemię, wyteż ucho. Oto duch Pański cię porusza, puszcza naprzód skry i błyskawice, grzmi jako grzmot w oddali, jak tentent wojsk wielkich; przyłóż ucho do ziemi i słuchaj. Czy dźwięków trąb anielskich nie słyszysz?... Duch Pański nad narodami. Nie widzisz jak się zdaleka kędzierzawia fale, pędzą do brzegu, porwą i poniosą jak orzeł na pełne morze. Oto zbiega, zlatuje jak jelonek z gór Syońskich, przesadza wąwozy, ledwo tyka wierzchołków cedrów Libanu; Pan zastępów, dziecina! A na biodrach jego napisano Król królów, i Pan panujących. On siłę mocarzy rozproszy, on mądrość mędrców pomięsza. Świat własnością jego, zwycięży buntownicy i panować będzie. Oh! jak rączki jego widzę pełne darów dla ludzi i narodów, uginają

się pod ciężarem, są i dla ciebie i dla nas, oh! ile ich... nachyl się i zbieraj“.

A teraz co? widział ich w ogniu, wypadki przysły, i co pokazały? Że nie było w nas żadnej myśli, żadnej świadomości tego co chcemy, żadnej energii do prawdziwego działania, żadnej jedności, nie, tylko krzyk odurzający siebie i drugich, tylko junactwo w słowach, tylko niezdolność przed obcymi przechwałki, niezdolność między sobą swary, szkalanowania i zawiści, a w dodatku nieraz i zbrukanie polskiego imienia w brudnych burdach przez tego lub owego awanturnika! I to wszystko dla Polski niby! Dwie są rzeczy najboleśniejsze w naszych sprawach i czynach tego rodzaju, bezmyślność, która je prowadzi sama nie wie gdzie i jak, a na którą rady niema, bo ludziom rozumu do głowy włąć nie można, ta najbardziej zawsze każe się lękać o przyszłość: a drugi jest wstyd, kiedy święte imię Polski, zwala się w czem brudnem lub na kim brudnym.

Ksiądz Kaysiewicz, który miał w sercu tak wzniosły ideał Polski a honor jej tak wysoko nosił, musiał być do żywego zranionym tem co widział i upokorzonym strasznie, kiedy po raz pierwszy w życiu przyszło mu się wstydzić za Polaków. A miał prawo, on który pytał ich przez tyle lat naprzód, jakimi ich wypadki zastaną jak raz nadejda, miał prawo zapytać ich o to samo po wypadkach. Kiedy więc pierwszy raz znalazł się znowu wśród emigracyi, na paryskiej ambonie (29 listopada 1849), zrobił im rachunek sumienia z roku 1846 i 1848.

„Wiecie, iż wracające rocznice dnia tego nie były dla mnie dniami tryumfu i wesela, ale dniami żałoby, rozpamiętywania i modlitwy. Przekonany o dobroci sprawy naszej, i równie głęboko przekonany o wadach i grzechach naszych, i ogólnie polskich, dla których naród cierpi, nieraz odbywałem z wami rachunek sumienia narodowego, szukając czy już, i ileśmy się poprawili: bo w poprawie naszej była zawsze i jest, cała

moja nadzieja na przyszłość. Ilem razy ujrzał co dobrego i pięknego, podnosiłem i ukazywałem jako kamień i skarb drogi, ciesząc się wspólnie: to i dziś uczynię, jeśli mi co podobnego odkryć się uda. Wytykałem bez ogródki grzechy i błędy dawne i nowe, zapowiadając zgubne następstwa: to i dziś uczynię. Uczynię tem bardziej, iż wołania tak nasze jak wielu sumiennych mężów wysłuchane nie były od niebacznych i zarozumiałych, którzy sprawili nam najsmutniejszy tryumf, sprawdzając czynem te przewidzenia i groźby; a imię nasze wobec kraju, a imię polskie wobec narodów w poniewierkę, pogwizd i obrzydzenie podali.

Dotychczas bowiem tęśmy mieli pociechę w cierpieniach naszych, że po wszystkich krajach i we wszystkich stronnictwach, co tylko było ludzi szlachetnych, było za nami: i dlatego śmiałośmy patrzyli na cztery strony świata, i z pewną dumą przyznawali się do naszego imienia. Dziś jaka zmiana! Musimy się kryć i milczeć: bo uciekają od nas wszystkie jak od zapowietrzonych, polują na nas jak na dziki. Najzarliwsi obrońcy nasi odwrócili się od nas, albo zasłonili twarz z żalu i sromu; a gdzie jeszcze społeczenie napotykamy, strach nam i wstyd! i trzeba aby było coś tajemniczego, coś dziwnie dobrego w naszej sprawie, byśmy i sami wszelkiej jeszcze nie zbyli nadziei, by jeszcze głosy pocziwe i sumienne czasem się za nami odezwały. Zkąd to poszło Bracia moi? Czy jest w tem nasza wina? a raczej ile jej? to sprawdzić koniecznie wypada: tego dziś sumiennie śledzić będę z okiem wlepionem w Niebo, z palcem na ranach narodu, choćbym też krzyk gniewu na siebie wywołać miał.

Wiem że sprawa nasza nie wygodna: bo pociąga do ofiar i poświęceń; wiem że kto sam cierpi, nierad zajmuje się cierpieniem i potrzebami innego; wiem że strach, dziś tak powszechny w ludziach, jest nie dobrym doradcą; ale to wszystko mogłoby tylko zobojętnić, zawiesić, osłabić społeczenie dla nas; nie zaś

przemienić w nienawiść i pogardę. Czy ludzie dlatego się zmienili względem nas żeśmy Polakami? że naród nasz kochamy namiętnie? czy sprawa nasza sama w sobie uważana insza jest jak przed laty kilku? Weale nie. *Drzewo dobre nie może złych owoców wydać*; a miłość czystą ojczyzny Bóg sam zaszczepił w sercu każdego człowieka, Duch św. nakazuje ją w starym jak w nowym Zakonie, Chrystus Pan sam uczy nas jej, słowem i przykładem. Miłość ojczyzny podług Boga, ten duch prawdziwie narodowy, tworzący siłę naszą, chwałę naszą stanowiący wobec ludzi i narodów, i dający nam nadzieję wobec Boga samego, jak skoro Go prześlągamy pokutą i poprawą, *nie może wydać złych owoców*: bo to dobre nasienie, które sam gospodarz Niebieski zasiał. *Drzewo złe nie mogące wydać dobrych owoców*, jest to źle zrozumiany, niewczesny, gwałtowny patryotyzm, połączony z chęcią panowania; jest to poświęcenie Ojczyzny samej, poddanie i użycie jej tylko jako środka do przewidzenia idei swoich a zgubnych; słowem: jest to duch rewolucyjny, ten *kąkol który nie-przyjaciel zasiał na roli Bożej podczas gdy włodarz spał*; tak iż dziś już na zewnątrz sprawa nasza nie wydaje się narodową, ale rewolucyjną: i dla tego odepchnięta, i dlategośmy znienawidzeni. Mówić tedy będę o duchu narodowym podług Boga: aby go wyjaśnić, prostować i krzewić; i o duchu rewolucyjnym, który nie jest z Boga ale przeciw Bogu, aby go odsłonić, odróżnić od sprawy naszej, i dałby Bóg podwrócić i zniszczyć“.

Tak zaczął: w dalszym ciągu dowodził, że sprawa dobra nie uświęca tych, którzy jej służą, że ona sama w sobie zawsze dobrą jest i zostanie, ale może być poniżoną, spodloną, nawet zupełnie przegraną, jeżeli przez ludzi złych i głupich źle i głupio będzie prowadzona. To rozróżnienie sprawy i jej reprezentantów, łatwo bardzo może być przekreconem i przeciw mowcy obróconem, i było niem. Dlatego

przytaczamy tu na świadectwo cały najważniejszy ustęp tego wywodu.

„*Królestwo bywa przenaszane od narodu do narodu, dla niesprawiedliwości i krzywd, i potwarzy, i rozmaitych zdrad (Ecc. X, 8).* Nie powiemy że tych u nas nie było; owszem, wobec Boga zawiniliśmy; ale sąsiadom naszym my nie szkodzili, czasem pomagali, bośmy się w sprawy ich jak oni w nasze nie mieszczyli. Podział Polski był dopuszczeniem Boga za grzechy nasze; niemniej przeto był winą i błędem ze strony sprawców, karą cięższą na nich za niewiarę wtenczas powszechnie panującą, i wypędzenie dobrej wiary z polityki. Co Bóg dopuszcza, nie koniecznie już w tem ma upodobanie; karząc jednego przez drugich, nie koniecznie karze przez niewinnych, nie koniecznie karać myśli zawsze jednego; owszem, życie narodów jest tylko doczesne, kary też tylko doczesne. Bóg widząc pokutę i poprawę, losy przemienia; i do wszystkich stosują się te słowa mędrca: *Królestwo bywa przenaszane od narodu do narodu, dla niesprawiedliwości, i krzywd, i potwarzy, i rozmaitych zdrad.*

Powiedzieliśmy że podział Polski był *winą i błędem*. Winą: bo jasno rządy pokazały, że nie ma już w polityce ni prawa, ni sprawiedliwości; że siła sama wszystko znaczy, lekeya której się ludy aż nadto dobrze i aż nadto prędko nauczyły. Ztąd tak częste wybuchy i tak częste tryumfy ludów nad rządami: bo z dwóch stron tylko siła walczy. Błędem: bo naprzód z upadkiem Polski znikło bezpieczeństwo i pokój Europy, znikła równowaga, nie ta sztuczna i ludzkiego wymysłu, ale prawdziwa i przez samego Boga postanowiona. Nie przypadkiem bowiem ludy różnych usposobień i własności, sympatyczne między sobą lub antypatyczne, są obok siebie położone; ale z przewidzenia mądrości Bożej, ale dla takiego utrzymania równowagi i całości politycznej, jak siła dośrodkowa i odśrodkowa

trzyma w równowadze i całości świat planetarny. Wyrwując naród z rodziny europejskiej, zachwiano równowagę i bezpieczeństwem jej politycznym; i odtąd nie ma pokoju i być nie może. Błędem to było powtórę, bo przyprowadzić do rozpaczyny lud liczny a bitny, jest to koniecznie założyć ognisko rewolucyi społecznej. To Marya Teresa przeczuwała i przewidywała, ulegając niestety! powodom politycznym swoich radców stanu. O tem wszyscy winni byli myśleć, to ich dziś troska.

Sprawa nasza, powtarzam, w gruncie dobra; sprawa to całej Europy, sprawa bezpieczeństwa i pokoju tych nawet, którzy Polskę podzielili. Sprawa nasza tem lepsza, że naród polski był podzielony wtenczas i dlatego, gdy już własnem szlachetnem wysileniem zaczął dzieło poprawy, i byłby za łaską Bożą do rychelej i zupełnej doszedł. Sprawa nasza nadto, połączona jest ze sprawą Kościoła na całym Wschodzie i Północy. Wszystko to powody do nadziei. Czy ztąd idzie że mądre i godziwe było i jest zrywać się co chwila do broni? Najmilsi moi! piękne to jest zapewne po ludzku, że w tej epoce interesów wyłącznie materyalnych, jeden naród nie wahał się nigdy dla idei, dla uczucia poświęcić majątku i życia; że każde wzrastające pokolenie przychodziło z kolei w krwi własnej zapisać protestacyę przeciw jakiemukolwiek przedawnieniu praw narodu; ale cóż, kiedy tych poświęceń Bóg nie chciał, a chciał innych, któreśmy mu albo wcale, albo nie dosyć dawali. Boć najbardziej po ludzku rzecz biorąc, jeżeli naród liczny i bitny przy wszystkich zasobach niepodległego bytu nie zdołał się obronić przeciw napaści zewnętrznej, jakże się wydobędzie w braku tychże wszystkich środków zewnętrznych, a bez wewnętrznej poprawy? Tegośmy nie umieli zrozumieć, nie umieliśmy w pokucie i pracy wewnętrznej czekać chwili miłosierdzia Bożego; i dlatego za każdym wysileniem obciążaliśmy tylko jarzmo nad sobą, coraz zmniejszaliśmy nawet możność do tej pracy i poprawy wewnętrznej;

a przecie do niej dojść trzeba, to zadanie żywotne dla nas. *Każdej sprawie jest czas i pogoda*, mówi Mędrzec Pański, *Czas i odpowiedź rozumie serce mądrego... Czas milczenia i czas mówienia... czas wojny i czas pokoju...* (Ecele. VIII). Nie było pewno zdobywcy gwałtowniejszego, ni człowieka pyszniejszego od Nabuchodonozora, któryby jak on Bogu się przyrównywał, i zabijał niekłaniających się bałwanowi jego, a oto co o nim mówi Bóg przez Jeremiasza Proroka: (XX). *Jam uczynił ziemię, i ludzie, i zwierzęta, które są na ziemi, siłą moją wielką i ramieniem wyciągnionem; i dałem ją temu, który się podobał w oczach moich. A tak i teraz dałem tę wszystką ziemię w rękę Nabuchodonozora króla Babilońskiego, sługi mego... i będą mu służyć wszyscy narodowie i synowie jego, i synowi syna jego, aż przyjdzie czas ziemi jego i jego samego. Ten czas rychło przyszedł. Gdy przechodził się po pałacu babilońskim... rzekł: Izali to nie jest Babilon wielki, którym ja zbudowałem na dom Królestwa w sile mocy mojej? A gdy jeszcze była mowa w usciech królewskich, głos spadł z nieba... królestwo twe odejdzie od ciebie. I od ludzi wyrzucą cię, a z bydłem i zwierzętami będzie mieszkanie twoje... aż doznasz że Najwyższy panuje w królestwie człowieczem i komukolwiek chce dawać je. Teżże godziny wypełniła się mowa nad Nabuchodonozorem. (Dan. IV). A państwo za następcy jego Baltazara przeszło w ręce Medów i Persów. Weźmiesz tę przypowieść przeciw królowi babilońskiemu, mówi Pan do Izajasza (XIV), i rzeczesz: złamał Pan kij niezbożnych, łaskę panujących. Bijącego ludzie w zagniewaniu, podbijającego Narody w zapalczywości, prześladowającego okrutnie. Odpoczęła i umilkła wszystka ziemia, uradowała się i uweseliła... Biada który łupisz, aże i sam złupion nie będziesz? i który gardzisz (wszelkiem prawem i sprawiedliwością) aże i sam wzgardzon nie będziesz; gdy dokonasz łupienia, złupion będziesz; gdy spracowawszy się przestaniesz gardzić, wzgardzon bę-*

dziesz. (Ibid. XXXIII, 1). Tak się stało w naszej sprawie. Za mord nad narodem rzucił wściekły lud francuski trzem monarchom północy, jakby rękawicę, krwawą głowę Ludwika XVI. Rewolucyę francuzką wcieliwszy w siebie Napoleon, państwo które pierwsze podało myśl podziału Polski, w jednej bitwie rozbił, drugie zmniejszył, utrafił, poniżył, i żonę z domu dumnego dawności i godnością dać sobie kazał, trzeciemu stolicę spalił. Po upadku tego połowiecznego mściciela naszego, mocarstwa śród balów wiedeńskich po połowie tylko zrozumiały rękę Bożą, po połowie tylko wymierzyły sprawiedliwość. Łatwiej zresztą zrozumieć jak wykonać. Łatwiej przyznać, że nabytek był nieprawny i niebezpieczny, jak pozbyć się go; bo już stał się potrzebnym, i fałszywy punkt honoru stał na zawadzie. Wrócono nam tedy, choć ciasny i ograniczony byt narodowy, uświęcono prawem wspomnienia i nadzieje; za silna pokusa dla narodu tak żywego, w którym uczucie nad rozwągą przeważa. Że mocarstwa nie oddały nam zupełnej sprawiedliwości, że wiele z obietnic nigdy w życie wprowadzonymi nie były, inne rychło skrzywione lub zagrożone zostały, to ich wina, ich troska dotychczas i na później. Naszą była przyjąć z rąk Boga to półbytu, za połowę poprawy naszej, i korzystać z wolności zostawionych, względnie jeszcze dosyć wielkich. Czyśmy użyli tej wolności ku dobremu? Czy w jakimkolwiek stanie, aby jedna myśl płodna się pojawiła? Niestety! nie. Okrom ulepszeń materyalnych, starsi się bawili w czeze formułki liberalizmu zachodniego, młodszy w konspiracye. Ci ostatni wywołali powstanie Listopadowe, a nie śmieli rzeczy rozpacznej sami dalej prowadzić, i oddali ją starszym, oględniejszym, nieprzygotowanym. Starsi znowu nie mieli serca synów swoich poświęcić, ani do Boga wołając w niebezpieczeństwie, którego nie wywołali, wszystkich sił natężyć by się z niego wydobyć. Tak być musiało i tak będzie, ile razy młodzież radzić będzie, a starzy wykonywać. Po-

święceń było bez miary, chwały dosyć na pokrycie wielu błędów i osłodzenie długich cierpień, ale ni rady w panach radnych choć świątłych, ni u hetmanów choć bitnych, ni sporości nie było, bo woli Bożej nie było, bo ludzie jej ni śledzili ni czekali, bo po ludzku Opatrzność wyprzedzać, i przebojem naprzód iść chcieli. Bóg pcha ludzi i wypadki, ale się sam pchnąć nie da. Miłosiernie okrutny! wiedział dlaczego miał karać, karał w miłości. Już hydra rewolucyjna pełzała po rynszto-kach Warszawy. Owoce jakie wydała na bruku pa-ryzkim byłaby wydała choć trochę później i w kraju. Zdaleka tylko cząstkową rozniosła zarazę; w domu, samych wnętrznościach narodu, zepsuwszy jego skoki, objawiłaby się była nieuleczonym rakiem w boleściach samobójczego konania“.

Przystępuje wreszcie do „Ducha Rewolucyjnego“, do jego początków, dziejów i skutków, a to co mówi, jest tak mądre, tak wzięte z naszej natury i z naszego życia, że wartoby każde słowo nie na papierze przepisać, ale na marmurach wyrycić i na wszystkich rynkach i ulicach polskich postawić jako przestrozę i upomnienie na przyszłość. Wszystkiego przytoczyć niepodobna, ale oto początek: Jednego przynajmniej nikt nie zaprzeczy, to tego, że trzeba było odwagi, żeby w ten sposób mówić o Rewolucyi francuskiej, emigrantom polskim, i w roku 1848:

„Największa szkoda, jaką trzy dwory nam, sobie i Europie wyrządziły, była ta, iż Polaków skrzywdzonych, rozżalonych przeciw władzy, rzuciły w objęcie Fran-cyji w najgorszym jej okresie. Już w powstaniu Kościuszkowskiem wyuczeni, wzięli się do klubów i wie-szania; toż powtórzyli i w Listopadowem. Za pierwszym i za drugim razem były to konwulsye śmierci. Wszyst-kim natychmiast ręce i serca opadły, bo lud nasz nie ma przyrody rzeźniczej i krwią się brzydzi. Trzeba długiej i umiejętnej pracy, aby go rozbestwić. Nasi do

tego niezdolni, sami mistrzowie w pół drogi przerażeni stają; niemniej jednak boleści zadadzą, jak tępe żelazo, jak ramię niewprawne. Dwie te pierwsze próby ograniczały się do samej stolicy, mało osób w nich udział miało. Dopiero za przybyciem Emigracyi do Francyi, duch rewolucyjny rozwinął się w system, stał się szkołą, stał się sektą, oblókł się w ciało. Duch ten burzący i niszczący, duch rozdławiający serca i umysły, zagłuszony hukami dzieł napoleońskich, odgrzany w pokoju jak wąż w zanadrzu, obudził się w rodzinnem swem ognisku i rozwiewał się jak dym przed burzą w Europie. Młodzież polska przychodziła sama grzać się i oczadzić, myśląc, że się oświeca. Przynosiła żal do rządów to nas ciemniących, to opuszczających. Przynosiła żal do sterników sprawy narodowej, samą ich obecnością i wzrastającą w duszach dumą drażniona, spólnością cierpienia nie rozbrojona. Jedną była jeszcze przeszkoda: ostatki wiary i uczuć rodzinnych uniesione z domów. Ale uczucie samo bez podstawy, bez światła religijnego, nie długo się mogło oprzeć atmosferze niedowiarstwa ogarniającej zewsząd, z rozmów przyjaciół niebezpiecznych, a najczynnniejszych, i z czytań dziennych do umysłów wchodzącej. Niedowiarstwo francuzkie a pod koniec i niemieckie, już się u nas do umysłów wkradać zaczęło. Serce się jeszcze czas niejaki broniło; głowa coraz mocniej szalała, usta bluźnić głośniej zaczęły, i głos serca przytłumiły. Niepobożność zresztą należała do oświaty i postępu: próżność i duch systemu pomogły do skrzywienia sumień“.

Czy może nie prawda? Czy tego skrzywienia sumień nie ma? czy go nie czujemy i nie widzimy między sobą, i to dziś może wyraźniej niż wtedy? Dalej, o tym samym zawsze przedmiocie, mówi, że my jesteśmy jak człowiek, który całą swoją mądrość i naukę wziął z jednej tylko książki, że tak, jak ten człowiek mylnie i z jednej tylko strony rzeczy widzimy. Znamy tylko i to z wierzchu, histo-

ryę rewolucyi francuskiej i wszystko co w niej było, chcemy stosować do siebie i u siebie, nie bacząc, że u nas wszystko inaczej, a wyobrażając sobie lekkomyślnie, że zbawimy Polskę temi środkami, któremi Rewolucya nie zbawiła Francyi. Z tego to jednostronnego i ciasnego zapatrzenia się w owe wzory, wyprowadza mowca nienawiść naszych demokratów do szlachty i teorye o jej szkodliwości dla sprawy narodowej:

„Tak gdy ościenne rządy trzykrotną u nas rewolucyę odprawują, nasi rewolucyoniści czwartą wewnątrz wzniesają, i przeciw komu? Oto przeciwko tejże samej klasie siły swoje wytężyli, która i obcym rządóm najbardziej jest nie na rękę, w której pomimo wszystkich błędów i niedostatków, najżywiej jeszcze wspomnienia, myśl i uczucia narodowe się przechowują: przeciw posiadaczom ziemskim, przeciw szlachcie. Dlaczego? — bo rewolucya francuska szlachtę zniszczyła. Ale dla Boga! czyż szlachta nasza przeciw sprawie narodowej się sprzyścięgała, czy orężnie ją walczyła, czy też przeciwnie wczas i niewczas, majątków i piersi dla Ojczyzny nie nadstawiała? A jej przecie pogroźono ogniem i mieczem. Zkądże do tego przyszło? Oto młodzież nasza obejrzawszy się po świecie, zawstydzila się i zabolala nad stanem chłopka polskiego: nie jeden, który potem zadaleko poszedł, zrazu istotnie tem szlachetnem uczuciem był powodowany. Nie przyznali jednak, iż tej krzywdy w kraju albo wcale, albo też żywo nie czuli, że zatem i postępowanie starszych braci, jest częściej skutkiem niezastanowienia się, nieprzewidywania jak złej woli. Wszakże ta szlachta polska, jedyna w świecie, umiała dla dobra Ojczyzny przywileje swoje ograniczyć, niższym klasom praw postąpić...“

Ale dotyka on czegoś głębszego i dotkliwszego zarazem jak stosunek naszych rewolucyonistów do szlachty, to stosunku ich do ludu, wskazuje fałsz, jaki w tym stosunku

jest. Ten, o ile wiemy, po raz pierwszy pokazany był w Polsce tak śmiało, tak otwarcie i tak do dna:

„Wszakże po odrzuceniu szlachty, trzeba było znaleźć w ludzie wszystkie warunki do istnienia organicznego narodu potrzebne, trzeba było znaleźć w nim siłę do wywalczenia bytu: i przetoż z odwagą rozpaczy ogłoszono wszechwładztwo ludu. Najmilsi moi! Bóg jeden jest wszechwładny: bo on jeden wszechmądry. Wszechwładzę ten tylko mieć winien i posiada, kto jest wszechwiedzący i władzy swojej nadużyć nie może. Dlatego jakimkolwiek kanałem władza na społeczeństwo splywa, w jakimkolwiek kształcie objawia się, z woli jest, albo z dopuszczenia Bożego, ale zawsze z Boga, źródła wszelkiej władzy. Lud może być i bywa narzędziem, środkiem oznaczenia, wypowiedzenia woli Bożej; ale i wtenczas właściwie nie daje władzy. Albowiem zdolności i cnót, dla których wybiera kogo do rządzenia sobą, ani światła i pomocy do dobrych rządów nie daje lud, daje tylko Bóg. Wszechwładztwo przeto czysto ludzkie, czy to w kształcie jednowładztwa, czy wiele, czy gminowładztwa, nie jest pojęciem chrześcijańskim: bo człowiek, ile człowiek, nie ma prawa do panowania nad człowiekiem, dopieroż nad społeczeństwem. Że dla pogan, którzy stracili byli kryterium prawdy, przystanie większej liczby na jedno, mogło się wydawać prawdą bezwzględną, to rzecz prosta; ale odkąd znamy prawdę Bożą, niezależną od przystania ludzkiego, owo starożytne: *vox populi, vox Dei*, nie ma już znaczenia, choć się nałogowo po głowach płącze. Zresztą, u stóp krzyża, niezmierną większość ludu żydowskiego skazując Chrystusa na śmierć, praktycznie niedorzeczności kryterium pogańskiego dowiodła. Wszakże głos ludu jak głos pojedynczego człowieka, może być głosem Boga, jeżeli wola Boża jest wolą jego, to jest, jeżeli lud czy człowiek przyjmuje i głosi prawdę Bożą. Otóż lud nasz dopóki niezbląkany trzyma się jak umie i ro-

zumie głosu Boga; nasi tedy gminoluby musieli zaraz zadać uroczyste kłamstwo swej zasadzie. Wyznając bowiem zasadę wszechwładztwa i wszechwiedzy ludu, zamiast pytać jego woli i czerpać z jego światła, zaczęli go uczyć. Stanęli więc jako mistrzowie ludu nie wybrani, ale narzucający się przebojem, to jest rewolucyjnie: i co więcej, zaimprovizowali się na urzędowny i nieomylny organ ludu polskiego. A że klasa wyższa, osadzona za niezdolną i zgubną dla kraju, mogła przeskadzać uszczęśliwieniu ludu, stanęli jako władza rewolucyjna, gotowa użyć wszelkich środków, by to szczęście ludowi zabezpieczyć. I słusznie, bo jeżeli lud jest bogiem, tedy wszelki środek na korzyść jego użyty, jest święty. Mówiono głośno o potrzebie dyktatury dla wychowania ludu, któraby się zapewne była przedłużała, boć postępowe rozwijanie ludu jest nieograniczone. Chęć panowania właściwa jest wszelkiemu fałszowi, bo nie drogą przekonania ale gwałtu, swoje przeprowadza. Szła tedy przygotowaneza propaganda ustna i piśmienna...“

Ale w tej historyi roku 1846 nie sami tylko mieli usłyszeć prawdę emissaryusze wersalskiej demokracji. Ta dobroć serc i łatwość poświęcenia się, która w nas jest, ale która połączona z łatwowiernością i lekkomyślnością daje się byle komu podchwycić, wyzyskać, i przeciw Ojczyźnie nadużyć, ta która była za Zebrzydowskiego i Lubomirskiego jak za rzezi galicyjskiej i w r. 1863, ta także dostaje co jej się należało:

„A czym kosztem i czyją pomocą? Czy ludu? — gdzietam! lud grosza nie dał, i palcem nie ruszył. Kosztem i pomocą samejże szlachty, która się we wszechwładztwo ludu bawiła, już z odurzenia głowy, już z chęci popularności i znaczenia, już ze strachu o gardło na dany przypadek; i jak mogąc się submitowała, a kieszzenie na wyższe cele wypróżniała. Dziwna ale smutna krotochwila! Ci którzy mają paść ofiarą rewolucyi,

zwykle ją przygotowują, jej służą. Dlaczego? Bo w epokach niewiary i wzburzenia wszyscy mniej więcej przyjmują te same fałszywe zasady, i dziwią się potem, że odważniejsi i logiczniejsi nie chcą z innymi stanąć wół drogi, ale do ostatnich je następstw rozwijają i wprowadzają w życie. Takie jest dziś położenie świata. Prawda fałszem przymieszana bije się z fałszem okraszonym prawdą, i dlatego walka tak zażarta i długa, dlatego zwycięstwa fizyczne rzeczy nie rozstrzygają, bo fałsz zawsze mocny przeciwko prawdzie nie całej, a prawda wtedy tylko zwycięża kiedy całkowita. A nie chcą ludzie, skarżący się na zgubne zasady, obrócić się do Boga, który w zakonie swoim i w Kościele, złożył lekarstwo jedyne na choroby tak społeczne, jak osobiste; i przeto kary końca nie mają. Są prawa odwieczne, które kto zmienia: *podważa wszystkie podwaliny ziemi* (Ps. LXXXI, 5). Wtenczas narody się *chwieją, jakoby opojone winem* (Is. XIX). Duch zawrotu je porywa, i przewracają się jak chory na swem łożu: *plakała i zeszała ziemia i zemdląta: zciekł świat, zemdląta wyniosłość narodu ziemi, a ziemia splugawiona jest od obywateli swoich, iż przestąpili zakon, odmienili prawo, złamali przymierze wieczne* (Is. XXIV, 4, 5).“

To posiew *Rewolucyjnego Ducha*; a jego żniwo? zakończenie jest wspaniałe; wspaniałe zwłaszcza przystosowanie ustępu z ksiąg Machabejskich:

„Dojrzewały w cieniu owoce rzuconego ziarna, ale zewnątrz jeszcze widzialne nie były. Rządy ślepo bezpieczne na społeczne ruchy, zaczęły więcej myśleć o stosunkach międzynarodowych. Patrzała Anglia niespokojnie na Carogród i Indyę, po Niemczech w zamyśleniu patrzących na północ, dreszcz zimny przebiegał. Parłamenta, dzienniki, te gęsi kapitoluńskie nowszych czasów, zaczęły coraz głośniejszy wywoływać imię Polski; sam Rzym tak cierpliwy, tak długomyślny, za uciśnionymi

w sumieniu Polakami się odezwał. O! gdybyśmy umieli zostawiać wypadki rozwijaniu się naturalnemu, i czekać w pogotowiu! O! gdybyśmy umieli służyć Ojczyźnie nie ruszając się przed czasem, i nie psując co czas Boży ku nam i na korzyść naszą pędzi! A tu nam pilno naprzód się wyrwać! Pilno zmarnować pracą i cierpieniami narodu nagromadzone zasoby, pilno przyszłość Ojczyzny na niepewny los puścić! I jaka ztąd korzyść? Dawniej jeszcze bito w dłonie zuchwałemu gladyatorowi wolności, oliwą i winem rany opatrywano tego Samarytanina narodów: a tu nagle krzyk zdumienia, a później śmiechu, echem niemieckiem rozległ się po Europie, nie widzącej już ani siły ani zręczności, tylko samo zuchwalstwo. Mamy stary przykład tej rzeczy. Gdy Machabejczycy *dostąpili wielkiej chwały w oczach wszystkiego Izraela, i wszech narodów gdzie było imię ich słyszane, i zesłi się do nich szczęścia winszując, usłyszał Józef syn Zacharyaszów, i Azaryasz hetman nad wojskiem, szczęśliwe powodzenie i bitwy, które się stały. I rzekł: uczynimy i my sobie sławę, a idźmy walczyć przeciw narodom, które są około nas. I rozkazał tym, którzy byli w wojsku jego, i ciągnęli do Jamniej. I wyjechał Gorgiasz z miasta i mężowie jego przeciwko nim ku bitwie. I podali tył Józef i Azaryasz aż do granic żydowskiej ziemi: i poległo dnia onego z ludu Izraelskiego około 2.000 mężów, i stało się wielkie uciekanie ludu. Iż nie słuchali Judasza i braci jego, mniemając żeby sobie mężnie postąpić mieli. A oni nie byli z nasienia onych mężów, przez które się stało zbawienie w Izraelu (I. Mach. V, 56–62).* Tak się udało powstanie w Poznańskim i Galicyi 1846 roku.“

„O gdybyśmy umieli zostawiać wypadki rozwijaniu się naturalnemu? Gdybyśmy umieli służyć Ojczyźnie nie ruszając się przed czasem i nie psując co czas Boży ku nam na korzyść naszą pędzi!“ Co na to odpowiedzą ci, którzy sprowadzili rok 63? ci w których przyspieszonym działaniu słyhać

było ustawicznie słowa tego Józefa i Azaryasza co nie słuchając Machabeuszów mówili: „uczyńmy sobie sławę i my?” Co odpowiedzą na to pytanie, które kaznodzieja nie do nich wprawdzie, bo do ludzi z roku 1848-go wymierzył, ale które do nich tem bardziej się stosuje:

„Czy rewolucyoniści nasi po takim doświadczeniu uderzyli się w piersi? Czy zawołali do narodu: Bracia! wybaczcie, chcieliśmy dobrze, aleśmy zblądzili i ciężko zawinili?... Naród który przebaczył zwiędzonemu chłopu, który w lat dwa potem dawał pocałunek braterski urzędnikom austryackim i pruskim, byłby chętnie przebaczył. Nie, tego przyznania się do winy, nie było, tylko pobicie na duchu: i dlatego poprawy być nie mogło. Pokazały to wypadki 1848 roku“.

Pokazały to jeszcze lepiej wypadki roku 1863; pokazał też przez następnych lat dziesięć ¹⁾ zuchwały upór przy swoim i wmawianie w siebie samych jakoby się wtedy było dobrze zrobiło!

Rzecz naturalna, że słowa takie musiały gniewać tych, którzy je do siebie brali. Prawda w oczy kole; a im większa, im ostrzejsza, tem większy z niej ból, tem większa na nią złość. Przecież dotąd jeszcze było w kościele cicho i spokojnie. Dopiero kiedy mowca przeszedł do roli Polaków w roku 1848, i zapytał co robili w Badeńskim, jak śmieli w Rzymie dobyć broni przeciw Francuzom, jak się nie wstydzili pomagać do wypędzenia Papieża i to bezbronnego, wtedy przebrała się miara cierpliwości. Jakto? wyrzucać nam nasze poświęcenie, nasze bohaterstwo, krew, którąśmy przelewali za wolność i braterstwo ludów, tego już za wiele!

„Na ziemi własnej błdzić, na ziemi własnej szaleć nawet, smutna to zapewne; ale smutniejsza daleko mięsząc się w sprawy obce, ze sprawą naszą nawet

¹⁾ Pisane w r. 1873.

styczności nie mające. Co Polacy mieli do czynienia w Badeńskim? Czy bronić ostatków parlamentu frankfurckiego, który przeszedł dyplomatów wiedeńskich i ćwiartkę Polski jeszcze na połowę przekroił? Co mieli do czynienia np. w Toskanii i Genui? jak mogli walczyć w Rzymie z Francuzami, dawnymi przyjaciółmi, dla niewalczenia z którymi po części powstanie listopadowe wybuchło, których chleb od tyłu lat pożywamy i wielu z walczących jadło, i może poń znowu rękę wyciągnęło lub wyciągnie? Jak śmiała garstka ludzi ściągnąć nieznaną dotąd w dziejach hańbę na nasz naród, by broń podnieść przeciw Namiestnikowi Chrystusa na ziemi, Ojcu naszemu duchownemu, który nas tyle kochał!

Wszystko można znieść i wytrzymać: ale nie to, by nam za złe liczono to, cośmy zrobić mogli dla rozbicia tej twierdzy despotyzmu i ciemnoty, która się nazywa Papieżstwem! Wszczął się szmer, hałas, różne oznaki *sprawiedliwego* oburzenia ze strony *niesprawiedliwie* skarconych. Ale na kazalnicy był człowiek odważny, dawny żołnierz, który się nie bał kul i kartaczy; jakże miał złęknąć się kilku krzykaczy. Jak wódz przed frontem szemrzących i zbuntowanych szeregowców, tak ten ksiądz gromi swoich niesfornych słuchaczy; i odrazu, od pierwszych słów, samym swoim głosem zmusza ich do milczenia i do posłuchu:

„Wyjdźcie ztąd niezbożni! Kto was tu przyjąć przynaglał albo trzyma? Czemu wnosicie do świątyni pańskiej klubowe a karczemne zwyczaje wasze? czy chcecie nas i z kościoła wygnać? tak się pięknie sprawujecie, że już nas i w kościołach nie chcą i z miejsca na miejsce przenosić się musim. Nieszczęśliwi! nie dowodzicież tym postępkim, że wszystko com powiedział jak mi sumienie kazało, potrzebnie i słusznie powiedziałem i niedosyć może? Niedowodzicież że się do ludu polskiego przyznajecie tylko na jego niesławę

i nieszczęście: bo wy nic z nim wspólnego nie macie? Znam ja ten lud i wiem, iżby on nic podobnego nie ścierpiał. Nie, wy należycie do tych, którzy z miłości ojczyzny ciałem i duszą Sultanowi się oddali, turbany wdzieli, Polski się wyrzekli, imię Polski zhańbiwszy, za którymi lud Polski nie pójdzie. Dlatego mówię, dlatego tak mówię, aby nie spadała na naród cały odpowiedzialność za grzechy zaślepieńców, za grzechy niezmiernej mniejszości. Nie dosyć było protestacyi; wołać trzeba tak, aby świat cały słyszał, aby Bóg wysłuchał. Może was kto przysłał z tych, którzy się cieszą z każdego zgorzenia, z każdej plamy na imię polskie spadającej. Mnie droga chwala tego imienia, ja kocham mój naród, wie to Bóg! mniejsza, co ludzie powiedzą; a nie taję, że gdyby Polska miała wpaść w ręce bezbożników, gdyby miała zostać piekłem, ja nie chcę widzieć Polski.“

Te słowa ostatnie, *nie chcę widzieć Polski*, wydarte z naturalnego związku z poprzedniami, same jedne powtórzone i roztrąbione głośno po Polsce z wielkim szelestem szat, które nasi wielcy patryoci rozdzielali na sobie z oburzenia, stały się kamieniem węgielnym, na którym wzniesiono całą późniejszą budowę fałszów i oskarżeń przeciw księdzu Kaysiewiczowi. „Nie chcę Polski, któraby była piekłem, nie chcę chrzczonej petrolem a bierzmowanej krwią; gdyby taką być miała, lepiej by nie była. Jakiej chcę, to wiecie, wy którzy mnie od lat tylu słuchacie i znacie, a który z was kocha ją prawdziwie, ten tylko dobrej, tylko pięknej, tylko czystej chcieć może, bo inaczej ona ani trwałą ani silną nie będzie, nie będzie sobą.“¹ To te słowa znaczyły, w związku i całą przeszłością ks. Kaysiewicza, w związku ze wszystkimi jego poprzednimi kazaniami, w związku wreszcie z tym ostatnim, w którym były wyrzeczone. Że duch rewolucyjny zagadnięty tak śmiało, stawiony przed sądem, i skazany, rzucał się i miotał, to nie dziwnego; ale że ktośkolwiek z ludzi dobrej wiary mógł te słowa źle zrozumieć,

a wszystkie inne tak prędko zapomnieć, to dziwniejsze. Wszak na to, by zrozumieć dobrze myśl jego o Polsce i jego dla niej uczucie potrzeba było tak mało! potrzeba było tylko to samo kazanie przeczytać do końca:

„Ty wiesz, o Boże nasz! *śledzący nerki i biodra*, żeśmy niewinni wszystkiego co na nas kładą ci, którzy radzi sponiewierać ofiarę niesprawiedliwości swojej, lub samolubstwa. Ty wiesz, że wszystko dobre i piękne w nas przemileczają i kryją: i wiarę ludu wielkopolskiego, i wyznanie Kościoła Twego przez małopolskie posły, i powszechne, a tak skore i szczere przebaczenie obcym władcom jak skoro pierwszy promień zmiłowania Twego nam zabłysł. Ty wiesz o Panie! że nie cały naród winien, że nie wszyscy wygnańcy winni, a wszyscy cierpią, a wszyscy karani jakby winni. A i ci mili bracia, którzy pobłądzili lub błędzą jeszcze, pomnij Panie! że cierpieli tak długo, tak długo za krajem tęsknili: a cierpienie i tęsknota, i nędza złymi są doradcami. Wszczep Panie gałązkę oliwną w tę dziczkę na obcej ziemi, z obcych zepsutych soków wyrosła: niech przemieniona bujny owoc Ci wyda. Patrz na braci naszych zasłanych na Sybir, jak własną ręką ze skąpego grosza świątynie Ci stawiają: bo im nikt zgubnych a ludzących nauk nie podał; i dlatego co z domu wynieśli, w owoce świętości się rozrosło. Patrz Panie! na tylu wiernych sług Twoich w kraju i na wygnaniu, a którzy schną w duchu, z nędzy przymierają, a ust w szemraniu przeciw Tobie nie otwierają. Ulituj się Panie! też całego narodu codzień obłokiem podnoszących się ku Tobie, ulituj się jęków czyseowych ludu całego! Utwierdź dobrych w dobrem, nawróć błędzących i zrób z nich wyznawców i rycerzy twoich, daj wszystkim zobopólną miłość, abyśmy w Tobie wkorzeni, byli wszyscy *dobrem drzewem* i wszyscy *dobrze tylko owoce wydawali*.

Wszak tu jest nietylko odróżnienie sprawy niewinnej od ludzi, ale i tych ludzi winnych uniewinnienie? nietylko miłość ojczyzny, ale, i pomimo wszystkiego, nadzieja, że się Bóg nad nią zlituje. Kto to zakończenie przeczyta, zaprzeczyć temu nie może; jak nie może zaprzeczyć, że słuszne i prawdziwe są słowa, które mowca w owym czasie ściągał do wypadków i ludzi z roku 1848-go, a które ściągają się dziś tak samo i lepiej do późniejszych.

Oto jest *corpus delicti*: oto kazanie, w którym ukryty jest grzech przeciw duchowi narodowemu, mówi, po dziś dzień jeszcze, duch rewolucyjny.

Ależ bo u niego zbrodnią jest wszystko, co mu dowodzi, że on nie jest duchem narodowym, patriotyzmem: zbrodniarzem każdy, kto mu zdiera maskę. Zygmunta Krasińskiego także tylko jego geniusz poetyczny i wielka sława bronią od potwarzy; powiedzieć o autorze *Przedświtu*, że był złym Polakiem? próżna rzecz, to się nie uda, a ludzie roztropni umieją się trzymać w granicach możliwości. Gdyby nie to, byłby autor *Nieboskiej Komedyi*, *Psalmu Żalu*, *Dnia Dzisiejszego*, tak otwarcie szkalowanym i prześladowanym, jak dziś zaczepianym bywa skrycie i zdradziecko jako arystokrata, człowiek wsteczny, utopijny, mistyk rozmiłowany w feudalnych czasach i prawach. Książd Kaysiewicz mniej znany, mniej czytany, nie broniący się nawet, bo kazania swoje ogłosił dopiero po przerwie lat blisko trzydziestu, był celem do trafienia łatwiejszym, a jako książd bardzo także ponętym.

Kiedysmy zaś Krasińskiego wspomnieli, to powiedzmy, że jest jakiś związek między tymi dwoma ludźmi, którzy nie byli ani do siebie podobni, ani stosunkami zbliżeni. Życie, powołanie, rodzaj umysłów, wszystko inne; przecież są pewne punkta, w których wymowa Kaysiewicza spotyka się z Krasińskiego poezją. Powyżej stawialiśmy *Kazanie o Pokucie i Przedświt* jako przeciwieństwa. Nie było u Kaysiewicza patriotycznego mistycyzmu, jak nie było apoteozy Polski, jak nie było filozofizmu, w którym Krasiński przez jakiś czas brodził i błądził, jak nie było zwątpień, w które tamten chwilowo popadał. Ale obok różnie są i analogie.

Punkt wyjścia jest u obudwóch jeden: ten sam patryotyczny ból, który wydał *Irydioną*, *Przedświt*, *Psalmy*, całą poezję i całą historyzofję Krasińskiego, wydał także kazania polityczne, i może cały zawód duchowny Kaysiewicza. Potem rozchodzą się ich drogi; nawet ostateczne konkluzje ich przekonań są różne, dowodem *Przedświt* i pierwsze kazania. Ale kiedy Polska w niebezpieczeństwie, wtedy Krasińskiemu ideał rzeczywistości nie zasłania, i jego krzyk „hajdamackie rzucicie noże“ schodzi się co do czasu i co do myśli z Kaysiewicza groźbą „pomrzecie bez chwały i korzyści, boście siebie nad wszystko kochali“. Jeden w nich był ideał ojczyzny, i jedna odwaga, jedna zasługa, jedna chwała, w tem, że oni dwaj pierwsi, każdy wedle sił i środków swoich wystąpili do walki z duchem rewolucyjnym. Czy mieli słuszość, na to odpowiedział rok 1846 i 1863. A nie trzeba mówić, że temu lub owemu należy się większa chwała pierwszeństwa lub geniuszu. Geniuszów porównywać nie myślimy; ale przypomnimy, że Kaysiewicz mówił prawdę zawsze, i tylko prawdę, kiedy Krasiński głosił nam Chrystusową misję Polski. A więc Kaysiewicz większy? przynajmniej więcej zasłużony? on pierwszy to dzieło rozpoczął? Nie: Krasiński krążył długo zanim do zupełnej prawdy doszedł, i zbaczał od niej czasem, ale on pierwszy odgadł Ducha Rewolucyjnego, kiedy się nikt na nim nie był poznał, on napisał *Nieboską Komedję*. A jak przed rokiem 1846 przestrzegali i o upamiętanie wołali każdy ze swego miejsca i swoim sposobem, tak po nieszczęściu schodzą się znowu. *Psalm Żalu*, *Dzień Dzisiejszy*, wychodzą na to samo prawie, co *Kazanie o Duchu Narodowym*; owszem powiedzielibyśmy więcej, powiedzielibyśmy, że to kazanie dopełnia niejako ostatnie i najwyższe słowo Krasińskiego, *Psalm Dobrej Woli*, że rzeczywistość jaka jest w jednym, dodana do ideału jaki jest w drugim, składa dopiero prawdę całkowitą i zupełną której treść, treść całych naszych dziejów jest ta: wiele nam dałeś Panie, aleśmy wszystko stracili, zmiłuj się, poradź co na nas, żebyśmy zachowali choć te resztki, które nam jeszcze zostały, i z nich dorobili się tego co nam się należy.

A jak to samo zachowanie w najsmutniejszych dla Polski czasach, jak jedna jej miłość i jeden ideał, tak jeden jest u obu środek na wcielenie tego ideału w życie. Wszystkie kazania księdza Kaysiewicza, i cała poezya Krasińskiego mówią zgodnie: „najwyższy rozum cnota.“

Kazanie o *Duchu Narodowym i Duchu Rewolucyjnym*, mówiąc po literacku, nie jest najpiękniejszym ze wszystkich: ale ze stanowiska obywatelskiego, patriotycznego, jest jakoby streszczeniem, konkluzją i koroną kazań politycznych, księdza Kaysiewicza, jak też szereg ich i całą tę epokę jego życia rzeczywiście zamyka.

III.

Zdarza się czasem słyszeć pytanie, dlaczego późniejsze kazania księdza Kaysiewicza nie są już tak świetne jak te pierwsze? co się z nim stało? czy jaki powód zewnętrzny zatrzymał nagle na miejscu zdolność, która powinna była iść jeszcze wyżej i rozwijać się dalej? czy się wyczerpał tak rychło wewnętrzny zasób sił i natchnień? czy mowca, choć nie stary weale, tak się wczesnie zestarzał? w każdym razie coś się stało, coś w nim ustało w połowie drogi? Dlaczego?

Nie przeczyśmy bynajmniej faktu, owszem przyznajemy zupełnie, że pod względem ściśle kaznodziejskim ksiądz Kaysiewicz po roku 1850 nie jest równym temu, jakim był w początkach swego zawodu; ale powodu i wytłómaczenia tego faktu nie szukamy tak daleko, bo zdaje nam się, że leżą one na wierzchu, pod ręką. Nie wyczerpała się zdolność, potok wymowy nie wysechł ani nie zamarł, na dowód przypomnimy tylko jego mowę pogrzebową po księciu Adamie Czartoryskim, powiedzianą w r. 1862, najpiękniejszą niezawodnie ze wszystkich jego mów tego rodzaju, a co do budowy, proporcji, artystycznego wykończenia, jedną z najdoskonalszych mów w ogólności! Ale jeżeli nie mówił już, a raczej rzadko tylko mówił tak jak niegdyś o *Pokucie*

albo o *Duchu Narodowym*, to, zda nam się, dlatego, że nie bardzo miał do kogo mówić. Uważajmy, że od tej chwili prawie ksiądz Kaysiewicz bądź jako przełożony zgromadzenia, bądź też przełożonego zastępcą, najczęściej przesiadywać musiał w Rzymie; tam zaś, zamiast licznego jak w Paryżu koła polskich słuchaczy, zamiast emigracyi wstrząsanej wszystkimi po kolei elektrycznymi prądami wypadków lub idei, miał przed sobą zawsze tylko szczupłe, przypadkiem zebrane, ciche i spokojne grono polskich wędrowców. Te przelotne ptaki nie mogły być, jak emigracya we Francyi, odbiciem całego narodu na mniejszą tylko skalę; a kilka osób lub rodzin polskich stale w Rzymie osiadłych, mogły mu dostarczyć polskich słuchaczy i penitentów, ale nie dawały mu polskiego społeczeństwa. Rzym nie był takim ogniskiem polskiego życia jakim był Paryż, i dlatego to pro prostu nie mógł w nim ksiądz Kaysiewicz swojego kaznodziejstwa politycznego tak dalej prowadzić jak je był rozpoczął w Paryżu. Zresztą nie do jednej tylko rzeczy przeznaczony był i zdolny ten człowiek potężnej natury. Kazania i pisma on nie zaniedbał, ale jak dotąd główna część jego czynności skupiała się w ambonie, tak odtąd ta ustępuje nieco z pola, a jego widzimy w innym, nie mniej ważnym rodzaju służby Bożej i publicznej.

W roku 1850 skończyły się wszystkie wahania, wątpliwości, czy nie byłoby dobrze uorganizować się jako odnoga zakonu Benedyktyńskiego: reguła osobna, Zmartwychwstańców, została ostatecznie ułożoną i przyjętą, odrębność zgromadzenia od wszystkich innych, i jego samoistność, w myśli zakonników postanowione. I odtąd, jak żeby ten zakon nabrał był konsystencyi i rzeczywistości, on sprawami swojemi zatrudnia głównie księdza Kaysiewicza. Biedny to był zakon, zawiązany w pięciu tylko braci! cóż z tem począć! jaką temu wróżyć przyszłość! Otóż teraz właśnie, z tych związków tak małych, z sił tak nie licznych, a do tego ze wszech stron ciśniętych prześladowaniem, zaczyna się rozwijać prawdziwa jego żywotność.

Ale jakim sposobem założenie zakonu i zakonne życie może być jednym rodzajem służby publicznej? To niedorzeczność! Że ci księża modlą się za ojczyznę, że, pozwólmy, z ambony lub w konfesyonale tego lub owego poprawia, wszystko to może być bardzo piękne, ale jedno jest bardzo mistyczne i skutków zgola nie widomych, drugie wchodzi najściślej w zakres powołania duchownego, obowiązywałoby ich tak samo, gdyby byli Francuzami, Włochami, nawet Niemcami i Moskalami. Jakże więc mówić o ich działaniu, o ich służbie publicznej polskiej?

Dla nas ludzi świeckich centrum polskich spraw i nadziei było zawsze tam, gdzie się rozstrzygały wielkie polityczne wypadki, gdzie się gotowały wojny i pisały traktaty, zatem, aż do ostatnich czasów w Paryżu. Na Londyn i na Sambuł mieliśmy oko jako tako zwrócone, na Wiedeń i Berlin już mniej. Szukaliśmy dla naszych zamiarów i działań punktu oparcia tam, gdzie się skupiały działania dyplomatyczne pięciu (podówczas) wielkich mocarstw europejskich. Było jedno miejsce, leżące jak żeby na uboczu wielkiej polityki angielskiej i francuskiej, a przeto pomijane i przez naszych polityków polskich; a przecież była i tam służba do pełnienia, niebezpieczeństwa, podstępny, fałszywy do odpięrania, wielkie interesa polskie do bronięcia: tem miejscem był Rzym. Dla księży oczywiście punkt najważniejszy na kuli ziemskiej, ten z którego najpilniej było potrzeba, a najskuteczniej było można, ratować duszę narodu, i jego w Słowiańszczyźnie odrębność, ratując jego katolicką wiarę.

Rosya, swoim niemylnym instynktem wroga i ztraciaciela, odgadła zaraz ten Archimedesowy punkt ciężkości. Historia jej stosunku do Stolicy Apostolskiej od zaboru Polski byłaby niezmiernie ważną i nauczającą, a wykryłaby, w szeregu coraz nowych zabiegów i środków, cel zawsze ten sam i niezmienny: zrzęcznie doprowadzić Stolicę Apostolską do tego, żeby sama katolicyzm w Polsce podkopała i obaliła. Prześladowanie krwawe swoją drogą, *et haec facienda et haec non omittenda*; ale prześladowanie samo, choć dobre, jest tylko materyalnym, mechanicznym środkiem, który może

nie wystarczyć. Cóż z tego, że się pień zetnie, jeżeli korzeń zostanie i nowe odrośle wypuści. Sparaliżować korzeń, zabić go tak, żeby drzewo już nigdy odrość nie mogło, zrobić tak, żeby pomiędzy Rzymem a Kościołem polskim ustał wszelki związek, wszelka miłość, to dopiero sztuka, to cel godny prawdziwej dyplomacyi, to dzieło trwale i pewne! A do tego środek jedyny, udawać w Rzymie Polaków za nieprzyjaciół Kościoła, przed Polakami Rzym za nieprzyjaciela Polski. Ze statecznością i zręcznością godną podziwienia, dążył rząd rosyjski i dąży zawsze do tego celu. Z nim na oku powtarza w Rzymie od lat stu: ja nie mogę dać waszemu Kościołowi takich jak mu potrzeba praw i swobód, bo ten Kościół służy za tarczę i sztandar moim zbuntowanym poddanym, chciałbym, dałbym, ale dla własnego bezpieczeństwa nie mogę; jeżeli chcecie mieć w mojem państwie katolików, wypryście się, wyrzeczcie się, odprzysiężcie się Polaków i Polski. A to mówiąc w Rzymie, Rosya wie doskonale co robi; wie, że jak z upadkiem katolicyzmu ginie Polska, tak nawzajem z upadkiem polskiego żywiołu, ginie katolicyzm na północy i wschodzie. Wie także, że Kościół, któryby się wyparł Polski, nie tylko zraziłby Polaków najboleśniej, ale straciłby ogromnie na wierze i czci u ludzi w ogólności, jako taki, który sprawiedliwości od bezprawia, sprawy słusznej od bezbożnej, złego od dobrego rozróżnić nie umie. Władając zręcznie tą bronią obosieczną, a grożąc przytem ciągle, że zniesie resztę biskupstw, seminaryów, kościołów, Rosya zyskała to, że Rzym zniósł już i znosi wiele, prałatów takich jak Siostrzeńczewicz naprzykład, kolegium katolickie w Petersburgu, administratorów dyecezyi takich, jak dziś widzimy w Warszawie¹⁾, a chce więcej: chce żeby Rzym zgodził się naprzykład na wprowadzenie języka rosyjskiego do katolickich nabożeństw w Polsce, wiedząc, że takich rzeczy parę, a skończy raz na zawsze z żywiołem polskim później, z katolicyzmem w swoich krajach pierwej.

¹⁾ 1873.

Naprzeciw Rosyi tak działającej w Rzymie, stoi Polska nieczynna i względem niego obojętna. Spuszcza się na to, że skoro jest katolicką, i ma dobrą sprawę, Rzym za taką ją znać, i sam przez się, bez wszelkich z jej strony starań i zabiegów, bronić powinien: spuszcza się na to, że Stolica Apostolska mając nuncyuszów, jeżeli nie w Rosyi to koło Rosyi, wiedzieć musi co się dzieje w Polsce i w polskim Kościele, na cóż więc innych doniesień i raportów. Państwo mające swoje poselstwa przy dworach zagranicznych, nie żąda i nie potrzebuje raportów i korespondencyi od ludzi prywatnych; z Kościołem musi być tak samo. Tak rozumowała Polska, i przyznać trzeba, że w teoryi, podług praw logiki i sumienia rozumowała słusznie. Tylko łatwowiernie: a przeto w praktyce rozumowanie to okazało się mylnem. Polska zapomniała o tem, że strzeżonego Pan Bóg strzeże, że ludzie są ludźmi, i pomimo najlepszej woli nie jedno mogą przesłепić, nie jedno pod wpływem zdradzieckich zabiegów, ujrzeć w świetle fałszywem: Polska nie chodziła około swoich spraw w Rzymie, zaniedbała je, zdała naiwnie na opiekę Boską, która się dobrym sprawom należy, i poniosła ztąd szkodę niejedną, żeby wspomnieć choćby tylko enyklikę Grzegorza XVI z r. 1832.

A pomiędzy tą zabieглиwością rosyjską i tą polską nieruchomością, stał Rzym, ostrożny i nieufny zawsze względem Rosyi, ale ostrożny i niedowierzający także względem Polski; podejrzewający w jej katolicyzmie więcej patryotyzmu jak prawowierności, lękający się jej pochopności do wszystkich rewolucyjnych ruchów, gotów zawsze wystąpić ostro i jak najostrzej przeciw rosyjskim prześladowaniom, ale oglądając się przezornie na Polaków, czy oni też zdołają wytrzymać prześladowanie gwałtowne i nieubłagane, przed jakim nie cofnąłby się niezawodnie rząd rosyjski. przez Papieża do otwartej walki wyzwany.

Taki był stan rzeczy polskich w Rzymie po roku 1831, i w głównych zarysach takim po dziś dzień pozostał. Położenie niezmiernie ważne i trudne. Ważne, bo wszystko, zkańkolwiek to pochodzi, co osłabia katolicyzm w Polsce, pro-

wadzi drogą długą może, ale prostą, do chemicznego roztopienia się Polski w Słowiańszczyźnie. Trudne, bo ma się do walczenia z dyplomacją rosyjską naprzód, z ostrożnością włoską potem, którą przekonać trzeba nietylko o tem, że ją Rosya chce zdradzić, ale i o tem, że Polska pomimo nienawiści niektórych Polaków a obojętności wielu, Rzymu nie zdradza i nie odstępuje — z popędliwym temperamentem i zboląłem uczuciem polskiem wreszcie, które po każdej nie zbyt szczęśliwej nominacji biskupa, po każdej grzeczności, choćby najpowszedniejszej, wyświadczonej rządowi rosyjskiemu, wołają, że Rzym Polskę poświęca a płaszczy się przed carem! A przecież trzeba koniecznie i dla sprawy polskiej i dla sprawy Kościoła, i dla czegoś więcej jeszcze, bo dla zbawienia milionów dusz, nie dla sądu historyi już, ale dla Sądu Ostatecznego, żeby Rzym kochał Polskę i nawzajem: żeby nie było między nimi niezgody i kwasu, krzywd wzajemnie sobie choćby mimowoli zadanych. Zadanie przerażające ogromem, a do podjęcia konieczne. I w jakich czasach jeszcze? Po roku 1846, kiedy Polska pytała z głębi swojego żalu, i słusznie, co robi Papież, że się za nam nie ujmie? od czego jest ojciec chrześcijaństwa, na co ma w jednym ręku klucz od nieba, a w drugim grom, kiedyż ich użyje, jeżeli nie teraz, kiedy połowie jednego z jego wiernych ludów podrzynają gardła, a drugiej zabijają dusze? Po roku 1848, kiedy Papież znowu, równie słusznie pytał, dlaczego Polacy wypędzali go z Rzymu? Po roku 1850, kiedy za rządów Bacha w Austrii propaganda schizmatycka podkopywała Unję w Galicyi, a Rzym więcej niestety wierzył urzędowym raportom jak błagającym polskim prośbom i przestrogom; i kiedy Polska znowu pytała co to ma znaczyć. Po r. 1859, kiedy prąd jedności włoskiej zalewał państwo kościelne i jedną po drugiej odrywał od niego prowincye, kiedy Polska, prawie cała, klaskała mniemanemu zwycięztwu narodowości, a Papież, nie mówił wprawdzie nic, ale miał prawo mówić: czy to ich wierność? czy to ich przywiązanie? czy im to nie nie szkodzi, że z czasem ja, namiestnik Boży, stać się mogę tak zależnym od włoskiego króla lub ludu, jak zależ-

nym jest od cara dobrze im znany święty synod w Petersburgu? I później, w r. 1863, kiedy tyle rąk zwałało się skrytobójstwem, tyle razy wiara nadużyta była do świeckich celów, kiedy tylu polskich księży wyrzekło się kościelnego posłuszeństwa i przysięgi, a przysięgało na posłuszeństwo gdzieindziej, wtedy bronić w Rzymie polskiej sławy i polskiej wierności! Ale wtedy, w tych latach najgorszych, Rzym na nas miał prawo się skarżyć, my na niego nie: on jeden nie odstąpił, on jeden bronił naprawdę, on jeden miał odwagę zerwać z Rosją dla sprawy polskiej, on jeden zrobił wszystko, co zrobić mógł. A sama ta różnica zachowania się Stolicy apostolskiej względem sprawy polskiej w r. 1831, a zachowania się jej względem sprawy tej samej i równie dobrej, ale nierównie mniej czysto i szlachetnie prowadzonej w roku 1863, sama ta różnica dowodzi, że było w Rzymie miejsce do zajęcia, że było pole do działania i że na tem polu coś się zrobić dało. Dowodzi może także, że nie bez skutku i zasługi pracowali ci, którzy to miejsce zajęli, i na tem polu działali.

Czego było potrzeba, żeby w Rzymie działać skutecznie? Przedewszystkiem oczywiście silnego u władz kościelnych przekonania i zupełnej ufności, że ludzie ci są katolikami; że interes wiary i Kościoła mają prawdziwie na sercu. Człowiek świecki, choćby najbardziej prawowierny i gorliwy, już przez to samo, że należy do świata, trudnoby mógł w Rzymie być uważanym zupełnie za swego. Tem trudniej jeszcze ksiądz, choćby najprzykładniejszych obyczajów, jeżeli zajęty będzie sprawami świeckimi, jeżeli nie będzie miał bardzo wyraźnego ducha kościelnej jedności i niepodległości. Księża polscy osiadając w Rzymie zrozumieli na szczęście, że powinni być przedewszystkiem księżami, a potem dopiero polskimi: źle mówię, oni tego zrozumieć nawet nie potrzebowali, bo oni takimi byli. Ich powołanie było szczere, kapłaństwo celem nie środkiem, restrykcyi, ukrytego zamiaru wyzyskiwania Rzymu na korzyść sprawy polskiej, dyplomatyzowania z nim, nie było w nich wcale. Byli księżami naprawdę: więc służba Boża stała u nich w pierwszym rzędzie, służba ojczyzny w drugim dopiero. Nieraz robiono im z tego

zarzut, na pozór coś niby znaczący, w gruncie niedorzeczny; bo żądać od nich czego innego, znaczyłoby żądać albo żeby księżami być przestali, albo żeby się stali księżami nieuczciwymi, udającymi i kłamiącymi przed ludźmi, przed swoimi zwierzchnikami, przed własnym sumieniem, i przed kimś jeszcze, kogo oszukać i okłamać nie można. Na szczęście oni we wszystkich kwestyach tego świata myśleli tak, jak o nich myślą w Rzymie. W pismach X. Kaysiewicza nie jeden z nas znajdzie twierdzenia, na które się nie zgodzi. Naprzykład, uważając reformację za wielkie zło i za wielkie nieszczęście, nie możemy mieszać z nią odrodzenia nauk w wieku XV i na nie zwałać odpowiedzialność za rozdwojenie Kościoła, jak to X. Kaysiewicz daje do zrozumienia, choć wyraźnie nie mówi ¹⁾. Naprzykład, przyznając zupełnie, że żywiol żydowski, gdyby wziął przewagę w europejskich parlamentach i rządach, mógłby stać się zgubnym wszędzie, a zwłaszcza w Polsce, nie możemy pisać się na to, co on mówi, że w państwie chrześcijańskim żyd nie powinien być posłem: bo nie widzimy po temu ani praktycznego sposobu, ani w jego wyznaniu zasady do odmówienia mu praw cywilnych. Ale jeżeli w tych kwestyach najtrudniejszych, a dziś niezawodnie najważniejszych, w kwestyach dotyczących stosunku Kościoła do państwa, nie możemy zupełnie tak myśleć jak ksiądz Kaysiewicz, to uważamy przecież za wielkie szczęście, że on myślał o nich tak, a nie inaczej. Czy on patrzył na rzeczy może zbyt wyłącznie, czy my nadto liberalni, i kto się myli, a kto ma słusność, o to tu nie chodzi: a pewnem jest to, że w Rzymie taki tylko znajdzie zaufanie i wpływ, kto stoi na stanowisku ściśle kościelnem. Za to więc, że X. Kaysiewicz nie jest księdzem politycznym, księdzem liberalnym, księdzem, jak się mówi postępowym, trzeba tylko dziękować Pannu Bogu. Naprzód dlatego, że inaczej nie byłby zdołał nie sprawić, a powtóre i głównie dlatego, że widzimy na różnych i licznych przykładach jak kończą księża, którzy w tych rzeczach nie trzymają się ściśle Papieża i Kościoła.

¹⁾ Zobacz kazanie na Trzech Króli, tom I. str. 232.

Poważniejsi, szlachetniejsi, kończą jak Lammenais lub Dörlinger na apostazy; lichsi błążnią się jak ksiądz ¹⁾ Hyacynt mniemanem małżeństwem.

A trzeba było wiele czasu i pracy na to, by księża Zmartwychwstańcy zdobyli sobie w Rzymie ufność i stanowisko. Księża to polityczni, księża patryoci, którym o to tylko chodzi, żeby na ambonie i w konfesyjonałach przez uczucie religijne rozżarzać exaltację patryotyczną! o to posadzano ich długo w Rzymie, to powtarzało zawsze poselstwo rosyjskie, wiedząc dobrze, że jeżeli wiary nie zyska, to przynajmniej zaostrzy czujną Rzymu przezorność. I doszło też do tego, że otoczenie papieskie przez długi czas nie dopuszczało księdza Kaysiewicza do Ojca świętego, aż go ten sam, dowiedziawszy się przypadkiem o jego pobycie w Rzymie, do siebie zawezwał. Ambasada rosyjska tyle nakłamała o stosunkach Zmartwychwstańców z Mazzinim, że pewna skutku i tryumfu rozgłosiła już ich wypędzenie z Rzymu jako rzecz dokonaną. Ustawiczne te przeciw nim intrygi dowodzą tylko jednej rzeczy: oto tej, że Rosya musiała przywiązywać wielką wagę do ich pobytu w Rzymie, uważać ich za bardzo dla siebie niedogodnych, jeżeli nie niebezpiecznych, skoro się ich ztamtąd tak koniecznie pozbyć chciała. Rzecz ciekawa, to że równocześnie lub mało co później, ksiądz Jelowicki dostał od policyi francuskiej rozkaz opuszczenia Paryża jako agent rosyjski. To oskarżenie zgromadzenia równocześnie o spiski z rewolucją włoską i o tajne porozumienie z Rosją, przypomina Katarzynę, oskarżającą sejm konstytucyjny raz o jakóbinizm, drugi raz o wprowadzenie do Polski monarchii absolutnej: tylko te tutaj, te dwa przeciwne zarzuty, te dwa sprzeczne z sobą kłamstwa pochodziły z dwóch różnych źródeł. Pierwsze, o Mazzinim, wyszło z ambasady rosyjskiej; drugie, o stosunkach z tą ambasadą, wyszło nie od niej, ale gorzej, bo od Polaków.

¹⁾ Sławny w swoim czasie kaznodzieja, karmelitanin, nazwiskiem Loyson. Później odstąpił i założyciel jakiejś sekty podobnej do *Starych katolików* niemieckich.

Kiedys napisze kto może historję emigracyi polskiej, a szukając w starych papierach śladów jej robót, dziwić się będzie, jaka tam jednak była w tych ludziach przedsiębiorczość i siła; będzie się dziwił naprzykład, jakim sposobem małe grono ludzi prywatnych, prywatnemi stosunkami i pieniędzmi, zdołało przez lat trzydzieści utrzymywać nie tylko zakłady polskie za granicą, jak żeby forteczki narodowego ducha na tulaćwie, ale co trudniej, stosunki ze wszystkiemi stolicami i dworami Europy, utrzymywać w ruchu parlamenty i dzienniki. Jakim sposobem ci wygnańcy, bez urzędowych stanowisk i charakteru, potrafili znaleźć wstęp, a czasem i wpływ wszędzie, od Stockholmu i Londynu aż do Kostantynopola. Jak często i jak niebacznie, my żartujemy z tej emigracyjnej dyplomacyi! Łatwo nam jej uragać, że sprawy nie wygrała: ale nie wiem czy równie łatwo było przez lat tyle po wszystkich lądach i morzach wędrować, „szukając nieprzyjaciół nieprzyjacielowi swemu“ i nie wiem, któryby z nas dzisiejszych to potrafił. Była w tem wielka siła miłości i wielka wytrwałość poświęcenia; zatem, pomimo rzeczy zewnętrznych i drobnych, które to szpecić mogły, była w gruncie wielka piękność w tych ludziach i zabiegach. Otóż w tej księdze emigracyjnych dziejów, kartę jedną z najświetniejszych i najczystszych, będą mieli ci ludzie, którzy w pięciu, bez grosza, bez tych ułatwień, jakie daje na świecie wielkie imię lub stanowisko wysokie, zajęli tę opuszczoną placówkę rzymską i trzymali się w niej tak dzielnie, że ją wreszcie zamienili w szaniec polowy dobrze obwarowany i do odebrania trudny; ci, którzy pomiędzy intrygą rosyjską, rzymską podejrzliwą ostrożnością, i polską obojętnością a często zawiścią, zdołali się tam ostać, zakorzenić, i ztamtąd pełnić służbę podwójną, jak tego wymagało ich powołanie i samo miejsce w którym byli, służbę apostolską z Rzymu do Polski, służbę dyplomatyczną z Polski do Rzymu. Stopniowo, samą siłą rzeczy, rozwinęła się z tego zawiązku, jak żeby nuncyatura czy ambasada Kościoła polskiego; jedyna, przez którą on w Rzymie mógł o sobie powiedzieć prawdę. Dyecezye i konsystorze pod rządem rosyjskim, pozbawione wolności

znoszenia się ze środkiem katolickiego świata, to tylko mogły o sobie do Rzymu donosić, co przepuściła petersburska cenzura; później, po roku 1863, kiedy biskupi byli już na wygnaniu, cóż tam za prawdę donosić mogli postanowieni przez rząd administratorami jego służalce? Nie było więc w Rzymie żadnego źródła informacyi o stanie Kościoła polskiego pod rządem rosyjskim, tylko ta powstała sama z siebie naprzeciw ambasady cesarskiej legacya Kościoła polskiego przy Papieżu, odkrywająca ustawicznie fałsze i podstępny tamtej, posiadająca zaufanie, bo wypróbowana i jako katolicka i jako prawdomówna.

A ta rola drutów telegraficznych pomiędzy Polską a Rzymem nie wyczerpywała wcale czynności tych pięciu ludzi. Przeciwnie: widać ich na wielu miejscach i przy wielu pracach. Jeden pilnuje Kościoła i nabożeństwa polskiego w Paryżu, objeżdża wszystkie stacye jeńców rosyjskich (za wojny wschodniej), w których tylko są katolicy i Polacy, wstępuje z duchowną posługą do Polaków bawiących u wód zagranicznych, a przy tem wszystkiem ma jeszcze dość czasu i siły, żeby przyjmować zaproszenia biskupów francuskich, i u nich po całych tygodniach lub miesiącach kazać przy rekolekcyach, majowych nabożeństwach i t. d. Inny, prawdziwy stary żołnierz, kiedy usłyszał trąbkę, poszedł do Turcyi, do obozu, na kapelana, kiedy już kapitanem jak niegdyś być nie mógł, i jak żeby miał lat trzydzieści, a miał ich pewnie z górą sześćdziesiąt. Prawda, że ten sam (ksiądz Kaczanowski) jeszcze o lat dziesięć później miał się puścić na ten sam wschód na trudy większe od obozowych, na misję bułgarską, przyjąć wschodni obrządek i zapuścić siwą brodę, żeby tam nawracać, uczyć dzieci po szkołach, sprawować parafię, i stawiać zaporę schizmie i Rosyi, a to wszystko w niedostatku, nieledwie w głodzie, taki starzec! — Doprawdy, miał słuszną Słowacki, kiedy mówił, że „w tych dawnych ludziach wielkie serce i wielką duszę miłuje“.

A ta misya bułgarska? właściwie nie tu może miejsce o niej wspominać, bo później dopiero, w r. 1863 dostała się ona w ręce tego Zgromadzenia; ale kiedy się nam już nasu-

nęła sama, to zapytajmyż, choćby i w złem miejscu, czy to nie jest wielka myśl i piękne dzieło? Czem ratować Słowiańszczyznę południową od zguby na tamtym świecie w schizmie, od zguby na tym w Rosyi? czem zasłonić Kościół i Europę od złej, rosyjskiej Słowiańszczyzny? czem? Polski nie ma; Austria dziś nie może choćby to i rozumiała, a zdaje się, że nie zrozumie do końca. Więc czem? Jeden jest tylko środek, jedyny, Unija. Ale ona, w krajach zabranych wyćpiona, w Galicyi zarażona i sama siebie zdradzająca; gdzie jej szukać dość jeszcze zdrowej, żeby odżywić ją można? Opatrznie prawdziwie objawiła się w samym centrum kwestyi wschodniej, w tych krajach, gdzie zapewne rozstrzygać się kiedyś będzie pytanie, czy Rosya zapanuje nad światem lub nie, blisko miasta cesarzów wschodnich i sułtanów, objawiła się wśród Bułgarów chęć powrotu do kościelnej jedności. Ujrzała ją świecka dyplomacya i chciała pochwycić, ale znudzona trudnościami i zawodami, porzuciła instrument, na którym grać nie umiała. Francya umyła sobie ręce od tej sprawy, a Rosya mogła swoje zacierać z radości, bo zdawało się, że wygrała zupełnie, kiedy arcybiskupa bułgarskiego złapała w swoje sidła i szpony. Wtedy Pius IX obejrzał się w koło siebie, komuby tę sprawę prawie straconą powierzył, i uznał mądrze, że na tem miejscu nikt tak służyć nie potrafi, jak Polacy, z Unią dobrze obeznani, językiem ludu najbliżsi, a sercem ze wszystkich od schizmy najdalsi. Posłał tam Zmartwychwstańców; i dziwna rzecz, co przy pomocy i pieniędzach rządu francuskiego udać się nie chciało, to pod ich ręką, bez środków i funduszków żyje już lat dziesięć. My się i z tego śmiejemy; śmieliśmy się przynajmniej przed laty, kiedy zbierano składki na misję bułgarską i zawiązywano w tym celu Braetwa świętego Jozafata, bo dziś i to już podobno ustalo. O gdybyśmy chcieli zastanowić się nad tem dyplomatyczną rozważą, jeżeli już pojąć nie chcemy sercem katolickiem i polskiem, tobyśmy się podobno śmiać przestali. Bo który pytam, który z tych południowych Słowian o narodowości niewykształconej a oświacie niedostatecznej, który, w dzień kiedy ich Rosya zagarnie, nie stanie się Moskałem,

który? Tylko ten, który będzie katolikiem, który będzie unitą. Ale takich będzie tak mało, wieluż ich wychowa jedna misya i parę szkółek, czy to warto? Na to jest odpowiedź, że gdybyśmy rozumieli, gdybyśmy chcieli, gdybyśmy o to dbali, to tych szkółek mogłoby być więcej, a każdy chłopiec w nich wychowany, z czasem byłby ojcem katolickiej rodziny, tamą przeciw rosyjskiemu zalewowi. A druga odpowiedź, że terminów i czasu nie wiemy; może go będzie dosyć na to, by to światełko dziś słabe i chwiejące wzmocniło się i rozszerzało swoje promienie coraz większem kołem; nie trzeba nigdy mówić o robocie dobrej i ważnej, że nie zda się na nic dopóki się nie skończyła i trwa, bo co my wiemy, jaki będzie koniec i ostateczny pożytek. Ale gdyby go nawet być nie miało w znaczeniu politycznym, to w znaczeniu duchownem już jest: szkoła wydająca co roku warstwę kilkudziesięciu uczniów, katolickie nabożeństwa, katechizacye, kazania w mieście i po wsiach, to znaczy utrzymanie pewnej liczby dusz w wierze i w kościele. Gdyby na tem skończyło się miało, już byłaby zasługa pracy misyjnej. A jeżeli istotnie na tem się skończy, to nie będzie winą Zmartwychwstańców, ani nie zmieni tego faktu, że myśl sama była pod względem i religijnym i politycznym bardzo ważna, ich misya pod temi obydwoma względami bardzo potrzebna. Tem gorzej dla tych, którzy tego zrozumieć nie umieli lub dopomódz nie chcieli.

A obok tego zajęcia innego rodzaju: pisanie i wydawanie książek duchownych. Jeden tłumaczy Tomasza a Kempisa i Franciszka Salezego, układa medytacye na cały rok i książkę służącą do nabożeństw majowych; drugi książkę o komunii; trzeci w dziele wielkiej teologicznej nauki opisuje i zbija naukę Towiańskiego; Kaysiewicz sam pisze Rozmyślenia o Męce Pańskiej, żywot Andrzeja Boboli, i Rzecz o tem, co mu zawsze jak kamień na sercu ciążyło, co uważał za plagę i sromotę polskiego społeczeństwa (dzięki Bogu minioną), o Rozwodach. Dziwna, że na to wszystko starczyło czasu. W pamiętniku swoim wspominając o wszystkich oskarżeniach, które na Zgromadzenie jego padały jak grad (po roku 1863

zwłaszcza), mówi ksiądz Kaysiewicz pół żartem: „Jacyż to kolosalni ludzie ci Zmartwychwstańcy, gdy tak mogą wszystkim podolać“. Przypatrując się temu, czemu podolali, powiedzieć trzeba bez żartu, że kolosalni czy nie, ale dzielni musieli być ludzie jak rzadko.

I pomału wszystko, co dotąd było zamiarem raczej jak rzeczywistością, zaczęło nabierać podstawy i kształtu. Zakon mglisty zrazu i nieokreślony, a bardzo niepewny swego istnienia, bo ani potwierdzonym nie był, ani mu nowych przez długie lata nie przybywało ochotników, zaczął wznosić się w siły, kiedy się tego najmniej można było spodziewać. Zkąd się wzięło naprzykład młodemu Niemcowi z Westfalii prosić o przyjęcie do tego polskiego klasztoru? Jeżeli miał powołanie, czemu nie poszedł do Dominikanów, do Benedyktynów, do Jezuitów? zdawałoby się to daleko naturalniejszym. On tymczasem wybrał sobie tych, do których nie ciągnęła go ani wspólność języka, ani przeszłość, ani ustalona ich w świecie sława, tylko jakiś tajemniczy sympatyczny popęd. I tak samo przystawać zaczęli inni cudzoziemcy, a w miarę jak przybywało ludzi, przybywało i dla tych ludzi roboty. Biskup jakiś z Ameryki, z Kanady, wzywa tych księży do siebie, bo ma w swojej diecezyi Czechów i Polaków, którzy miejscowego języka nie rozumieją: dziwne zrządzenie, że pierwsze stałe i urzędowe, żeby tak rzec zajęcie, dostali Zmartwychwstańcy na drugim końcu świata, pierwej niż się go w Europie mogli doczekać.

Pamiętnik X. Kaysiewicza opowiada, że około tego czasu mniej więcej (1857), zakon ostatecznie ustalił się w sobie, bo przyszedł do jasnej i zupełnej świadomości swojego celu. W tym to celu podobno, podówczas głośno nie objawionym, ale przez nieprzyjaciół zapewne przeczuwanym, szukać trzeba, jeżeli się nie mylimy, powodu tych nienawiści i prześladowań, które nasi rewolucyoniści ścigają Zmartwychwstańców. Oto jak go opisuje ich Przełożony:

„Ostatnie zebranie ogólne z roku 1857-go było nader ważnem dla Zgromadzenia; na niem już zupełnie

dojrzała myśl jego o swoim celu i powołaniu, a tem samem objawiła mu się wyraźnie racya istnienia. Dlatego i reguła mogła być tak już łatwo w łonie jego być uznana i przyjęta. Każde bowiem Zgromadzenie nowo zakładające się, z natury rzeczy powinno mieć jakiś cel i powód istnienia swego rodzaju, to jest jemu właściwy; inaczej członkowie nowe Zgromadzenie zakładający znaleźliby odpowiedniejsze miejsce w zgromadzeniach już istniejących. Członkowie pierwsi naszego Zgromadzenia przez lat piętnaście od swego pierwszego skojarzenia się w 1842-im r. pracując wśród świata w apostołskim zawodzie, mieli czas przypatrzeć się i biedom świata i potrzebom Kościoła, i za łaską Bożą rozpoznać, czem ma być w naszych czasach nowe zgromadzenie, chcące pożytecznie służyć i Bogu i ludziom. Zdawało nam się wtedy, że najgłówniejszym nieprzyjacielem Boga i Kościoła, a tem samem szczęścia ludzkiego i zbawienia, jest w tych naszych czasach socyalizm, czyli system, szkoła, dzieło całe przez coraz większą liczbę ludzi w czyn wprowadzane, a którego zadaniem wygłoszonem jest: aby społeczeństwo ludzkie urządzić bez Boga, bez Chrystusa, bez Kościoła, wprost środkami ludzkimi i w imię człowieka, w imię jego woli i jego siły, a urządzić daleko lepiej, mądrzej, szczęśliwiej, niż kiedykolwiek Kościół Chrystusa uczynił to lub może uczynić. Jak w średnich wiekach *Mahometanizm* i wewnątrz rozwiążność *ciała* zbuntowanego przeciw obyczajowi chrześcijańskiemu, jak w XVI-tym wieku *Protestantyzm* i bunt *rozumu* ludzkiego przeciw prawdzie chrześcijańskiej; tak dzisiaj *Socyalizm* i rokosz *woli* ludzkiej przeciw chrześcijańskiemu zakonowi i chrześcijańskiej władzy, są głównymi, wybitnymi nieprzyjaciółmi Kościoła, Chrystusa, Boga. Jak wtedy przeciw pierwszym nieprzyjaciółom Bóg wzbudził w Kościele cały zastęp zakonników (Dominikanów, Franciszkanów, Jezuitów, Piarów, Oratoryanów, Misyjonarzy), tak teraz w XIX-ym wieku wzbudzi niezawodnie odpowie-

dnie tym nowym dzisiejszym nieprzyjaciółom zgromadzenia z siłą potrzebną do walezenia z nimi. I to pojawiający się stosownie też do tego, z obowiązku sumienia położyliśmy odpowiednie zasady dla naszego Zgromadzenia, dalecy od uroszczenia, aby się równać z owymi wielkimi zgromadzeniami kościelnymi, ale żeby w danym razie, skoro już raz nasze Zgromadzenie nie wiadomo jak zawiązało się, by mówię to uczynić, do tego wziąć się, co w tym danym razie, w tym czasie, w tym miejscu, w tych okolicznościach właśnie jest do uczynienia“.

Założenie ambitne i śmiałe, nie ma co mówić, choć, jak świadczą ostatnie słowa nie poczęte weale w zuchwałej zarozumiałości co do sił własnych. Ale środki po temu jakie? jak je sobie nowi zakonnicy wyobrażali? czy tylko mowa i pismo? nie, środek wiodący do celu widzieli oni w praktycznym działaniu:

„A to dzieło do uczynienia, chociaż w ostatecznym swoim zamierzeniu i ziszczeniu jest olbrzymie i nadludzkie, jednakże w pierwszym wzięciu się do niego bardzo jest proste i pospolite. Idzie bowiem o urządzenie społeczeństwa po chrześcijańsku, przeciw tym, którzy je chcą urządzić po ludzku i po pogańsku. Każdy system socyalny, chcący urządzić towarzystwo ludzkie po swojemu, musi zacząć i zaczyna od jakiejś jednostki społecznej, musi urządzić najprzód jedną gminę; tak Fourier zaczyna od falansteru, inni od czego innego. Jednostką społeczną chrześcijańską jest parafia. Urządzić społecznie po chrześcijańsku parafię, jest to rozwiązać zadanie urzędzenia całej społeczności ludzkiej, całego narodu, całego rodzaju ludzkiego. A jednak cóż jest prostszego, cóż pospolitszego jak urządzenie parafii, jak apostołstwo i usługa parafialna?

Wskutek tego na zebraniu ogólnem roku 1857-go zgodziliśmy się jednomyślnie i z całą świadomością rzeczy, aby przyjąć i uświęcić jako jeden z celów

głównych naszego istnienia i pracy, i życia zajmowanie się rządem parafij, z wszelką rozumie się uległością biskupom, i na tych samych warunkach względem nich, co i reszta księży: a z tą jedną różnicą, że między sobą prowadzimy życie wspólne, i ślubami zakonnemi związane. Nie mamy pewno żadnej pretensyi, aby zastąpić duchowieństwo świeckie, co zresztą byłoby czystem niepodobieństwem; ale mamy zamiar, chęć, wolę najszczerzą, aby te parafie, które tu i owdzie mogłyby nam być powierzone, uczynić wzorem chrześcijańskiego życia, a tem samem i innym kapłanom dać niejako okazję, pobudkę, a nawet i pomoc we wzięciu się do podobnego dzieła. Co zaś do samego urzędzenia parafij, w tem postanowiliśmy sobie mieć przed oczyma co Duch święty uczynił między pierwszymi Chrześcijanami, że byli jednym sercem, jedną duszą i wszystko im było wspólne. Tak i dzisiaj, nie żadnym rygorem prawa, ale dobrą wolą, którą da tenże Duch święty, parafia może przyjść do tego, iż prawdziwie będzie jedną rodziną i wszyscy będą kochali się i żyli jak bracia“.

Wychowanie oznaczone jest jako drugie i podrzędne już obok powyższego zadanie.

Przytoczyliśmy te słowa umyślnie, bo ze wszystkich, jakie były dotąd powiedziane w sprawie Zmartwychwstańców, one najlepiej zdaniem naszym rzecz wyjaśniają, najlepiej tłumaczą przyczynę zawziętych przeciw nim gniewów i zawiści, najlepiej też każdemu wskazują, jakie względem nich zająć stanowisko. Cel ich leży przed nami opisany jasno, wyraźnie i dokładnie jak na spowiedzi. Komu rozum i sumienie powiedzą, że on jest zły, że społeczeństwo ludzkie może się obejść bez chrześcijańskiej podstawy i duszy, i że bezwyznaniowość jest kwiatem i warunkiem postępu świata, taki oczywiście będzie i musi być ich nieprzyjacielem: ale kto inaczej myśli, ten nim być nie powinien.

W trzy lata później, w roku 1860, nastąpiło wreszcie ostateczne zatwierdzenie reguły i uznanie zakonu przez Pa-

pieża, stanowcze już i zupełne nadanie mu prawa istnienia i obywatelstwa w Kościele.

Okolo tego samego zaś czasu zaszły w tym Kościele wypadki największej wagi. Wojna włoska r. 1859, a z nią stopniowy postęp włoskiej jedności, zagrożenie władzy świeckiej Papieża, oderwanie od niej niektórych prowincyj naprzód, wreszcie zabór wszystkiego w tej samej chwili, kiedy Prusak zjednoczył Niemcy, zabierał Alzacyę i Lotaryngię, i trzymał but swój ciężki na gardle powalonej Francyi. Znając życie i przekonania X. Kaysiewicza, łatwo się domyśleć, że wypadki te musiały go wstrząsnąć do głębi duszy. Lękał się on o najbliższą (bo oczywiście nie o całą) przyszłość Kościoła: i lękał się, może jeszcze bardziej, jeszcze trwoźniej o stanowisko, jakie wobec tej walki zajmie Polska. Że on sam stanął po stronie Papieża, to rzecz prosta, nie mogło być inaczej. Ale naród? czy pod tym ułudnym pozorem walki o narodowość i niepodległość pozna ukryte a prawdziwe zło, walkę Państwa z Kościołem a Rewolucyi z Religią? zjednoczenie ras na śmierć i zgubę narodów? czy pozna niebezpieczeństwo nie już Kościoła, ale Polski samej, w tym ruchu włoskim, który był poprzednikiem i przykładem strasznej jedności niemieckiej, może straszliwszej jeszcze słowiańskiej pod Rosyą? Wiemy co się stało. Wiemy, że hasło rzucone przed wojną: *sprawa Francyi jest wszędzie, gdzie jest sprawa dobra a uciemżona*, zagłuszyło nas na wszystko; że nadzieje, które się nam wtedy zdawały tak bliskie, i pewne jak nigdy, na wszystko nas zaślepily. Z małym wyjątkiem, głośniejszej, ciszej, jawniej lub skryciej, ale wszyscy byliśmy przeciw władzy świeckiej, za jednością włoską. Komu bohaterem nie był Garibaldi, kto ze śmiechem i niesmakiem czytał jego szumne a puste frazesy, a ze zgorszeniem jego bluźnierstwa, ten znajdował sobie innego bohatera: rozumniejszego i poważniejszego Cavoura, w którego rysach podówczas nie przeczuwał podobieństwa do Bismarcka. „Papież“, mowiliśmy, „powinien ustąpić. Władza doczesna nie jest ani dogmatem ani warunkiem zwierzchności duchownej jedności kościelnej: to rzecz późniejsza, która Kościołowi

i Religii przyniosła więcej szkody jak pożytku, która nie tylko nie daje mu niezależności, ale owszem zmusza go do zachowywania różnych upokarzających dyplomatycznych względów i stosunków. Rzymianie nadto, mają prawo być społeczeństwem świeckiem, politycznym, a społeczeństwo takie ma swoje konieczne warunki istnienia, na które panujący duchowny nigdy zgodzić się nie może. Wreszcie, czy nie wstyd i upokorzenie, żeby Papież, Głowa Kościoła i Namiestnik Chrystusa, w odezwach i protestacyach swoich stawał prawie w jednym rządzie ze wszystkimi małymi księżętami włoskimi, żeby występował jako przyjaciel i stronnik takich królów neapolitańskich naprzykład, kiedy jeszcze żył, lub tylko co żyć przestał ten podły wiarołomny król, co bombardował Neapol już uspokojony, dawszy słowo, że tego nie uczyni, co chwytął ludzi bezpiecznych i wtrącał ich w swoje lochy podwodne, zaręczywszy im wprzód, że żadnemu włoszowi głowa nie spadnie?

Taka była mniej więcej treść ówczesnych myśli i mów o władzy świeckiej w Polsce. Powtórzyło się tylko w rozmiarach nierównie większych, to co w zarodzie było się objawiło w roku 1848; wtedy rychło stłumione, teraz rozwinęło się swobodnie i zupełnie. A jak wtedy, podczas pobytu swego w Krakowie, tak teraz ksiądz Kaysiewicz musiał znowu bronić władzy świeckiej, dowodzić jej potrzeby ze stanowiska duchownego, a niebezpieczeństwa jedności i rewolucyi włoskiej ze stanowiska polskiego.

Jest z tych czasów głównych kazań dwa: o *władzy doczesnej Papieża*, i *Niespożytości Kościoła*. Oba powiedziane w Paryżu, pierwsze w roku 1860, drugie w 1862. Nie tak patetyczne, nie tak poetyczne jak kazania z pierwszej epoki, należą przecież niezawodnie do najcelniejszych. Kaznodzieja śmiało, bez ogródek, bierze jeden po drugim wszystkie zarzuty czynione czy Papieżowi, czy władzy świeckiej, czy wreszcie polityce Piusa IX, i odpowiada na wszystkie, spokojnie, chłodno, bez żadnej żółci, ale z odwagą i z powagą imponującą. Przechodzi również wszystkie odcienia przeciwników władzy świeckiej, począwszy od rewolucjonistów,

zaciekłych i jawnych nieprzyjaciół katolicyzmu, przez wszystkie stopnie niechęci i obojętności, aż do tych, którzyby radzi Papieżowi sprzyjali, gdyby to pogodzić mogli z sympatyą dla jedności włoskiej, która im się wydaje tryumfem zasady narodowości, zatem, w zasadzie zwycięstwem sprawy polskiej. Cokolwiek stanie się w przyszłości, czy władza świecka powróci taka jak była, lub też czy znajdzie się jakaś inna dziś nieznana forma i rękojmia niepodległości Papieztwa, zawsze trzeba przyznać, że lepiej, gruntowniej, a zarazem łagodniej i z większem umiarkowaniem bronić tej sprawy nie można, jak jej bronił ks. Kaysiewicz. Nie można też lepiej znać tych, przed którymi ją bronił, uprzedzać ich zarzuty, zgadywać ich myśli, rozumieć wszelkie odcienia ich opinii i na wszystkie odpowiadać. Zostaje nam tyle jeszcze rzeczy do wspomnienia, że z żalem wyrzec się musimy podania tu dłuższych z tych kazań wyjątków, a choćby tylko ich streszczenia. Prosząc więc czytelnika, żeby do nich sam zajrzał, choćby dla samego zapoznania się z argumentacją ks. Kaysiewicza, zwrócimy uwagę na daleki i bystry wzrok kaznodziei w rzeczach politycznych. Czy przyszłość stwierdzi jego przewidywanie co do nietrwałości jedności włoskiej, tego nie możemy wiedzieć; ale teraźniejszość już stwierdziła przepowiednię, że za jednością włoską pójdzie jedność niemiecka. Oby na tem był koniec, oby nie sprawdziło się do reszty co on mówi, że za tą pójdzie „jedność słowiańsko-moskiewska“ — oby nam nigdy nie zajrzało blisko w oczy jego straszne pytanie: „jakie w tem będzie miejsce dla narodu polskiego?“

Nie możemy przecież wstrzymać się od przytoczenia końcowego ustępu, który nam się wydaje i bardzo pięknym i jako trafność spostrzeżeń zadziwiającym.

„W innych krajach można wiedzieć jakich kto zasad. Zły czy dobry, wierzący czy niezbożny, jest nim świadomo i konsekwentnie. Wszystko się u niego trzyma w życiu domowem i publicznem. U nas przeciwnie. Nie jeden najlepszy syn, mąż, pan, obywatel, na obu ko-

lanach ze łzami nie raz modli się do Pana w domu i w kościele, a w polityce czyta wyłącznie pisma i książki rewolucyjne, przeciwne wierze, mówi jak gdzieindziej mówią namiętni niekatolicy, tak że mimowolnie przypomina się słowo Objawienia: *postać ci postać baranka a głos jakby smoczy*. Na Boga! zkaż taka potworność? Ona u obcych i pobożność waszę i sam zmysł zdrowy podaje w podejrzenie. O! nieszczęsny naturalizm, który w nas przemaga. Wychowani w szkołach niekatolickich, bez początków oświeconej wiary, bez zasadnej pobożności, z umysłem skrzywionym i sercem zażalonem, pomimo uczucia religijnego skłonniśmy do wszelkiej opozycji, spodziewamy się czegoś dla siebie z każdego ruchu. O! żal mi was i Bóg wam wiele przebaczy. Ależ na Boga! czas już choć z doświadczenia być mądrymi. Co wam przyniosło tyle ruchów niesfornych za dni naszych? tylko dołę waszę pogorszyło, tylko imię wasze wobec zacnych pokalało. A ludzie ruchu czy się wami zajmują, czy nawet wspomną o was?... I dzięki Bogu! że was opuścili, ale dlaczegoż podobni do nich odpychacie ludzi religijnych, jedynych, którzy jeszcze o was dbają.

O! Bracia mili, choćbyście się i na mnie grzesznego porwali do kamieni, wołam na was: nie mięszajcie się z niezbożnymi, nieprzyjaciółmi Kościoła, odstańcie od nich, aby i was gniew Boży razem z nimi nie ogarnął. Nie czyńcie hańby narodowi nieszczęśliwemu, ale pomimo wszystkiego, pomimo odstępstwa tyłu własnych synów, katolickiemu jeszcze. Bo i lud cały i niezmierna większość kapłanów i niewiast szlachetnych, i nie mało światłych obywateli, stoi przy Papieżu. Więc jakkolwiekby was wiele było przeciwnych Papieżowi, wyście zawsze niezmierną mniejszością. Wy nie jesteście narodem! Piśmiennictwo, którem się popisujecie, nie jest wyrazem przekonań narodu. Wiem, że w większości czyni ono co tylko może, by naród odurzyć, znieczobnić, wypchnąć z kolei podać katolickich. Ono

nie prowadzi, nie spóldziała nawet, ale hamuje postęp narodu, oczyszczającego się pokutą ku Bogu i Kościołowi. Żyje Bóg! nie dokażą swego. Pozostanie tylko pisarzom takim wstyd i ból! Wstyd wielki za życia, ból niezmierny w godzinę śmierci! Jako człowiek rumienię się już teraz ich wstydem wobec narodu i dziejów, jako kapłan czuję gorycz późnego ich żalu, kiedy im przyjdzie stawać przed sąd Boży.

O! Bracia zaślepieni! przymilania się wasze ludziom rewolucyi i grzeszne, i na nie się nie zdadzą. Oni was nie przyjmują do swego towarzystwa, dając wam różne powody: a po prostu nie chcą szczerze powiedzieć, żeście wy dla nich za poczeiwi! Dopóki o słowa chodzi, jeszcze ich jako tako naśladowacie. Gdyby przyszło do czynów, do mordów, do świętokradztw, serca by wam nie stało. Kiedy już głowy wasze szaleją, serca jeszcze po chrześcijańsku biją: i głowie i ustom kłam zadają. Znam ja ich i znam was; wierzajcie mi, wyście w złem obok nich tylko małe dzieci. W was nie ma szatańskiej nienawiści do kapłanów, do religii, do Kościoła, jaką oni pałają: bo wy nie wtajemniczeni w ich tajemnice nieprawości! Wy nie związani strasznymi sprzysięgami z piekłem jak oni. Nie przybierajcie zatem postaci grzeszników. Nie ekskomunikujcie siebie od reszty narodu, który za wami nie pójdzie. Choćby chciał, Bóg nie dopuści. Wziął go do swojej szkoły krzyża i nie wypuści aż nawróconego. Zwolnił był wam nieco jarzma; chcecie na złe używać tego zwolnienia; pozwoli was znowu ścisnąć, owszem już pozwala.“

„Jeszcze was Bóg uścisnąć pozwoli, owszem już pozwala“; niebawem sprawdzić się miały te słowa. Nadchodził rok 1861, a za nim blizka czarno osłonięta godzina przyniesie miała rok 1863, tak nieszczęśliwy dla Polski, tak bolesny dla naszego kaznodziei. Jak sobie przypomnieć, że rychło miał on tak głośno i powszechnie odsądzonym być

od miłości ojczyzny, a z tem oskarżeniem jak porównać tę nadzieję i ten zapal, z jakimi witał pierwsze wypadki warszawskie, zdumieć się trzeba i zapytać, czy może być u ludzi pamięć tak krótka, żeby te słowa byli zapomnieli, albo uczciwość tak mała, żeby ich jakoby niebyłych nie brali w rachubę. Przypadkiem może zdarzyło się, że ksiądz Kaysiewicz był w Paryżu, kiedy w Warszawie padły pierwsze bezbronne ofiary, a przy nabożeństwie żałobnem, on znowu w tym samym kościele, z tej samej ambony, gdzie tak gromił niegdyś ruch rewolucyjny fałszywie patriotyczny, on uderzył w ton radosny i tryumfalny „na widok narodu całego, który przygnieciony ale nie złamany, modląc się pokornie do Nieba, wobec ostrych mieczów odkrywa z pokojem pierś nagą, i wielkim głosem na świat cały woła: Sprawiedliwości!!!“

On, jak wszyscy podówczas uszczęśliwiony wzniosłym początkiem myślał, że i koniec takiż będzie, widział cudowną i wszechmocną rękę Bożą w tem rzeczywistem zrazu zwycięztwie ducha nad nieprzyjacielem silnym, zbrojnym, a cofając się z przerażenia i wstydu, on jak wszysecy, sądził, że rozgrzmiał się już sąd w niebie, a że my zaczęliśmy „świętymi czynami wśród sądu tego samych zbawiać siebie.“ Takiego tonu nadziei, szczęścia, uniesienia, jeszcze nigdy w żadnem z jego kazań nikt nie słyszał:

„O! jaki widok Bracia mili! jaki tryumf! jakie świetne przebudzenie narodu po trzydziestu ostatnich latach niewoli i ucisku! Jakie usprawiedliwienie dróg Pańskich, jakie zawstydzenie rachub ludzkich. To pokolenie, które tak było chowane, aby już przeszłości swojej nie znało, patrzcie! choć ją mniej zna może od nas, równie przecie kocha, i rządniej sprawie popolitej służy. Jak potem nie ufać, że Bóg ma wielkie miłosierne zamiary nad naszym narodem.

Cudzoziemcy dotychczas ruchu tego pojąć nie mogą. Tak nawykli widzieć gdzieindziej ludzi wywołujących zmiany polityczne, aby majątek swój powię-

kszyć, urzędu wyższego dostąpić... A Polacy, zaczynają od podzielenia się swoim z niedostatniejszymi braćmi, składają urzęda, dają się zabijać i bronić się nie chcą! Ach! nie pojmują jak my, co to duch ofiarny, co to czas ofiary. Nie pojęli jak my, że *lepszy cierpliwcy od mocnego, i posiadający się od zdobywcy miast.*"

Zdaje mu się, że to co było wiarą, nadzieją, ideałem całego życia jego, odrodzenie Polski przez odrodzenie się wewnętrzne, duchowe, przez oczyszczenie się, że to już spełnione jest, a przynajmniej spełniać się zaczyna:

„Szukajmy wszakże, Bracia! głębiej jeszcze i wyżej powodu, dla którego obchód bitwy Grochowskiej, okupiony niezlicznymi względnie ofiarami, większy skutek sprawił, od samejże onej bitwy.

Wiemci, że rozlanie krwi niewinnej wielkim głosem woła z ziemi do nieba. Ale u nas, od trzech pokoleń strumieniami ona płynęła, a jednak skutku podobnego nie wywołała. Cóż go tedy wywołać mogło? Oto użycie przez naród cały broni Chrystusowej: bezbronnej, dobrowolnej ofiary.

Kiedy nasz miły Zbawiciel wynurzył się z blasków wieczności i zstąpił ku nam dla wyzwolenia rodzaju ludzkiego, nie użył siły swojej, ale użył pożyczonej od nas, tylko uświęconej słabości, zwyciężył wydając siebie, zwyciężył umierając: to też wszelkie odkupienie osobiste czy zbiorowe drogą ofiary przyjsć musi. Tą bronią walczył i walczy zawsze Kościół, tej broni wyłącznie używali wierni, dopóki sobie prawa obywatelstwa ofiarami na świecie pogańskim nie zdobyli, dopóki samoistne narody Chrześcijańskie nie stanęły. Jednym z takich narodów był nasz, i żył jednością pierwszego życia blisko lat tysiąca. Upadek jego następny dowiódł niewątpliwie, że w nim duch poświęcenia i ofiary dziwnie się był wytrawił i osłabił.

Odżycie w duchu, odnowienie, odrodzenie, mogło nastąpić tylko drogą oczyszczającego cierpienia; jak życie w ścierpłych członkach, pod mocnem tarcieciem wraca. Miłosierny Bóg dla nas w samej chłości, nie dopuścił byśmy byli karani wojną domową (lekarstwem straszniejszym prawie od choroby), która ślady rozdwojenia, nienawiści, przez pokolenia i pokolenia w ciele narodu zostawia: gdy tymczasem ucisk zewnętrzny oczyszcza i zbliża towarzyszków wspólnej niedoli. Ale przez czas długi, zajęci tylko namiętnem pragnieniem pozbycia się pęt krępujących nas zewnątrz, nie myśleliśmy dosyć o zerwaniu pęt krępujących wewnątrz, w duchu samym; o poprawieniu się z wad narodowych, które nas były o ziemię powaliły, i ciężarem swoim gniotły.

Lat kilkanaście temu wołałem do was z kazalnicy: O mój Narodzie! Narodzie zawsze młody, zrywasz się coraz do korda jak Piotr podczas męki; a oto ile razy już ci on prysnął w rękę, a gdybyś walczył mieczem ducha, niktby ci go wydrzeć nie zdołał. A kiedy tak wołał, nie wszystkim się głos mój podobał; bo tylu naszych w dobrej wierze sądzi, że wszystko i zawsze i wszędzie stałą wywalczyć można. W końcu jednak naród spróbował tego oręża ducha, i od razu wygrał walną bitwę, i przekonał się, że *mąż i lud cierpliwy lepszy od mocnego, i ten który się posiada od zdobywcy miast.*

Zresztą, ofiary które oplakujemy, tak są skuteczne, nie dlatego, że cenniejsze, ale że przystąpiły do wielu innych, które Bóg policzył i zapamiętał wszystkie, choć się ludziom na razie zdało, że one padły bez korzyści.

O! iluż z naszych od dawna skarżyło się na długość cierpień narodowych. Nie wiedzieli doprawdy co mówili. Bo kara naznaczona musi być dokonana, męka i ofiara zaczęta musi być spełniona. Komu dana moc do karania, silny jest jako ogień zajmujący się w su-

chem drzewie; żadna go siła nie wstrzyma, aż nie strawi co ma do strawienia, aż się sam nie strawi. Ale też miara ofiar zadośćczynnych, wznosi się jak płyn w napełniającem się naczyniu.

O! Bracia moi! obejmijcie duchem wszystkie cierpienia narodu naszego od tyłu pokoleń. Poczujcie gorczyz lez wszystkich matek, wdów i dzieci, płaczących straty dzieci, mężów, ojców swoich. Poczujcie wilgoć i zimno więzień! Poczujcie ogień trawiący ciała od ran i głodu. Poczujcie gorczyz niewymowną, tęsknoty wygnania, poczujcie rozpacz ludzi słabej wiary, nierozumiejących dróg Bożych, i nieraz odchodzących od zmysłów... Zbierzcie to wszystko i zobaczcie czy naczynie pełne, czy go krew ostatnia nie przepełnia, czy się już nie przelewa?...

Jać miary Bożej w rękę nie mam. Wiem, że naród mój wiele się oczyścił, by już całkiem był oczyszczony, nie powiem; a nigdy i za nie w świecie pocholebiać memu narodowi nie będę. Ale mocen Bóg dopełnić miary, zastąpić niedostatki nasze niewyczerpaną zasługą męki swojej i zasługami Niepokalanej Matki swojej a naszej Królowej. Kto wie, czy już nie dopełnił, czy już nie zastąpił, dając taką moc krwi ostatnich ofiar narodowych, taki pokój i siłę ludowi, a obudzając zdaje się nareszcie sumienie we władcach naszych.

Pamiętajcie Bracia! że na początku męki swojej Boski mistrz nasz powiedział: *Teraz jest godzina i moc ciemności*, i w słabości wytrzymał mękę i śmierć poniósł. Ale po dokonanej męce, w dzień biały najlękliwsi z uczniów Jezusa, Józef z Arymatei i Nikodem weszli śmiało do rządcy Rzymskiego, żądając wydania im świętych zwłok Jego, aby je uczciwie pogrzebli. Coś podobnego u nas się stało. Co się działo z głową, powtórzyło się w członkach, i nic dziwnego. Zdaje się, że już zaczynamy zbierać owoce cierpień naszych, *bo lepszy cierpliwy od mocnego, a który się posiada od zdobywcy miast*“.

Możnaby prawie myśleć, że z wielkiej radości wpada, po raz pierwszy w życiu, w mistycyzm, że w tych jego słowach dźwięczą jakieś echa nauki o Chrystusowej ofercie Polski dla zbawienia świata; ale nie, to co o ofercie mówi, to ściera on do oczyszczenia własnego, do zadosyćuczynienia. A że trzeźwym i mądrym i od wielu mądrzejszym pozostał, dowodzi choćby tylko jedno, że kazanie to nosi tytuł i mówi o *Posiadaniu się*, jak żeby mowca był przeczuwał, że nam tego bardzo będzie potrzeba, a w końcu zabraknie. Są upomnienia, są przestrogi, nie proroctwa zapewne, ale aż nadto sprawdzone, w samym tem jego tryumfalnem kazaniu:

„Bracia moi! nie lądźcie się jednak zbyt, nieraz jeszcze światło nadziei, to zbliżka nam zaświeci, to oddalającem się, ba zamierzającem wyda. Nie poddawajcie się ani przesadzonym nadziejom, ani zwątpieniu. Jeżeli naród nasz wytrwa na dzisiejszem swoim stanowisku, w dzisiejszych usposobieniach, śmiem mu obiecywać, w Imieniu Boga, jedno z przodkujących miejsc w rządzie narodów chrześcijańskich. Tymczasem oczyszczajcie się, skupiajcie, nie wybiegajcie naprzód nierozważnie, pamiętajcie, że *lepszy mąż cierpliwy od mocnego, a ten który panuje nad duszą swoją od biorącego szturmem miasta*. Módlmy się słowy wieszca narodowego:

Teraz gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w Niebie
Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami.
Daj nam o Panie świętymi czynami
Śród sądu Twego samych wskrzesić siebie!

Módlmy się przedewszystkiem słowy hymnu kościelno-narodowego: *Święty Boże! Święty mocny! Święty nieśmiertelny! zmiłuj się nad nami*. Co daj nam Boże. Amen.“

O gdybyśmy byli „wytrwali na ówczesnem stanowisku“
gdybyśmy *posiadać się* byli umieli i chcieli!

Rychło wszakże wszechęły się wskazówki i obawy, że się do końca posiadać nie zdołamy. Tego samego roku, przy obchodzie listopadowej rocznicy, już ks. Kaysiewicz miał powód pytać „czy naród nasz utrzymał się zupełnie na pierwszym stanowisku“, choć wtedy jeszcze zaraz Bogu dziękował, „że jego rodacy dotrzymali postanowienia swego w rzeczy głównej, że pomimo tylu podżegań i poniżeń nie zerwali się niewczesnie do broni“. Widział w tem „wielkie wyrobienie i posiadanie się masy narodu, obok rzadkiej, prawdziwie chrześcijańskiej łagodności serc polskich, które podziwiają w nas obcy, zazdroszczą w głębi duszy same wrogi nasze“.

Przecież już uważa za potrzebne natrącić, że w świeckich sprawach książdz powinien brać za wzór i symbol Dawida, który zbroję złożył, bo do niej nie przywykł, a do walki poszedł tylko z pasterską procą. Już przypomina, że „co innego jest wiedzieć do czego się dąży, a co innego chcieć zaraz wszystko otrzymać“.

„Owszem żal mię wielki ściska, ile razy słyszę mówiących: albo wszystko razem, albo nic; to też dotychczas to ostatnie otrzymujemy. Nie upadliśmy od razu wewnątrz i zewnątrz, to też od razu bez szczególnego cudu powstać nie możemy; w każdym razie, okupić także zmartwychwstanie potrzeba, dłuższem i korzystniejszym niż dotąd cierpieniem. Co lepsze i bezpieczniejsze, spierać się nie będę. To wiem, iż kiedy Chrystus Pan wskrzesił Łazarza, powstał on, ale jeszcze cały powinięty i związany, i nie sądzę, by od razu pozbył bladłości i chłodu trupiego: jakże chcieć większego cudu dla całego narodu? Skarżę się także na wyznaczanie terminów Bogu. Kiedy kapłani i starsi ludu w Bethulii oświadczyli Judycie, iż jeżeli za dni pięć odsiecz nie przybędzie, poddadzą miasto oblegającym, święta ta niewiasta nie wahała się odezwać: „a kto wy jesteście, abyście warunki i termina nakładali Bogu?“ A cóż powiedzieć kiedy znów słyszymy już dawno znane przechwałki: albo teraz, albo nigdy —

jak gdyby bez nas już Bóg sobie nie znalazł rady. O! wylecz nas dobry Boże z tej młodocianej a gorączkowej buty“.

A więc już nie jest tak spokojny i pewien swego jak był zrazu, już się obawia. Przecież zawsze ufa, że Bóg zmیلuje się w końcu, że przed Polską otwierają się nowe, szerokie, jasne horyzonty, dziejów i wielkich „powołań rzuconych z wysoka.“

„Co nam przyniesie ten tajemniczy rok 1862? który się zapowiedział i zaćmieniem słońca, i trzęsieniem ziemi, i wybuchami wulkanu, i śmiercią tylu panujących, i wrzeniem i uciskiem tylu ludów: co nam przyniesie ten tajemniczy i nie wiem dlaczego ten straszny rok 1862? Bracia moi, prorokować rzecz niewdzięczna i niebezpieczna. Gdyby jeszcze można zapieczętować proroctwo do otworzenia w czasie swoim! Ale na razie ile się niewiary i sprzeciwieństwa obudza; ufajmy, że czas i doświadczenie choć bolesne, na drogach Bożych nas utrzyma: więc my spierać się nie radzi.

Czas wciąż, mili moi, wiele rzeczy pokazuje i wiele jeszcze pokaże. Nie jeden mniemany przyjaciel pokaże się nam wrogiem, a wróg mniemany przyjacielem. Przed laty parą nie mogliśmy najłagodniej wyznać pewnych naszych przekonań bez wywołania gorączkowego wstępu, dziś już nas ci sami spokojniej słuchają. Nie jeden jeszcze, jak dawne Sykambry, pogardzi tem, co uwielbiał, a uczei to czem pomiał; a my jak teraz tak później wynosić się ztąd nie myślimy; nie chodzi nam bowiem o lepszą naszą, jedno o lepszą Bożą i lepszą dla narodu pewność. Nasza ztąd, że pewnych zasad się trzymamy; które mogą być na chwilę zaćmione, zawieść nigdy nie mogą.

Jeżeli jednak chcecie bym coś powiedział, nie narzucając się nikomu, powiem: że zadanie nasze jest w tem, czy damy się złudzić czy nie, opinii, która mówi

o narodowościach, a w rzeczy dąży do odbudowania przedchrześcijańskich rodowości (rass); i zdradza się już przebąkując o braterstwie (ale po za chrześcijaństwem) łądów, części świata: i zdąża w rzeczy do centralizacji świata całego na jeden krój, w imię interesów materialnych. Zadanie nasze jest w tem: czy niecierpliwie rzucim się sami w otchłań wszechsłowiaństwa, zapewne z położeniem zaszczytniejszem od Bośniaków i Czarnogórców, ale zawsze z zaparciem się przeszłości naszej i wyrzeczeniem przyszłości; czy też stojąc cierpliwie i wytrwale na stanowisku naszym historycznym przy Bogu i Kościele, wzmacniając, odnawiając i przygotowując unie religijne i polityczne, ale zawsze w duchu Chrystusowym, doczekamy się aż Bóg i Kościół namaszczą nas na lud hetmański, kapłański, królewski, jakim był Juda wśród Izraela, jakimi były Franki w średnich wiekach. Co do mnie przyznaję się, że ta tylko nadzieja, to przypuszczenie tłumaczy mi i przeszłość naszą z przymiotami i młodocianymi przywarami naszymi; to mi tłumaczy taką długą oczyszczającą chłostę, jaką wytrzymujemy; to mi tłumaczy ten patryotyzm Polski tak namiętny, a tak duchowy z drugiej strony i religijny; to tłumaczy gorączkowe po części i przesadzone, ale zawsze powszechne i głębokie przecucie jakiegoś niepośledniego powołania dziejowego naszego narodu; to mi tłumaczy tę widoczną obecnie walkę piekła z Niebem o to, kto nas ostatecznie sobie pozyska.“

Z tych dwóch czy trzech kazań daje się poznać bardzo wyraźnie całe stanowisko ks. Kaysiewicza do początków ówczesnego ruchu. Zrazu wielkie uniesienie radości, wielka nadzieja, ugruntowana na tem, że Polska dojrzała, pojednała się, podniosła się moralnie, że się poprawiła, i na tem, że praktycznie, politycznie, stanęła w położeniu bardzo szczęśliwym wobec nieprzyjaciela, który nie mogąc jej gnieść i tępić, bo jest spokojna i nie daje mu pozorów do dohycia

miecza, musi przed nią ustępować. Później, już nieco obawy i jak się pokazało usprawiedliwionej, że się spokój wyczerpie, że cierpliwość i siła dadzą się złudzić podżeganiom, że odczwą się żądania większe niż w tej chwili spełnić się mogą, wreszcie, że księża mogą się pomylić i zamiast z Dawidową procą wybierać się do walki ze zbroją Saula. Ale nadzieja przecież od tych obaw silniejsza, a w obawach samych widoczne jest wielkie dla tych wypadków podziwienie, wielka z nich radość, wielka dla nich miłość. Gdzie ta nienawiść, ta nieprzyjaźń, ta niechęć powstania i niepodległości, o której krzyczeli wszyscy kłamcy w kraju i za granicą? Niech ją pokażą — szlachetnej odwagi i chęci po temu im nie brak, to wiemy, ale możność? Niech mogą, niech potrafią, ze słów Kaysiewicza dowieść, że mówili o nim prawdę!

Tymczasem szedł „tajemniczy rok 1862“ z przeczućwym niepokojem witany przez kaznodzieję w noworocznej mowie, a przynosił z sobą im dalej tem widoczniejsze zejście z pierwotnego stanowiska, skrzywienie pięknie rozpoczętego dzieła, coraz widoczniejszy brak posiadania się. Organizacya komitetu centralnego, prowadzona coraz żwawiej, leciała przyspieszonym pędem do wybuchu, który w emigracyi, pomiędzy tak zwaną partya ruchu i czynu przygotowywał i zapowiadał się otwarciem: zamachy mordercze, na Wgo księcia Konstantego, na marg. Wielopolskiego, inne jeszcze, nie pozwalały już wątpić, że stan rzeczy dotąd idealnie czysty i szlachetny, popadł w ręce podejrzane, a łatwe do poznania po takich owocach. Strach o powstanie przedczesne, źle przygotowane, daremne, i o wszystkie jego skutki zaczął ludzi przechodzić jak dreszcz, a dusić jak zmora na pierśiach. Na domiar smutku pokazało się, że komitet centralny w organizacyę swoją pochwyił i księży; że wielu z nich przysięga mu na posłuszeństwo, obowiązuje się dawać rozgrzeszenie za grzechy na jego rozkaz popelnione, słowem, rok 1862 przyniósł przemianę bardzo szczęśliwego politycznego położenia w przygotowanie do wybuchu nieuniknionego a z góry straconego, rozpaczliwego, i przemianę ruchu z bar-

dzo wysokim charakterem, w zwykły ruch rewolucyjny, z właściwemi jemu junactwami, kłamstwami, nedorzecznościami, a nieszczęściem i z niektórymi ruchowi takiemu właściwemi zbrodniami.

Biskupom chodziło o to by powstrzymać księży na tak niebezpiecznej drodze. Ale jak to zrobić? Urzędownie, od władzy? to znaczyłoby już ich wobec rządu narazić; przyznać, że do jakichś tajnych robót należą. Powtóre, upomnienie od władzy skutkowałoby może mniej, bo księża będący już na takiej pochyłości, oczywiście nie ufają swojej zwierzchności, podejrzewają ją, są w ukrytej ale w istotnej względem niej opozycyi. Przypomnijmy sobie zwłaszcza, że arcybiskup Fe-liński uchodził podówczas za człowieka prawie oddanego rządowi rosyjskiemu: arcybiskup Przyłuski, nie on sam, ale jego konsystorz, uchodził za najniebezpieczniejszą twierdzę ultramontanizmu i jezuityzmu. Mogli więc bardzo logicznie oba przypuszczać, że przestroga wymierzona do księży więcej robi wrażenia, jeżeli przyjdzie z zewnątrz, aniżeli gdyby wyszła od nich samych. Ale któż ma zabrać głos w tej drażliwej sprawie? kto będzie miał dość powagi jako kapłan, dość zaufania jako obywatel, żeby był słuchanym i wywarł wrażenie? Oczywiście nikt jak Kaysiewicz. Takiego jak on stanowiska nie zajmował żaden inny z duchownych polskich: każdy ksiądz czy najuczeńszy, czy najmniej oświecony, musiał uznawać w nim wyższość, choćby tylko kaznodziej-skiego talentu; każdy ksiądz z dobrą wiarą, musiał szanować jego charakter, żywot, gorliwość, jego cnoty jako duchownego. Powagi zatem kapłańskiej miał dosyć. A zaufania jako Polak? któż, na miłość boską kto je mieć będzie na tym świecie jeżeli nie on? O innych mogą mówić co się podoba, ale o Kaysiewiczuzi któżby śmiał powiedzieć, że nie jest Polakiem, albo że nim jest nie dosyć. Żołnierz, emigrant, założyciel polskiego zakonu, mowca, którego każde słowo tchnie najgorętszą miłością ojezyny, — nie, ten już podejrzanym nie będzie, na niego tego rodzaju potwarzy nikt rzucić się nie odważy, bo kto by się nie uląkł kłamstwa

ten ulęknie się kłamstwa daremnego, zbyt niepodobnego do prawdy, żeby skutecznem być mogło.

Zażądali więc Biskupi od ks. Kaysiewicza, żeby się odezwał do księży porwanych prądem spisków i tajnych organizacyi. On usłuchał: rzecz sama wydawała mu się bardzo ważną i groźną, wezwaniu takiemu oprzeć się, byłoby to prawie opuścić służbę w chwili walki, a dawny żołnierz tchórzem ani zbiegiem nie był nigdy, usłuchał więc i napisał swój sławny *list do Braci księży grzesznie spiskujących i do Braci szlachty niemądrze umiarkowanych*. Sławny, mówimy umyślnie: bo ten list stał się wielkim w życiu swego autora wypadkiem, bo nadano mu znaczenie takie, że któkolwiek w przyszłości o ks. Kaysiewiczu mówić lub pisać będzie, będzie musiał wspomnieć i o tym fakecie; bo ten list jak żeby był przeważył, zatarł, zmasał, trzydzieści lat zasługi i patriotyzmu, służył za punkt oskarżenia i niby za dowód, że ks. Kaysiewicz nie jest Polakiem. Pomylili się biskupi w swoich przypuszczeniach: pokazało się, że potwarz tak się u nas już rozzuchwaliła, a łatwowierność tak do reszty pozbawiła nas zdania i sądu, że nie ma już człowieka, na którego sławę nie uszłoby rzucić się bezkarnie i bez nadziei powodzenia, że nie ma rzeczy, nie ma charakteru, nie ma żywota, któreby człowieka przed oszczerstwem zasłonić i obronić mogły.

Cóż jest w tym liście okropnym, na który rozległ się wielki krzyk oburzenia, na którego wspomnienie dziś jeszcze nasza niepokalana publicystyka rozdziera na sobie szaty jak żeby usłyszała bluźnierstwo, zelżenie majestatu ojczyzny?

Co w nim jest? naprzód, jest, jak sam tytuł wskazuje, dwie części. W pierwszej, *do księży spiskujących*, przypomina ks. Kaysiewicz, że ksiądz każdy, swoją przysięgą kapłańską obowiązany jest do posłuszeństwa władzy kościelnej, że ta władza zakazała uroczyście i po wiele razy księżom należyć do jakichkolwiek towarzystw tajnych, że zatem ksiądz, który dziś przysięga komitetowi centralnemu, łamie swoją pierwszą przysięgę: a nie usprawiedliwia go to, że przysięgając dodaje *salvis juribus ecclesiae*, bo warując niby

prawa Kościoła, sam je już w tej samej chwili, samym faktem zaprzysiężenia naruszył. Może to jest bardzo złe, że kanony i bulle tak postanowiły, może jest bardzo niepatryotycznie stawiać je nad rozkazanie komitetu centralnego, ale nikt nie zaprzeczy, że to, co ks. Kaysiewicz powiedział, było bardzo logiczne: że ksiądz, który postępuje wbrew wyraźnym zakazom Kościoła, łamie swoją przysięgę na posłuszeństwo.

Cóż dalej? Dalej mówi, że wszędzie a zwłaszcza u nas, pod rządem rosyjskim, gdzie księży tak mało, pierwszym i najbliższym obowiązkiem księdza, jest pilnować dusz jemu powierzonych. Pięknem może się to wydać i bohaterskiem iść na wojnę i na polu bitwy rannych rozgrzeszać; ale jak ksiądz taki polegnie lub pójdzie na Sybir, a jego parafia zostanie opuszczoną, czy on wtedy nie uczuje żalu i wyrzutu?

„Nie bracia mili! wam szczęk broni przypomni co chwila, że dzwony kościoła waszego parafialnego milczą, że dzieci tam bez chrztu, a starcy bez rozgrzeszenia umierają. Zerwiecie się, zechcecie biedz ku Polsce, ku parafii, a tu pięść żołdacka przypomni wam gdzie i z kim jesteście. I zdarzy się wam jak owym kapłanom żydowskim, o których mówią księgi machabejskie, że pobici byli na wojnie, bo nie mądrze sobie poczęli, w nieswoją rzecz się wdając“.

A więcej? więcej jest ostrzeżenie, że powstanie, jeżeli do niego przyjdzie, udać się nie może, i że w Rewolucyi Europejskiej, która jeżeli nie rządzi komitetem centralnym, to jest z nim pewnie w stosunkach, jest wielka nienawiść katolickiej wiary i Kościoła. Oto ten ustęp, najgorszy zapewne, najwystępniejszy ze wszystkich

„Oddajecie się świeckim, powszechnie młodym, w liczbie których są pewno i niekatolicy i niechrześcijanie, a zawsze związanym prawdopodobnie piekielnymi przysięgami pod grozą śmierci z wyższymi władzami, Mazzinim, naczelną lożą i Ventą, których osta-

tecznym celem zagłada Kościoła i chrześcijaństwa. I wy kapłani to czynicie? Dla wydobywania się z pod obecnej wprawdzie, despotycznej i niekatolickiej władzy, dla wywalczenia wolności sobie i ojczyźnie, zaczynacie od *zaprzędania dusz waszych* władzy, pokątnej, bezmiennej, samowstrętnej, przed nikim nieodpowiedzialnej? Czy może być nad to większy nierozum, bardziej upokarzająca niewola? „

„Ach Bracia, ludzie ci są nieznani, ale znane ich czyny dawniejsze i stałe zasady. Czy nie dosyć jeszcze popisywali się oni swoją bezbożnością słowem i drukiem, byście wy kapłani na nich poznać się nie mogli? Czy nie dosyć zmarnowali ludzi i majątków krajowych? Czy nie zmarnowali po dwakroć poświęcenia ludu Wielkopolskiego, i majątków obywatelskich? Czy nie wywołali rzezi galicyjskiej? po której dotąd ta część dawnej Polski do siebie przyjść nie może? Czy w r. 1848 nie poświęcili młodzieży, zasobów narodowych i samegoż dobrego imienia polskiego, dla czynienia nędznych burd i dywersyi na korzyść rewolucyi europejskiej? Czy świeżo w imię patriotyzmu nie popehnęli zbląkałej młodzieży, do nieznanych dotąd w dziejach naszych a nigdy użytecznych morderstw politycznych? Czyż nie gotowi i obecnie poświęcić narodu? Jestto jedną z wad praktycznych sprzysiężeń tajnych, iż jak skoro są zagrożone odkryciem, popychają kraj choćby najbardziej nie wezas do wybuchu, i dziś to chcą uczynić? Ma więc być powstanie wobec tak wielkiej siły zbrojnej. Na jakąż pomoc uorganizowaną liczyć? Czy na jakie mocarstwo? Śmiało zapytam, *gdzie są Boga wasze, w których pokładaliście nadzieję?* To może kraj ma zasobów wojennych i broni pod dostatkiem? wiem dobrze, że nie. Dla czegoż chcecie powstawać? oto, bo myślicie więcej o własnem niebezpieczeństwie, niż o przyszłości kraju; potem dla tego, że rewolucya europejska tak chce i każe. Czytałem przypadkiem okólnik tłumaczący, iż aby Garibaldi mógł odbić Wenecyę, potrzeba,

aby cała Austria i Polska były w powstaniu. Dlatego powstaniecie, choć sami wasi sprzymierzeńcy socjaliści moskiewscy ostrzegają was, że nie czas, bo wiedzą, że ich rodacy przerażeni odezwaniami obalającymi własność, rodzinę, wszelką religią, garną się do rządu. Powstaniecie więc na korzyść Włoch i rządu rosyjskiego, który się dziś jeszcze czuje na sile do zgniecenia was; a wy kapłani dla pociechy jego zaczynacie schizmę, choćby zrazu modlącą się po polsku, czy po łacinie! co to szkodzi; rząd był zawsze gotów na to przystać. Liczycie na powstanie i pomoc Rosyan: mylicie się. — A choćby tak było, cokolwiek myśli kilku ludzi, massy nie byłyby sprawiedliwsze dla nas od rządu, jak parlament frankfurcki nie był sprawiedliwszym od rządów niemieckich“.

Ale może jest coś gorszego? zobaczmy! Może gniew, może namiętność, może niesprawiedliwość? może nieprawda? Jest! istotnie jest prośba tak gorąca, zakłęcie tak błagalne do księży, żeby od spisków odstali, że przytoczyć ją tu musimy. Ona służyła za broń przeciw ks. Kaysiewiczowi, z niej wyciągano wszystkie tytuły jego potępienia, a więc niech ona świadczy i dziś, przeciw niemu, lub za nim, nie wiemy:

„Bracia moi! bądźcie szczerymi i zgodnymi sami z sobą i z waszemi zasadami. Już po kościołach odzywacie się po sekciarsku. Zamiast mówienia prawdy wszystkim, pobudzacie do nienawiści biedniejszych przeciwko zamożniejszym. Nie jest to już słowo Boże, jedno ludzkie albo szatańskie. Jeżeli chcecie być nie już kapłanami polskimi, ale kapłanami Polski ubóstwianej, do czego świeccy zapaleńcy dążą, zamiast białej komży Boga miłosierdzia i pokoju, wdziejcie czerwoną bluzę, wynieście Przenajświętszy Sakrament z kościoła, jako przesąd średniowieczny. Zanieście do świątyni ubranej w barwy narodowe i rewolucyjne, ozdobionej popiersiami wielkich patriotów, zanieście obraz wystawiający powstańca z kosą stojącego na trupach bratnich i wro-

żych, podającego dłoń lewą kacapowi z zakrwawioną siekierą na karkach panów i czynowników, prawą Włochowi ze sztyletem w ręku i trucizną w zrabowanym kielichu kościelnym, z Machiawelem i odezwaniami *pro-roku idei* (Mazziniego) pod pachą. Na miejsce Matki Boskiej Częstochowskiej postawicie jakąkolwiek niewiastę z okiem bezwstydnem i bluźnierstwem na ustach, wyobrażającą republikę socyjalną, i zanućcie potem *Z dymem pożarów* lub hymn marsylski: bo taka jest *idea*, taki niezbędny koniec (przy podobnych sprzymierzeńcach) komitetu Centralnego. Uczyńcie tak Bracia, będzie to okropne, będzie bezbożne, ale przynajmniej szczerze; albo też zaraz rzućcie się do stóp Ojców waszych Biskupów i proście o uwolnienie od klątw, w któreście popadli, choćbyście się też mieli wystawić na sztylet komitetu Centralnego“.

„O mój Boże, mój Boże! żal i wstyd serce mi ściska, że takie rzeczy do braci mówić muszę. Do tego doprowadziła część duchowieństwa macosza opieka schizmatycka! Na to zszedł tak pięknie ruch zaczęty, za któryśmy się Bogu nieustannie modlili, i przed ludźmi ile się tylko dało, ręczyli! Pójdziem na pośmiewisko u ludzi, na pogwizd szatanów, że w przed dobie zmiłowania Pańskiego cierpliwości nam brakło i dobrowolnie wrogowi dajemy, czego siłą i podstępem przez trzy pokolenia osiągnąć nie mógl“.

„Błagam was na kolanach bracia zbłąkani! błagam z sercem rozdartem, z powieką nabrzmiałą od bezsenności, upamiętajcie się i wróćcie bardzo prędko, na pociechę Boga obrażonego, zapłakanych aniołów jego, na pociechę Kościoła i Ojczyzny.“

I to wszystko? do księży już wszystko. Powiedział im, że wojna nie jest ich rzeczą, to prawda: że ich pierwszym obowiązkiem są parafie, to prawda: powiedział, że wykraczają przeciw kościelnemu posłuszeństwu należąc do tajnych towarzystw, to prawda skoro są Bulle zakazujące: powiedział

że powstanie się nie uda: — czy może to nie było prawdą? wreszcie, że rewolucya jest nieprzyjaciółką wiary i Kościoła — temu świadczy ona sama od Robespiera do Garibaldiego, od Terroru do Komuny. A więc gdzie fałsz? i gdzie wyparcie się czy zdrada Polski? Gdzie?! w tych oczach krzywych, które same złe wszystko złe i złem widzą; w oczach tych ludzi wskazanych palcem jako niepowołanych, nieszczęsnych przewodników sprawy narodowej! A że ci, którzy o sobie przeczytali, iż są władzą narzuconą, samozwańczą, że sprowadzili na kraj rzeź galicyjską, że ci kiedy zobaczyli swój wizerunek i przeczytali swoją historję, musieli podnieść wielki krzyk, żeby prawdę zagłuszyć; to rzecz prosta. Ale, że im tak uwierzono, że głos, który wołał, aby *w przeddzień zmiłowania pańskiego nie tracić cierpliwości*, który o tę cierpliwość wołał w wilię nieszczęśliwego wybuchu roku 1863, że ten głos wydał się innym i lepszym ludziom głosem złego Polaka, czy zdrajcy, to niedziwniejsze może, bo w końcu niczemu się już na świecie dziwić nie można, ale to jeszcze smutniejsze.

Właściwym więc grzechem ks. Kaysiewicza przeciw Ojczyźnie, jest ta wróżba, że „pójdziemy na pośmiewisko u ludzi, na pogwizd szatanów, bo w przeddobie zmiłowania Pańskiego cierpliwości nam brakło, i daliśmy dobrowolnie wrogowi to, czego siłą i podstępem osiągnąć nie mógł“ — sposobność do zoniecenia nas.

Zrobić, dać tę sposobność, to było wolno, było dobrze, patryotycznie i po bohatersku: przewidzieć, że tak będzie i przestrzegać, to była zbrodnia i zdrada. Tak mówili, i mówią do dziś dnia ci, którzy rzecz zrobili o tym, który ją osądził.

Ale może w drugiej części listu, *do szlachty niemądrze umiarkowanej*, znajdzie się coś co obrazi polskie sumienie?

Tam znowu powiedziane jest naprzód, że szlachta skarży się nieraz na duchowieństwo, że jest ciemne, albo nie dość przykładne, albo wreszcie skrajnych opinii, a w wielkiej części sama temu winna. Od czasu jak stan duchowny przestał dawać bogate beneficja i dostojęstwa, nikt prawie

z zamożniejszych do niego się nie garnie: duchowieństwo rekrutuje się z najuboższych, z takich, którzy najmniej mieli sposobu i możności wykształcić się należycie, a częstokroć idą na księży dla utrzymania. Narzekamy na brak nauki i zasad w duchowieństwie, narzekamy na Biskupów, że źle prowadzą Seminarya, a sami do dobrego ich stanu nie pomagamy, o dobre wychowanie młodych księży nie dbamy, zostawiamy ich los i naukę na opiece boskiej i rządowej, nie pomni na to, że fundusze przeznaczone na ten cel od rządów są za skąpe, żeby mogły na istotne potrzeby należytego wychowania księży wystarczyć. Wreszcie nie umiemy się z księżami obchodzić: prostszych, gorzej wychowanych unikamy, jeżeli nie odpychamy: uczeńszych, zdolniejszych, świetniejszych, rozbawiamy, rozpieszczamy, światowemi stosunkami i sukcesami odwozimy od ścisłego pełnienia obowiązków. Jeżeli więc księża, jedni nie mają kościelnego ducha, drudzy zasad i nauki, jeżeli inni wreszcie mają w głębi serca do szlachty żal i urazę, to w znacznej części może to szlachta sama sobie przypisać.

Jeżeli zaś dziś, duchowieństwo za innymi pędzi na oślep do daremnego wybuchu, to także wina tych, którzy się wybuchowi temu zawczasu nie oparli. Przestrzegano ich dawno, że rzeczy ku temu idą: co odpowiadali? że zapewne są pewne oznaki niebezpieczeństwa, ale nie straszne, bo większość nie da się porwać tam gdzie dojść nie chce. Tymczasem przeciwnie się stało. A dlaczego? dlaczego nie umieliśmy, czy nie chcieli, oprzeć się na czas? Powód, choć nie jedyny naturalnie, dostrzeżony jest bystro, a wskazany śmiało:

„Nie jeden może nie zdając sobie z tego sprawy, chcąc się zachować dla rzeczy publicznej, lękał się narazić lub utracić swoją popularność. Od dzieciństwa uczą nas matki modlić się o miłość ludzką, to też tak o nią dbamy, iż dla niej poświęcamy często i samą bojaźń Bożą. Popularność tę przechodnią dają lub odbierają języki, a bardziej jeszcze gazety; a tu w Pol-

se nie ma ani jednego dziennika politycznego, szczerze zachowawczego, szczerze umiarkowanego, bo ani jednego katolickiego. I w tem dziwo nie małe, bo wszystkie głównie czytane i podtrzymywane groszem ludzi zamożniejszych i umiarkowanych. Niemaszże w tem znowu niedarowanego sprzeciwieństwa?“

„Zkądże ta sprzeczność? trzeba bolesną prawdę powiedzieć, a raczej przypomnieć. Od podziału kraju naszego, rozżaleni grzechem rewolucyjnym monarchów, rzuciliśmy się w objęcia bezbożnej rewolucyi ludowej francuskiej, która ze swej strony, dobrodusznemu królowi ścięła była głowę. Odtąd wszelka opozycya u nas popłatna, wszelka rewolucya (zachowująca dawne u Polaków znaczenie, zmiany w stosunkach państw) pełna dla nas uroku. Polak umiarkowany, zachowawczy w domu, rewolucyjny za granicą i w polityce. Dla siebie marzy majorat angielski, za granicą brata się z Prudhonem. Arystokratki nasze z rodu nawyknień i przekonań popisywały się czerwoną bluzą, szczęśliwe i pyszne, gdy dostały wizerunek Garibaldeggo. Czy podobna aby kłamstwo takie trwało dłużej bez szkody. Czy podobna, by zasady podziwiane u obcych nie przyjęły się w domu? Nie, niepodobna. Jest logika nieubłagana, jest Nemezis społeczna. Wyobrażenia zachodnio rewolucyjne, przewiane bezbożnością, musiały wpaść całą siłą do Polski, w której nie znajdowały oporu, albo słaby i pękątny tylko.“

„Wszakże Mazzinizm nagi, nawet w wojennej bluzie Garibaldeggo, nie przystawał całkiem do smaku naszym umiarkowanym. Szukali oni możebnego środka pomiędzy katolicyzmem i rewolucją“.

„Rozkochali się w onym bękarcim niby konserwatyzmie, w onej gimnastyce, pomiędzy prawdą i fałszem, w onem umiarkowaniu rzeczniczem i dziennikarskiem, bo bez zasad i przekonania, w onem nieprzystawaniu na nadużycia dawnego porządku, i na ostateczności wyobrażeń nowożytnych, w onym despotyzmie obłudnym,

a upstrzonym pozorami liberalizmu i demokracji, którego to konserwatyzmu w ostatnich czasach Piemont dał nam wzór wydatny. Umiarkowani nasi (liczący obok siły moralnej chętnie na obce działa gwintowane), całem sercem do niego przyłgnęli“.

Oto rzeczy najostrzejsze, najprzykrzejsze. Ostre są i surowe, to prawda. Ale czy niesłuszne naprzód, a potem, czy jest w nich ta gorycz i namiętność, o którą podówczas tak żałośnie się na księdza Kaysiewicza skarżono? Że niema wyparcia się Polski, jej niepodległości, o tem zbytecznie mówić, bo tego dziś nikt już chyba twierdzić się nie poważy. Dziś nauczeni doświadczeniem, bodajby nie zapóźnem, lepiej może umiemy rzeczy rozróżnić, i wiemy że co innego jest niepodległość, a co innego próżne zerwanie się, które nie do niej, ale od niej wiedzie. Cóż więc zostaje z zarzutów? Może to, co i sam ksiądz Kaysiewicz przypuszczał, że List jego, wyszedłszy już po wybuchu, mógł zranić ludzi, którzy już albo się istotnie poświęcali, albo poświęcić się byli gotowi? Doprawdy nie widzimy nawet i tego. Kto wierzył w szczęśliwy skutek powstania, temu zapewne smutne te wróżby mogły mącić spokój i złudzenia. Ale nie mówiąc już o tem, że i wtedy jeszcze, po wybuchu, lepiej było rad tych posłuchać i zaprzestać za nim ruchawka przeniosła się na Litwę i Wołyń, nie mówiąc o tem, przypomnieć trzeba tylko to, że List głównie miał na celu księży; że fakt wybuchu ich położenia i stosunku do władzy kościelnej nie zmienił, że potem, równie jak przedtem, a może jeszcze bardziej, było rzeczą ważną i konieczną, wstrzymać ich od zobowiązań lub uczynków z ich stanem kapłańskim niezgodnych.

Ksiądz Kaysiewicz, opisując całe to przejście w swoim Pamiętniku, tak kończy: „Ci co o tym liście sądzą z wrażeń jakie odnieśli po odczytaniu go w roku 1863, niech go zechcą odczytać po raz drugi dzisiaj, a mniemamy że przy zmienionych okolicznościach znacznie także sąd swój zmienią“.

To cała jego apellacya do naszej sprawiedliwości. Jest tak mało wymagająca, i tak słuszna, że odrzucić jej się nie

godzi. Prawda, że jest i wystarczająca zupełnie; bo ktokolwiek zechce zadość uczynić jego żądaniu i List przeczyta z dobrą wiarą, bez uprzedzeń i sofistycznych naciągów, ten będzie musiał przyznać, że nie tylko niema tam nic złego, ale że są tylko rzeczy, które ksiądz ze stanowiska swego koniecznie powiedzieć musiał, rzeczy ze stanowiska obywatelskiego i polskiego tak dobre, że szkoda tylko, iż nam więcej podobnych nie mówiono, i że całe podniesione z tego powodu przeciw księdzu Kaysiewiczowi prześladowanie, było ciężką i niczem nieusprawiedliwioną, a jemu bardzo bolesną krzywdą.

Za tą poszły inne, i piękny ich szereg już się nie przerwał do końca. Nie mamy pod ręką dzienników naszych z ostatnich lat dziesięciu, nie możemy więc przytoczyć tu wszystkiego, co o księdzu Kaysieczu i jego Zgromadzeniu było pisane. Pomimo całej odrazy, jaką mamy od dotykania się pewnych rzeczy, podjęlibyśmy robotę tę jeżeli nie z przyjemnością, to z ochotą, bo wartoby istotnie było zebrać bukiet z najpiękniejszych kwiatów tej inwencji i tej elokwencji, i wystawić go w dobrem świetle na widok i podziw publiczny. Możeby się przecie kto nad nim zastanowił i zawstydził; jeżeli nie z tych, co pisali, to choć kto z tych, co czytali i wierzyli. W braku dostatecznych dokumentów zbyte musimy te sprawy krótkim słowem. I tak, przypomnimy tylko wielki krzyk na bezbożnych Zmartwychwstańców, którzy kleryków emigrantów nie chcieli przyjmować do seminaryum polskiego w Rzymie. W zbrodni tej było prawdy tyle, że w seminaryum jest pewna ograniczona liczba miejsc: o ile te były próżne, zapelniano je emigrantami, ale chcąc ich przyjąć więcej, trzeba było albo kleryków z miejsc już zajętych i im przez fundatorów nadanych rugować, co nie byłoby ani słusznem, ani prawnem, ani nawet możliwem, albo stworzyć miejscea nowe, powiększyć seminaryum, na co nie było funduszów.

Innym razem, rząd papieski przyjął księży emigrantów do domu Pielgrzymów, zakładu przeznaczzonego wyłącznie i zawsze na przytułek tymczasowy dla księży nie mających

stałego zajęcia i obowiązku, dopóki sobie takiego nie wyszukają. Kiedy pobyt owych Polaków przeciągał się nad miarę, kiedy żaden z nich nie myślał o innym umieszczeniu i nie starał się lub nie umiał stać się użytecznym, kiedy niektórzy wreszcie źle się tam sprawowali, nadzór zakładu wypowiedział im mieszkanie. To znowu było intrygą Zmartwychwstańców.

W Paryżu, księża emigranci, zawiązawszy się w *Stowarzyszenie kapłanów polskich* podzielili sobie Paryż z własnej mocy i powagi na czternaście jakoby parafij polskich, które między siebie rozegrali. Łatwo sobie wyobrazić, że arcybiskup, w którego dycjezyi, bez jego wiedzy, bez pytania, ktoś erygował parafie, chociażby polskie emigracyjne *in partibus Gallorum*, musiał się trochę zdziwić i nie mógł na taką samowolność pozwolić. Nieprzyjemności, jakie w ten sposób ściągnęły na siebie księża Stowarzyszeni, znowu były winą Zmartwychwstańców, skutkiem ich skrytych, chytrych, reakcyjnych i anti-polskich zabiegów. Zmartwychwstańcy wynieśli księdza Kuzińskiego na biskupstwo chełmskie; oni nie dopuszczali księży do ołtarzy i konfesyonału, chcąc je wziąć w monopol, a księży zmusić, żeby do ich zakonu wstępowali; oni wreszcie konspirowali z ambasadą rosyjską, pracowali nad wprowadzeniem języka rosyjskiego do katolickich nabożeństw, oni wyludzali zapisy, co więcej zabierali dla siebie bez wahania i pudoru cudze fundusze! A tak w tem byli zręczni, że żaden nie miał procesu kryminalnego, żaden nawet nie stawał przed policją poprawczą! Tak to podstępna zbrodnia umie się zawsze ze wszystkiego wykręcić, a prawdziwa niewinność pada ofiarą! Zmartwychwstańcy chodzą do dzisiaj po świecie z podniesionymi do góry głowami, a ich zacni, czcigodni oskarżyciele wmieszani byli w proces o fałszowanie banknotów!

Ale dajmy pokój oskarżeniom i oskarżycielom, niech wartości swojej dowodzą i sądzą się sami, jak ten najgłośniejszy z nich ksiądz Mikoszewski, członek niegdyś komitetu centralnego, który politycznie już przeszedł do Moskali, a nie zdziwi nikogo, jeżeli przejdzie na schizmę. Ten się już po-

starał o usprawiedliwienie Zmartychwstańców, jak Sadyk pasza, dziś Moskal i prawosławny, usprawiedliwił nieufność, jaką miał do niego generał Zamoyski. Wszystko się z czasem odkrywa i wyjaśnia; a przez krzyki choćby najwścieklejsze głos prawdy zawsze się ostatecznie przebiję. Zwróćmy się więc raczej w inną stronę, i powiedzmy, że te lata ostatnie były epoką bardzo szybkiego i silnego wzrostu i wzmagania się Zgromadzenia. Przełożonym jego po roku 1863, po owym liście, został znowu ksiądz Kaysiewicz. Wymawiał się, nie chciał, ale jego bracia zakonni nie ustąpili, i ustąpić nie mogli. Wybrać innego w owym czasie byłoby to przyznać, że ten zrobił coś złego, wydać go na pastwę opinii, żeby Zgromadzeniu jej łaski pozyskać. Na to nie pozwalała ani sprawiedliwość, ani honor. Został więc przełożonym (podówczas jeszcze tytuł generała przyznany mu nie był) i za tego ostatniego przełożenia nie mógł prawie nastarczyć pracy, która mu rosła pod ręką nad wszelkie spodziewanie. Kolegium polskie w Rzymie stanęło, i przez Papieża oddane zostało pod dozór Zgromadzenia; misya bułgarska szła swoją drogą; na Malcie założył się nowicyat; misya kanadyjska rozrosła się do pięciu parafij i dziesięciu kościołów, w Stanach Zjednoczonych powstawały parafie w Chicago, w Texas, w Michigan, słowem wzrost niezaprzeczone i stosunkowo bardzo silny. Zakon żeński tej samej reguły, osiedlony w Jazłowiecu, nie może już w jednym domu pomieścić zakonnic ani uczennic. Nie brak nawet niektórych małych, a raczej wielkich tryumfów. Jezuiti rosyjsey (ksiądz Gagaryn, Martinow itd.), którzy choć katolicy i Jezuiti patriotami rosyjskimi być nie przestali, co w nich oczywiście szanować trzeba, starali się przez całe lata pracowicie, uporezywie, systematycznie o misję bułgarską w Adrianopolu. Chcieli ją odebrać Zmartychwstańcom, bo chcąc katolików w Słowiańszczyźnie, nie chcieli ich mieć pod wpływem księży polskich. W końcu przecież sami zaprzestali swoich starań, przyznając otwarcie, że nie byłiby tam tak pożyteczni, jak nasi księża, że Polacy lepiej od wszystkich innych tę służbę zdolni są rozumieć i pełnić.

Brak sił, na który ksiądz Kaysiewicz tak się żalił w czasach, kiedy Zgromadzenie składało się z sześciu ludzi, nietylko ustąpił, ale zamienił się w wielką ich obfitość. Oprócz cudzoziemców, a są tam i Włosi i Niemcy i Amerykanie i Słowacy i nawet Holendrzy, zadziwiający jest przybytek sił polskich, i to sił niepospolitych. Pamiętamy przecież z przed lat dziesięciu świetną, a tak mądrą, tak co do joty dziś sprawdzoną książkę *La Pologne et la Cause de l'Ordre* najsilniejszy najwymowniejszy ówczesny apel polski do ślepego zachodu, żeby sam siebie dobrowolnie nie gubił; gdzie jest dziś autor tej książki? w Rzymie, u śgo Klaudyusza ¹⁾). Gdzie dawny redaktor *Wiadomości polskich*, przez lat piętnaście główny filar prac księcia Adama Czartoryskiego i generała Zamoyskiego, autor *Ostatnich lat Stanisława Augusta*, wbrew swojej naturze i woli do czegokolwiek się wziął, stający zawsze w pierwszym rzędzie naszych ludzi, czy publicystów, czy czynnych polityków, czy historyków? U Zmarłychwstańców. Tam także młody profesor filozofii, po którym Szkoła Główna Warszawska rokowała sobie tak piękne nadzieje ²⁾). Tam brat i przyjaciel najzaufańszy i towarzysz wszystkich trudów i smutków arcybiskupa Felińskiego: tam ten młody ksiądz, tak pełen odwagi i poświęcenia podczas dwóch oblężeń Paryża, że rząd francuski widział się spowodowanym przypiąć na jego sutannie „legii honorowej znaki kawalerskie“ ³⁾). A pomiędzy młodszymi, nie wyświęconymi dotąd nowicyuszami zakonu, moglibyśmy wskazać nie jeden umysł ozdobny wysokiem wykształceniem, nie jedną naturę wykwintną i szlachetną, której przypatrując się jeszcze na świecie, mówiliśmy sobie: ten, czemkolwiek zostanie, zawsze będzie czemś niezwykle dobrem. Wydaje nam się to rzeczą znaczącą i miarą żywotności tego zakonu, że się do niego ludzie, i to ludzie nie powszedni tak garną.

A sam ksiądz Kaysiewicz wśród tego? W podróży wiele, dwa razy w Ameryce, rządził tym swoim zakonem, tym „Światem nowym, który sobie stworzył“ jak za młodu

¹⁾ X. Zbyszewski. ²⁾ X. Pawlicki. ³⁾ X. Witkowski.

obiecował: a jak za młodu marzył i przysięgał Bogu i Polsce razem, tak pod siwym włosem dotrzymywał i pełnił. Jeżeli nie w Polsce, i nie polskiej sprawie jako takiej, to Polakom przynajmniej. Piękny to widok tego księdza już dobrze zachodzącego w lata, jak na drugi koniec świata się przebiera, żeby tam osadnikom polskim, pozbawionym duchownej pomocy, rozdawać sakramenta, kazać słowo Boże, urządzać parafie; piękny jego widok, kiedy do amerykańskich Anglo-Saksonów lub Iberyjczyków mówi z ambony, a o czym? o Polsce; kiedy ludziom, którzy o niej nigdy może nie słyszeli, daje poznać jej imię, jej dzieje, kiedy z prześladowaniem polskiego Kościoła łączy i prześladowanie polskiego narodu, i w sumieniach tych swoich obcych słuchaczy zaszczerpia wyobrażenie o Polsce i jej dobrej sprawie. Powiedzmy w nawiasie, że w tej samej chwili u nas okrzyczany za nieprzyjaciela ojczyzny, a prawie za zdrajcę. Wiele zaś robót i zasług jego, o których nie wiemy, bo je sam w Pamiętniku swoim zataił: wiele jego trudu i wpływu w postąpieniu Papieża z posłem rosyjskim? Wiele dostarczonych o stanie Kościoła polskiego objaśnień, wiele udzielonych jemu nawzajem z Rzymu rad, wskazówek, pociech? Wiele, nie wiemy i nie zliczymy: ale wiemy, że to wszystko było, a są tacy, którzy mogą zliczyć i opowiedzieć dokładnie. Pragniemy gorąco, żeby tego nie zaniedbali.

Nie ustawały przytem i prace piśmiennicze. Z tych lat datuje piękny żywot śgo Jozafata, powtórne wydanie pism i kazań, w którym po raz pierwszy wyszły Listy Zaatlantyckie i ten piękny *Pamiętnik o początkach Zgromadzenia* tak ciekawy, tak w przyszłości ważny jako dokument historyczny, a tak piękny przez swoją wielką prostotę. Kazań oczywiście musiało być mniej w tych latach; ale są przecież, i to pod sam koniec, wracają znowu dawne kazania polityczne. Tylko od pierwszych odmienne: po swoim Liście, wzięty za cel wszelkiego rodzaju pocisków, tak się ksiądz Kaysiewicz lękał głosem swoim przyczynić się do rozdrażnienia umysłów, tak może bał się i o siebie, żeby mu w zapale nie wymknęło się jakie słowo goryczy i żalu, że zda się, nakazał sobie mówić jak najspokojniej, jak najłagodniej,

jak najchłodniej. Takich wspaniałych, patetycznych, porywających wybuchów wymowy jak niegdyś, w tych ostatnich kazaniach nie ma: cechą ich jest spokój, trzeźwość i praktyczność. Ale mądrość, ale zmysł polityczny, ale znajomość nas i naszych potrzeb, ale patryotyczna wartość i zasługa tych kazań jest zawsze ta sama. Przytoczmy na dowód parę wyjątków z kazania, które nas w Galicyi najbliższej dotyczy, bo powiedziane było we Lwowie (1868), a nazywa się *Rachunkiem Sumienia*. Nasze to sumienie, tej części Polski, roztrząsa kaznodzieja; czy trafnie, zobaczymy.

Przechodzi on, jak zwykle w *Rachunku Sumienia*, trojakie obowiązki, względem Boga, bliźniego i siebie samego. A więc co do pierwszych naprzód:

„Wybaczcie Bracia, że powiem, bo prawda przed wszystkim, ale w stosunku do Boga, wielu z nas jest w nieporządku. Nie mówię tu o rzeszy ludu nieoświeconego, grubego, ale jeszcze wierzącego. Nie mówię, nawet o niewiastach, stosunkowo zawsze pobożniejszych; choć niestety, w pewnych warstwach społeczeństwa, już się i tam zaraza obojętności rozszerza, a racjonalizm systematycznie pracuje, aby je po za Kościołem wykształcić; mówię głównie, używając utartego tutaj wyrazu, mówię o *intelligencji* męskiej. Co więcej, muszę powiedzieć, że ona w tej mierze więcej chora, niż w innych dzielnicach dawnej Polski; ale zarazem dodaje, co Galicyan tłumaczy. Bracia nasi, z natury skłonni do sprzeciwieństwa, wobec Prus protestanckich, trzymali się zawsze odpornie i z bacznością; a od lat dwudziestu używając wolności Kościoła większej niż po krajach katolickich, mogli wziąć silniejszy udział w rosnącym wciąż życiu religijnem Kościoła. Pod Moskwą, niższą w oświacie, cisnącą gwałtem, naród nasz tracąc wiele jednostek, oczyszcza się jednak i rozgorliwia w ożywiej łaźni krwawego męczeństwa. Galicya, odcięta pierwszym podziałem od reszty dawnej ociężałej Polski, nie wzięła nawet udziału w przebudzeniu umysłowo-

politycznem narodu za sejmu czteroletniego: a natomiast od kilku pokoleń kształciła się pod ferułą Józefińską źle liberalną, niby katolicką, a w gruncie pół-schyzmatycką. Kościół i duchowieństwo pochwycone w ramy ogólnej biurokracyi, objęte też zostały ze strony narodu ogólną niechęcią do władzy obcej, a z imienia katolickiej; i przeto większa tu niż w innych dzielnicach Polski pewna ospałość duchowa, pewna obojętność do Kościoła, do pełnienia jego przykazań, niedbałość w uczęszczaniu na nabożeństwo, w przystępowaniu do sakramentów świętych. Prawda najmilsi, to nas tłumaczy, jeżeli całkiem nie usprawiedliwia; ale fakt nie mniej pewny, że nie jeden nie jest w porządku, w stosunku swoim do Boga“.

„Niestety! nigdyśmy nie grzeszyli zbytkiem gorliwości (wyjawszy pewnych mocniejszych chwilowych wstrząśnień); lękamy się zawsze na kredyt tak zwanej przesady i fanatyzmu. Natura polska łagodna, religijna nawet, ale leniwa, ani w złym, ani w dobrym kierunku zbyt daleko nie idzie, trzymając się starannie mierności; ale w ostatnich czasach szala się stosunkowo przechyliła na złą stronę. Przeciwko nam stoi siła zorganizowana, czynna, ma swoje stowarzyszenia i jawne i tajne, ma swoje druki i liczne dzienniki; a my tak dobrze, jak nie czynimy, i co gorsza, nie czujemy się do potrzeby i obowiązku czynienia“.

To jedno i podobno prawdziwe; a dalej? Dalej jest grasująca filozofia pozytywna, zaraza materyalizmu, która zabija nie już wiarę, ale w ostatecznym rezultacie samą nawet *niezależną moralność*.

„Żaden naród, powtarzam, nie urodził się w piełuchach niedowiarstwa; owszem, wszystkie konają w tej dziurawej płachcie, w tym wypłowiłym całunie; bo niedowiarstwo jest ujemne, to długi, to bankructwo ducha; to też wszystkie narody, wszędzie i zawsze, sko-

nały w niedowiarstwie i zepsuciu: pyrronizm, ironia, to uśmiech głupawy zużytego starca. A jeżeli w niedowiarstwie jest narodzić się niepodobna, ani żyć długo, jakże podobna będzie z niem się odrodzić? Zkąd przyjdą wielkie myśli? szlachetne popędy? duch ofiary? a mianowicie święty upór w dobrem, ta walka na śmierć za sprawiedliwość, to *agonizare pro justitia!* Czy materializm da to wszystko? czy przymawianie się do praszczurostwa orangutanów albo goryłów roznieci i podsycać będzie w sercach święte ognie zmartwychwstania? Oh! nie; i przeto rzecz nowa u nas a przeboleśna spotykać młodzież a już starą, bo zimną i wystygłą; zaiste coś potwornego! Ach! jakież to ucisk ducha patrzeć na to! i któżby nie dał krwi swojej, by widzieć uleczonym swój naród od tego trądu niedowiarstwa, bo niedowiarstwo powtarzam, to starość, to zużycie, to śmierć ducha, to grób, w którym żywych chowają“.

Bardzo piękny, a bystry, bo wówczas w pierwszej chwili zdawało nam się wszystkim, że szkoły wiejskie i średnie, byle je pod nasz własny dozór odebrać, pójdą jak najlepiej, jest ustęp o wychowaniu, zwrócony głównie do tylko co związanej Rady szkolnej. Po kilkoletniem doświadczeniu nie możemy nie widzieć tych w naszym wychowaniu publicznem niedostatków, które on z góry wskazywał:

„Kraj podjął się i szkół ludowych; lecz ani tylu ludzi zdolnych do nauczania, co proboszczowie, których *de jure* przynajmniej, odsunął, nie ma; ani nauczycielowie świeccy mogą dać tyle bezpieczeństwa, co najmierniejsi księża, że w każdym razie zasad zgubnych wpajać nie mogą. O! najmilsi moi, już teraz lud nasz galicyjski nisko moralnie stoi; więziènia przepelnione, pijaństwo, kradzież, podpalanie, mordy, dzieciobójstwa stały się jakoby grzechem powszednim. Jeżeli jeszcze do tego dojdzie, że nauczyciele wiejscy, z głodnej inteligencji miejskiej pochodzący, nosić się będą z Rena-

nem pod pachą; wtenczas o! szlachto liberalna, *świecić się* będzie krwawą luną w dworach twoich; wynoś się co rychlej do miasta; o! intelligencyo liberalna, wynoś się z miasta, — gdzie? nie wiem, — ale się wynoście; bo wszystko, co chodzi we fraku lub surducie, każdy, co coś posiada, lub więcej umie, będzie przedmiotem mężobójezej obławy; jak na Zachodzie już jest zapowiedzianem, i lada dzień wykonać się może. O! ten lud, który ambitna intelligencya szczyła przeciwko księżom i szlachcie, któremu pochlebiała dopóki po jego karkach się wspinając do znaczenia nie doszła, ten lud, któremu wmawiała, że on jest królem, że on jest Bogiem, bo co on postanowi, to jest prawdą, to jest dobrem; ten lud uwierzył w końcu temu, poznał się na pochlebceach swoich i rzecznikami swoimi dalej ich mieć nie chce, on sam przystępuje do *likwidacyi* społecznej, do porównania wszystkiego, do podzielenia się wszystkim. Czy nie widzicie? — na Zachodzie już stoi lud zorganizowany na tych podstawach; a wobec siły materialnej, która go jeszcze jedyna wstrzymuje, to jako tygrys w klatce magnetyzuje wzrokiem i przyzwyczajają się do skoku, to jako lew jeży grzywę, sypie iskry nozdrzami, wstrząsa żelaznemi słupy swego więzienia, puszczając ryk zwycięzki, bo pewien, że niedługo je potrzaska i krwiożerczą chuć swoją nasyci“.

O Bracia mili! to nie retoryka, to nie przywidzenie, to rzeczywistość. Ile razy ten lud król się odzywa, odzywa się groźbą i bluźnierstwem, jak gdyby odsłaniając wam na chwilę okienko piekielne. On nieszczęśliwy! ale winni ci, którzy mu wiarę odebrali. Jeżeli życia przyszłego nie ma, jeżeli się tu wszystko kończy, słusznie lud nie znajduje powodu, dłaczegoby on cierpiał, gdy inni używają. Ach! i my nie chcemy, aby lud cierpiał, ale do tego trzeba przyjść inną drogą, drogą Bożą, do tego nie przyjdziemy przez niedowiarstwo. O! Bracia, czasby już przestać bawić się małpiarstwem niedowiarstwa obcego, czasby już przestać

powtarzać czeze a niebezpieczne frazesa, czas raz spojrzeć chłodno rzeczywistości w oczy i poważnie się zamysleć“.

Potem ustęp o jednej także z epidemicznych galicyjskich chorób, o stowarzyszeniach:

„Nagle pojawiają się tu najrozmaitsze towarzystwa; stowarzyszenie oficyalistów, stowarzyszenie kupcyków, stowarzyszenie studentów i inne, o których i wiedzieć mi trudno, i trudniej policzyć.

Albo to źle, zawoła kto ze zdziwieniem, pomagać sobie połączonemi siłami? I owszem, dobrze; ale i w dobru samemu przesada jest niebezpieczna. Czy w tem życiu gorączkowem a tak rozdrobnionem niema naszej polskiej osobistości i wyłączności? Czy nie możnaby wielu z tych stowarzyszeń połączyć w jedno i stworzyć coś silniejszego, żywotniejszego, bo inaczej nie jednemu z nich prawdopodobnie grozi śmierć suchotnicza. Dobrze jest walczyć i pracować wspólnie, ale tej wspólnej pracy trzeba dać jakąś pewną i bezpieczną podstawę. Z dawien dawna rzemieślnicy i umnicy związani bywali w rozmaite bractwa, ale wszystkie oparte były o Kościół i w nim miłośnicie zjednoczone. Na te dawne stowarzyszenie bił nowożytny liberalizm, jakoby krepujące swobodę osobistą, tamujące wolność przemysłu, a dziś on sam wiąże ludzi klas różnych społecznych, w imię wyłącznych ich interesów walczących ze sobą. Czy takie stowarzyszenia wzmocnią nasze już i tak różnolite i osłabione społeczeństwo? Dalby Bóg, ja nie sądzę, ale czas pokaże.

Ale jeżeli skarżyć się wypada na zbytek stowarzyszeń, o ileż smutniej widzieć, że ludzie religijni, ludzie zdrowych zasad społecznych, nie tylko nie są stowarzyszeni, lecz że nawet nie żyją w porozumieniu. Jakto? interes albo namiętność ludzi łączyć może, a prawda, a sprawa Boża nie złączy? Dla najmniej-

szego jakiego odcienia w pojęciach o rzeczach doczesnych, względnych, ludzie religijni stronią od siebie, albo życie całe spędzają obok siebie podzieleni na drobne koteryjki. O! jaka nędza, jaka boleść, jaka ztąd krzywda dla sprawy Bożej, dla dobra społeczeństwa! Oby się tacy zawstydzili i nawrócili bardzo prędko, i zaczęli żyć nie w swoim odosobnieniu osobisto-ludzkim, ale we spółce prawdziwej miłości bliźniego.

A przy tej sposobności słów kilka, których pominąć nie możemy. Jak ksiądz Kaysiewicz pojmował Uniją i nasze względem niej obowiązki, nie trzeba mówić: dowodzi tego dostatecznie choćby sama misya Bułgarska; ktoby zresztą chciał się o tem przekonać z jego pism, ten niech przeczyta wspaniałe zakończenie jego mowy na cześć Śgo Józafata. Ale tu, w tym rachunku galicyjskiego sumienia, sprawa ta, tak niezmiernie ważna, musiała znaleźć miejsce:

„Jedno jeszcze stowarzyszenie, którego pragnę, którego wszyscy pragnąć powinniśmy, to stowarzyszenie międzyobrzędowe, zbratanie się z Rusinami! Znane mi wszystkie trudności, wiem co naprzeciw powiedzieć można, a jednak dążyć nam do tego trzeba cierpliwie i wytrwale, a miłość prawdziwa, Boża, wszystko w końcu zwycięża. Tylko proszę was, Bracia, bierzcie się do tego nie z rozdrażnionem uczuciem, ale z ukojonym umysłem i namaszczone sercem. Niedawno obszerniej o tem mówiłem¹⁾ więc tu tylko wspominam, ale jakże wam do serca kładę. Weźcież rzecz tę pod głęboką rozwagę“.

Obowiązki względem siebie wreszcie, streszcza on w słowach *Trzeba się uczyć*; znać uważał, że nam na tem najwięcej zbywa. Trzeba się kształcić naukowo, obyczajowo i duchowo, kształcić rozumy, a wyrabiać poważne, godne charaktery, oto co mówił:

¹⁾ Patrz naszą mowę pochwalną na cześć św. Józafata.

„Trzeba nareszcie kształcić się obyczajowo i pod-
rastać w większą powagę, odpowiednią naszemu po-
łożeniu. Bracia mili! w części z nienaszej, w części
z naszej winy, ale to pewna, że kraj jest biedny i bardzo
biedny, przeżarty do szpików lichwą, trzeba pracować,
trzeba oszczędzać; nie ma o czem, a choćby było, nie
wolno zbytkować! Bracia nasi obok, walczą czołgając
się po ziemi o wiarę, o groby ojców, o ostatni kawałek
chleba: nie wolno nam tutaj, na miły Bóg nie wolno,
bawić się huecznie i wystawnie. Nie idzie tu o sztywność
purytańską, ani o rygor Jansenistowski; wiem że mło-
dzież ma swoje prawa, że nie gwałtownego nie trwa
długo, że Słowianin skoczny (*Slavus saltans*), i że
trudno go na Kwakra przerobić; ależ można się bawić
bez wystawy i hałasu. Jak koronki i brylanty nie dają
piękności gdzie jej nie ma, tak zbytek nie daje weso-
łości, szczerza zabawa jest niespodzianką, a najczęściej
się spotyka po kółkach rodzinnych. Tem bardziej trzeba
mieć zmysł i wstyd narodowy, by nie zbytkować wśród
obcych za granicą. Oni nie rozróżniają Polaków pod-
danych rządowi niemieckim, od Polaków poddanych Mo-
skwie; słysząc hałaśliwe ich płąsy, mówią ze smutkiem
i niesmakiem: „taki to naród w żalobie, naród mę-
czennik“, a Moskwa nakłada nowe kontrybucye, widząc,
że Polacy mają jeszcze z czego płacić. O Bracia! praw-
dziwe a krwawe słowo powiedział jeden z panujących,
szczerze nam życzliwy: „nie nie może dorównać sro-
gości jarzma, pod jakim jęczą, okrom ich własnej
płochości“. O! tu wypada zawołać z Izajaszem (XLIV
19): *Nie rozmyślają w myśli swojej, ani uznawają,
ani się czują. Oby się nie sprawdziły dosłownie we
wszystkich zakątkach dawnej Polski słowa Proroka
żałoby (Jer. XII, 11), które się już i tak aż nadto
sprawdziły: Spustoszeniem spustoszona jest ziemia, bo
nie masz ktoby rozpamiętywał w sercu swoim. A ja
dodam, bo mało kto pamięta, że rozmyślanie serca jest
roztropnością, et meditatio cordis mei prudentia. Ale*

ufajmy Bogu, prosimy o pozbycie się dawnych przywar z kończącym się tym starym rokiem, a zacznijmy nowe życie i spodziewajmy się lepszej przyszłości“.

Dziwnem zrządzeniem, ostatnie jego kazanie polityczne (rok 1871), nie drukowane nawet w całości, ale tylko w jednym z jego listów w streszczeniu spisane, powiedziane było w tym samym Paryżu, w tym samym kościele, do tej samej emigracyi, co kazania z pierwszych lat jego zawodu. Pożegnanie prawdziwe i smutne. Bo nie tylko sam mówił jak żeby przeczuwał, że już do nich więcej mówić nie będzie, ale i emigracyę żegnał, jak rzecz skończoną i nie mającą racyi bytu, jak zamknięty rozdział naszej historii.

„Mówiłem dziś do was o Hemoroissie ewangelicznej wycieńczonej krwotokami, która na leki i lekarzów majątek swój strwończyła, a jak św. Marek świadczy, coraz gorzej się miała. Mogę powiedzieć, że i Polska jest taką Hemoroissą i to nie od lat dwunastu, ale od wieku całego, krwotokami wycieńczona a pomimo i wskutek raczej lekarstw, dawanych jej przez empiryków politycznych, coraz niebezpieczniej chorą. Polska traciła krew swoją w tylu wojnach o niepodległość, traciła przez mordowanie się przymusowe synów jej w pułkach różnych mocarstw ze sobą walczących, traciła przez więzienie po warowniach, i w zaprowadzeniu sybirskim, traciła nareszcie przez wychodźstwo na zachód, po każdym niefortunnym wysiłku“.

Potem przeszedłszy dzieje i charakterystykę wszystkich emigracyj od roku 1831, stwierdza, że sprzykrzyły się one Francuzom i swoim, że celu nie mają, że *emigracya jako korporacya polityczna istnieć przestała* i życzy, żeby ta była ostatnią, *żeby expiacya tego rodzaju na nas się skończyła*.

Prawda to jest, ale jak to smutne! jak bolesne musiało być do powiedzenia jemu samemu, który wychodził z kraju z ową pierwszą i najpoważniejszą emigracyą, z na-

dzieją i ufnością, że emigracya to misya, w skutku której Europa zostanie nawróconą a Polska przywróconą. A dziś, dziś trzeba sobie powiedzieć, że emigracya istnieć przestała, bo nie ma celu istnienia! O cóż się przez te lat czterdzieści stało z nami, i co się stało z tą Europą, o której już nawet ludzi się nie można, przed którą protestować nie warto!

A więc ostatnie słowo ks. Kaysiewicza jest słowem zwątpienia i rozpacz? Nie — nigdy. Ewangelia przypadająca na ten dzień mówiła o niewieście chorej, ale z krwotoku uleczonej. Ostatnie słowo księdza Kaysiewicza, najostatniejsze, jakie powiedział z tej paryzkiej ambony uświetnionej, i dodajemy śmiało, uświęconej dla nas Polaków długim szeregiem jego kazań, ostatnie może jakie w kazaniu powiedział o Polsce, było ewangeliczne słowo Chrystusa do chorej niewiasty: *ufaj córko, wiara cię twoja uzdrowiła.*

I lepiej jak temi słowami nie mógł zamknąć swojego zawodu, którego całą treścią, całą duszą była ufność w uzdrowienie, ale i przekonanie, że uzdrowienie przychodzi z wiary i przez wiarę.

IV.

Im więcej przyglądać się postaci i życiu X. Kaysiewicza, tem lepiej się widzi trudność skreślenia dokładnego ich obrazu. Gdyby bowiem nie było w tem życiu nic prócz prac kaznodziejskich, to one same, obejmą tyle kierunków, pod tyloma względami powinnyby być osądzonemi, że do sądu takiego zbywa nam na potrzebnych wiadomościach, a zatem i na prawie. Po za pierwiastkiem obywatelskim i patryotycznym tych kazań, jest bowiem jeszcze cała strona teologiczna, niezmiernie ważna, która osądzoną byćby powinna. Jaka jest pod tym względem wartość kazań X. Kaysiewicza, jakie jego stanowisko i jaki stopień zasługi, z tego my oczywiście sprawy zdać nie możemy. Już więc jeden brak ogromny, jedna luka niezapełniona, cała jedna istotna i ważna część jego czynności, wcale nawet w tem naszym

piśmie nie dotknięta. A nie był on tylko kaznodzieją: gdzie więc reszta, gdzie inne kierunki jego myśli, gdzie inne wysilenia jego energii, gdzie inne ślady jego starań? Jak zajmująca i jak potrzebna nawet, byłaby choć pobieżna historia jego misji dyplomatycznej (żeby się tak wyrazić) w Rzymie! bez mała historia Kościoła polskiego przez lat trzydzieści, obraz jego stosunków ze Stolicą apostolską za czasów Mikołaja i Aleksandra II-go. I jakżeż mówić a choćby o obywatelskich tylko zasługach X. Kaysiewicza, a z tych jego czynności nie zdać sprawy? A na tem jeszcze nie koniec. Jest jeszcze to, co on sam uważać musiał za pierwszą i główną rzecz w swoim zawodzie, jego życie zakonne. Montalembert, który tak dobrze rozumiał i tak umiał wytłomaczyć piękność tego popędu, który „Mnichów Zachodnich“ pchał do klasztornego życia, który tak wyraźnie pokazał, ile tam było szlachetnych myśli, dobroczynnych celów, wzniosłych powołań, wielkich poświęceń, słowem ile było moralnej wielkości i piękności, znalazłby był może materyał na jaki dodatkowy rozdział uzupełniający jego dzieło, w tym zakonie powstającym w warunkach tak trudnych, a w misji tak śmiałej i tak pięknej. Ma to życie klasztorne swój urok i swoją poezję, kiedy ożywione jest jakąś myślą wielką i wielkiem do tej myśli przywiązaniem: średniowieczni zakonnicy, św. Bernard, św. Franciszek, dowodzą tego aż nadto. Otóż, piękności, poezji tego rodzaju, musiało być, domyślamy się, wiele w życiu X. Kaysiewicza, ale dla nas są one zupełnie zakryte. A oprócz tego wszystkiego jest jeszcze człowiek sam, jego natura, jego charakter, jego wewnętrzne dzieje, jego odrębna indywidualna fizyognomia, któreby trzeba dać poznać, a my zrobić tego nie możemy, bo znamy go tylko z jego dzieł drukowanych, w których o tem wszystkim mowy nie ma. Jest więc to wszystko, cośmy tu napisali bardzo niedostateczne: jedna zaledwo strona zawodu X. Kaysiewicza dotknięta, kaznodziejska, a i ta powierzchownie, pobieżnie: bo mówiąc o jego kazaniach politycznych, nietylko pominęliśmy inne, ale i z tych nawet wiele pominąć nam wypadło. Mówiąc zaś głównie o ich wartości patryotycznej i zasłudze

obywatelskiej, nie dawaliśmy dość baczenia na wartość ich literacką i artystyczną. Wszystko to w gruntownej pracy o X. Kaysiewiczu musiałyby być zbadaniem i powiedzianem. Ta prawdziwie wyczerpująca być nie mogła; po części dla tego, że przedmiot ten nie jest nam dość znanym, że nie możemy wiedzieć o nim tego wszystkiego, co do dokładnego poznania jego osoby i życia wiedzieć koniecznie potrzeba.

Przecież, taką jak jest, puszczaemy w świat, w tej myśli, że może ona będzie jedną z drobnych początkowych robót, z których kiedyś złoży ktoś całkowity i prawdziwy żywot X. Kaysiewicza: a gdyby i tak być nie miało, to wystarczy nam zupełnie i celowi naszemu odpowie, jeżeli nasze słowa staną się choćby dla niektórych tylko i nielicznych, zachętą do lepszego poznania się z dziełami i postacią naszego kaznodziei, przypomnieniem jego wielkiej i wielorakiej zasługi. Dlatego, kończąc, chcemy jeszcze raz wyliczyć w krótkości nie wszystkie, ale bodaj najglówniejsze tylko tej zasługi rodzaje.

Zacznijmy od najmniej ważnych.

Rzeczy literatury, sztuki, mają w życiu narodów swoją wagę, ale pierwsze oczywiście nie są. Gdyby nam dano do wyboru, wolelibyśmy dla Polski jędrną naturę i zmysł praktyczny, które Rzymowi dały najtrwalszą i największą w świecie potęgę, od wszystkich wierszy i marmurów, które Grecyę otoczyły aureolą nieźrównanej w dziejach piękności; wolelibyśmy dla Polski Cromwella jak Szekspira, Batorego jak Mickiewicza, Richelieu jak Pascala, Aleksandra III jak Rafaela, Bismarcka (uczciwszego ma się rozumieć) jak Göthego. Dlatego i literacka zasługa ludzi, w porównaniu z ich zasługą obywatelską, a w szczególności piękna wymowa księdza Kaysiewicza, wydaje nam się rzeczą małą, obok jej treści, obok tego co zrobił, a choćby tylko chciał zrobić, dla moralnego i politycznego podźwignienia naszego: Przecież, jak *nie czas żałować róż gdy płoną lasy*, tak nie godziłoby się róż deptać dlatego, że lasy stoją, a rzeczy mniej ważnych nie cenić dlatego, że są ważniejsze. Stanowisko więc księdza Kaysiewicza w literaturze polskiej jest bardzo wysokie,

i utrwalone na zawsze. Nie darmo starożytni jeszcze, choć nie wcielili wymowy w symbol osobnej muzy, stawiali ją zawsze w szeregu pięknego słowa zaraz po poezji. Czuli oni, że to słowo po wieszczem najwyższe, stojące na pograniczu niejako między poezją a prozą, które do jednej zbliża się swoimi warunkami logiki, ścisłości, jędrności, ale jak druga potrzebuje natchnienia i bez niego obejść się nie może. Otóż w literaturze naszej od bardzo dawna wymowy nie było; gałąź literatury uświęcona chwałą Demosthenesa, Cicerona, Bossueta, Chathama, Mirabeau, zdawała się u nas już zupełnie martwą i suchą. I nie sama wymowa kościelna tylko: polityczne tak samo; żaden z naszych mowców sejmowych w wieku XVIII, żaden nie był wielkim mowcą, co najwyżej byli dobrzy. Prawdziwego talentu żywego uczucia zdolnego wstrząsnąć słuchaczem, potężnego natchnienia, poetycznej wyobraźni, bez której nie ma wielkiego mowcy, nie miał nikt ani w Czteroletnim sejmie, ani długo przed nim, ani po nim. Po upadku kraju, jak żywe źródło poezji tak i źródło wymowy trysnęło samo z siebie, przez talent samorodny, bez poprzedników i przygotowań, a czerpiący natchnienie swoje, znówu jak współcześni mu poeci, z samych nieszczęść ojezycznej. Książd Kaysiewicz jest jedynym mowcą klasycznym, jakiego Polska miała w XIX wieku: klasycznym nie w tem znaczeniu, jakoby wszystko u niego było równie doskonałe, albo jakoby każda jego mowa i każdy okres miały artystyczną budowę i wykończenie, bynajmniej; mówiący zwykle w pośpiechu nie miał czasu ani możności zabawić się nad doskonałością proporcji i gladzeniem szczegółów, Laharpe i Stanisław Potocki wymowy jego nie uznaliby za wzorową. Ale miał on wszystko co wielkiemu mowcy potrzebne, i wszystko to bez namysłu odbijało się w jego kazaniach tak, że dziś czy za lat pięćset one na ludzi wrażenie robić będą, a przynajmniej mogą, że dopóki język polski będzie znanym i rozumianym, każdy kto przeczyta ustęp który, jeden z piękniejszych, Kaysiewicza, obojętnym nie zostanie, ale będzie musiał zadziwić się i ucieszyć nad tą pięknością języka, nad mocą wyrażień, nad wspaniałością okresów, Co do języka

naprzód, jest to taki mistrz polskiej, prozy jakiemu równych mało w naszym wieku. Ma czystość rzadką, i to nie tę mniej ważną czystość języka polegającą na doborze samych tylko polskich wyrazów — (a pod tym względem ksiądz Kaysiewicz do zbytku prawie jest ostrożny i wybredny), ale tę istotną, głębszą czystość języka i stylu, która wyklucza wszelki zwrot, wszelką konstrukcyę niezupełnie polską lub nie dosyć piękną. Najznakomitsi z prozatorów naszego wieku wpadają czasem przez nieuwagę, przez wielkie oswojenie się z obcymi językami w zwroty niepolskie, a my, publiczność, tak jesteśmy już do tego przyzwyczajeni, że najczęściej nawet błędu nie spostrzegamy. Ksiądz Kaysiewicz, prawda że musiał z powołania weczytywać się bardzo w naszych pisarzy kościelnych złotego wieku, ale też przejął się całą ich czystością, prostotą, i powagą, język jego jest tak doskonały jak ówczesny. A przytem jest zupełnie dzisiejszy. Zwykle ei, którzy się chcą kształcić na pisarzach Zygmunrowskich, naśladowają ich tylko archaizmami, pozorami, nie umiając udać tego co stanowi samą istotę ich stylu, prostoty i mocy. Ksiądz Kaysiewicz przeciwnie: archeologii językowej nie ma u niego weale, on mówi do dzisiejszych ludzi, tym językiem który dziś jest najpowszechniej używany i najprostsz, nie nie szuka, na nie się nie sadzi, nie sobie nie dodaje. A przytem jest w swoim stylu poważny i majestatyczny, jak język polski nie był nigdy za Stanisława Augusta pomimo całej swojej ówczesnej piękności, jak w prozie bywa bardzo rzadko w wieku XIX. Czy nam się to zdaje tylko, czy też różne style pisarzy prawdziwie wielkich mają swój dźwięk osobny, tak jak go mają różne instrumenta muzyczne, z wrażenia jakie sprawiają na naszym uchu i nerwach, do tamtych czasem podobny? Czy naprzykład styl Słowackiego w rzewniejszych i smutniejszych jego wierszach, nie działa na nas fizycznie tak mniej więcej, jak kiedy za pościąganiem smyczka skrzypce wydadzą kilka tonów wysokich, prawie przeźliwych, żalonych, a wdzierających się gdzieś głęboko pod serce? Czytając wiersze Bohdana Zaleskiego, *Śpiew Poety* naprzykład, czy nie zdaje się jak żeby gdzieś z po-

wietrza słyszało się daleki głos fletu? Ślepy jeden, zapytany jakby sobie wyobrażał kolor czerwony, odpowiedział że musi być podobny do dźwięku trąb, i rzeczywiście odgadł i określił trafnie ten ton silny, jaskrawy, bijący mocno tu w oczy, tam w zmysł sluchu. Otóż jeżeli może być analogia pomiędzy kolorami a dźwiękami, niechże nam wolno będzie upatrywać ją także między dźwiękami i stylami i powiedzieć, że okres księdza Kaysiewicza brzmi nam podobnie jak akord wzięty na organie pełno, mocno, uroczyście. Groźno i grzmiaćco, kiedy „już mu się i żyć przykrzy patrząc na hańbę i upadek jego narodu“, łzawo i rozdzierająco, kiedy się skarży, że *naciągnął Pan naród ten na Krzyż jak strunę na lutnię*. A ma wszystkie tony na swoim instrumencie od najniższych, chropawych i twardych, do miękkich i słodkich i czułych, wszystko mu jest posłuszne, wszelkie uczucie, miłość, prośba, litość, żal, gniew, zgroza, wszystko odzywa się w jego słowach właściwym sobie i najwyraźniejszym tonem. Jeszcze raz, mało jest w naszym wieku pisarzy, którzyby tak czysto, tak doskonale, tak klasycznie po polsku pisali, mało prozaików, którzy bez żadnych sztuk i wysileń byłiby tak bliscy poetycznej wzniosłości, jak ksiądz Kaysiewicz.

Ale sam język i styl mowcy jeszcze nie czyni. Stare, rzymskie jeszcze przysłowie mówi, że poetą trzeba się urodzić, ale mowcą stać się można. To prawda może, jednak nie zupełna, i trzeba do niej dodać pewne małe zastrzeżenie. Oto że chcąc stać się mowcą, prawdziwie wielkim mowcą, trzeba koniecznie być choć trochę poetą. Bez tego można doskonale argumentować, zwycięzko prowadzić rozprawy w parlamentach, przekonywać ludzi, ale kto na słuchacza ma zrobić wrażenie tak silne, iżby pamięć tego wrażenia przetrwała wieki, a ono samo po wiekach jeszcze się powtarzać mogło, temu nie dość mówić do rozumu, do logiki, do przekonania, ten musi wstrząsnąć uczuciem swojego słuchacza. A tego nie robi, jeżeli sam nie będzie uczuciem od niego wyższy, jeżeli nie będzie miał tej siły uczucia, która już przechodzi w natchnienie, tej siły wyobraźni, która mowie jego nada poetyczny polot i piękność. Nie ma jednego po-

między wielkimi mowcami świata, któryby nie był poetą: Demosthenes kiedy sam jeden swoim słowem próbował bronić Ateny od Macedońskiej aglomeracyi, czy nie miał w tej sytuacji tragicznej takich słów, którychby mu Dant i Szekspir mogli pozazdrościć? Czy nie był poetą Chatham kiedy wołał: „wasze dzieci w rozpacz proszą was o chleb, wy im dajecie kamień“, albo ten ognisty, szlachetny Burke? Albo i sam Cicero nawet, ten biedny Cicero tak okrzyczany za retora, tak wyśmiany, że się mów swoich uczył na pamięć jak aktor, czy nie miał chwili natchnienia kiedy mówił (a choćby nawet kiedy pisał) czwartą Catilinarię? A żeby przypomnieć choć jednego z Polaków, Skarga, Skarga czy nie był poetą? „Cóż mam z tobą uczynić nieszczęśliwe Królestwo!“ — Szczęśliwy ten poeta, i rzadki, który dochodzi tej wysokości i tej siły natchnienia. Ksiądz Kaysiewicz, stworzony na mowę, miał w bardzo wysokiej mierze i w doskonałej proporcji, wszystkie potrzebne ku temu własności. Trzeźwy, ścisły, jasny, doskonale rozumujący, nie odchodzący nigdy od materji, miał ten zasób wyobraźni i uczucia, ten dar poetyczny, bez którego wymowa zawsze musi być suchą i martwą. A nie jest to poezja szukana, umyślna, sztuczna, nie w wykrzyknikach, figurach retorycznych, porównaniach i niby poetycznych obrazach ona polega: i myśli są proste, i proste ich wyrażenie: ale jest ten wyższy stopień, ta intensya uczucia, która każdemu słowu, najprostszemu, nadaje powagę i siłę, jest zdolność zarażenia drugich swoim uczuciem — jest taki zasób wyobraźni, i taki zmysł artystyczny, że mowa jego nigdy nie spada, nie zniża się w tonie, nie schodzi w zwykłą powszedniość, w styl rozmowy, broszury dziennika. Ktoby wątpił o prawdziwie poetycznych natchnieniach księdza Kaysiewicza, ten niech przeczyta nie list jego pisany po spaleniu Krakowa, ten wydaje nam się prawie zanadto lirycznym, a przeto na prozę już cokolwiek nienaturalnym, ale niech przeczyta naprzykład zakończenie jego kazania o *Krzyżu* albo zakończenie kazania o *Wytrwałości*, albo, w innym znów rodzaju, z mowy na pogrzebie pani z Tańskich Hofmanowej ustęp śliczny a prawie sielankowy

o życiu i chowaniu dzieci na wsi, a wtedy, z pewnością nie zaprzeczy naszemu twierdzeniu, że choć ksiądz Kaysiewicz nie był poetą w właściwym tego słowa znaczeniu, to w jego kazaniach poezja jest, jest jej tyle ile potrzeba, żeby wymowa mogła być piękną, wielką, i długotrwałą.

A miał on nawet i te pomniejsze podrzędne warunki, które może konieczne nie są, ale wiele mowcy dodają i ułatwiają mu zadanie. Głos był przepyszny: skarżono się czasem na deklamacyę, której ksiądz Kaysiewicz oczywiście nabrał we Włoszech, do naszych przyzwyczajeh i smaku za mało spokojną (istotnie trzeba się było z nią oswoić, zrazu wydawała się nieprzyjemną), ale organu piękniejszego, bardziej rozciąglego, dźwięczniejszego i pełniejszego we wszystkich tonach, od najniższych do najwyższych, nie zdarzyło nam się słyszeć nigdy. Postawa? (rzecz mała zapewne, ale i ona ma swoją wartość), trudno spotkać ludzką figurę tak imponującą liniami i ruchem, ludzką twarz tak poważną rysami i wyrazem, jak był ksiądz Kaysiewicz na ambonie. Być może, że zawdzięczał to po części swojej szramie, że to ona ciągnęła do siebie oczy, zanim jeszcze słowa pociągnęły słuch i uwagę, ale to pewna, że samo jego zjawienie się na ambonie, sama postać, już sprawiała wrażenie, usposabiała do słuchania, do uszanowania, po prostu imponowały.

Ciekawem byłoby wiedzieć jak się ma ksiądz Kaysiewicz do współczesnych kaznodziei zagranicznych, jakie miejsce zająłby w ich szeregu, jakby wyglądał obok takich jak Ravignan, Ventura, lub Lacordaire? Tu, nie próbując stawiać zbyt trudnego porównania, można przecież śmiało przypuścić, że pod niektórymi względami musiałyby ustąpić im pierwszeństwa. Nasz kaznodzieja znajdzie się naturalnie w tem samym położeniu co nasi polscy poeci, którym nie sam tylko język mało znany nie daje stać się uniwersalnymi. To co było dla nich koniecznością, i co jest ich zasługą i chwałą, to samo sprawia zarazem, że oni są i zostaną zawsze poetami nie tylko jednego narodu, ale nawet jednego wieku. Charakter ich patryotyczny, a raczej patryotyzm pod pewnymi szczególnymi i warunkami, pod warunkami rozbioru, sprawi to,

że gdyby te warunki ustały, oni już innej szczęśliwszej epoce nie mogliby wystarczyć, dzieła ich, z wyjątkiem jednego *Pana Tadeusza*, który zostanie na zawsze, nie mogłyby nawet w Polsce być tak rozumianemi, jak są dzisiaj; za granicą, z tego samego powodu, ani dzisiaj, ani później. To samo tyczy się i księdza Kaysiewicza. Najlepsza część jego kaznodziejskiej chwały zasadza się na kazaniach politycznych, które właśnie dlatego że patryotyczne, mówione do Polaków tylko, w pewnej historycznej chwili, i na tę chwilę doskonale, innym ludziom, lub innej epoce, równie dobrze służyć nie mogą, uniwersalnemi się nie staną: kiedy przeciwnie, kazania wyłącznie religijne, czy dogmatyczne czy moralne, mogą mieć tę samą wartość i ten sam skutek dziś co za dziesięć wieków, jak długo się nie zmienią dwie rzeczy niezienne, natura ludzka i katolicki dogmat. Z tego wynika, że w Kościele powszechnym ksiądz Kaysiewicz nie może być tak pożytecznym, zajmować takiego stanowiska, mieć takiej chwały w historii Kościoła, jak ksiądz Lacordaire na przykład.

Pod innym względem znowu, pod względem teologicznej erudycji, nie wiemy, ale sądzimy, że skoro powszechnem zdaniem wszystkich sędziów uprawnionych żaden z kaznodziei naszego wieku nie może się równać z księdzem Ventura, więc wierzymy łatwo, że i ksiądz Kaysiewicz musi od niego być niższym. Ze stanowiska ściśle kościelnego wreszcie mają iuni mówcy i tę nad nim korzyść, że są daleko bardziej systematyczni i dokładniej niż on wyczerpują czy to całość nauki Kościoła, czy całość bieżących kwestyj religijnych. Nie sądzimy przecie, żeby to było skutkiem jakiegoś wrodzonego defektu jego umysłu, braku dostatecznej pracy, wytrwałości lub stateczności. Po prostu, kaznodzieja przeczucany ustawicznie z miejsca na miejsce, mówiący zawsze tylko dorywczo i przygodnie, nie mógł zakreslić sobie obszernego planu jak Lacordaire na przykład, który przez lat kilka z tej samej ambony i przed tą samą publicznością przechodził w konferencyach swoją całą naukę Kościoła: nie mógł kwestyj dogmatycznych tak szczegółowo obrabiać. Wreszcie nie było to nawet jego powołaniem. Tamten miał po-

prostu uczyć nanowo religii Francuzów, którzy ją zapomnieli; ten misyonarz polski, musiał patrzeć co się gdzie złego między Polakami stało, na to powstawać i radzić. Ale ztąd wynikło, że konferencye Lacordaira nie tracą nic ze swojej wartości, dopóki będzie Ewangelia i katechizm, kazania księdza Kaysiewicza mogą stracić wartość praktyczną, jeżeli ustanie ten przygodny każdorazowy powód, który je wywołał. W Kościele powszechnym, powtarzamy jeszcze raz, większy pożytek z Lacordaira, większe jego znaczenie i większa chwała.

Ale czy pod względem samej tylko wymowy, samego talentu, byłby równie od Kaysiewicza wyższym? Trudno jest bardzo znaleźć miarę porównania; każdy z nich ma swoje zalety, swój rodzaj wymowy, a który z nich w swoim lub który z tych rodzajów lepszy, kwestya do rozstrzygnięcia trudna, a nawet niepotrzebna. Liryzmu ksiądz Kaysiewicz ma niezaprzeczenie więcej: nie miękki wcale, owszem mężczy jak mało który z Polaków, ma przecież w naturze swojej uczuciowość, a w uczuciu rzewność, która nam wrodzona, u Francuzów jest rzadką. Lacordaire działa przeważnie rozumowaniem na rozum swego słuchacza, Kaysiewicz uczuciem swoim na jego uczucie. Być może, że tamten jest większym mówcą, nie wiemy, ale ten ma więcej w swoich kazaniach poezyi.

O jego stanowisku pośród kaznodziei polskich nie ma wiele co mówić. W naszym wieku nie ma takiego, któryby mógł się z nim mierzyć, nie było takiego w wieku XVIII, a gdzieś daleko, w początkach XVII go stoi taki znowu, z którym drugich mierzyć nie ma się śmiałości. Przecież, wzięwszy Birkowskiego naprzykład, którego talent wybucha czasem jak wulkan, prawda, ale rychło spada i gubi się częstokroć w myślach powszednich i oklepanych, w przesadnych i niesmacznych conceptach — wzięwszy Starowolskiego, który przy całej swojej wartości ma tych błędów więcej, a siły i popędu nie tyle co Birkowski, i postawiwszy obok nich wymowę Kaysiewicza, w której uczucia i natchnienia z pewnością nie mniej, a obfitość myśli większa, a równość i harmonia daleko doskonalsza, a język i smak wzorowy, przyznać trzeba, że ten ich obu przewyższył. Któż

więc zostaje z kaznodziei polskich? Skarga jeden, a po nim, jako do niego najbardziej zbliżony, staje Kaysiewicz. Zbliżony zaś nie samą tylko miarą talentu, ale i kierunkiem swojej wymowy i celem, do którego ona służyła. Jeden i drugi był przede wszystkim kaznodzieją politycznym, jeden i drugi przypominał obowiązek patryotyczny jako obowiązek chrześcijański, jeden i drugi robił i zrobił co się z ambony zrobić dało, żeby Polskę ratować i dźwigać. Jeden z szczęśliwszych jeszcze czasów patrząc daleko w przyszłość, przeżony złem, którego nie znał i wyobrazić sobie nie umiał, chce to złe odwrócić: drugi, „urodzony w niewoli okuty w powiciu“, przyszedł kiedy już wszystko było spełnione, grozić i straszyć już nie ma czasu, tylko patrzy przed siebie, czy gdzie daleko lepsza przyszłość nie świta, a nie mogąc jej dojrzeć, patrzy smutno dokoła siebie na te gruzy i śmiecie z których drogę uprzętnąć trzeba, żeby dojść do celu. Który z nich smutniejszy, który bardziej do pożałowania? ten co widział że Polska upadnie, czy ten, który przez całe życie patrzył na nią jak się podnieść nie mogła? To pewna, że oba zbliżeni są do siebie i podobni patryotycznym cierpieniem, misją, którą w narodzie swoim w odstępach trzech wieków spełniali, i sposobem w jaki ją pojęli i pełnili. Tamten był większym? zapewne: ale po nim być drugim, to już dość wielkości i chwały dla człowieka i kaznodziei, a dla polskiego Kościoła wieczny zaszczyt i świadectwo jego nierozwalnego z ziemską ojczyzną związku, że póki był czas do ratunku, on najgłośniejszy, najwymowniej o ratunek wołał, że później, kiedy za późno było od upadku ratować, tylko z upadku trzeba się było dźwigać, on znowu podobnego człowieka z siebie wydał i w podobny sposób przemówił.

Za życia Skarga mniej może doznał prześladowań i nie sprawiedliwości, bo tylko od różnowierców: oby za to po śmierci Kaysiewicz więcej był od nas niż tamten od naszych ojców słuchanym.

Ale talent, to rzecz piękna wprawdzie, jednak to nie zasługa jeszcze, to tylko narzędzie, którym się ona wyrabia. Jak użyty, jakiemu celowi poświęcony, to dopiero stanowi

o wartości człowieka. Sam dar wymowy księdza Kaysiewicza byłby marnym i niepożytecznym, gdyby jej treść nie była tem czem jest, gdyby każde jego słowo nie było pod względem moralnym i patryotycznym dobre, prawdziwe, mądre. Że zaś to co nam mówił było prawdą, i że w mówieniu tej prawdy była wielka względem nas zasługa, to zbyt oczywiste, żeby jeszcze powtarzać i dowodzić. Ale jest w jego działaniu jedna jeszcze strona ważna, której zapomnieć się nie godzi. Wziąwszy pod rozwagę całe dzieje polskiego Kościoła, trzeba przyjść do przekonania, że w przecięciu nie było w nim ani wielkiej religijnej gorliwości, ani bardzo silnego poczucia kościelnego, świadomości siebie jako części Kościoła powszechnego. Trafiają się wyjątki, jak w wieku XV Zbigniew Oleśnicki, jak później pod wpływem i groźbą protestantyzmu, Hozyusz, Karnkowski, i pierwsi Jezuici. Ale wyjątki to rzadkie, a wogóle, czy to w przeciągu czasu pomiędzy Oleśnickim a Hozyuszem, czy później w latach upadku i odrętwienia aż do Stanisława Augusta, czy za niego, kiedy u nas jak gdzieindziej w wyższem zwłaszcza duchowieństwie duch religijny był wygasł, wogóle Kościół polski jest w sobie zamknięty, a może właśnie dlatego, nieczynny i ospały. Zachodzi tu niejaki podobieństwo pomiędzy stanem i dziejami jego, a Rzeczypospolitej. Jak ona coraz mniej czuła potrzebę związku z zagranicznym światem, politycznego czy umysłowego, jak coraz mniej ten związek utrzymywała, aż w końcu wyszła z niego prawie zupełnie, tak też i duchowieństwo polskie, choć prawowierne i pobożne, żyło spokojnie z dnia na dzień i chwaliło Pana Boga u siebie, nie troszcząc się o to, co się działo gdzieindziej, nie należąc ani do prac ani do walk katolicyzmu, nie korzystając z nabytków jakie on robił w nauce teologicznej, ani mu też nowych nie przynosząc. Panowało tu od połowy XVII wieku do rozbiorów jakicś *status quo* spokojne i leniwe: z wyjątkiem Synodu Zamoyskiego żadnych ważniejszych faktów; żadnych spraw kościelnych, o które toczyłyby się żywe korespondencye między biskupami polskimi a Rzymem, tak że prawie zapytać się można, co tu u nas robili nuncjusze, od czego tu

siedzieli, co w raportach swoich donosić mogli stolicy Apostolskiej. Jak Rzeczpospolita, izolowana, sama zostaje na boku po za sprawami polityki europejskiej, tak i Kościół polski zachowuje wprawdzie prawowierność, ale katolickiego życia i ducha nie odświeża i nie krzepi w sobie ciągłym żywym stosunkiem z resztą katolickiego świata, a przede wszystkim z jego środkiem i ogniskiem, z Rzymem. Ta niedbalsć, i jej skutek, osamotnienie w Europie, wyszły na złe polskiemu państwu, a Kościołowi również na dobre wyjść nie mogły. Po rozbiorach zwłaszcza, kiedy nastąpiła epoka prześladowań, za Katarzyny, czy za Mikołaja, czy za Aleksandra II go, odosobnienie takie mogło go poprostu zgubić. Rzecz jest jasna jak słońce, że tylko w żywej i ściślejszej jedności z Rzymem, w nieustających z nim stosunkach, jest dla Kościoła polskiego jedyny możliwy ratunek przeciw opanowaniu go przez państwo, i do tego jeszcze schizmatyczne, przeciw klęskom takim jak skoncentrowanie spraw kościelnych w Petersburgu, jak znoszenie się biskupów z Rzymem przez pośrednictwo rządu rosyjskiego, jak tysiączne podobne zamachy na wolność Kościoła i jego istnienie, żeby już o krwawych gwałtach i prześladowaniach nie mówić. Tymczasem duchowieństwo polskie nie zbyt żywo czuło potrzebę tej jedności i tego stosunku. Z czasów niepodległości tradycyi tej nie odziedziczyło, wiek XVIII oczywiście wyrobić jej nie mógł; w XIX samo uczucie patryotyczne, sama opozycya przeciw państwom podziałowym, usposabiała je cokolwiek nieprzychylnie i podejrzliwie względem Rzymu, który z państwami temi zostawał w stosunkach, zbyt dobrych jak nam się czasem zdawało, dość, że ten związek, ta solidarność kościelna słabła u nas coraz bardziej wtedy właśnie, kiedy była najkonieczniej, najgwałtowniej potrzebna, i gdyby to było potrwało, byłoby mogło sprowadzić śmiertelne niebezpieczeństwo dla wiary, dla Kościoła i dla naszych świeckich narodowych interesów.

Szczęściem nie potrwało. Dalecy jesteśmy od przypisywania całej i wyłącznej na tem polu zasługi księdzu Kaysiewiczowi i jego zgromadzeniu: wiemy dobrze jak wielka

jej część przypada na duchowieństwo poznańskie, na litewskie, wiemy, że sam rząd rosyjski i pruski przyczyniły się znacznie do uratowania katolicyzmu u nas, bo tępiąc go lub ścieśniając zanadto, zmusiły duchowieństwo do szukania siły i pomocy w Rzymie, do pragnienia i utrzymywania ciągłego i żywego z nim stosunku. Wiemy dobrze, że jeżeli dziś duchowieństwo w Wielkopolsce, w Królestwie, na Litwie, a nawet cokolwiek już i w Galicyi, ma więcej gorliwości, więcej nauki, więcej powagi, więcej energii i życia niżeli dawniej bywało, to winniśmy to miejscowym staraniom biskupów i konsystorzy. Przecież wpływ emigracyjny nie był tu małym i obojętnym. Bo pomijając już ważną i konieczną usługę pośrednictwa, bez której chęć nawet najlepsza nie byłaby mogła utrzymać ciągłych ze stolicą Apostolską stosunków, to sam fakt, sam przykład księży żyjących w Rzymie i służących do utrzymania tego związku, musiał przypominać, zwłaszcza młodszemu duchownym, że ten związek jest potrzebny, że być powinien, że bez niego Kościoła niema. A wiele jeszcze pod tym względem sprawić musiały prace księdza Kaysiewicza i jego towarzyszy, wiele ich dzieła, osobiste stosunki, korespondencye, a choćby tylko chwila zastanowienia się nad jedną tylko rzeczą, nad ich misją na Wschodzie? Zdaje nam się, że ksiądz uczeiwy i dobry, ale nieczynny tylko, któryby raz dobrze przykład ten wziął pod rozwagę, zawstydziłby się swojej opieszałości i zapragnąłby w swoim zakresie sprawić ileby mógł: że ksiądz, któryby raz z uwagą przeczytał kazanie księdza Kaysiewicza o *Niepożytości Kościoła*, albo którekolwiek z kazań o *władzy świeckiej*, zrozumiałby na zawsze, nie zapomniałby już nigdy, że Kościół nie zamyka się w obrębie parafii ani nawet dyecezyi.

Że dziś w duchowieństwie polskiem znać więcej żywej wiary i gorliwości, więcej miłości religii i Kościoła, więcej nauki, więcej powagi w postępowaniu, słowem więcej ducha niż bywało, to wydaje nam się oczywistem. Dowodzi tego arcybiskup Feliński i wszyscy prawie biskupi pod rządem rosyjskim, dowodzi ten liczny zastęp księży wszelkiego

w hierarchii stopnia wygnanych, więzionych, prześladowanych za wierność i stałość, dowodzi duchowieństwo poznańskie otoczone tak powszechnem a tak zasłużonem uszanowaniem, dowodzi żywsza niż kiedy czynność naukowa i piśmiennicza między księżami: nawet pod rządem austryackim, gdzie tradycje józefińskie zamieniały Kościół w rodzaj policyjnego urzędu, są przynajmniej oznaki, że on chce się otrząsnąć z tego uśpienia, w którym go tak długo a umyślnie trzymano. Ale gdzie się ten zwrot ku lepszemu rozpoczął, który z Polaków pierwsi uczuli potrzebę religijnego odrodzenia, którzy pierwsi poświęcili na to swoje życie? Nie przeczymy ani ujmujemy zasługi nikomu owszem im więcej ludzi, którzy ją mają, tem lepiej: ale to pewna, że w tem niedostatecznem może, lecz przecież niezaprzeczonem podniesieniu się Kościoła polskiego, w tem jakim takim ożywieniu religijnego ducha, w tem silniejszym poczuciu jedności katolickiego Kościoła, jest wiele bezpośredniego i pośredniego wpływu, wiele pracy, wiele zasługi księży Zmartwychwstańców a Kaysiewicza w szczególności.

Czterdzieści blisko lat niezachwianej wierności, stateczności, pracy, w jednej i tej samej myśli, bez jednego zbożenia, bez wytehnienia choć nie bez znużenia zapewne, bez zgorzknienia choć nie bez goryczy, bez zwątpienia, choć nie bez cierpienia i rozczarowania, to wytrwałość, która wszędzie byłaby piękną i rzadką, a cóż dopiero między nami. Każę ona wyznać, czy kto podziela przekonania księdza Kaysiewicza i uznaje pożytek jego pracy, czy nie, że była to natura jedna z najsilniejszych, najbardziej męzkich, jakie się u nas w tych czasach widziało. Miał on ten zmysł praktyczny i organizacyjny, który jest właściwością i cechą ludzi przeznaczonych do czynu, ludzi, którzy coś mają budować i tworzyć; miał obok tego wielki dar słowa, i znakomity talent pisarski, a sama ta różnorodność zdolności dowodzi w nim organizacyi niepospolicie bogatej i zupełnej. Ale jest w nim rzecz jedna, rzadsza i piękniejsza jak talent, jak wymowa, nawet jak wytrwałość i energia, to wielka jednolitość i harmonia w jego duszy i w życiu, to doskonały po-

rządek i równowaga w jego uczuciach i sprawach. Jak rzadko człowiek kochający dwie rzeczy różne, kochać umie jedną i drugą tak jak powinien, nie nadto ani też za mało, tak żeby jedna drugiej nie szkodziła; jak często zdarza się widzieć księży, którzy zatopieni zupełnie w miłości Kościoła, obojętnieją dla ziemskiej ojezyny i jej losów, jak często na odwrót spotyka się takich, których miłość ojezyny odwodzi od miłości Kościoła, jak często jedni i drudzy w kierunku swoim dochodzą do zbytcejnej exaltacji, do fanatyzmu! Ksiądz Kaysiewicz pod tym względem zdaje nam się być jednym z tych rzadkich księży, którzy mają prawo powiedzieć i Kościołowi i ojezynie: „cóż jest cobym wam uczynić był powinien, a nie uczynił!“ Co on kiedy względem jednego lub drugiej zaniedbał? kiedy się w wierności zachwiał, w gorliwości opuścił? Nigdy. Od chwili jak miłość ojezyny wprowadziła go do Kościoła, został jego sługą szczerze i zupełnie, pokochał Boga, wiarę, Kościół, tak jak był powinien i jak był przysiągł, więcej niż cokolwiek na ziemi, więcej jak ojezynę. Ale czy odtąd kochał ją mniej niż przedtem, czy jej gorzej służył? Nie. Rzecz to nawet nam świeckim ludziom z naszych ziemskich uczuć dobrze znana, że im więcej dobrych rzeczy lub ludzi kochamy, tem lepiej, tem silniej je kochamy, tem więcej nabieramy zdolności kochania. Nasz zasób uczucia to nie suma pieniędzy, która się przez rozdawanie wyczerpuje: to raczej cudowna biblijna mąka i oliwa, z której im więcej brać, tem więcej jej przybywa, im więcej się daje, tem więcej się ma. A jeżeli tę władzę mają ziemskie nawet uczucia, z natury swojej niższe, o ileż więcej mieć jej musi najwyższe ze wszystkich, doskonała miłość tego co jest najwyższą doskonałością i pięknością, Boga. Nie wiemy jak się to stało, ale wierzymy i pojmujemy, że ksiądz Kaysiewicz odkąd został księdzem właśnie podniósł się cały, cały wyszlachetniał, i że wszystkie dobre uczucia, jakie w nim były, nie osłabły i stępsiały, lecz owszem spotężniały i rozplomieniły się bardziej. Miłość ojezyny, pierwsza w jego duszy po Bogu, także. I to jest może tajemnicą, jego, jego wytrwałości w obywatelskiej służbie

pomimo wszelkich goryczy i przeciwności, to zapewne wybiło na niej tę cechę tak piękną, ten charakter patriotyzmu tak rzadki do widzenia. Nikt może w tym wieku nie sądził nas tak surowo i nie gromił tak ostro jak on, ale nikt przytem mniej od niego nie dał się do nas zniechęcić, nikt mniej nie dał się uwieść do wstrętu, do goryczy, do wżgardy. Ksiądz i katolik przedewszystkiem, nigdy nikomu pod tym względem nie po-folgował i nie ustąpił, nigdy nie wdawał się w koncesye i kompromisa pod względem czy to wiary, czy karności ko-ścielnej, owszem dla jednej, czy dla drugiej narażał się przez całe życie opinii, znosił jej niesprawiedliwości, wołał dać się okrzyczeć za złego Polaka, choć nie w życiu tak bo-lesnem być mu nie mogło, jak poświęcić cokolwiek z zasad i przepisów Kościoła. Ale jak religii tak i ojczyzny nigdy poświęcić nie umiał i nie poświęcił, bronił jej sprawy, bronił jej sławy, służył jej przed Kościołem, jak Kościołowi w niej i przed nią. A jak się modlił o te dwa przedmioty swojej miłości *ut sint unum*, jak pracował ile mógł na to, aby były jednym na świecie, w historii, w zwycięztwie, w przyszłości, tak je w duszy swojej połączył tak doskonale, iż one isto-tnie były tam jednym. Cóż dodać jeszcze? Chwalić go za to, że nigdy miłość wiary nie przeszła u niego w potępia-jący i zawistny fanatyzm, surowość nigdy w pogardę, że rzadko który ksiądz, jak świadczą ci, co go mieli za spo-wiednika, tak rozumie życie świeckie i jego konieczności, tak zna naturę ludzką, i tak jest jak on w żądaniach wy-soki, a w naganie łagodny? Gdyby to wszystko wyliczać, nie skończyłoby się nigdy. Bo wtedy jeszcze przypominałby trzeba ten urok dziwny, jaki wywierała jego natura silna, poważna, a prosta, tę ufność i cześć którą wzbudzał, tę szorstkość żołnierską nieco, która mu zawsze została, i tę dobroć mężką, w której nic miękkiego i pieszczotliwego nie było, a która tak pociągała i przywiązywała do niego tych, co się do niego zbliżyć mogli. Przez żywość uczucia i wyo-braźni, przez otwartość, przez dobroć, przez śmiałość wreszcie, była to szczero polska natura, a ta typowość polska, którą się w nim czuło, dodawała mu uroku. Ale były w jego na-

turze i inne przymioty, mniej nam właściwe, wytrwałość, stateczność, odwaga cywilna, jedność myśli, zasad, życia, a te sprawiały, że jako charakter był pomiędzy nami jednym z najwyższych i najbardziej skończonych.

Mickiewicz mówi o Skardze, że połączył on w sobie i spełnił ideał kapłana i obywatela. Nie stawiamy my księdza Kaysiewicza na równi ze Skargą, ale kiedy rozważamy jego życie i dzieła, stają nam przeciw w myśli te słowa. Czy on zrównał, i czy kto zrównał takiemu ideałowi? nie wiemy i nie rozstrzygamy: sądzilibyśmy raczej, że na tym szczycie doskonałości nikt chyba z ludzi nie stanął. Ale sądzimy również i silnie jesteśmy przekonani, że mało który z Polaków w naszym wieku tak się do niego zbliżył jak ten. Pierwszy po Skardze w rządzie naszych religijnych mowców, podobnym mu jest ksiądz Kaysiewicz i przez to, że połączył w sobie doskonale miłość i służbę Boga i ojczyzny, a obydwie były u niego tak gorące i tak wysokie, że dorównać mu w nich bardzo trudno. To też kiedy się widzi i słyszy te niskie a niegodne przeciw niemu skargi i potwarze, myśli się mimowolnie o nieszczęsnem Jeruzalem kamienującym tych, którzy do niego byli posłani.

Pragniemy gorąco, nie dla jego, ale dla naszej dobrej sławy, żeby raz przecie to kamienowanie ustało: bo jeżeli nie ustanie, o nas tylko powie potomność, że niesprawiedliwi i zawistni nie umieliśmy cenić wyższych ludzi, jakich mieliśmy pośród siebie, ani z nich korzystać: o nim powie zawsze ze czcią to jedno co słusznie powiedzieć będzie mogła, że ten wierny sługa Boży, ten wielki kaznodzieja, ten prawdziwy „ksiądz niezłomny“, był i jako Polak niezłomny także i jeden z najlepszych.

„DWORZANIN“ GÓRNICKIEGO

ST. TARNOWSKI

„DWORZANIN“ GÓRNICZKIEGO



W KRAKOWIE
SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA
1897

W KRAKOWIE, W DRUKARNI »CZASU« FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

Książka, której treść chcemy tu przytoczyć, jest jedną z najładniejszych a może i najbardziej zajmujących, jakie nam wiek XVI zostawił. Zapewne gdyby przyszło wybierać, cobyśmy z naszej literatury stracić woleli, czy naszych historyków, czy poezję Kochanowskiego, czy kazania Skargi lub statystów jak Modrzewski, albo Dworzanina, niktby się nie wahał. Wszystko tamto jest ważniejsze, potrzebniejsze, należy do wyższego porządku rzeczy, o takich mówi i uczy. Ale w Dworzaninie przechowała się cała jedna strona życia, której napróżno szukalibyśmy w kronikach, w dyaryuszach sejmowych, albo w natchnionych słowach wielkiego kaznodziei. Te wielkie źródła historyczne, wielkie pomniki literackie dają nam poznać Polskę polityczną, moralną, naukową wreszcie; niezawodnie czynią przez to zadość potrzebie największej. Jednak, jest po za życiem publicznem i umysłowem inne jeszcze życie, nietylko zajmujące i ciekawe, ale do dobrego poznania naszych przodków potrzebne, bo dające zawsze miarę cywilizacji narodu i wieku, to jest, życie towarzyskie. Jakim był Polak XVI wieku na sejmie, na sejmiku, lub w boju, co myślał o Rzeczypospolitej, jak pojmował swoje w niej stanowisko, obowiązki swoje względem niej, i te które w jego mniemaniu Rzeczpospolita miała względem niego, to wiemy, a przynajmniej dowiedzieć się możemy z historyków i statystów: ale jakim był ten Polak w stosunkach prywatnych, jakie było jego życie towarzyskie, czy jego wychowanie pod tym względem świadczyło o wysoko posuniętej cywilizacji, objawiającej się ogładą obyczajów, należytem baczeniem na drugich i delikatnem z nimi obejściem, jak rozumiano grzeczność, przyzwoitość, takt w postępowaniu, co było w sto-

sunkach towarzyskich zabawą lub rozmową godziwą a co nie: o tem wiemy mało. A przecież to nie obojętne: przecież nie dlatego tylko warto o tem wiedzieć, żeby ich lepiej sobie w wszelkich stosunkach życia módz wyobrazić, ale dlatego zwłaszcza, żeby wiedzieć do jakiego stopnia, i czy na prawdę, czy na pozór tylko byli ludźmi cywilizowanymi. Naród dziki, gburowaty, w obejściu nieokrzesany, może mieć wielkie zalety i przyszłość, może błyszczyć po wierzehu wykształconymi z znakomitymi ludźmi, ale na wskrós oświeconym, prawdziwie cywilizowanym nie jest.

Otóż wiek XVI zostawił w Polsce bardzo mało śladów tej strony swojego życia, a najobfitsze i najwyraźniejsze jakie zostawił, złożone są w *Dworzaniu* Górnickiego.

W tych słowach zamyka się ważność i historyczna wartość tej książki i wielkie jakie ona wzbudza zajęcie: a że jest nietylko najlepszem jakie mamy źródłem wiadomości o naszym dawnem życiu towarzyskiem, ale nadto jeszcze, jest jedną z książek najpiękniej po polsku pisanych, klasycznym wzorem doskonałości i wdzięku języka i stylu, tak że bez względu na treść, dla samej tylko formy możnaby się w tej książce rozkochać, więc całość jest jednym z klejnotów naszej literatury.

Treść bowiem, nie dość że historycznie ciekawa i zajmująca, jest piękna i mądra: pełna rozumnych spostrzeżeń i uwag, pełna znajomości człowieka i świata, a nadewszystko nacechowana szlachetnem, wysokiem, jednego i drugiego pojęciem: a my którzy po większej łagodności naszych praw i po wielkim postępie ekonomicznym wnosząc, tak pochopni jesteśmy przyznawać sobie samym wyższą ogładę obyczajów i cywilizację w stosunkach potocznego życia, z zadziwieniem możemy się z tej książki przekonać żeśmy pod tym względem nie odkryli nic czego by oni nie byli wiedzieli i praktykowali, że wszystko na czem w naszym pojęciu zasada się grzeeczność, wzgląd na drugich, delikatność, takt, słowem dobre wychowanie, im było równie dobrze znane w swoich przyczynach i objawach, i tak przez nich określone, tak wprowadzone do pewnych zasad i ogólnych z natury rzeczy pły-

nących przepisów, jakbyśmy może dziś zrobić tego tak ładnie nie potrafili.

Cóż bowiem jest Dworzanin? Jest to człowiek moralnie znaczny, człowiek porządny, rozumny, w naukach ćwiczony i krajowi użyteczny, w stosunkach z ludźmi, w stosunkach towarzyskich. Jaki ma być i jakim sposobem wyrabia się człowiek moralny i człowiek użyteczny w społeczeństwie, o tem tu mowy nie ma; jest tylko o tem, czego potrzeba, żeby człowiek dobry i rozumny był ludziom miły, zatem, jak ma z nimi się obchodzić, jakim być względem starszych, względem przełożonych, względem równych wiekiem i położeniem, jakim względem kobiet, jak się bawić i żartować, jak się zachować przyzwoicie i poważnie w różnych położeniach i w stosunkach — słowem Dworzanin jest to człowiek szlachetny, rozumny i użyteczny, porządny człowiek w całym znaczeniu tego słowa, ale człowiek do Boga i do ludzi, człowiek światowy, człowiek dobrze wychowany. Tamto wszystko przypuszcza się o nim z góry; to, w czem polega i jak się nabyć może, mówi książka. Dworzaninem zaś jest naprzód dlatego, że we Włoszech, z kąd on pochodzi, ogniskiem towarzyskiego i polerownego życia były dwory niezliczonych książąt, około których zbierały się i dowcipy i młodź rycerska, powtóre dlatego, że u nas w Polsce choć nie było udzielnych dworów książęcych, przecież wychowanie szlacheckiego młodzieńca kończyło się zwykle na dworze jeżeli nie królewskim to pańskim. Mógł więc Górnicki, przerabiając swoje dzieło z włoskiego, tytuł jego zachować, a przeciw obyczajom krajowym i prawdopodobieństwu Dworzanina w Polsce nie wykroczyć.

Jest to rzeczą naturalną, że wiek, który tak dbał o jak największe wszechstronne wyrobienie indywidualności ludzkiej, który chciał, żeby ono dobiegło z siebie co tylko może i było do wszystkiego zdolnem, żeby się rozwinęło zupełnie pod względem moralnym i intelektualnym, że ten wiek i wysoko człowieka wykształcił pod względem życia towarzyskiego, i jak żeby chciał był to wykształcenie mu zapewnić, wydał dzieło, z którego on uczyć się ma dobrego wychowania, taktu,

powodzenia w świecie. Nie dosyć, żeby człowiek był dobrym, powinien się kochać w jakiejś idealnej cnocie, jeżeli nie zawsze może chrześcijańskiej, to rzymskiej; nie dość, że jest rozumny i uczony, powinien być uczonym we wszystkim, filozofować jak Platon, mówić jak Cycero, wygrywać bitwy, rządzić Państwem, znać kwestye teologiczne, budować mosty i sądzić trafnie obrazy Rafaela lub bronzy Sansovina; a i wtedy jeszcze zupełnym on nie jest; powinien być ozdobny wszystkimi przymiotami, przez które podobać się może i zjednać sobie dobre u ludzi mniemanie: być rozumnym i dowcipnym, poważnym i wesołym, w ćwiczeniach ciała zręcznym, w obejściu z ludźmi układnym, z kobietami grzecznym i pełnym respektu, ze wszystkimi delikatnym, dyskretnym, nie natrętnym, nie nudnym, nie mówiącym o sobie. Niech umie zaśpiewać piosenkę, napisać madrygał albo epigram, bawić piękne panie, niech z niemi gra i tańczy, z mężczyznami niech się bije w turnieju, albo poluje z sokołem, albo rozprawia o Platonie, albo radzi o sprawach publicznych, albo strzela z łuku, słowem wszystko, co człowiek na tym świecie robić i umieć może, wszystkiego tego wiek ten od człowieka żądał, wszystko człowiek umieć i robić musiał.

I znowu rzecz naturalna, że książka, która takiego człowieka opisuje i kształci, powstała w kraju najwyższej podówczas cywilizacyi, w kraju, gdzie wszechstronne wykształcenie indywiduum stanęło na stopniu najwyższym we Włoszech.

Czy to naszemu Dworzaninowi ujmuje, że nie wyszedł czysto z polskiej głowy, i że jest nie tłumaczeniem wprawdzie, ale kopią bardzo bliską oryginału Corteggiana włoskiego? Zapewne byłoby nam milej, gdybyśmy zupełne jego autorstwo przypisać mogli Górnickiemu. Ale, różnica ta jest tylko dla naszej narodowej miłości własnej i dla sławy autora: nie dla wartości dzieła, czy to bezwzględnej, czy historycznej tylko. Prawda że obraz człowieka porządnego i dobrze wychowanego skreślony jest przez Włocha, ale skoro go Polak kopiował, to znakiem, że go tak samo jak ów Włoch pojmował, że ten ideał i jego znamiona były dla obu wspólne.

Nie mogło też zresztą być inaczej. W tym wieku kiedy życie towarzyskie bardzo się u nas wzmogło, a wzmogło właśnie pod wpływem buchającej do nas pełnym korytem cywilizacji włoskiej, musiały nasze pojęcia pod tym względem wyrabiać się na włoskich; książka taka jak *Dworzanin*, oryginalnie, bez włoskiej pomocy powstać u nas może jeszcze nie mogła. W każdym razie jest ona jednym z najwyraźniejszych i najciekawszych pomników blizkiego związku Włoch i Polski w wieku XVI, wpływu tamtejszej cywilizacji na naszą.

I.

W przedmowie z piękną bardzo i rzetelną skromnością mówi Górnicki, że przerobił dzieło swoje z włoskiego wzoru grafa Balcera Kastygliona, wskazuje skrzętnie miejsca, w których, i powody dla których, od wzoru odstąpił. Obyczaje włoskie są od naszych różne, wiele zwyczajów, wiele gier, wiele sztuk nawet, które tam są w powszechnem używaniu, u nas nie znane; wiele rozmów i żartów, które tam uchodzą, polskim uszom wydałyby się zbyt wolne, wiele też zwrotów i wyrażeń takich, które się przełożyć nie dają, bo ich język polski wyrazić nie zdoła: (to pewna że jeżeli on czego po polsku dobrze wyrazić nie potrafił, tego już nikt chyba po nim nie potrafi). Dlatego opuszcza niektóre opowieści, facecye i dysputy przysprośne, niektóre zabawy i zwyczaje Polakom niezrozumiałe; opuszcza też z ostatniej księgi w rozprawie o miłości niektóre rzeczy, bo powtarzać je nie byłoby dobrze; i tego wreszcie zaniechał co „Kastyglio“ o mnichach i mniszkach mówi, „bo teraz mają księża tak wiele prazniku, że im go przysparzać i najmniej potrzeba“. Pomijając więc niektóre wyrażenia, które mu się trudne do oddania wydały, i niektóre *lascywie* Polakom *ani kęs* nie, potrzebnne, osoby też włoskie na polskie przemieniwszy, trzyma się zresztą wzoru swojego wiernie. Nietylko treść czterech ksiąg *Dworzanina*, ale i porządek traktowanych w nich materyj jest ten sam, myśli zawsze niemal te same, a wyrażenia i okresy

choć nie dosłownie z włoskiego tłumaczone, jednak często do tamtych zbliżone. Jeżeli czego żałować można, to że Górnicki nie chciał w tem naśladować Castigliona, iż tamten do rozmów swoich wprowadza i kobiety. Księżna Urbinu i Signora Emilia mało wprawdzie mieszają się do rozpraw prowadzonych głównie przez mężczyzn: przecież słowa ich choć nie obfite nadają dyalogom jakieś ożywienie i różnorodność, jak żeby z większem zajęciem czytało się to co było mówione wobec pań dostojnych i rozumnych; a nadto, z tych słów przecie można odgadnąć choć trochę, jak te panie myślały i jak rozmawiały. Gdyby zamiast biskupa Maciejowskiego była królowa Bona naprzykład, a zamiast dwóch lub trzech panów Bojanowskich lub Derśniaków, dwie lub trzy polskie damy, byłoby to niezawodnie niejakim wdziękiem i przysmakiem Dworzaninowi polskiemu.

„Tuż u Krakowa jest rzeka Prądnik, nad którą Samuel Maciejowski biskup krakowski i kanclerz koronny, włoskim kształtem dom piękny zmurować kazał“. Jak się w tym domu zbierali przyjaciele i słudzy księcia Biskupa, jak on dla wszystkich był zawsze ludzki i łaskawy, jak raz po obiedzie kiedy ktoś karty wspomniał, brat J. Ks. Mości, Pan Lubelski zapytał „ażaby się nie mogła należeć jaka inna krotchwila nie ta ustawiczna, karty“, jak ztąd wywiązały się różne pomysły zabaw rozumnych i rozumowych, jak każdy swój przedmiot do rozmowy podawał, aż wreszcie stanęło na tem, żeby opisać w rozmowie doskonałego Dworzanina, nad tem rozwodzić się zbyt znacznie, wspomnieć tylko trzeba dla pamięci, że umieszczona mimochodem w tym wstępie pochwała Sam. Maciejowskiego, nawet w *Dworzaninie* zwraca na siebie oczy doskonałą pięknnością stylu.

Kiedy więc stanęło na tem, że Dworzanina opisywać ma pan Kryski, zaczyna on rzecz swoją śladem Castiglione od tego, że Dworzanin ma być szlachetnie urodzonym, nie dla tego jakoby plebejusze równych szlachcicowi przymiotów mieć nie mogli, ale dla tego, że kiedy ma mieć wszystkie zalety i wszystkie dary natury i losu, niechże ma i to co mu zawsze przed ludźmi stanie za pewne odznaczenie i za-

lecenie. Z urodzenia szlachcie, z powołania oczywiście, a zwłaszcza u nas, ma Dworzanin być rycerzem. Odwaga, waleczność, żołnierskie rzemiosło, to najprzedniejsze ze wszystkich zalet człowieka, a człowiekiem zupełnym, szczęśliwym i w szacunku ludzkim najwyższym, musi być rycerz. Ale jakież on ma być ten rycerz? czy tylko „odważny, stały, wytrwały, dzielny“ a po za tem już nic? Wcale nie. Tu zaczynają się te rady i przepisy odnoszące się do taktu, do dobrego wychowania, do dobrego smaku. Naprzód, piękna zasada moralna: „rycerz chociażby wiedział, iż go nikt nie widzi, ani może mieć świadka męstwa a cnych posług swoich, przedsię niechaj to czyni co dobremu, cnotliwemu, należy, pomnąc na to, że najpewniejsze świadectwo jest sumienie własne, a za cnotliwe sprawy sama cnota hojną zapłatą jest. A kto jeno dla tego poczeiwie czyni, aby był widzian, ten się z cnotą fałszywie obchodzi, okazując jej prawdziwą miłość, gdy ku czemu innemu a nie ku niej skłonne jest jego serce“. Ale choć dworzanin „sercem mężkiem a wspaniałą myślą zawždy się popisać ma, nie trzeba żeby w nim zuchwalstwo panowało“; niech nie będzie junakiem z postawy, fanfaronem rycerstwa, „iżby pochmurnem wejrzeniem, postawą srogą, odętym wąsem straszyć miał, a nie umiał łagodnie mówić, jeno z fukiem, a wszystko o wojennych rzeczach, jako zbroja najmiększa jego pierzyna, a z przyłbicy najsmaczniejszy trunek“. To brzydko, taki i ludziom obmierzenie i na śmiech się a zasłużoną przyganę wystawi, jak się to jednemu takiemu zuchwalcowi stało:

„Bo gdy ten kilkakroć proszon był, żeby się do muzyki przysiadł, abo tańcował, abo wždy rozmową się jaką z pannami bawił; a każdy raz, dobry pan nie innego nie powiedział, iedno, iż to jest lekkich ludzi dzieło, a nie iego ćwiczenia rzemiosło, spytała go nakoniec pani: A to rzemiosło W. M. iakież wždy iest? Odpowiedział iey (uczyniwszy pierwéy postawę srogą): We krwi, prawi, nieprzyjacielskiej brodzić, a swéy nie żałować. Rzekła zatem pani: Mnieby się wierę zdało

ponieważ teraz wojny nie masz, abyś W. M. dał się czyścić tłustem namazać, a wespołek ze zbroją, i z tem wszystkim czego W. M. przeciwko nieprzyjacielowi używasz, dał się gdzie do szafy schować, aż do tego czasu kiedy woyna będzie, abyś W. M. barziej niż teraz nie zardzewiał“.

Zatem nie być zuchwałym, ani chępliwym, srogość schować na wojnę, w pokoju być łagodnym i skromnym, o sobie nie mówić, a najmniej z przechwałkami, a gdyby już koniecznie coś takiego powiedzieć przyszło co na chlubę naszą wychodzi, tedy powiedzieć to skromnie: wystrzegać się, mówiąc po naszymu, junactwa, przechwałek, fanfaronady, zaczepnego i wyzywającego tonu... czy dziś po trzech wiekach mógłby kto dać inną lepszą radę wszystkim, a zwłaszcza wojskowym?

Ale nie dość być dobrym rycerzem na wojnie, trzeba umieć i te ćwiczenia, które choć tylko czasu pokoju służą, przecież dworzaninowi bez nich obejść się trudno. Zatem turnieje, myśliwstwo, strzelanie z łuków, za pasy chodzenie, skakanie, taniec, wszystko to dworzanin ma umieć. Dobrze żeby był i piękny, iżby miał

„taką gładkość, któraby coś męzkiego w sobie miała, bo i owa iedwabna postawa, słowa pieszczone, zemdlona mowa (iako się na tę subtelność drudzy wydaia, aby się pokazali, iż z panów idą, którym i tego szkoda, że się męczyznami porodzili) niewiem komuby się na świecie podobać mogła? Męczyzna ma być męczyzną, i twarzą, i postawą, i słowy“.

Ale nadewszystko ma być zgrabny, tak żeby mu wszystko składnie jakoby samo z siebie bez wysilenia szło, i żeby mu wszystko przystało i było do twarzy. Poczyna się tu kwestya tego wrodzonego daru i wdzięku, który się ani opisać ani prawie nazwać, a najmniej nauczyć i ująć w reguły nie da, a który Górnicki nazywa gracyą. „To jest

nad wszystko, aby każdą rzecz którą pocznie, czynił z takim baczeniem, żeby mu wszystko przystało“: Ale jak w to poradzić? pytają wszyscy obecni, a z nimi czytelnik: jak nabyć tej rzeczy, której się nie nabywa, jak się nauczyć tego czego nikt wyuczyć nie może? Pan Kryski nie rozwiązuje pytania, ale oznacza w przybliżeniu od czego ta gracia zależy. Naprzód tedy trzeba się tych wszystkich ćwiczeń wczas uczyć i nie u lada kogo, ale u dobrych mistrzów, powtóre starać się przyswoić sobie zręczne sposoby robienia drugich, a nadewszystko, wielkie słowo, robić wszystko po prostu, naturalnie, bez przesady, jakoby od niechcenia.

„Nayduję ia iedną drogę, która mi się widzi bydź do tej przystałości prawym a bitym gościńcem, a to ta iest, aby człowiek tak z mową, iako i z sprawami, namniey się nie wydwarzał, iedno niedbale iakoś, a rzekomo tego sobie nie mając nizacz, wszystko czynił. A ta zmyślona niedbałość, abo (iż to tak przechrzczę) nizacz mienie, żeby umiejętność pokrywało i pokazywało tak ludziom, iż ono co człowiek czyni, samo mu tak płynie, a iako za dar, bez wszelakiey praey y zdobywania przychodzi. Ztądci ia rozumiem, że przystałość, a ta wdzięczność w człowieczych sprawach roście, bo wiedząc każdy, z iaką trudnością to przychodzi, co ma być nadzwyczaj dobrze uczynione, kiedy widzi, iż to komu łatwie przychodzić, musi się zdziwić: a na drugą stronę zasię, kiedy się kto z czym łamie, a iakoby gwałtem to czyni, przykro na to każdemu patrzeć, a w mowie słuchać y wnet ta rzecz tańsza będzie, by też wiera najdroższą była. A przeto, ten iest prawy mistrz, kto misterstwo pokryć umie; a o żadną się rzecz barziej Dworzanin niema starać, iako to, aby ie mógł dobrze pokryć; bo gdzie ie pokaże, tam mu zaraz kredyt zginie y wnet nie tak wziętym u ludzi będzie. Czytałem to, iż dawni niektórzy wieley wymowce, między innym swem misterstwem, dawali to znać chytrze ludziom, iakoby się uczyć nigdy nie mieli, a tak pokry-

wając naukę, ukazywali oracye swoje ludziom prościuchno pisane, iakoby około czynienia ich iedno rozum przyrodzony, a prawda mistrzowała, nie ćwiczenie, ani nauka. Która nauka, by się była namniey odkryła, barzoby na tem chramali; bo ią ludzie mają w podęyrzeniu, a iakoby się boią, by ich nią nie oszukano. Obaczcież W. M. jako wnet straci swą gracyą każda rzecz, którą człowiek, zdobywając się a pokazując misterstwo swe, gwałtem czyni. A kto się nie musi śmiać kiedy owo kto dziwniey niż ludzie, ziemie niedostępując, z wielką pilnością, aby nie zmelił, wyciągnąwszy szyję, nie zginając się nigdziey, jakoby kiy połknął, tańcuie? Każdy z nas widzi, iż tańcowanie takowe pochodzi z wydwarzania, za którym gratia ginie. Na drugą stronę zasię, iakoto przystoi mężczyźnie i białęgłowie, kiedy owo niedbale tańcuie, a mówiąc co z kim, abo żartuiąc, w rzeczy nic o tańcu nie myśli, prosto iakoby zmylić ani umiała, ani mogła“.

I także nie wynależliśmy nie mędrszego nad to, i także dziś jak wtedy tajemnicą piękności i wdzięku jest prostota, ich zabójstwem przesada, affektacya, którą on tu przez wydwarzanie rozumie i której różne ciekawe wylicza rodzaje. Jeden będzie umyślnie udawał niedbałego, inny zbyt widocznie będzie około siebie starannym, jeszcze inny „nie nie umie jedno się chwalić, z piętra mówić, grozić, dziwniey niż ludzie stapać“. Nawet u niewiast wydwarzanie takie że jest rzecz sprosna i nieprzystojna, což dopiero u mężczyzn.

„A tak ten dworzanin będzie u wszystkich ludzi podziwieniem osobny, będzie miał we wszystkiem gracyą, ieżli się będzie strzegł wydwarzania, którey wady pełno wszędzie, podobno u nas w Polsce więcey niż gdzie indziej“.

Tegobyśmy nie byli myśleli? tak trudno wyobrazić sobie naszych starych z XVI wieku przesadnymi i manierowa-

nymi! Górnicki zarzuca im przesadę głównie w tem, że tylko który liźnie trochę obcego języka, już się nim popisuje, z polskim miesza, i udaje jakoby własnego nie miał:

„Polak by iedno kęs z domu wyjechał, wnet nie chce inaczey mówić, iedno tym ięzykiem, gdzie troszkę zmieszkał, ieśli był we Włoszech, to za każdym słowem *signor*; ieśli we Francyi, to: *Par ma foi*; ieśli w Hiszpaniey, to: *nos otros caballeros*; a czasem drugi chociaż nie będzie w Czechach, iedno iż granicę Śląską przejedzie, to iuż inaczey nie będzie chciał mówić, iedno po czesku, a czeszczynna, wie to Bóg iaka będzie“.

Nie nowego pod słońcem i w Polsce; dziś tak samo urlopnik wracający z wojska zarywa z niemiecka, modny elegant sadzi się na angielszczyznę, człowiek, który pobyl parę tygodni we Francyi, chwytą skwapliwie wyrażenia i zwroty mowy paryzkich fiaków i gaminów i rzadko kiedy zaniedba popisować się niemi za powrotem.

Ale z tej wzmianki o obcych językach wysnuwa się materya nowa. Dworzanin powinien dobrze mówić i dobrze pisać; jeżeliby nie znalazł słowa polskiego, któreby dobrze myśl jego oddawało, z jakiego języka ma go pożyczyc, z włoskiego, czy z greckiego, czy z łacińskiego, czy wreszcie z którego ze słowiańskich? Wyroku Górnickiego warto posłuchać, bo taki mistrz jak on będzie pod względem językowym powagą jak długo stanie języka. Rozstrzyga zaś kwestyę bardzo mądrze.

„A przeto, gdzie iest dobre Polskie słowo, tam źle czyni, kto Łacińskie miasto niego kładzie, chyba kiedy się trafi słowo iuż tak zwyczajne, tak utarte, że ie niemal wszyscy rozumieją, albo, też, iż właśnie z Łacińskiego na Polskie przełożone być nie może, bo wten czas wolę Łacińskie, niż Polskie, iako to: wolę iż kto rzecze *Philosoph*, niż mędrzec, bo to iuż każdy rozumie, a ktemu nie właśnie to z greckiego, *Philosophia* mą-

drość. Y Łacinnicy, to słowo Philosophia, uczynili swoim, a nie chcieli go z greckiego przetłumaczyć. Patria jest Łacińskie słowo, moim zdaniem, lepiej uczyni, kto mówiąc o Polsce, rzecze Patria moia, niżli oycyzna moia, bo oycyzna częściej się rozumie to, co gruntu komu oiec jego zostawił. Także materya, fundament y inne słowa łacińskie, które iako swych używamy Owa iako wiele słów niemieckich mamy w ięzyku naszym, których już nie mamy za niemieckie, ale za polskie, tak też y Łacińskie niektóre, mniejmy za swe własne. Ręczniki szerokie, iż do nas ze Włoch przyniesiono, zaraz też i przezwisko ich z nimi przyszło, bo ie Towagliami zowiemy. Towaglia, Włoskie słowo, już u nas za polskie uidzie. Takież gratia, kiedy mówimy: nie cudna, prawi, ale ma gracyą; wszystko to zwyczaj uczyni, który jest mistrzem każdej mowy. Na ostatku raczysz mię W. P. pytać, któryby mi się z tych ięzyków, które z Słowiańskiego poszły, naycudniejszy widział, nie wiem, iako na to W. M. odpowiedzieć, bo w tey mierze nie czynię dosyć sam sobie. Czeski ięzyk iest piękny, ale iakoby troszkę pieszczący, a mężczyźnie mało przystoyny; Ruski zasię surowy. Racki, Serbski, Chorwacki, Bułgarski, już mają coś pogańskiego, bo się od Turków spahali (zarazili). Nasz też polski zda się trudny, a iakoby człowiek całą gębą, a gwałtem mówił“.

To dziwna, że ięzyk czeski wydawał im się miękkim i od naszego dźwięczniejszym, kiedy w naszych uszach brzmi dziś tak twardo, iżeśmy o nim aż wymyślili historię o drutach telegraficznych, które się zerwały kiedy szła po nich pierwsza czeska depesza. Innej jeszcze dotyka on kwestyi temu pokrewnej, tylko ważniejszej, ale na nieszczęście zbywa ją krótko, kwestyi stylu i dobrego pisania. Czy trzeba pisać zupełnie tak jak się mówi, lub też ozdobniej i podniosłej? Zdania są podzielone. Pan Kryski obstaje za pierwszym, pan Myszkowski twierdzi,

„że to przynosi powagę iakaś kiedy kto węzłowacie a nie zbyt łatwo pisze. W piśmie jest kształt mowy, nie mówię trudny, ale iakiś wyższego rozumu, a nie tak zwyczajny, jako ten, którym pospolicie wszyscy mówią, wnet to pisanie ma większą powagę, a czyni, iż ten kto czyta, z lepszym rozmysłem postępuje, obacza lepiej każdą rzecz, i dziwnie się dowcipowi a nauce tego, który pisał“.

Że tego zdania już nikt nie zbija, wnosić ztąd można, iż jest ono zdaniem samego Górnickiego. I taki jest jego styl, on tak pisze; jasno, po prostu, naturalnie jak tylko można, a przecież na mowę potoczną zanadto doskonale i artystycznie.

Że Dworzanin wymowny i piśmienny, musi być w naukach ćwiczoną, to rozumie się samo z siebie. Naprawdę pan Lupa, może użyty tu jako echo zaściankowej opinii, broni paradoksu o szkodliwości nauk, Górnicki trzyma się Castiglione, który swemu Dworzaninowi każe „*estimar le lettere*,” a pan Kryski chce żeby Dworzanin jego nie tylko łaciński i grecki język umiał, ale niemiecki, włoski, francuski i hiszpański, „poety wszystkie, oratory i historyki z pilnością wielką trzeba żeby przeżuł i zwartował, niechaj umie z głowy list pisać cudny, rzecz poważną, więc i wiersz.“ To więc były rzeczy dla „czystego“ młodzieńca niezbędne, a nadto jedna jeszcze, dziwna i niespodziewana, muzyka. Castiglio od swojego Włocha żąda i rysunku i architektury, i nawet, choć nie tak koniecznie, rzeźbiarstwa. Górnicki Polakowi te rzeczy opuszcza, ale muzykę umieć mu każe. Czy się oni tak bardzo w muzyce kochali? Lubić ją musieli, skoro ją tak często wspominają i żądają jej zawsze kiedy mówią o wychowaniu. Z drugiej znów strony, nie ma śladu żeby ją byli uprawiali umiejętnie, żeby to upodobanie było powszechnem i zakorzeniem w prawdziwie muzykalnem usposobieniu narodu. I kto wie czy Górnicki nie dla tego tylko muzykę na tem miejscu położył, iż mu to wskazywała powaga Platona i Aristotelesa, którzy piszą, iż „który

człowiek ma być dobrze wychowany, temu trzeba żeby i muzykę umiał.“ Za innymi też powtarza, że muzyka ma wielką władzę nad sercem ludzkim, cytuje przykłady Orfeusza, Ariona, Achillesa, który grywał na lutni, a kończy to ładnie, mówiąc: „aby to każdy znał, iż muzyka jaka taka niewczaszy ludzkie odpędza, przyrodzenie samo nauczyło mamki śpiewać, aby śpiewami dziecinny płacz tuliły“.

Kiedy już tak jest Dworzanin różnemi zaletami i naukami ozdobiony, i kiedy się powiedziało czego mu potrzeba, żeby był w swoim rodzaju i zawodzie doskonałym, dopiero wszczyna się rzecz nowa, kwestya praktycznego zastosowania, „jako ten godny człowiek godności swojej i tego co wie i umie w swoim czasie, gdzie, kiedy i jak używać ma.“ Materya ta w drugiej księdze Dworzanina dotknięta, nie jest niczem innem tylko nauką taktu w towarzyskiem życiu. Czy ta rzecz da się ściągnąć do pewnych reguł stałych i nauczyć? podobno nie. Podobno pan Bojanowski ma słuszość kiedy mówi, „że chcieć wszystko zebrać jako na nić a subtelnie najmniejszej rzeczy zmacać jest rzecz trudna.“ Podobno przymiot ten w życiu towarzyskiem tak cenny, jeden z dowodów cywilizacyi człowieka i kwiat jego ogłady, nabywa się ze starannego tylko od dzieciństwa wychowania, z mimowolnego przyzwyczajania się do powszechnie przyjętych zwyczajów, które ludzie w stosunkach ze sobą zachowywać zwykli, a wreszcie z wrodzonego jakiegoś szczęśliwego daru i delikatnego instynktu, którego żadna książka nie opisze i żaden przepis nie wpoi. Są natury grube i gburowate, pozbawione tej wrodzonej delikatności, którym i najstaranniejsze wychowanie nie pomoże, których żart zawsze będzie ciężki albo bolesny, sposób mówienia hardy lub zbyt poufały, śmiech gruby, poruszenie gniewu lub niecierpliwosć nieumiarkowane, uwagi choć trafne ale powiedziane nie w porę i przykro itd. Zaś tak jest niezliczone mnóstwo przypadków, w których człowiek źle i bez taktu postąpić może, że każdy przewidzieć, na każdy podać regułę jest niepodobieństwo, i człowiek tu już sam swoim instyktem rządzić się musi. Przyznaje to pan Mysz-

kowski, na którego przysła kolej mówienia, sądzi jednak, że pewne regułki dadzą się wynaleźć i mogą przydać. I nie można zaprzeczyć, że ta ogólna reguła, którą podaje, jest bardzo trafna i bystro postawiona.

„Potrzeba tego dworzaninowi, aby siebie sam, obyczaje swe y żywot umiarkować, i w pewną rezę wstawić umiał, a użyć mógł na dworze tych darów, które mieć będzie, bez zawiści. Co iako iest rzecz trudna, ztąd to znać możemy, iż rzadki kto ku tey doskonałości przyszedł kiedy; a przeto dworzanin niechaj będzie w tem co pocznie ostrożny, niechaj się nie tylko o to stara, aby iego godności y przymioty były osobne, ale też aby sposób życia jego zgadzał się z godnością, aby zawżdy był iednaki, a we wszystkich rzeczach nie był nigdy od siebie różny. Lecz z tych wszystkich swych godności i przymiotów, niechaj uczyni iedne masę, tak, iżby każda sprawa iego pachnęła wszystkiemi cnotami, iako Stoikowie powiadają, iż mądemu to należy. Aczkolwiek w każdym uczynku iest iedna główna cnota, wszakoż tak się z sobą wszystkie cnoty poplotły, że ich rozerwać trudno, y tak splecione ku iednemu końcu bieżą, a do każdej gruntowney sprawy wszystkie się zgodzić mogą“.

Słowo bardzo głębokie i mądre, wielka i prawdziwa zasada nie tylko w towarzyskiem ale i w moralnem życiu człowieka.

Po tej zasadzie ogólnej następują pomniejszych regułki, szereg przykładów jak dworzanin w różnych położeniach ma zachodzić. Warto niektóre z nich przytoczyć. I tak, kiedy rozmawia, niechże pamięta co z kim ma mówić, aby nie nudził ludzi rzeczami, które jego obchodzą, a ich wcale; kiedy jest młodym, niech się nie wstydzi być wesołym, grać, śpiewać, tańcować, zwłaszcza jeżeli o to proszony: „a wszakże ak aby się nie zdało, iż się w tem zbytńo ćwiczy, i żeby

się nie narzucał, bo to bardzo nie przystoi, kiedy przyszedłszy gdzie między ludzi, wnet wszystko pokaże co umie, a czasem i to czego nie umie. Jeżeli stary, niechże przy stateczności i powadze swojej stara się zachować myśl swobodną i wesołą, bo nie miłszego ludziom jak starość poważna, pogodna, i dla ludzi wyrozumiała. W przyjaźni niech będzie wiernym, ale niezbyt do niej skorym; zwłaszcza niech się z nią pierwszy nie wrywa, jeżeli nie ma pewności, że i druga strona ma do niego pociąg, a nadewszystko niech się strzeże z kopyta ludzi mało znanych oświadczeniami i czułościami zarzucać, „bo takich ludzie zaraz mają za matcze i podchlebce.“ Pełno przytem rad drobniejszych i szczegółowych; na przykład tańcować dworzaninowi przystoi, nawet cudzoziemskie tańce, ale tylko w dobrem towarzystwie, między równymi, nie między „chasaą,“ a do tego ani „nazbyt szalenie a ze zbytnią chęcią, ani też z wymyśloną powagą.“ Turnieje, strzelanie z łuku, zapasy, chodzenie, wszystko to jego rzecz, jednak baczyć powinien z kim szermuje, i naprzykład z chłopami się nie mocować; poufałość wielka, ze zwycięztwa chluba nie osobliwa, a z przegranej wstyd. To jest powtórzone żywcem z Castigliona, równie jak rada, żeby na turnieje nigdy dworzanin nie wjeżdżał w szranki jeden z ostatnich, bo pospolicie ludzie a zwłaszcza białogłowy pilniej patrzą na pierwsze które wyjadą, niż na ostatnie. Wszystko to, to małe ale przenikliwie uchwycone sposoby zwrócenia na siebie uwagi i podobania, do czego należy oczywiście i to, żeby na turnieju koń był piękny, rząd wytworny, rycerz strojnie ubrany itd. Kiedy dworzanin gra w karty, niech z przegranej frasunku a z wygranej radości po sobie nie pokazuje; szachy niech zna, ale o wielką w nich doskonałość niech się nie stara, bo to wymaga wiele czasu i często całego człowieka zajmuje, że już nic innego robić nie umie.

Dużo miejsca zabiera kwestya jak się dworzanin powinien ubierać. Kwestya nie obojętna, ubiór jest zawsze wskazówką usposobienia i smaku nietylko kobiety, ale i mężczyzny: jak kobieta naraża się na niepochlebne do-

mysły, kiedy chodzi w sukniach dziwaczniego kroju i krzyżujących kolorów, jak niedawno po sztucznych rudych włosach można było poznać rodzaj jej życia, tak i mężczyzna łatwo uznanym będzie za fireyka, za papinka, za udającego to i owo, po stroju. Wszak i w naszych czasach po włosach długich i umyślnie rozrzuconych poznaje się, że człowiek chce się bawić w artystę lub poetę, po perfumach, pomadach i fryzowanych włosach, takiego, który chce, a nie bardzo umie być elegantem: na czemże zasadzała się elegancya w wieku XVI? Zupełnie jak teraz. Górnicki żąda naprzód od swego dworzanina, żeby był w swoim ubraniu zupełnie starannym i porządnym: nie tak jak niektórzy, co dbają tylko o włosy utrefione i czub podczesany, a rąk i twarzy nie myją, albo inny znowu będzie się kochał w pięknych butach, a nie uczesze porządnie głowy, jeszcze inny pod piękną suknią chowa bieliznę nie świeżą: elegant Górnickiego ma być nie w jednej tylko rzeczy ochędożny, ale we wszystkim jednakowo. Jakim zaś krajem i kształtem ma się nosić, to już jemu zostawić trzeba, zwłaszcza, że u nas na nieszczęście namnożyło się różnych strojów tak wiele, iż im liczby nie masz: „to po włosku, to po hiszpańsku, po brunszwicku, po usarsku dwojako, staro i nowo, po kozoacku, po tatarsku, po turecku drudzy; i drugie stroje są, których ja nie znam zaprawdę. Więc jedni gołą brody, a z wąsy chodzą, drudzy strzygą brody po czesku, trzeci przystrzygają po hiszpańsku. I około wąsa jest różność, bo go drudzy na dół głaszczą, a drudzy w górę jeżą,“ widać z tego, że nasi Polacy mieli wielki pociąg do stroju i kokieteryi nie mało, kiedy tak zmieniali modę, próbując co któremu będzie do twarzy. W tej tedy mieszaninie i pstroczynie strojów, niech sobie dworzanin wybiera, jaki chce, ale jeżeli chce być ubranym jak na „czystego“ człowieka przystoi, niech zachowa jedną regułę, to jest, „żeby się od zwyczajów nie odstrzelał,“ nie nosił sukien dziwacznych, ściągających oczy lub zbyt przestarzałego kroju, ale żeby idąc za modą, nie przesadzał jej, owszem miarkował. Jeżeli w używaniu są suknie krótkie, niech uważa żeby nie nosił

zbyt krótkich, jeżeli długie, żeby w tem nie przesadził, a nadto żeby się zbytecznie nie pstrzył. Słowem, strój jego ma zwracać uwagę nie dziwacznym krojem i krzyzącymi barwami, ale kształtem zgrabnym i kolorami do twarzy i do siebie dobrze dobranymi. Bo za kolorami obstaje Górnicki; narzeka że „zageściła się czerń, maść żałobna, znak płaczu,” i wspomina jak pięknie bywało dawniej w świetnych i wesołych barwach, które zawsze powabne, do zbroi, pod pancerz, są już absolutnie konieczne.

Cóż się od jego czasów zmieniło? Bardzo mało, krój sukien i zwyczaj noszenia czarnych lub ciemnych, lub szarych, takich, które mają najmniej koloru; zresztą zasada dobrego ubrania i jego pojęcie jest zupełnie to samo. Ułomności, jakieby kto miał niezłacznie ubiorem pokrywać, a zalety czy to podstawy czy twarzy niezłacznie nim podnosić, zupełnie obyczaj ówczesny pozwala.

Że dworzanin ma jeść porządnie i nie żarłocznie, śmiać się nie zagłośno, żartów grubych nie robić ani powtarzać, to rozumie się samo z siebie: zgoła wszystko co robić ma, robić dobrze, ale na tem przestawać, a jeżeli znajdzie się drugi, który robi coś lepiej od niego, tedy ani się smucić ani zazdrościć.

Wzmianka o żartach sprowadza znowu nowy przedmiot rozmowy, żarty, śmiech, dowcip, trefnowanie, jak mówi Górnicki. Co jest śmiech, na to oni odpowiedzieć nie próbują, wiedzą tylko, że jest każdemu miły; mówią też że dowcipu (trefnowania) żadna sztuka nie wyuczy, jednak rozmawiając o tej rzeczy dochodzą do regulek, wziętych z natury rzeczy i z doświadczenia, a niezaprzeczenie trafnych. Naprzód tedy nikt nie powinien żartować ustawicznie, ani się na koncepta sadzić: powtóre nie żartować z nieszczęśliwych ani z występnych, bo ci ostatni godni są kary nie śmiechu, a „nędzni ludzie mają tę przynajmniej korzyść ze swojej nędzy, że się z nich śmiać nie przystoi.“ Wreszcie nie trzeba tykać tykać tych, którzy u ludzi mają miłość i zachowanie. Oto moralne granice żartu, których dowcip przekraczać nie powinien, granice, pociągnięte istotnie zgodnie z instynktem serca i sumienia ludzkiego. Rodzajów

zaś żartu i dowcipu jest trzy: jeden polega w dłuższem a zabawnem opowiadaniu, drugi w jednym a węzłowatym rzeczeniu, trzeci wreszcie, w którym mieści się i trefne słowo i żart w uczynku, byle nie bolesny i szkodliwy (zwożenia, figle, udawanie itp.). Na każdy z tych trzech rodzajów przytacza Górnicki mnóstwo przykładów, za wiele prawie. Castiglione, Wloch, obdarzony bystrzejszym może zmysłem artystycznym, podaje ich mniej; ten poświęca im większą część drugiej księgi dworzanina. Ale jakże się wstrzymać, kiedy się wie tyle uciesznych faceciji, tyle dowcipnych odpowiedzi, kiedy czytelnik polski tak za nie będzie wdzięcznym? Sypią się też dowcipy, dykteryjki, figle, koncepta, częścią znane i we wszystkich współczesnych fraszkach i apophtegmatach powtarzane, polskie i zagraniczne, niektóre historyjki z Boccaccia, i znowu wysoki samorodnego polskiego humoru, niektóre istotnie bardzo zabawne, inne ciekawe, bo pokazują, co ich w owym wieku bawiło i cieszyło. Jest tam wszystko, teoria ironii, komplementu, (przyczem cytuje ładną odpowiedź grzecznego kawalera damie, która się wymawiała, żeby jej z piękności nie chwalił, bo już stara, on odrzekł, że tem podobniejsza do aniołów, których pan Bóg już dawno stworzył, a przecie zawsze najcudniejsi) — jest teoria udawania (konterfektowania), grubych kłamstw w rodzaju księcia Panie Kochanku, nawet dwuznaczników i „kalemburów,” które Górnicki dobrze „słowami dwuwykładnemi“ nazywa. Ale prym nad żartami w opinii ówczesnej miał zdaje się figiel, mistyfikacya, bo nad tem rozwodzi się Górnicki ze szczególnem upodobaniem i przytacza niektóre bardzo zabawne figle, jak np. historia Skotnickiego z Pukarzewskim.

„Pukarzewski prosił na wieczerzą Skotnickiego, y był mu tak rad, że go y od rozumu odpoił; tak, że kiedy iuż na nogach stać nie mógł, sługi iego iedne do gospody odprawił, drugie pozamykał, a pana tak śpiącego kazał slugom swym nieść do iednego sklepu, iuż na to nagotowanego, i tam kazał go ws-

dzie w łańcuch, w pęta, y zamknąc na kilka kłetek, straż u drzwi przystawiwszy. Skotnicki, iż był okrutnie pijan, ieszcze ktemu na wiatr wyniesiony, kęs ieden onego nie czuł. Owa przespawszy kilka godzin iako umarły, ocknie się nadedniem y woła: Cóż się dzieie? ki mię diabeł tak wsadził? przebóg, gdzieżem? A iest tu kto? ozwi się, proszę. Gdy na pierwsze wołanie nie mu nie odpowiedziano, pocznie znowu wielkim głosem wołać: Jest tu kto? przebóg cię proszę, ozwi mi się. Dopiero się straż nauczona odezwała mówiąc: Awonia sam i z drugim; czego chcesz? Rzecz za się Skotnicki: A ty ktoś, miły bracie? Odpowie mu: Straż nad tobą, abyś się nie wyłamał. Zaś Skotnicki powie: A przecię Pana Boga proszę, któż mię to, y przez którą przyczynę, w te żelaza wsadził? Odpowie straż: A więc nie wiesz? dowiesz się gdy cię we dnie na plac wywiodą. Tu Skotnicki: pomilezawszy trochę, rzecz zaś: Ale mój najmilszy bracie, przecię Boskie miłosierdzie proszę, wždy mi powiedz com uczynił, bo ia, na Bóg ci to żywy przysięgam. nie wiem, ani pomnię, aby co najmniej przeciwko komu wystąpił. Straż zaś tak powiedziała: Aza nie pomnisz, żeś pocziwą dzieweczkę zgwałcił, y ojcaś iey, gdyć iey wziąć bronił, zabił. Skotnicki dopiero krzyknie: A niestetyż, narodziwszy się mnie na ten świat! A bezecne pijaństwo, do czegożeś to ty mnie przywiodło, iż oto marnie, a sromotnie gardło dać muszę! Czemużeś ty mnie radniey, miły panie, w onych potrzebach, gdzie bywał, zginać nie dał, iżbych był nigdy na katowskie ręce nie przychodził. Ha! Pukarzewski, przyjacielu przesiedzieć mi twego wina: aby cię było pierwej w sztuki siekano, niżem ia do twej gospody isć pomyślił. Ach nędzni moi przyjaciele, to teraz ze mnie weźmiecie cześć! Dla tegoście mię iednak byli do dworu wyprawili, abych was tą zmazą y wieczną sromotą, pocieszał. Owa tego lamentu było z pół godziny, nakoniec ją pytać straży: A moi mili braciszkanie, wiele was tu

mnie strzeże? Odpowiedział mu inny już, z onej straży, a nie ten, co pierwey: Sześć nas tu, prawi. A Skotnicki zaś: Kiedyby jeden z was chciał uczynić to miłosierdzie nademną, a iść po którego mego sługę. A co mnie masz, aby ci wolni byli? W takowymżeć więzieniu są, iako y ty. A Skotnicki znowu: A nieszczęsny ia człowiek, czegóżem ia doczekał: także po długim siebie przeklinaniu, uprosił wždy iednego z nich, iż szedł, gdy dzień poczęło, po pana Kaspra Maciejowskiego, który o wszystkim wiedział, y był pogotowiu. A ten dopiero, kiedy przyszedł z drugimi towarzyszami, poprawił tak dobrze, iż nieborak Skotnicki ledwie nie umarł od strachu. Aż wždy nakoniec zlitowali się nad nim, a w rzeczy to do tego, to do owego pana śląc o przyczynę, przywiedli rzecz ktemu, iż na ślubie (na słowo) z więzienia wyszedł, a przednywać miał stronę; na oczy krolewskie, aż przednawszy, nie przychodząc; a ieśliby się strona iedną nie chciała, tedy do takowego zaś więzienia wrócić się miał. W tém gdy za łaskawe staranie panu Maciejowskiemu dziękować począł, strzymać dalej śmiechu drudzy nie mogli, rzecz się wszystka odkryła. Skotnicki mimo strach, którym go dobrze było nakarmiono, jeszcze się długo wstydzić musiał, gdy to ten, to ów, łańcuch a pęta wspominał.

„Więc, iż go tym często drażniono, często też y on o tym myślił, iakoby ten żart Pukarzewskiemu oddał. Owa raz, w rok podobno potym, obaczył Pukarzewskiego podpilego, y uprosił do swoiey gospody; a tam dognawszy go do upaści, iż ręką y nogą władać nie mógł, y pacholę jego (bo tylko to na ten czas Pukarzewski miał przy sobie), po sługi do gospody posławszy, Barwiera wnet, któremu ufał, przyzwał, i rozkazał mu, aby Pukarzewskiemu śpiącemu, pół gęby załawty (plasty) zaprawił. Barwierz posłuszny, wnet to sprawił, załawty wargi spoił, plastr przyłożył, chustami obwinął głowę, y przeniósł go na inną lepszą pościel, którą tamże w izbie Skotnicki posłać był rozkazał. Przyida

potém słudzy z pacholęciem nie rychło (bo daleko gospoda była), widzą iż pan z zawitą głową leży, a barwierz instrumenta zbiera, a maści chowa; pytaią coby się działo? Powiedzą im drudzy (bo sam Skotnicki żalując w rzeczy przygody oney, płakał, w głowach u Pukarzewskiego siedząc (iż ten a ten), który tamże był, niż chłopię po sługi odeszło) Pana im przez twarz ranił. Słudzy, acz się mścić onego chcieli, ale iż nie było wiedzieć, gdzieby się winowayca schował, sam też Skotnicki powiedział, aby dali pokój, ponieważ pana ich jest zło, że się sam, wyzdrowiawszy, pomścić może, zaniechali wszystkiego. Y tak iedni zostali przy panie, drudzy odeszli do gospody. Potym w nocy ocuci się Pukarzewski, obaczy tak łeb zawity, i rzecze pół gębkiem: Ki diabeł, cóż mi się stało? Chłopiec, jesteś tu? rozświeć. Wnet się chłopiec porwie, idzie do Pana, i pyta: Co W. M. raczysz, abo W. M. źle leżeć? Odpowie Pukarzewski: Ba, dobrze mi leżeć, ale mi to ki dyabeł w gębę? Chłopiec odpowie: A za W. M. nie pomnisz, iż W. M. wczora ten a ten ranił? Zaś Pan: Ja tego kęs jeden nie pomnię, ani czuię aby mnie bolało. W tém, rzecze chłopiec: Prze Pana Boga, nie racz W. M. wiele mówić, bo nam barwierz rozkazał, abyśmy z tego W. M. upominali. Także gdy przyidzie dzień, pyta, iako się to stało? Powiedzą mu rzecz wszystką zmyśloną; a chłopiec jego własny onegoż potwierdza, bojąc się, aby go Pan nie bił, gdzieby powiedział, że na ten czas odszedł był od niego. Przyidzie Barwierz do opatrowania, obwinie mu głowę, a Pukarzewski rzecze: Miły Barwierz, namniey mię ta rana nie boli, co się to dzieje? Odpowie Barwierz: Tak to widzi W. M. zmartwiało od razu; ale po trzecim albo czwartym dniu, poczujesz W. M. Zaś powiedział Pukarzewski: A bodaiże go zabito, mógłci wždy gdzie indziey trafiać niż przez gębę; a toć ia mężatek nie miluię, a wždy mię Pan Bóg takową raną nawiedził. Barwierz poszyplawszy trochę, wpuścił knot między zalawty, przyłożył znowu

plastr, zawinał, y rzekł, aby mu dał od wczorayszey pierwszey oprawy. A Pukarzewski wnet parę czerwonych złotych dać mu rozkazał, y prosił, aby go rychło wygoił. Odpowiedział Barwierz : Dali Bóg, W. M. rychło zdrów będziesz, iednoby Panie mówić nie trzeba; y z tem odszedł. Przyidzie czas obiadu, mięsa ieść nie śmie, aby żwaniem nie poruszył hawotów: także się trochę kontuzu napiie, i położy. Po obiedzie, przyidą towarzysze nawiedzać, którym iuż był Skotnicki wszystko powiedział, pytaią go na zdrowie; przemówi półgębkiem, prosząc, aby za złe nie mieli, iż mówić nie śmie, bo mi, prawi, zakazał Barwierz. Wyrwie ten to, ów owo, pytać: a on iedno przyzwała głową, a milezy. Owa tego tak długo było, iż się żadną miarą strzymać nie mogli; poczną się śmiać; a Pukarzewski domyśliwszy się, iż to Skotnickiego sprawa, zawoy (zawinięcie) on uderzył o ziemię, a zalawty, rozparzywszy dragant, odjąć sobie kazał. Śmiechu było dosyć, a temu zwłaszcza, że on więcey barwierzowi wierzył, niż sobie, czując to, że go kęs ieden nie bolało“.

A nad to już większej uciechy być nie może, kiedy kto figiel taki dobrze opowiadać umie z zręcznem do tego „konterfetowaniem“ osób. Dziwna rzecz. z talentu tego wielką w swoim czasie miało sławę dwóch ludzi, którzy się nam na to nie wydawali, kanclerz Ocieski i hetman Tarnowski. Trudno wyobrazić sobie poważnego Ocieskiego, którego Orzechowski tak pięknie opisuje mówiącego od króla, jak stroi figle i udaje ludzi; jednak Górnicki opisuje facecyę jego, którą był zrobił w Wenecyi Tęczyńskiemu, kiedy w mającego wstręt do kotów wmówił, iż go w gospodzie cały czas kotami zywiono.

„Słyszał kto kiedy z W. M. pana Jana Osieckiego, podkomorzego krakowskiego, a ochmiśrza królowej Jój M. starój, powiadając o panu Tęczyńskim podkomorzym sędomiernskim, iako w Wenecyey wmówili byli weń, iż

ziadł kotek kociec (kojec), których pan Tęczyński nie tylko widzieć, ale wrzasku ich słuchać żadną miarą nie mógł; mogli to rzec kto (acz podobno nie dziw, bo człowiek iest dziwnie wymowny y mądry), trefniey powieść, iako on, gdy pana Tęczyńskiego gniew pokazuje, słowa zbiera, lamentey wyczyta? Nakoniec tego dokłada, iako Gospodarz po objedzie przyszedł z rejestrem (bo tego dnia pan Tęczyński z Wenecyey wyjeżdżał), a w tym rejestrze nie było wyliczanie rzeczy, które się iadły abo piły, ale tylko tak stało: Obiad w niedzielę kosztuie tak wiele; wieczerza w poniedziałek tak wiele. Owa, ile który obiad, abo wieczerza kosztowała, tyle z rachowanego summa, przy każdym dniu stało: a przed numerem było to słowo włoskie: Costa. Więc, iż był po włosku pisany rejestr, wzięwszy go sam w rękę, kazał, aby mu kto z Polaków, co tam byli, na polskie przetłumaczał. Y uyrzawszy z prędką Costa, pytał zaraz: A to ki dyabeł? Powiedział mu ten, co go najbliżej siedział: To prawi, za białego kota, to za burego, to za czarnego kota. Skoro to usłyszał pan Tęczyński, uderzył rejestrem o ziemię, a do korda się na gospodarza targnął“.

Facecya dobra, a Górnicki dodaje, że napisana wydać się nie może, ale kiedy ją pan Ocieski sam opowiada, a do tego Tęczyńskiego udaje, to wtedy robi się rzecz bardzo trafna. Podobnie, jak kiedy pan kasztelan krakowski opowiada o jakimś Morawskim szlachciu, który się bał wyjść na pojedynek i strach i opór jego udaje.

Jeden jeszcze na żart i dowcip hamulec, to żeby on nigdy czei kobiety nie tykał. To gdy dodał pan Kostka, najmłodszy z towarzystwa i przy każdej sposobności gorliwy pći pięknej obrońca, zwraca się rozmowa i schodzi na kobiety, a wielbiciel ich, młody Kostka, dostaje rozkaz, żeby tak opisał doskonałą panią, jak inni przed nim sformowali doskonałego dworzanina. Jest to wierne naśladowanie Castiglioneego; u tego trzecią księgę zajmuje la Donna del Palazzo,

Górnicki w trzeciej także opisuje, jaka ma być *dworna pani*; naśladowanie szczęśliwe, bo pozwala nam poznać niejaki wyobrażenie o tem, jak przodkowie nasi pojmowali kobietę miłą i ujmującą, kobietę, która im się podobała, w której się kochać mogli. Tak mało o tem wiemy, tak trudno nam wyobrazić sobie ich stosunek z kobietami i wogóle kobietę polską owego czasu, że wszystko, co rzuca jakiegokolwiek światło na tę stronę życia, na miłość, na środki podobania się, na zalotność owego wieku, jest bardzo pożądane i ciekawe.

II.

Trzeba powiedzieć, że nakreślony w Dworzaninie obraz kobiety, pojęcie tego, co mężczyzna jej jest winien, czego od niej żądać ma prawo i czem ona podobać mu się może, daje wysokie wyobrażenie o ówczesnych mężczyznach i wychodzi na ich chwałę. Obrońca płci pięknej, młody pan Andrzej Kostka, może ma jakie szczególne powody wdzięczności dla tych, których sprawy broni, bo on to, uznaniem wszystkich rozmawiających, jest wzorem męskiej piękności i dworskiej układności; ale też we czci kobiet, w wysokiem mniemaniu o zaletach ich duszy i zdolnościach ich rozumu nad niego wznieść się trudno. A to nic nie szkodzi, że są złe języki, Bojanowski i Lupa, którzy mu się sprzeciwiają, szkalują kobiety i szarpią ich sławę: to widocznie tylko materiał do dyskusyi, sposobność zwycięstwa, a Górnicki choć mówi na pół żartem, że znajdują się Polki chytrzejsze od najchytrzejszej Włoszki, widocznie tak myśli o kobietach jak Kostka, skoro po dyspucie ten zostaje na placu pobiwszy przeciwników.

Są więc rzeczy, które *dwornej pani* tak dobrze jak i dworzaninowi przystoją, jako to „szlachcianką się urodzić, strzedz się wydwarzania, mieć wdzięczność we wszystkim co pocznie, mieć dobre obyczaje, umieć nie mało rzeczy, mieć dowcip wielki, dobre baczenie, nie być hardą, zawistną, plotką, kłótniwą, swarliwą, kłamliwą, sprośną, ni o kim źle nie

mówić“, ale różnie jest też wiele między niemi. Co do piękności naprzód, tej białogłowie bardziej potrzeba, aniżeli mężczyźnie, a w postawie, w słowach, w postępkach ma być od niego różną, „bo jako mężczyzna ma to w każdej sprawie pokazywać, iż jest jako dąb, tak zasię w białogłowie ma być coś pieszczonego, w miarę przystojnego żeńskiej niedużości, aby w staniu, w chodzeniu, w mowie, i cokolwiek pocznie, nie było w niej znać nic mężczyńskiego“. Taką „w miarę pieszczoną“, miękka, w każdym ruchu i słowie kobiecą i pełną wdzięku, wyobraźnia nasza wystawia sobie królowę Barbarę naprzykład, i zapewnie nie chybia w domysłach, bo kiedy te przymioty i wdzięki były znane i cenione, to przypuścić trzeba, że musiały być w tych kobietach, których wdzięk tak czarował współczesnych, że pamięć jego przeszła do potomnych. Ale idźmy dalej.

Że kobieta ma być cnotliwą, mężowi wierną, dzieciom dobrą matką, zbytecznie mówić; ale jak ma utrafić w to, żeby żyjąc w świecie cnoty swej i sławy nie narazić, a nie być surową, żeby ją każdy szanował i nie złego o niej pomyśleć nie śmiał, a przecież, żeby była i swobodną, i przystępną, i rozmowną, słowem, jak ma stąpać po *dem schmalen Pfad des Schiklichen* i jak się na nim utrzymać?

Od tego ma kobieta zacna i rozumna jakąś wrodzoną „mądrą powagę“, która wszystkie jej słowa i uczynki cechuje, a sprawia, iż ją każdy czcí i dobrze o niej myśleć musi. W czem ta powaga polega i czem się objawia? oto tem na przykład, że „kiedy się jej trafi być przy jakiej rozmowie niebardzo statecznej, nie wnet się porwie i wstanie, ale słucha niechętnie, ze wstydem, i daje poznać, iż jej ta rozmowa nie w smak. Także też chcąc się popisać bezpieczną a kunsztowną, niechaj sprośnie a niewstydliwie nie mówi, bo z takiego bezmiernego bezpieczeństwa radzi się ludzie źle domyślają, chociaż czasem białogłowa winną nie będzie“. Inne, rade słuchają obmowy, a zwłaszcza o drugich kobietach, i mężczyzn na rozmowy takie wyciągają i przed światem powtarzają. Kobieta stateczna, „kiedy co takowego o drugiej białogłowie usłyszy, niechaj się raczej zasmuci niż

rozśmieję, nie wierząc onej powieści. Kiedy pójdzie w taniec, nie zda mi się, aby wartkim skokiem zbytnią ochotę pokazywać miała, ale niechaj tak tańczy, iżby było znać jej niedużość i przyrodzoną pieszczotę“. Kiedy się ubiera, niech w ubiorze „pierzchliwości żadnej znać nie będzie, ale cudności przystojnie pomódz wolno. Na to potrzeba dworskiej pani, aby sama siebie dobrze znała, czem się ozdobić, czem oszpecić może:

„Bo ieśli wesolej twarzy, cudności żywey będzie, musi już stósować się k'temu, y wesolej, świetnej masei używać. Jako druga, która poważna jest z przyrodzenia, wiele przysporzy sobie oney powagi, ubiorem y obyczajami do tego sposobnemi. Takież też będącili albo przytłustszym trochę, albo przychudszym, zasię białą, bladą, albo śniadą, iżby na to znalazła oblig; nie farbą, nie wódkami, ale ubiorem, ochędóstwem, aby sobie pomogła, lecz tak skrycie, tak nieznacznie, iżby się tak zdało, że nie dba uamniey o ochędóstwo. A owo zasię iako sproсна rzecz, kiedy dobra pani czegoś tak wiele na twarz nakładzie, iż się zda jakoby była w maskarze; ani się śmie rozśmiać, aby się iey na twarzy nie złupała, ani się obeirzy, chyba wszystko sobą, iako wilk, ani się zapłonie, zawždy jednaka, oprócz rana; przed ubieraniem może się co odmienić, to potem gdy się ubierze, iuż iako drewno stoi, a czeka łoiwego słońca, iako Moskwa czasu na przedanie soboli. Wielka tu różność iest iedna od drugiey, i nie wiem komuby się tey fałsz podobać, a oney pierwszey pomierne ochędóstwo a szczerosc niepodobać mogła. Przypomnie też y owo, iako białogłowę bardzo zdobią piękne zęby; bo iż nie są tak na widoku, iako twarz, ale więcey czasem skryto siedzą, rzadko inaczey kto rozumie, iedno, że białogłowa mniey się o nie stara, żeby białe były, niż o twarz; a wždy, kiedyby się bez przyczyny ustawicznie śmiała, a tylko dla tego, że to czyni na zchwał, zaczem nietylkoby ona piękność zębów zgasła,

ale y sama zdałaby się wielką sprośnicą. Takież i rękę, która białogłowa ma piękną a nie popisuje się z nią, ale owszem daje to znać, że nie dba o nią, ani zna tey iey cudności, dziwnie na nią miło patrzeć. Takowąż gracyą ma, a boday nie większą, mała noga w ochędżnym trzewiku, kiedy się trafi, iż ją z przygody ukaże białogłowa, nie z chęci, abowiem tak rozumie każdy z nas, iż to ochędóstwo będąc na tém miejscu, którego abo nigdy, abo bardzo rzadko widzieć się trafi, jest przyrodzone oney białogłowie, nie żeby się na to, dla chluby wydawać miała“.

Ma więc być „ludzką, przyjemną w rozmowie, a iżby tem umiała ucziwie a z wdzięcznością podług czasu i miejsca zabawić każdego“. Co się tycze rozumu, tedy nietylko wrodzonego ale i nabytego z ksiąg Pani tej potrzeba. A przeto ma czytać, ma jaką muzykę przystojną umieć, nakoniec radbych to widział, żeby się niemal na tem wszystkim rozumiała co dworzaninowi umieć przystoi, nie przeto aby tego używała, ale iżby rozeznać mogła kto w czem godniejszy“. Konieć toczyć, choć takich w Polsce wiele jest które umieją, a myśliwych pełno, nie więcej kobiecie przystoi, jak na turniejach szermować lub chodźć za pasy.

„Taka więc białogłowa w wielkiej czci u wszech ludzi być musi, abowiem owa jej mądra powaga z dobrocią złączona, jest jako mocną tarczą przeciwko niewstydlivym wszeccznikom, i więcej sobie człowiek każdy jedno słówko skłonne, jeden najmniejszy znak ludzkości takowej białogłowy waży, niż największe zalecanki, największy pokaz łaski drugiej“.

Mądra powaga z dobrocią złączona, to piękna definicja kobiety jak być powinna, obejmująca wszystko, czego tylko żyćć można, godność i wdzięk, charakter i umysł.

Ale tak gładko pochwała kobiet panu Kostce nie pójdzie. Złośliwy Bojanowski i zawzięty Lupa powstają na niego, dowodzą, że kobiety są powodem wszystkiego złego na ziemi, że w namiętności od mężczyzn gwałtowniejsze, w rozumie słabsze, w postępkach chytne i zradne, zazdro-

sne, zalotne, podstępne, chciwe, nigdy nic dobrego nie zrobiły, że „natura, któraby rada same rzeczy doskonale tworzyła, by mogła, puszczałaby tylko mężczyzny na świat, a kiedy się białogłowa urodziła, tedy się to omyłką albo przez przypadek a nad wolą przyrodzenia dzieje“.

„Hardość białychgłów a chcenie przodkowania, ktemu głupstwo zmieszane z okrucieństwem; bo one staraią się zawždy, aby co naiwięcej sług miały, a iżby wszyscy (gdzieby to mogło bydź) z wielkiej miłości umierając, w proch się obracali, a z tego prochu, żeby zasię człowiek się uczynił, dla tego, aby go powtórę tenże płomień miłości mógł spalić. Więc chociaż też y one podczas miłuią, a wszakoż kochaią się w takowej miłych swych męce; bo tak rozumieią, iż im więcej sług ich iest zbolących na sercu, strapionych na umyśle, którym świat omierzł, iż śmierci pragną, tem większa ich sława iest, że światem rządzą, y mogą swoją pięknością znędzić abo ubłogosławić, dać zdrowie abo chorobę; śmierć abo żywot, temu, komu raczą. To iest ich pokarm nasmaczniejszy y tego tak barzo są chciwe, iż aby go im zawsze dostawało, trzymaią na słowie slugi swe, że ani łaski znaczney, ani nielaski widomey, pokazać im chcą; ale iżby chciwość w nich nie zgasła, frasunek był, a nadzieia trwała, raz się surowie, drugi raz łagodnie stawia, a swey namnijszy pokaz łaski postawą abo wzrokiem, chcą, iżby za nader drogi skarb oni przyimowali“.

„Są ieszcze drugie białogłowy patworniejsze, które dowiodszy tego chytrością swoją, iż każdy z ich sług ma za to, że on sam w miłości pluży, sieią dopiero między niemi zazdrość, iednemu przy drugim większą łaskę pokazuiąc; a kiedy ten zasię mniema, by był na koniu, to go słowy obojętnemi zawieszają, abo nań kluczkę iaką znaią, aby się z nim pogniewać; za którem pogniewaniem iuż pozna, że odpadł od łaski, a inny na iego mieysce wstąpił. Zkąd więc między takowemi

ludźmi zaszcia, poswarki y wiele złego roście: bo człowiek w tey mierze, gdzie miłość dodaie ognia, trudno się ma umiarkować. Ale y to jeszcze u drugich białychgłów mała pociecha, przeciwko tey, do której teraz idę. Gdy mężczyzna ubogi, miłością niepomierną strapiiony, wszystko to uczyni czém rozumiał, że miał pozyskać łaskę a zwyciężyć serce swey miłey, y ona chętnie to przyiawszy, wzajemną nieiaką mu miłość pokazała, tu iednym razem ona, kiedy się miły namięnny nadziewał, bez żadney przyczyny pocnie mu stronić, dając to znać, iż obaczyła w nim w rzeczy odmianę, a daleko różną miłość od pierwszey miłości; gdzie za takową odmianą, bliski kres, a koniec swoiey przeciwko iemu chęci, postawą opowie. Która to iey postawa, tak bardzo zgryzie człowieka, iż aby onego co mniemał że miał w garści nie utracił, znowu służyć, znowu zabiegać, znowu ulatać, iakoby dopieruczko teraz przystał, znowu z chęcią swą wszelakim sposobem popisować się, znowu ciężko wzdychać, znowu rzewno płakać, znowu srodze siebie przeklinać, znowu niezwyčajnie przysięgać, y inne rzeczy dziwne czynić musi, na co wszystko oślepionego miłością człowieka, ten okrutny zwierz, białogłowa, przywiedzie, która iest chciwsza krwie niż tygrys zwierzę“.

Nie mieszają się tem obrońcy. Że kobiety nie rodzą się przez pomyłkę i nad wolę przyrodzenia, dowieść im łatwo; ale dowodzą nadto, że rozumem są mężczyznom równe, a cnotą może od nich wyższe. Niezliczone przykłady bohaterów starożytności i chrześcijańskich świętych służą za dowód, że w odwadze i poświęceniu kobieta nie ustępuje mężczyźnie. A jeżeli tu i owdzie zdarzy się Kleopatra, tedy Sardanapalów jest więcej: owszem złym obyczajom kobiet winne jest najwięcej zepsucie mężczyzn.

„Ale kto może wszystkie sztuki, wszystkie haki, któremi chłopci na białogłowy idą wyliczyć; tak tego

iest wiele, y ustawicznie za pomysłem ludzkim przybywa, iż ani pamięć iednego znieśie, ani ięzyk tey pracy zdoła. A mimo to co kto z swey głowy chytrze wynaidzie, są k'temu ieszcze i księgi, które ucza, jako białogłowę w tej mierze podeiść i zblaznić. Obaczże to W. M. panie Boianowski, jako te owieczki głupie, wabione tak dobrą paszą, od chytrych wilków bezpieczne być mogą? A przeto co za wielka rzecz jest, iż białogłowa widząc człowieka zacnego, urodziwego, gładkiego, obyczajnego, a on kilka lat służy, a on nie myśli ni o czém inném, iedno żeby się we wszystkim podobał, pilnuie, zabiega, ulata z naszczerbieniem zdrowia y z niebezpieczeństwem żywota: widząc niepomierną miłość onę, że też nakoniec serce swe k'niemu przychyli? Wszak kropla wody kapaiąc ustawicznie, nierzkąc te tak gwałtowne młoty najtwardszy kamień zdiurawi; a my się dziwuujemy, kiedy białogłowa zniewolona temi rzeczami ulituie się y uczyni to, czego (iesli tak iest iako W. M. panie Boianowski powiadasz) w krewkości żeńskiej bardziej niż mężczyzna pragnie. Iście to zbrodnia nie iest tak wielka, aby ona niebożatko chytrością chłopią zwiedziona, nie była godna, iesli nie inney łaski, tedy acz nie, tego miłosierdzia, które wielekroć głównicy (zbrodniarze) złodzieje, zoczyńcy, zbóyce, zdrayce, otrzymywaiają. Ale W. M. tak to za nader haniebny występ y srogi grzech kładziesz, że też dla iedney abo dwu białychgłów, którym się kiedy weń wpaść trafi, chcesz wszystkie wobec zhańbić, y za niepowściągliwe udać. A tego WM. nie baczysz, że ich siła iest kamiennego serca, które za statecznością spodziwną, gwałtowniej się miłości sprzeciwia, niż która w morzu skała nawalnym wełnom (falom).

Konkluzya tego wszystkiego jest ta, że

„Zwierzęta leśne lepszy żywot wiada, niż ten, kto bez białychgłów żywie. Abowiem kto lepiey frasuunki

z głowy wybić mężczyźnie, kto ulżyć ciężkość, wzbudzić dobrą myśl, uspokoić serce, osłodzić gorzkość tego świata może, nad samice? Nad to, aza one wielokroć przyczyną nie są, iż się rozum człowieczy ostrzy y śmiałości w bitwie dostaje? Pewna rzecz jest, iż w które serce raz iskierka miłości wpadnie, iuż tam sprosna myśl, boiaźń, nizezemność nie może popasać. Abowiem kto miłuje, stara się uprzeymie, aby go było przez miłować, y strzeże tego pilnie, żeby za czym nietrefnem nie przyszedł we złe mniemanie tam, gdzie o dobre nawięcej stoi: za nic u niego niebezpieczeństwo wszelakie, chromota, śmierć; owa nie masz tak srogiey rzeczy, któreby się nie rad na każdą godzinę poważył, aby to iedno dał zuać, iż godzien iest oney, o którą się stara, miłości. A przeto gdzieby który król mógł sobie wojsko z takich ludzi sposobić, którzy miłując przy bytności białychgłów swych bićby się mieli, chyby nie masz, aby nie miał wszystkiego świata nim zwalczyć, wymuiąc, żeby z takimiz też, bić się temu wojsku przyszło. I to, iż Troja dziesięć lat się opierała wszystkiey Grecyi, niskąd inąd nie pochodziło, iedno ztąd, iż tam było nieco młodych pacholków, miłością ziętych. One wszelakiego pożytku na świecie są początkiem. A iż te miłe a krotochwilne zabawy zginąćby musiały, by nie białogłowy. Abowiem ktoby się muzyki, ktoby tańcu uczył, by nie dla upodobania białymgłowom; ktoby wiersz, abo rym pisał, by nie dla tego, iżby affekt swój, który za laską abo nielaską białeygłowy uroście, nim wyraził. Siła Poet Greckich y Łacińskich, nie mielibyśmy byli, by byli Poetowie wysoce sobie białychgłów nie ważyli. Y teraz, ile się tego na każdy dzień z mądrych głów rodzi, tyleśmy za to enocie, piękności, obyczajom białychgłów powinni, bo na tem Poeta pospolicie, jako na gruncie, wiersz swoy sadzi. A co więtszego, Salomon, z którego mądrością niezyia na świecie mądrość nie porówna, chcąc pod zasłoną pisać głębokie rzeczy o Bogu, uczynił w księgach swych

rozmowę pary ludzi, w wielkiej miłości z sobą. Abo wiem, iż nie widział tu między nami na świecie nic nie podobniejszego do rzeczy niebieskich nad miłość: rozumiał temu, iż za rozczytaniem ięy, mieliśmy nie-iało dochodzić y smakować onych rzeczy niewidomych, które iemu przez rozum a łaskę bożą, widome y iasne były“.

Jest w tem coś więcej aniżeli piękny styl i wymowa, coś więcej aniżeli wiadomość o wychowaniu i wykształceniu kobiet i wyobrażeniu mężczyzn o nich, i ustępy te czynią zadość nietylko naszej ciekawości, ale i narodowej chlubie. Bo niezawodnie miarą szlachetności i moralnej wartości mężczyzn w narodzie, jest ich wyobrażenie o kobietach. Gdzie kobieta jest szanowaną, gdzie jej godność ma powszechną wiarę, tam mężczyzna jest rycerskim, rodzina dobrą i przykładną, społeczeństwo zdrowem. Gdzie zaś kobieta uważana jest nisko, gdzie łatwiej i powszechniej wierzą ludzie w jej złe skłonności aniżeli w jej godność: gdzie cnota jej budzi niedowierzanie jako rzecz wyjątkowa i niepodobna do prawdy, zły to znak, dowód cynizmu w obyczajach, za którym idzie cynizm w pojęciach i przekonaniach wszystkich. Kobieta łatwo stanie się taką, za jaką uchodzi, ale mężczyzna, który taką kobietę filozoficznie przyjmuje, sam się nie opatrzy, jak z tym samym spokojem, z tym samym cynizmem przyjmie rozstrój swojej rodziny, swego społeczeństwa i ojezyny, i samego swego charakteru. Kiedy naród jaki zatraci poczucie wstydu w jednej rzeczy, która wstyd budzić powinna, dochodzi najczęściej do tego, że wszelki wstyd znieść musi; a co najgorzej może, niezem się nie zawstydzi i nie zgorzsy.

Nasi Polacy XVI wieku szanowali kobiety i mieli o nich wysokie rozumienie, to dowód dla nich chlubny a dla nas miły, że byli moralnie zdrowi i w gruncie cywilizowani. Szkoda tylko, że robiąc obraz doskonałej białogłowy, Górnicki nie ilustruje go żadnym przykładem, że nie przytoczy ani jednego nazwiska Pani, któraby ideałowi temu odpowiadała. Czyżby ani jednej takiej być nie miało? to nie do

przypuszczenia, tem bardziej, że on sam ogólnie wspomina nieraz znakomite swego czasu niewiasty. Raczej może domyślać się trzeba, że obyczaj wieku nie pozwalał mu wyjawiać głośno imienia kobiety choćby dla pochwały? chociaż i to przypuszczenie zbić się daje uwagą, że on sam wymienia raz panią Kochanowską, chwalać ją z rozumu i gotowych a dowcipnych odpowiedzi. Co za szkoda, że dojsć nie można, która to z pań Kochanowskich tak mu się podoba?

Od kobiet do miłości przejście łatwe; po skończonej więc ich obronie zaczyna się rozmowa o tem jak dworzanin zasługiwać się ma Pani, w której się rozkochał.

Sztuka podobania się z XVI wieku, jakiś podręczny teoretyczny Don Juan dla użytku dworzan Zygmunta Augusta, to ciekawość niepospolita. Na nieszczęście cała ta część rozmowy zbyta jest krótko i ogólnikowo. Zastrzedz tu trzeba, że nasz Dworzanin tylko się pannom i wdowom zaleca, w dobrym celu, a przynajmniej tak, iż miłość cnotliwy koniec mieć może. A co do sposobu podobania się, niestety tej sztuki pan Derśniak ani pan Wapowski nas nie nauczą. Mówią oni wprawdzie mądrze i uczciwie, że w miłości pierwszym obowiązkiem miłującego jest dyskrecya, mówią ładnie że na wzajemność jest jeden tylko najlepszy sposób: „miłość miłością wymiłować trzeba,“ mówią przezornie, że w początkach dworzanin tak ma nieznacznie i dwuznacznie o swojej miłości z panią mówić, iżby słowa jego i do czego innego ściągać się mogły, żeby w razie złego przyjęcia mógł się cofnąć bez wstydu; ale o fortelach używanych przez ówczesnych Don Juanów nie opowiadają, ani nie bardzo uderzającego i bystrego nie mówią. Najciekawsze jest jak dworzanin zachować się ma względem swojego współzawodnika „towarzysza“ w miłości. Otóż niech się wystrzeże źle o nim mówić, bo ta jego zazdrość czyni drugiego w oczach kobiety cenniejszym. Owszem, dopóki by nie był pewien że go pokona, niech mu nie nie pokazuje jeno życzliwość. Włoska przypowieść mówi „kiedy nieprzyjaciel twój po pas w wodę wpadnie, podaj mu rękę a wyrwij go z niebezpieczeństwa: ale kiedy tak wpadnie iż mu się w gębę łąc

pocznie, nastap na łeb a pograż go do ostatka". Przecież dodaje Górnicki zaraz, że to postępowanie byłoby brzydkie, a do zwycięstwa nad rywalem podaje dworzaninowi swemu sposób szlachetniejszy a może i pewniejszy: „izby bardziej miłował niż towarzysz, chciwiej służył niż on, godniejszym, dzielniejszym, hojniejszym, skromniejszym był niż on“.

Ostatnia księga, czwarta, jest może najpiękniejsza ze wszystkich. Nie tak ciekawa zapewne dla kogoś, co chce wniknąć w drobne szczegóły życia owego wieku, ale uderzająca pięknoscią, a bardzo zajmująca przez to, że daje miarę jak ten wiek przejął się był duchem i formami starożytnego klasycyzmu. U Górnickiego jak u Castiglioniego, ta księga Dworzanina tak wygląda i tak się czyta, jak żeby w jakiś obcy świat i język przeniesiony dyalog Platona. Ten sam sposób pojmowania rzeczy, ta sama w tonie wzniosła prostota, ta sama wreszcie piękność formy. Dworzanin służy tu na pozór tylko, za punkt wyjścia, do którego przywiązują się różne materye oderwane, rozprawy o ideach i ideałach w rodzaju tych, które Sokrates prowadzi z uczniami. Jak on o prawie, albo o piękności, albo o czemś podobnem, tak Włosi Castigliona na dworze Urbińskim, a nasi Polacy w domu biskupim na Prądniku rozprawiają o przymiotach doskonałego króla, o naturze i doskonałości różnych form rządu, lub też zapuszczając się w subtelniejsze jeszcze i trndniejsze kwestye, dochodzą tego czem jest miara, czem piękność, czem miłość w swoim pojęciu najwyższem.

Jest już, od tego zaczynają, opisany doskonały dworzanin, ale na tem nie dosyć. Cóż on z temi swojemi zaletaniami ma robić, czy na to je tylko posiada, żeby wszystko dobrze robiąc nie na prawdę nie robił, czy jest ludziom na podziw tylko a nie na pożytek? Nie; ma on w swoim powołaniu cel i koniec poważny, który gdy spełni, dopiero zadaniu swojemu odpowie, a tym jest, mądrością i godnością swoją wpływać na swojego Pana i kształcić go tak, izby ten pan także (zwierzchny pan kraju) był na swoim stanowisku doskonałym. Jest w tem pojęciu właściwa wiekowi

naiwność; jest wiara, że starożytnych przykładów zaczerpnięta, w takich przyjaciół i mistrzów, którzy formując doskonałych książąt, stają się dobroczyńcami ludzkości. Achillea wychował Chiron, Arystoteles Aleksandra: dlaczego doskonały Dworzanin i dziś wpływem swoim nie mógł uformować wielkiego człowieka? W praktyce dzieje się zwykle inaczej, i historia mało wykazuje takich książęcych mentorów, ale o to mniejsza; autor Dworzaniina sam przyznaje, że trzeba szczególnie pomyślnych okoliczności, iżby się to udać mogło, ale częścią wierzy w ich możliwość, częścią nie chcąc żeby Dworzanin był tylko człowiekiem na pokaz, szuka dla niego jakichś wysokich powołań i obowiązków. W tej części mniej się już o praktyczną stronę rzeczy troszczy, bo mu nie o to chodzi, żeby opisać jakim ma być Dworzanin, ale jakim król być powinien: tamten ze swoim idealnem a trochę utopijnem powołaniem jest pretekstem, ten jest celem i istotną treścią rozmowy.

„Koniec tedy a cel, ku któremu Dworzanin zmierzać ma, ja rozumiem iż jest ten, aby przez te wszystkie przymioty, które się jemu naznaczyły, pozyskiwał tak bardzo sobie łaskę tego Pana, przy którym będzie, iżby mu mógł zawsze prawdę powiedzieć... muzyka, biesiada, taniec, gra i inne zabawy krotocwilne są jakoby kwiaty, to zasię nawodzenie Pana ku dobremu a odwodzenie od złego, jest prawdziwym owocem tego to dworzaństwa“.

Nieprzyjaciele tego nie robią, przyjaciele często przechodzą na podchlebców, a takimi otoczeni królowie psują się i „mają za to jakoby to bardzo łatwa rzecz była królować, a iż ku temu nie potrzeba innej nauki albo ćwiczenia, chyba samej władzy a mocy“.

„A przeto niektórzy, nieradzi widzą prawa, ani sprawiedliwości; bo się im tak widzi, żeby sprawiedliwość, gdyby iey strzedz oni mieli, miała być iako iednym munsztukiem, któryby je pochamować, a poniekąd zniewolić miał, y umniejszyć onego bytu, który z panowania aż do nasycenia maia; aniby się drugi

rozumiał mieć cały władzy, a doskonały z opanowaniem możności, ieśliby mieć powinien był posłuszeństwo enocie, poczciwości, y przystojenństwu, biorąc to przed się, iż ten kto podlega czemu, iuż nie iest zupełnym panem. Przeto ugruntowawszy oni to iuż w swey głowie, a dając się uwodzić temu o sobie wielkiemu mniemaniu, podnoszą się w pychę spodziwną, y ona swą nadętą twarzą, srogością, pompą szaty, złotem, dyamenty, k'temu chowając się niemal wszystek czas na pokoiu, mniemaia, żeby mieli tem przyiść w taką powagę i we wziętość do ludzi, żeby je ledwie nie za bogi u siebie mieli. Ale moiem zdaniem, ci potentaci, są w tey mierze prosto iako owe groby w murze zawieszone; bo z wierzchu owdzie nie piękniejszego, marmur osobny abo miedź, kształt, robota, członki wszystkie człowiecze, ledwie nie lepiej wyrażone, niż kiedy były żywe; a ktoby tam zasię w wnątrz weyrzał, tam niemasz iedno smród, ziemia, proch, a kość zbutwiała. Ieszezę tak rzekę, że w gorszej toni są ci panowie, niż takowe groby. Bo wždy groby, są tak dobrze w mur na fundamencie wprawione, a w wnątrz żelazy ujęte, że wypaść a gruchnąć nie mogą; ale panowie, iż nie mają ani pod sobą gruntu, ani w wnątrz uięcia, za ona wagą a ciężarem, który na sobie nosą, muszą się obalić y klęsnąć, a z iednego błędu w niezliczone błędy wnieść. Abowiem ich nieumiejętność a głupstwo, stowarzyszy się z onem fałszywym mniemaniem, które wzięli o sobie, iakoby nigdy zbłądzić nie mogli, y iakoby ona władza, którą mają, rosła im z rozumu a z umiejętności, przywodzi ich k'temu, że się chwytają za cudze rzeczy. Więc których iest zto, posiadaią państwa; a którzy tyle możności nie mają, swoim poddanym, nie patrziąc na to ieśli słusznie, ich własne majątności biorą a wydzieraią. Ale by się który z nich na to dobrze rozmyślił, y u siebie tak postanowił y zawarł, że trzeba umieć y czynić dosyć swey powinności a zawołaniu, iestem tego pewien, żeby się tak barzo zaparł

o to, aby nigdy nie panował, iako się więc wiele o to stara, aby panował. Boby mu to wždy musiało przyść na myśl, iako szkaradna a szkodliwa rzecz iest, kiedy mają być owce mędrsze, które paść trzeba, niż pasterz, który ie paść ma. Przypatrz się temu każdy, iż nie umieć śpiewać, nie umieć tańcować, nie to nikomu nie wadzi: a przedsię wstydby każdego, kto nie umie kiedyby przed tym kto umie śpiewać albo tańcować miał. A z nieumiejętności sprawowania a rządzenia ludzi, jako wiele złego roście: pobicie, zburzenie miast, więzienie, pożoga, spustoszenie ziemi, iż to może nazwać najsświętszą na świecie y naysroźszą śmiertelnych ludzi skazą; a wždy niektórzy panowie, nie wiedząc nic, co to iest rządzić ludzie, nie wstydzą się, nie rzekę przed czworem abo pięciorem osób, ale przed oczyma wszystkiego świata, sztyrować tego okrętu, do którego wielkiego mistrza potrzeba; ani mają na to baczenia, że na tak wysokiem miejscu zasiedli, iż ludzie wszyscy, nierzkąc wielkie, ale naysmniejsze ich obłądy widzą“.

Żeby więc na to nie przyszło, jakim ma być król? W każdej niemal politycznej lub moralnej książce z XVI wieku jest taki obraz dobrego króla, złożony z wszystkich cnót chrześcijańskich i wszystkich darów Dueha św., obraz po największej części konwencyonalny i nie mówiący. Tutaj postępuje Górnicki tym samym tradycyjnym sposobem, tylko wnika on w istotę tych przymiotów, któremi króla chce mieć ozdobionym; w rozmowach prawdziwie rozumnych i głębokich tłumaczy czem one są i naco potrzebne, a przeto obraz króla staje się u niego piękniejszym i żywszym, jak u innych, a te przymioty same określone są tak mądrze, tak wyczerpująco i prawdziwie, że definicyi piękniejszych trudno znaleźć. Naprzykład kiedy żąda, żeby król był powściągliwym i swoje „affekty“ trzymał na wodzy. Mówiącemu panu Wapowskiemu zarzucają inni, że enota połączona z walką i zwycięstwem nad złym popędem ma więcej zasługi, aniżeli ta, która pochodzi z wrodzonego i stałego umiarkowania.

Wapowski zasługi nie przeczy, dowodzi tylko, że ta stała miara, zwłaszcza w królu, jest dla drugich pożyteczniejszą i lepszą; i tak tę miarę opisuje:

„Który hetman, panie Myszkowski, W. M. się lepszy widzi: ówli który stawi bitwę, a będąc w niebezpieczeństwie, iednak wygra; czy ów, który odiawszy siłę nieprzyjacielowi, przywiedzie go rozumem a fortełami k'temu, iż się bez bitwy poddać musi?

Pewna rzecz, odpowiedział pan Myszkowski, iż ten hetman lepszy iest, który pewnikiem idzie, a bez bitwy wygrywa; by iedno takie pewne zwycięztwo, nie pochodziło z zaięzszego serca przeciwnej strony.

Rzekł zaś pan Wapowski: Dobrześ to W. M. osądził. Otóż ia powiadam, iż powściągliwość iest tak prosto, iako hetman, który bitwę stawi, y mężnie poczynaąc sobie, choć gwałtowne na się będzie miał nieprzyjacioly, iednak ie zwycięży, acz nie bez wlekiej trudności y niebezpieczeństwa. Ale mierność, w której zaburzenia żadnego niemasz, tak iest, iako ten drugi hetman, który bez rozlania krwi wygrywa, y zostaje wszystkim panem. Y tak, gdzie miara iest, nie tylko iż ogień ten żądzy człowieczych utłumi, ale iako ów mądry pan, który w zaburzonem państwie swem, rzeczy bacznie uspokoi, buntowniki karze, a rozumowi zwierchność a władzę dawa, tak ta cnota nie czyniąc gwałtu żadnego człowieczey woli, pięknym kształtem przywiedzie ią do stateczney dumy; która to дума, ku przeciwemu ią skłoni, uspokoi, y w dobrej mierze zachowa, tak, iż niemogąc iuż wola nasza w niczem sobie przeciwną być, ani zaburzenia żadnego uczuć, we wszystkim rozumowi posłuszną się stanie, k'niemu się wszystka obróci, za nim iuż dobrowolnie wszędy póidzie, iako baranek za owcą. Ta tedy cnota jest prawie doskonała, a najbardziej przystoi wielkiemu panu, abowiem wiele innych cnót z siebie wypuszcza.

Jest w tem prawda, jest filozoficzna głębokość, jest jakaś idealna wzniosłość poglądu, i taka majestatyczna a prosta i nieświadoma siebie powaga, że ustęp ten godzi się może uważać za klasyczny, godny wielkich pisarzy starożytnych.

Niemniej piękną jest wtrącona rozprawa o formach rządu, która z nich wyższa, Monarchia czy Rzeczpospolita? Ponieważ mowa o królu doskonałym, pod którego panowaniem dawny wiek złoty mógłby zakwitnąć na nowo, łatwo i naturalnie jest dojść do pytania, który kształt rządu sprzyja lepiej temu celowi, i kwestya epizodyczna nie jest tu włożona bez związku, ale trzyma się dobrze głównych przedmiotów rozmowy.

Gdy więc rzucił ktoś pytanie, którzy ludzie są szczęśliwsi, czy ci, którym jeden rozkazuje, czy też ci, którzy żyją pod zwierzchnością niektórych z pomiędzy siebie wybranych, pan Wapowski oświadcza się za władzą jednego.

„Ja tak dzierzę, iż to państwo szczęśliwsze iest, gdzie król cnotliwy rozkazuje, bo to iest coś podług przyrodzenia. A iесли się godzi te ziemskie rzeczy do niebieskich a wiecznych przyrównać, tedy Królestwo ziemskie podobne iest Królestwu Bożemu. Bo Pan Bóg sam ieden, wszystko to co widzimy y to czego nie widzimy, rządzi y sprawuje. Ale puściwszy to na stronę, patrz na to każdy, iż porządek w woysku, porządek około budowania, porządek około okrętu, wszystek zawisł na iednym człowiecze, który rozkazuje; także y w naszym cieie, członki wszystkie sprawują się tak, iako im serce każe. Nadto, zda mi się, iż to przystoi, aby ludzie tak iednego pana a wodza mieli, iako mają inne zwierzęta, których samo przyrodzenie uczy posłuszeństwa, iako rzeczy nader zdrowey y pożyteczney. Oto Jelenie, Żurawie y inni ptacy, kiedy do ciepłych krain w iesieni lecą, zawždy iednego wodza sobie obierają, za którym idą, y są mu posłuszni. Pszczoły zasię, prosto iakoby rozum ludzki miały, w takiej czci swego króla mają, iako którzy na świecie pod grozą ludzie.

A tak wszystkie te rzeczy, mnie tego poświadczają, że władza iednego człowieka bardziej iest podług przyrodzenia, niż władza abo pospółstwa, abo z pospółstwa wybranych“.

Przykłady pszczół i żórawi mogą nie wiele dostarczyć dowodu, ale przytoczone są tak pięknie i wymownie jak tylko być może, a spostrzeżenie iż wszelki porządek zawisł na jednym człowieku, jest niezmiernie trafne i zawsze stwierdzone. W każdym kształcie rządu nawet republikańskim, zawsze jest ktoś jeden, na którym się sprawy głównie opierają, który im daje ruch, kierunek i wykonanie. Pan Kostka, któremu się zawždy porządek Rzeczypospolitej Weneckiej podobał, odpowiada na to (jak Messer Pietro Bembo w oryginalu włoskim), równie świetną apologią Republiki: w jego słowach słyhać idealny republikanizm starożytnych, republikanizm nieco marzycielski i utopijny niektórych statystów i filozofów XVI wieku, a wszystko co na obronę i chwałę tej zasady powiedzieć można, mieści się w tych krótkich słowach :

„Ponieważ pan Bóg swobodę dał człowiekowi za największy dar na świecie, że nie jest rzecz słuszną, aby onę kto iemu odejmować miał; ani to przystoi, iżby jeden człowiek więcey niż drugi używał wolności, co tam musi być, gdzie królowie rozkazują; bo oni sami tylko są na swobodzie, a poddani pospolicie wszyscy w niewoli. Ale w tem państwie, gdzie nie pod iednego zwierzchnością, ale pod wielu ludzi porządną sprawą ludzie żyją, wždy spólna, a pospolita swoboda być musi. A mimo to, na sądziach, na sesyach, przy rozbieraniu rzeczy wielkich, prędzey się zawždy ieden człowiek na zdaniu swem omyli, niż wielka gromada ludzi. Albowiem gniew, nienawiść, przyiaźń, przychylność, chciwość, łakomstwo, iedną osobę łatwo zawiedzie i ułowi. Ale gdzie osób iest wiele, tam te rzeczy mieysca nie mają; i owszem, iako wielka woda, abo nigdy, abo rzadko się zetchnie (gdzie przeciw temu mała woda lada za przyczyną wnet się skazi), tak

równie wielkość ludzi zgodnych, chyba za skaraniem bożem, począć sobie źle nie może. Coś też W. M. o zwierzętach powiedział, to na pomoc W. M. źle pójdzie; abowiem ani ielenie, ani żórawie obierają tak sobie jednego króla, żeby tegoż zawsze posłuszni być mieli; i owszem odmieniają oni często te pany, iż raz ten, drugi raz ów, naprzód idzie; a tym sposobem rychlej to jest wizerunek rzeczypośpolitey, niż państwa pod jednym królem. Bo prawdziwa a pomiarkowana wolność taka iest, kiedy ten co mnie dziś sądził, iutro przedemną pozwany stanie. Więc ani ów przykład o pszczołach tu nie ma miejsca; bo pszczoły mają króla innego rodzaju, tak, że go jaśnie znać między drugimi. Przeto ktoby chciał ludziom dać takiego pana, iakiby był godzien sam ieden rozkazywać, trzebaby go naleść doskonalszej natury, niż iest człowiecza, iako ma pasterza, nie z pośrzedku siebie niemę zwierzę ale człowieka, którego rodzaj daleko wyższy iest, niż tych, które on pasie. I w on czas, kiedy Saturnus królował, nie kto inny, jedno onże sam, begiem będąc, był pasterzem tak ludzi, iako są dziś ludzie pasterzami bydła. Dla tych tedy rzeczy, ia tak rozumiem panie Wapowski, iż bardziey pragnąć mamy, aby rzeczypośpolita rozkazowała, niż książe, abo król, iedna tylko osoba“.

Tak nieznaćnie od rzeczy potocznych i mniejszej wagi doszliśmy do wielkiego zagadnienia, które od wieków narody i ludzi zajmuje i dzieli. Obie zasady stoją naprzeciw siebie, obie śmiało i dzielnie afirmują swoje zalety i pożytki. Przy której będzie zwycięstwo? trzeba wybrać i rozstrzygnąć. Górnicki nie oświadcza się za żadną z nich, ale za czemś trzecim, za jakimś rządem mieszanym, podobnym do naszego konstytucyjnego systemu. Pamiętać trzeba, że cała ta rozprawa prowadzona jest nie ze stanowiska praktycznego, politycznego, ale z oderwanego, moralnego, filozoficznego: o wyższość zasady chodzi, nie o zastosowanie. Nie trzeba zatem szukać myśli i wartości politycznej w tych rozprawach

ani w tych konkluzjach; autor o to tylko pyta, która forma rządu logicznie powinny być najlepszą. Wobec logiki zatem, biorąc ogólnie, najlepsza zwierzchność jest taka „w której gwałtu ani surowości żadnej nie masz, ale wszystko gładziej a łagodnie idzie. Państwo każde bywa rządzone albo od jednego człowieka, albo pewnej liczby osób z pośrodku ludzi wybranych jako je łacinnicy Optimates zwali, albo od wszystkiego wobec popółstwa.

„Z którego trojga regimentu, każdy jest dobry, póki z kresu swego nie wystąpi, iż z króla stanie się okrutnik a tyran; albo władza, którą mieli panowie enotliwi, przyjdzie w ręce kilku nieenotliwych; albo kiedy chasa, popolitą władzę zagubiwszy, stany, urzędy dygnitarstwa pomieszawszy i zepsowawszy, sama regiment weźmie.

„To jest prawdziwa wolność a swoboda żyć podług prawa“; a takie panowanie jest „kiedy dobrzy królowie poddanym swym podług prawa rozkazują“. Król ten miałby mieć dwie Rady, jedną do spraw domowych i potocznych, nakształt tego jako są nasi posłowie, i drugą starszą z możniejszej szlachty, z którąby o wszystkim mógł radzić. Byle tylko rady te nie były malowane, ale iżby słowa ich szły w posłuch. Wtedy „z Pana jako z głowy, a z szlachty i popółstwa jako z członków stanęłoby całe jedno ciało, a w takim postanowieniu nalazłaby się ona trojaka zwierzchność nad ludźmi, o której się pierwej mówiło, to jest królewska, pańska, i popolitego człowieka“.

To wszystko mówione jest ogólnie, bez myśli o żadnym oznaczonym kraju. Ale są inne rzeczy, które się prawdopodobnie do Polski ściągają, i zawierają myśl jakiejś pożądanej w Rzpltej odmiany, bo nie wszystkie znajdują się u Castiglioneo, ale są przez Górnickiego dodane, naprzykład to co mówi o przewrotności sędziów i złej sprawiedliwości: tu i owdzie trafi się coś takiego co wygląda na alluzję do samego Zygmunta Augusta, któremu dzieło przy-

pisane jest, do błędów, o które go ówczesna opinia oskarżała. I tak, król bez „bożkowania“ (przesady i udania w pobożności), ma być pobożnym i prawowiernym, ma być w obyczajach surowym, jeżeli ma krewnych pomiędzy poddanymi, tedy nie wyszczególniać ich nad drugich łaską swoją, bogactwami i godnościami; astrologią, czarami, gusłami się nie bawić: Zygmunt August wdawał się z guślarzami i czarno-księżnikami. Uwagi te więc przystają do niego, ale zrobione są tak zręcznie, tak dyskretnie i tak uczeiwie, że w nich otwartej nagany jego osoby nie ma, że ani go urazić, ani ludziom jako zganionego wytknąć mogły.

Bardzo mądre, wszędzie i zawsze, a zwłaszcza u nas w Polsce jest to co mówi Górnicki za Castiglionem, że pożyteczna jest państwu, iżby między poddanymi większa część była ani nazbyt bogatych ani bardzo ubogich. Ekonomicznie jest to rzecz dowiedziona, że bogactwo kraju mierzy się podług ilości majątków średnich; ale on żąda tego z powodów nie ekonomicznych, tylko moralnych i politycznych, a bardzo mądrych:

„Bogactwo pospolicie rozpycha człowieka, y uczyni go hardym, upornym, a ubóstwo zasię lekkim, y ku zdradzie skłonnym. Ale w miernym dostatku ludzie, nie mając sobie czego zaiżrzeć, żyją bezpiecznie, a ieden pod drugim dołu nie kopa; a gdy tych będzie większa liczba, będą też bez chyby silniejszy; tak, iż ani bogatym, ani ubogim, rozwieść się nie dopuszczą, iżby albo przeciwko panu, albo przeciwko urzędom buntować się, a rozruch w ziemi czynić mogli. Już tedy y to y co drugiego k'temu, niechayby pan miał za iedno lekarstwo przeciwko temu, żeby poddani nowych rzeczy w państwie zaczynać, aby nowego pragnąć nie mogli; co więc pospolicie czynią, albo dla poprawienia swych fortun, albo dla podwyższenia stanu, albo też chcąc uiść iakiey szkody, upadku, lekkości, za taką odmianą. A ta zła wola niekiedy roście, częścią z nienawiści a gniewu, przez iakie nieznośne od pana krzywdy,

abo zelżenie; prze łakomstwo, łupiestwo, pychę, okrucieństwo y rozpustne życie iego, częścią też, podczas kiedy się pan niedbałością swoją, a opuszczeniem wszystkiego na szrot, u nich zelży, iż go sobie za nic mieć poczną. Ale k'temu nigdy nie przydzie, kiedy pan pozyszcze sobie u poddanych miłość y wziętość, a pozyszcze to oboie tym sposobem sobie, kiedy będzie dobre wywyższał, i pomiernie bogacił, a zasię, gdy będzie mądrze zabiegał temu, a nakoniec by też y surowości nieco przyłożył, iakoby źli a burzliwi ludzie, nigdy w ziemi iego możni nie byli, widząc to, iż łatwiey iest takowym burzliwym ludziom niedopuszczyć urość, niż kiedy już wielkimi urosta, chcieć im dopiero rogów ucierać“.

Prawda polityczna i psychologiczna, która się nieraz stwierdziła w historii i nietylko polskiej.

W końcu, wychodząc z prawidła, że celem każdego panowania jest szczęście, dobra myśl i odpoczywanie poddanych, dowodzi, że wojna ma być zawsze środkiem tylko i to środkiem uczciwym; że król nie o szerokie granice, ale o pokój i szczęście wewnątrz ma się starać, a na to powinien życie swoje podzielić na „kontemplacyjne i czynne“: w pierwszym rozważałby i poznawał u siebie każdą rzecz, zanimby ją rozkazał i wykonania dojrzał, co już wchodzi w zakres życia czynnego. Rozbiera jeszcze różne przymioty króla, jakie mu lepiej służą czasu wojny, jakie czasu pokoju, a w końcu daje trzy różne obrazy króla, wszystkie trzy bardzo piękne. Oto naprzód król wspaniały, jeden z tych, którzy tak olśniewają swoich poddanych i tak na ich fantazyę działają, że im się najczęściej przydomek wielkich dostaje; takiego króla chciałby pan Bojanowski:

„Staralbym się naprzód o to, aby Pan mój był Królewskiego serca y myśli, a zachowywał we wszystkim wspaniałość, nie małego a podłego przed się nie biorąc, ani kosztu żalując, ku ozdobie Majestatu dworu swego. Potém, żeby był rozrywki na rzeczy wszelakie

bystrey; k'temu sprawnym, dzielnym, biegłym w rzeczach woïennych, y tak dobrze biegłym, żeby w tey mierze nikt z nim nie porównał; a temi rzeczami naywięcey niechayby się obiaśnił światu y dostał miłości sławy y tego, żeby każdy człowiek y naiwyższy y najniższy, miał go w wielkiej czci y powadze. Więcbych zaś tego chciał, żeby ta wspaniałość nie była przykra, iedno pomięszana z wdzięczną ludzkością, przystoyną królewskiemu stanowi; iżby y obcy człowiek, y swój podług godności, znał każdy łaskawą twarz, a miłościwe oko pańskie. A w to niechayby tak trafiał, iżby go ani zelżyła zbytńia skłonność, ani zasię przywiodła w nienawiść górna powaga. Rzekłbych też ieszcze, żeby był hojnym w życiu, szczodrym w rozdawaniu każdemu, a nie szczypty, ale całą garścią; abowiem Pan Bóg u hojnych Panów (iako powiedaią) podskarbigim iest. Niechay żeby były częste y kosztowne uczty, tańce, gonitwy. Staynia niechby była pełna osobnych koni, tak dla potrzeby czasu wojny, jakoteż dla pociechy czasu pokoju. Niechby było myśliwstwo wszelakie y każda krotochwila wielkiemu Panu należyta. Wiódlbym go też na to, aby budował, a nie ladaiało, ale z podziwnem budowaniem y wielkością, pałace y zamki iako dla czci za żywota, tak dla wieczney pamiątki po śmierci. Jako czynili starzy Rzymianie, czego y teraz ostatki znaczne są, nietylko we Włoszech, iako w Rzymie, w Neapolu y indziej, ale też y pogańskich ziemach, na które ostatki, kto iedno pojźrzy, musi to rzec, iż ono byli ludzie z plemienia nieśmiertelnego“.

Wizerunek dość podobny do Ludwika XIV naprzykład; to jeden rodzaj króla. Drugi, to król zły, jak żeby żywcem przez którego z filozofów lub historyków starożytnych nakreślony obraz tyrańca:

„Jako beczka póki w niey nie masz, póty nie znać hy gdzie cieć miała, a skoro ią nalecią, alić się wnet z kilku stron sączy, tak źli a skażeni ludzie,

rzadko się czem nieprzystoinem popiszą, aż dopiero kiedy na urząd wniida, a obiedzą się władzey; bo wtenczas iuż nie mają z to siły, aby tak wielki ciężar wielmożności znieść na sobie mogli, przeto zapomniawszy się odehydą od rozumu y wnet poczną używać hardości, gniewu, łakomstwa, zuchwalstwa, y wszystkich innych obyczajów y niecnót tyrańskich. A zatem staną się nieprzyaciolmi cnotliwym ludziom, a łotry będą wywyższać; ani tego zcierpią, aby między poddanymi była przyjaźń, spółka abo towarzystwo; ale będą woleć widzieć między nimi niesnaski, niechęci y nienawiści. Tu wnet naydą takie wyżły, którzyby wszędy wyłowili, którzyby podsłuchiwali, którzyby nosili nowinki, którzyby siać nieprzyjaźń między ludźmi, spotwarzyć, nakoniec y zabić, gdzieby tego potrzeba, umieli; a to dla tego Panowie czynią, aby poddani stracili serce, y za swoyem rozerwaniem a niestworą, nie byli Panom potężni. Zkąd potym wielkie szkody y upadki przychodzą na mizerne ludzie y wielekroć srogie mordy, abo zasię ustawiczny strach, na oneż same tyrany. Abowiem cnotliwi królowie, nie o się sami boią, ale o te, którzy są pod ich mocą; a tyranowie, tychże się samych boją, którym rozkazują. A przeto im więcej ludzi pod nimi, im więcej państw, im się wyższey podniosła ich możność, tem większą liczbę wewnętrznych nieprzyjaciół mają i bardziej się bać o się muszą. Co rozumiecie W. M., w iakim mógł bywać strachu on Klearch tyran, każdy ten raz kiedy wyszedł na rynek, abo na ucztę do kogo, abo na iakie miejsce między wielką zgraię ludzi; gdyż (iak o nim piszą) aż w zamknięney skrzyni, iako wąż w iamie legął. Abo y on drugi Arystodemus na imię, który z własnego łoża uczynił był sobie turmę; bo w pałacu swoim dał był na powietrzu zawiesić komóreczkę małą tak wysoko, gdzie aż po drabinie musiał chodzić, a tam spólne z białogłową swoją miewał łoże, którey matka w wieczór odejmowała drabinę, a rano ją przystawiała. Nędzne to było takie panowanie, a ia-

kiego bogobojnemu panu namniey nie potrzeba; gdyż tego zdrowie za cnotliwemi iego sprawami, miłsze i zdrowsze zawždy u poddanych będzie, niż własne zdrowie ich samych. A przeto dobry król, straży ludzi zbroynych, zamykania niezwyčajnego y inney pieczy około ciała swego zaniecha, a wolny, swobodny, bezpieczny żywot powiedzie“.

Wreszcie król sprawiedliwy, jak być powinien:

„choć ten nie będzie wyższego rodzaju niż jest rodzaj człowieczy, iakoś W. M. o królu pszczoł powiedział, iednakowoż mając on od przyrodzenia dobrego swego tę pomoc, dobre wychowanie, a k'temu rozmawiając często z takim Dworzaninem, iakiego ci Panowie formowali, y rozumem iego będąc nieco podparty, stanie się sprawiedliwym, powściągliwym, mierznym, mężnym, mądrym, hojnym, poważnym, nabożnym y dobrotliwym; prze które wysokie cnoty, wielkiey sławy y miłości dostanie u ludzi, a u Boga znaczney łaski, za którą łaską naturę człowieczą swą w niebieską naturę przemieni, iż go ludzie rychley będą mogli znać ziemskim bogiem, niżli człowiekiem śmiertelnym. Abowiem dierży Pan Bóg rękę swą i kocha się w Paniech, lecz nie w takowych, którzy pokazując wielką możność a władzę swoją, y każąc ledwie nie padać przed sobą, Bogu tem podobni być chcą, ale w takich, którzy mimo tę władzę, za którą mogą to co chcą, sadzą się na to, aby też naśladować Pana Boga w dobroci y w mądrości, dzieląc między ludzie iako dobrzy szafarze te dary, które sami od niego biorą. A tak iako na niebie słońce, miesiąc y inne gwiazdy, pokazują światu iako w zwierciadle iakieś podobieństwo a wyobrażenie Boże, tak tu na ziemi dobrze podobniejszy konterfet jest wszechmocnego Boga, owi cnotliwi książęta abo królowie, którzy się go boją y miłują, a którzy ona iego pochodnią sprawiedliwości ludziom świecą, przy

którey iest cień iakiś mądrości. Z takimi królmi Bóg niewa na poły, uczciwości, przystoięństwa, Świątobliwości y innych błogosławionych dóbr, których ia wyliczyć nie umiem, które to dobra więtsze świadectwo dają mądrości a wszechmocności Bożey, niż słoneczna światłość, abo ten ustawiczny bieg niebieskiey machiny. Są tedy ludzie poruczeni od Boga Panom i poddani ich straży iako owce pasterzom; a Panowie winni mieć pieczę o ich dobre y pocziwe, y cokolwiek na poddanie złego abo dobrego przydzie, rozumieć to maia za swą rzecz własną, a to ma pochodzić z miłości y ztąd też, aby Bogu umieli liczbę dać pasterstwa swego. Przeto Pan nietylko sam ma być dobry, ale y poddane ma przedziałać ze złych na dobre, iako ów sznur z wagą co go murarze używaią, który nie iedno sam prosty iest sobie, ale y tę ścianę prostą uczyni, do którey go przystosuią“.

Nie ma co mówić, ideał króla jest wysoki, a opis mistrzowski: Skarga lub Bossuet nie opisaliby go lepiej. Platon może nie piękniej pojałby tego mędrca, który zdaniem jego królowaćby powinien.

Ale jest dalej, z zakończeniu *Dworzanina*, coś nierównie bardziej platońskiego, a prawie żywcem z dyalogów wziętego, bo nie jedna tam znajdzie się myśl z Biesiady lub z Fedrusa, to wspaniała rozprawa o miłości. RzUCA ktoś, nie bardzo wprawdzie z poprzednią materią połączone pytanie, czy Dworzaniowi w wieku późniejszym przystoi jeszcze miłość. Castiglione odpowiada na to pytanie najpiękniejszym ustępem swojego dzieła, w którym jak w zwierciadle odbija się wiek XVI. Jego zmysł estetyczny naprzód, jego uczucie i cześć piękności; jego szlachetny idealizm i od filozofów starożytności przejęte pojęcie człowieka i jego uczuć; wreszcie jego pogańska nieco filozofia życia, jego skłonność do używania i przekonanie że ma prawo używać. Traktat ten Castiglioneo, to żywy duch grecki zaszczepony w nowożytnej Europie. Miłość jest zbyt spokrewniona z pięknnością, czło-

wiek podeszły a rozmilowany zbyt nieestetyczny, wyobrażenie kobiety pięknej i młodej obok starca zbyt dla wyobraźni rażące, wreszcie rozkosz i szczęście zbyt nierówne, żeby artystycznie usposobiony Włoch mógł starości pozwolić na miłość. A jednak jakże jej zabronić? Niema serca, niema prawa i nie ma filozoficznej zasady. Godzi więc te sprzeczności w ten sposób, że człowiekowi starszemu pozwala kochać, ale wzbrania się zalecać. Miłość mu przystoi, żądza nie: i ta miłość dusz, miłość piękności oderwanej i idealnej, powinna wystarczyć mu do szczęścia, owszem być szczęściem najwyższym, bo przez nią, jak po szczeblach, obie te dusze wznosić się mogą coraz wyżej, aż do poznania i umiłowania piękności najwyższej, powszechnej i wiekuistej, piękności absolutnej, boskiej.

Istry Platonizm; a tem prawdziwszy, tem podobniejszy do starożytnego, że jednak Castiglione wchodzi w kompromis i z mniej wzniosłymi aspiracyami, i zestarzałemu dworzanie, gdyby mu szczęście posłużyło, pozwala pod pewnymi warunkami dojść do *fin al bascio*.

Górnicki poważniejszy, może pobożniejszy, mniej dla natury ludzkiej pobłażliwy, a na wiek i na prawo moralne z większym patrzący strachem i uszanowaniem, powtarza wszystko niemal za swoim wzorem, ale wyrzuca w przerobieniu swoim wszystko, co na namiętność cielesną zakrawa i jej folguje. Robi się z tego jakiś Platonizm wzniosły, a tem wznioślejszy, że wzniosły zupełnie i bez restrykcyi; jest to Platon, ale Platon trzymany na wodzy chrześcijańskim katechizmem, chrześcijańskim pojęciem grzechu. A tak jest poważny i skromny, tak w wyrażeniach nawet surowy i wstydlivy, że opuszcza jedną z najpiękniejszych myśli Castiglione, dlatego, że jej dobrze przetłumaczyć nie można, dlatego, przypuścilibyśmy raczej, że przetłumaczona dosłownie, mogłaby być źle, dwuznacznie zrozumianą. Włoch mówi, że człowiekowi staremu, który kocha, pozostaje rozkosz prawdziwa i wielka, *generar la bellezza-nella-belleza* (płodzić piękność w piękności), a rozumie przeto „tworzyć piękność w pięknej duszy“. Górnicki to opuszcza, może z obawy, żeby

dosłownie przetłomaczone wyrazy te nie były wzięte w innym, myśli jego przeciwnem znaczeniu.

Nie trzeba oczywiście pytać o przystosowanie tych wszystkich rozumowań, ani o możliwość lub prawdopodobieństwo takiej miłości. Abstrakcyę brać trzeba jak i wszystko, jak są, za abstrakcyę. Wszak i Platona nie ściągamy i nie przymierzamy zaraz do rzeczywistości, nie podług tego go sądzimy, jak do niej przystaje. Słusznie więc jest i rzeczoną rozprawę Castigliona i Górnickiego brać jak jest, za abstrakcyę; ale tak wzięta wyda nam się niezawodnie tak wzniosłą i piękną, jak żeby była częścią którego z tych dyalogów, nad które proza całego świata nie ma dotąd nic piękniejszego.

„Naprzód tedy macie to W. M. wiedzieć, iż miłość nie innego nie iest, iedno pożądanie piękności; a piękność nie tylko ta iest, która w rzeczach kształtownie urodzonych albo złożonych, albo uczynionych, ma swe siedlisko, ale i dusza nasza cnotami ozdobiona, iest dziwnie piękną. Y zgodne głosy, albo dźwięki są cudność osobno mają, tak, iż troiaka piękność iest na świecie, a wszystka z dobroci boskiej płynie. Jedna rzeczy widomych, którą oczyma uznawamy, a dwie niewidomych, z których iedney uszyna, a drugiej myślą dochodzimy. Gdyż iedno tem troiem: myślą, widzeniem a słuchem, użyć cudności możemy, a miłość iest pożądanie piękności, toż bez pochyby miłość na myśli, na słuchu, a na widzeniu zawždy przestawa: a innych zmysłów wszystkich do użycia cudności nie potrzebuie. Lecz iż człowiek daley pospolicie zachodzi, a cudności człowieczey, która w położeniu kształtownie członków zależy nie iedno oczyma, ale y innemi zmysły używać pożąda, nie miłość tego przyczyną iest, ale owa cheiwość napelnienia żądy cielesnych, czem ze zwierzęty napół ludzie mają, która cheiwość bywa czasem tak można, iż człowieczy rozum wyszpoci. Otóż kto się takowey cheiwości podda, a piękność promień dobroci Bożej

pokalać umyśli, mając za to, iż kiedy rozkoszy wszemi zmysły używie, aby to było naiwieńsze błogosławieństwo, a uspokojenie umysłu; gdy już k'temu przydzie, że napełni takowy człowiek swe żądze, wszystko inaczej niż mniemał, znajdzie. Bo nietylko nie uczuie onęj zupełney uciechy, iakiey się nadziewał, ale przydzie o iedno z tych dwu rzeczy: iż abo mu omierznie ono, co sprośnie miłował, abo w teiże chciwości zostanie w którey y pierwey, a to co uczuł trochę rokoszy, równie to taka rokosz będzie, iako kiedy się więc owosni choremu, a on wielkim kubkiem piie, a ocknąwszy się, tedy także pragnie, iako y pierwey. Takowa tedy miłość iest nayniefortunniejsza; bo ten każdy, który w niey iest abo nie doidzie tego czego pożądał, abo ieśli doidzie, tedy wszystko złe z tem mu przydzie a dokona oney nędzy, nabyciem drugiey nędzy, ieszcze więtszey niż pierwsza była. Abowiem od początku aż do końca w takowey miłości nie się innego nie nayduie, iedno boleść, męka, trapienie, ciężkość serdeczna tak: iż nikt bledszy, nikt mizerniejszy, nikt smętniejszy, nikt częściecey nie wzdycha, nikt mniey nie mówi, nikt więcey nie płacze, iako ten, kto tak miłwie. A tego wszystkiego złego, zmysły nasze przyczyną są, które w młodych lecich wielką a gwałtowną moc mają. Abowiem ona buiność, która się z młodey a gorącey krwi rodzi, tyle daie zmysłom siły, ile iey rozumowi odeymuie. A zatem łatwiuchno dusza nasza da się chciwościom uwieść, bo iż ona w ciele, iako w ciemnicy siedząc, iest prawym więźniem, a czuie być swoię powinność, aby ciało sprawowała y rządziła, nie mogąc w ten czas przegłądać rzeczy, ani sama z siebie poznać prawdy, musi wszystkiego z rąk od zmysłów patrzeć. A tak im wierzy, przychylną iest, y za niemi, gdzie raczą, idzie, zwłaszcza kiedy mają tyle władzy i dużości, iż onę niebogą, ledwie nieiako nieprzyiaciela, zhołduią. A iż sami ci Panowie zmysłowie są fałszywi, one też fałszem a błędy napełnią. Y ztąd to bywa, iż młodzi

ludzie niemal zawsze tej miłości grubey patrzą, która wszystka iest przeciwna rozumowi y stają się tacy niegodnymi, aby tego błogosławieństwa, które miłość swym poddanym rozdawa, dostąpić mieli, ani w tamtej swoiey sprosney miłości inną roskosz czują chyba tę, którą inne nieme zwierzęta; a przykrością zasię przeciwko tej roskoszy miary nie masz, tak barzo wzbiaią z kłoby.

„Gdy tedy to tak iest, co mniemam iż każdy z W. M. na oko widzi, obaczcież W. M. ieśli się wszystko to inaczey nie naidnie w tych ludziach, którzy doirzałe lata mają. Abowiem ei, gdy krew iuż chłodnąć a buiność przyrodzona ustawać poczyna, iż dusza nie tak iest obciążona cielesną niewolą, ieśli się rozmiłuią piękności y ku niey samey chęć tę swą, którą rozum rządzi, przyłożą, tedy się iście w tem nie zawiodą, aby doskonalni w używaniu piękności bydź nie mieli; a używając iey wszystko dobre im zawždy rość musi, bo cudność iest rzecz dobra y za tem też to idzie, iż prawdziwa miłość cudności, iest wiecee dobra y święta, a ustawicznie wywodzi chwalebne skutki z tych ludzi, którzy rozpustę zmysłów munsztukiem rozumu hamuią, gdzie to daleko łatwiey staremu niż młodemu uczynić przyidzie. Jedno ia tu starego rozumiem nie tego, który iuż sobą nie włada, w którym tak barzo y krew oziębła y wewnętrzne sklepy osłabiały, iż dusza rozpostrzyć swey władzy iuż nie może, ale takiego, u którego rozum przyszedł ku swey zupełney sile, a żywności; bo natenczas iuż sam sobie człowiek pozna i obaczy, że w sobie człowieczych własnych przypadków ma wiele, zwierzęcych przymiotów więcey, a iskierkę iakaś maluczką niebieskiej natury. Za ktorem poznaniem siebie, naidzie tak, iż w iego mocy to iest: abo naśladowując zmysłów zostać zwierzęciem, abo naśladowując rozumu, zostać Aniołem, bliskim uznawcą boskiej piękności. Jeszeze też tego dolożę, iż choć miłość ta gruba, w każdym lecie człowiekowi iest szkodliwa, a wszakoż w młodych ludziach mnieiszą ma nagane; bo ieśli im przynosi szkody, nie-

bezpieczeństwa, niewczasy, frasunki, kłopoty, boleści, nędze, tedy przedsię ten tego zysk iest, iż oni chcą pozyskać łaskę białychłół swych, czynią rzeczy, które, prawda iż się ku niedobremu końcu ściągają, ale wždy same w sobie są dobre. I tak, z wiela gorzkiego, odnoszą troszkę słodkości, a potem za mnóstwem przeciwnych rzeczy, które na takowe ludzi przychodzą, na ostatek uznawają więc obłudliwość swoją, y poniechwiają wszystkiego. A tak, iako każdy ten młody człowiek, który chciwości swe ma na wodzy, a udaie się rozumnie, u mnie iest mało nie aniołem, tak zasię mniey ganić tego, który da się zwyciężyć tey zwierzęcej miłości, ku której z krewkości człowieczeństwa tak bardzo iest skłonny; by iedno w niey będąc, pokazał się być nie lada kim, to iest y obyczajami y dworstwem y wszelaką godnością. A gdy do lat przydzie, iż to wszystko mimo się puści, a wstępując wyższej, zostawi gorące żądze zmysłów za sobą, iako najniższy stopień z tego schodu, którym doysć ieden może prawdziwey miłości. Ale ieśliby do lat przyszedłszy, chował ieszeze on ogień w ozięblem sercu, a chciał rozum swoy, który wtenczas iest zupełney siły, poddać pod moc zemdlonym zmysłom, tam iuż inakszey rady nie masz, iedno takiego wyrzucić z poyśrzedka ludzi, a dać mu mieszkanie między bydłety“.

„Owa, kto się temu chce przypatrzeć, tedy tak naydzie, iż cokolwiek iest dobrego a użytecznego, to każda rzecz ta ma i piękność w sobie. A to nad świat ten, tą tak wielką machineę, którą Pan Bóg ku pożytkowi a zachowaniu w dobrej wierze wszystkich rzeczy stworzył, y możesz być coś cudnieyszego: niebo okrągłe, ozdobione tak wielą iasných pochodni, w pośrzedku ziemia żywioly ogarniona y niezem nie podparta stoi: słońce, które obchodząc ten krąg wszystko oświeca, ziemie do nayniższego na niebie znaku schodzi, a zaś z nienagła odchodzi, a przychodzi lecie ku naywyższemu znakowi. Nuż miesiąc, ten bierze od słońca świa-

łość, podług tego iako blisko od niego, abo daleko chodzi, y drugie pięć gwiazd, z których każda inaczej postępując, tenże bieg w krąg nieba odprawuie; to te wszystkie rzeczy, iako z swej zamierzoney miary nigdy nie wychodzą (bo gdzieby się co najmniej odmieniło, nietylkooby dobre nasze zginęło, ale świat bez pohyby upaśeby musiał) tak też zasię mają taką piękność w sobie y ozdobę, iż rozum człowieczy nie piękniejszego wymyślić sobie nie może. Podźmyż do wyobrażenia nnszego, bo człowiek może być nazwan małym światem: cokolwiek ma w sobie, wszystko w nim iest mądrze uczyniono, a pewnie nie przygodnie tak sam stanął, abowiem namniejszy członek iego, naicieńsza żelka, nailiższa kosteczka, iest mu potrzebna; a ten kształt wszystek człowieczy, przedsię iest bardzo piękny, y nie wiem iesli pożytek więszy, czyli ozdoba ciała iest ze wszystkich tych członków, których używamy. To się też i o onych zwierzętach powiedzieć może. Owo pierze u ptaków, liście i różeczki na drzewie, co natura dała obojgu temu, ku potrzebie i zachowaniu swojej istności, a wždy y to ma wielką cudność w sobie. Ale nie patrzmy na przyrodzenie; patrzmy na to, co człowiek rozumem, a ręką, urobi. W okręcie, a co iest potrzebniejszego iako maszty, iako żagle, iako powrozy co to trzymają? A wždy te rzeczy mają tyle ozdoby w sobie, iż kto na to patrzy, mniema, aby tak wiele dla pożytku, iako dla napasienia oczu było to uczyniono. Filary kształtowane trzymają na sobie w kościołach wysokie sklepy, y niemniejsza z tego iest oczom uciecha, niż pożytek kościołowi. Kiedy naprzód ludzie budować poczęli, wywiedli na domiech wysokie dachy, nie dla tego, aby się dom zdał ozdobniejszy, ale iżby łatwiey deszczowa woda ściekać mogła, a dach się nie kaził; a wszakoż ku temu pożytkowi, wnet y ozdoba przystąpiła, tak iż owe dachy co ie Włoskiemi zowią, a nie są, y stoją by kominy, abo studnie nie pokryte, nigdy tey piękności, tego kształtu ani pożytku nie mają;

bo ogniowi czym innym a nie tem oszpeceniem, zabieżećby się mogło. A tak piękność wszędzie tam ma miejsce, gdzie ma być co dobrego; y dla tego odtąd więc zawždy chwalić poczynamy, mówiąc: piękny dzień, piękne niebo, piękna ziemia, piękna rzeka, piękny kraj, piękny las, piękna łąka, piękny sad, piękne drzewo, piękne miasto, piękny kościół, piękny dom, piękny poczet, piękne woisko, y daley. Owa się każda rzecz pięknoscią zdobi, y jest, iakom pierwey powiedział, nie oddzielona od dobroci, zwłaszcza w człowieczem cieles; bo takowey cudności inna przyczyna nie iest, iedno piękność duszna; a taż iest istotną dobrocią, bo dusza mając cząstkę iedną prawdziwey cudności, to iest tey, która od Boga płynie, rozświeca y czyni każdą rzecz piękną, którey się iedno dotknie; zwłaszcza iesli ciało to w którym mieszka, nie iest z tak grubey a podłej materyi, iżby dusza na niem wyrazić swego wzoru nie mogła.

„Aby dworzanin do tey napaści był co naidaley, a mógł użyć piękności bez wszelakiego serdecznego bólu, potrzeba tego, aby uważyl u siebie, iż piękność a ciało, są różne rzeczy; a iż są różne, więc tę chęć którą będzie miał ku upodobanemu ciału, niechay za pomocą rozumu odeymie od ciała, a przyłoży ją ku samey szczerey piękności, formując one w swey głowie tak bez ciała, iako z nieba od Boga pochodzi. Y dopiero w takiej piękności, niechay się kocha, tey niechay się iego serce rozmiłuje, y wpoysródku u siebie da iey gospodę, aby tam ustawicznie mieszkayąc, nie tylko na wieczność, ale ani na chwilę nigdy zginąć nie mogła. A to kiedy będzie, tedy ten Dworzanin nie młody, nie uczucie żadney gorzkości, ani ciężkości serdeczney, iaką młodzi ludzie niemal zawždy czuią, iako iest niewiara, gniew, podeirzenie, boiaźń, desperacya, i inne zapalczywe skutki, wścieczeniu podobne, które wielekroć przywodzą ludzie k'temu, iż drugi nietylko targnie się ręką na tę białogłowę, którą umiłował, ale

y siebie sam o śmierć przyprawi. Gdzie przyspiałe lata, y takowa miłość samey cudności, nigdy na ten błąd, a zamieszanie głowy nie podwiedzie; ani Dworzaninowi do tego przyidzie, aby on przeprawie czynić mężowi, oicu, bratu, abo przyiaciołom tey, którą kiedy umiłue, takież y oną samę o złe sławę przyprawić miał; też y tego nie będzie potrzebował, aby mógł pohamować język, oko, żeby się nie wydało; tako to więc drugiemu z wielką pracą a ciężkością przychodzi, gdy miłość pokryć chce. Tęskność też owa, którą miewa człowiek z odiechania od miłej swey, nigdy nań nie przypadnie; abowiem miłą swą, to iest piękność onę w sercu, iako drogi skarb zamkniętą, wszędzie gdzie się obróci poniesie z sobą, a jeszcze ią może (ze wszystkich cudnych ciał co piękniejsze sztuki biorąc) dobrze cudniejszą w swey głowie stworzyć y uformować, niż w rzeczy będzie. Ale ten wszytek pożytek, aczkolwiek iest wielki, wszakoż z tym pożytkiem, iaki teraz pokażę, nigdy nieporówna; którego będzieli chciał Dworzanin doić, musi z tych opłotków wyniść (gdyż to iest, iako przywiązany być do iednej tylko rzeczy), a od obaczenia cudności w iednym cieie, postąpić do obaczenia cudności we wszystkich na świecie rzeczach, i ztąd dopiero przyiść do onej iedyney, istotney, a najwyższej, od której wszystkie piękności swą piękność biorą. A zatem iuż nie cudności upodobaney, ale cudności nieogarnionej, która wszystkiemu światu świeci, niechay się rozmiłue; do tey wszystkę myśl y serce niechay przyłoży; na tę samę niechay patrzy, nie oczyma cielesnemi, bo te na niebieską światłość patrzyć nie mogą, lecz oczyma dusznemi; gdzie potem dusza zapaliwszy się miłością piękności Bożej, z Anioły się zbraci a nietylko iuż zmysłów odstąpi, ale bystrości rozumu mało będzie potrzebowała, iako ta, której wszystkie rzeczy skryte, widome a iasne będą, co przedtem zakążone (splamione) cielesnemi ciemnościami oczy mając, pod zasłoną, a iako we śnie widziała. Je-

śliz tedy ta piękność, którą oczyma śmiertelnemi tu na ludziach widzamy (która ani tego przyrównania doszła, iakie iest świece do słońca, ale iest prosto cień iakiś piękności) zapala serca nasze, y przynosi taką uciechę, iż więc drugi nie nad to miłszego nie ma, cóż tamta niebieska, na którą patrząc Aniołowie są błogosławieni? Możeż być przyjemniejsza miłość, miłszy płomień, nad ten, który się z widzenia naiwyższej piękności rodzi? Wiem pewnie, iż iako tey piękności żaden ięzyk wysławić nie może, tak też ani roskoszy, którą te szczęśliwe dusze mają, co ku widzeniu oney do nieba przysły, nikt wypowiedzieć nie umie. Abowiem ta piękność początkiem iest y studnią, z której wszyscy czerpią, a iey przedsię ani ubywa, ani przybywa, ale w swej mierze ustawicznie stojąc, wszystkim na świecie pięknym rzeczom, swey piękności używa; bo przez się piękności miećby nie mogły, iako ta niebieska piękność, przez się sama, y od siebie, piękność ma nieprzyrównaną, wieczną, szczerą, a nie odmienną. Taż to jest piękność, od naywyższej dobroci nieoddzielona, która swą światłością wzywa y ciągnie ku sobie wszystkie rzeczy. Ta daje Aniołom istność, ludziom rozum, zwierzętom zmysły, ziołom moc, kamieniom własność. Ta wzbudza umysł nasz, a budzeniem lubość czyni, y ztąd gwałtowną miłością zapala. Więc ta miłość tem wyższa y szczęśliwsza iest niż inna, im szlachetniejsza to rzecz iest, która one w nas zaczyna. A przeto, iako ogień ten wiadomy, odgania od złota plugawość, y ono na wybór dobrze czyni. tak ten ogień niewidomy a święty, sprośności duszne, y to co w nich iest śmiertelnego wypala y gubi, a ożywia to wszystko, co byli zmysłowie umorzyli y podeptali. Tenżeć to iest on stos drow, na którym Herkules, iako Poetowie piszą, na górze Oeta zgorzał, a przez takie zgorzenie policzon iest między nieśmiertelnymi. Tenże to iest kierz (krzak) on ognisty Mojżeszów; one rozdzielone ięzyki, iakoby

ogień y wóz palający Eliaszków, który łaski y błogosławieństwa przysparza duszom tych ludzi, którzy są tego godni, aby go widzieli natenczas, kiedy ciemności nazad zostawując, do nieba leci. Obróćmyż tedy myśli wszystkie y sily duszne nasze ku tey najswiętszej światłości, która nam drogę do nieba pokazuje, a za tą, zewlekłszy z siebie żądze y chciwości cielesne, w któreśmy się tu na ziemi oblekli, po téy drabinie, która na spodniem szczeblu ma cień iakiści, idźmy aż do onego naiwyższego gmachu, gdzie niebieska, pożądana, a istotna piękność mieszka, która w tajemnem zamknięciu u Boga naywyższego iest dlatego, iżby tylko święte oczy patrzeć na nią mogły. A tu dopiero ostatni y błogosławiony kres i koniec najdzim naszym żądociom. Tu odpocznie każdy z prac ziemskich. Tu wytchnie z nędz, w których opływa człowieczy żywot. Tu się uleczą cielesne choroby. Tu będzie naipewniejszy port nam wszystkim, którzy na świecie, iako na rozniewanem a niebezpiecznem morzu mieszkamy. Ale któż może miłość niebieską tę, która z piękności, z dobroci, z mądrości Boskiej się wznieca, doskonale chwalić; Ona wszystkie części świata spaia; ona przyczyną iest iż niebieska zwierzchność ziemską sprawuje; ona odwraca umysły ludzkie od bezpieczeństwa, a przywraca ie Bogu, iako tey studni, z której wyszły; ona żywiły jednoczy; naturę spasabia k'temu, iż wypuszcza wszystko z siebie, i zachowuje każdy rodzaj w istocie swojej: ona rzeczy rozproszone zgromadza, niedoskonałym doskonałość, ziemi owoc, morzu uspokojenie, niebu światłość ożywiającą daie; z niesprzyjaźliwych sobie rzeczy, sprzyjaźliwe, a z niepodobnych do siebie, podobne czyni; ona iest matką rozkoszy, pokoiu, cichości, dobrotliwości, a wielkim nieprzyjacielem nieludzkości, y obrzydłej gnusności; ona iest y początkiem y końcem wszystkiego dobrego.

„Gdyby Bogowie z Olimpu mówili ludzkim językiem, mawiał świat starożytny i humaniści z epoki odrodzenia, to mówiliby językiem Platona“.

Gdyby ci mędracy i filozofowie, którzy w nieśmiertelnej piękności i powadze stoją zebrani razem w „Szkole Ateńskiej“ gdyby ten Platon i Aristoteles, którzy widocznie weszli pod ten wspaniały portyk prowadząc jakąś między sobą rozmowę, przemówić mogli, jak mówiliby oni i o czym? Patrzącemu na wielki fresk Rafaela nieraz nasuwa się to pytanie, Do rozwiązania zagadki pomaga to zakończenie *Dworzanina*. Gdyby te postacie, najszlachetniejsze dzieci epoki odrodzenia, rozmawiały między sobą, byłaby to jakaś rozmowa, w której filozofia starożytna łączyłaby się z pojęciami chrześcijańskimi, żeby dochodzić wzniosłych prawd o człowieku, o jego duszy, o związku jej z nieskończonym dobrem i nieskończoną pięknnością. Treścią byłyby te rozmowy podobne do tych, które prowadził Michał Anioł z Wiktoryą Colonną w kościele św. Sylwestra, formą do dialogów Platona. A z jednymi jak z drugimi wiele podobieństwa ma ta rozprawa Castiglioneo o piękności i miłości przez Górnickiego powtórzona. Najszlachetniejsze, najwyższe umysły tego wieku, najwznioślejsze, jego kreacye, filozofowie Rafaela, mogliby w ten sposób między sobą rozmawiać.

A więc, na ostatek, czemże jest ten *Dworzanin*, czego uczy lub dowodzi? Dowodzi naprzód tego, że język polski, kiedy nim kto tak jak Górnicki pisać umie, jest tak piękny, tak szlachetny, ozdobny w swoich formach, w wyrażeniach tak nieprzebrany, dosadny i szczęśliwy, iż żadnemu z nowożytnych języków zazdrościć niema czego. Powtóre, uczy ta książeczka, że nasi starzy Polacy w złotym wieku byli to ludzie, którzy umieli znać i cenić wszystkie te małe ale szlachetne obowiązki człowieka względem człowieka, bez których związek między ludźmi stałby się nieznośnym lub zgoła niepodobnym, jakimi są grzeczność, delikatność, wzgląd na drugich: wiedzieli, że człowiek nie powinien być

drugim przykry, a rozumieli, jakim sposobem może im stać się miłym. Dalej wszystkie te „regułki“ dobrego wychowania i smaku jakie podaje Górnicki, przystają wybornie do naszych dzisiejszych pojęć i obyczajów, i gdybyśmy na lepsze ich określenia zdobyć się potrafili, to lepszych nie potrzebujemy. Cóż to oznacza? oto, że regułki te, te prawidła wzajemnych między ludźmi towarzyskich stosunków, skoro się zmieniają tak mało lub wcale, muszą nie być czczym tylko i dowolnym wymysłem. Takie jak były za Górnickiego, takie są dziś po trzech wiekach, a sto lat przed Górnickim, kiedy dla królowej Elżbiety spisywano rady o wychowaniu księżęcia, wiedziano i mówiono to samo prawie, co mówił Górnicki i co byśmy dzisiaj powiedzieli. Ta stałość i trwałość pewnych pojęć i prawideł, musi przecież dowodzić, że w nich jest prawda, że one odpowiadają naturze ludzkiej i z niej są wzięte. Ale pomijając tę stronę *Dworzanina*, i wracając do jego wartości historycznej, dodać jeszcze trzeba, że jako pomnik najwyraźniejszy życia towarzyskiego w Polsce owego wieku, przedstawia nam naszych przodków jako ludzi, którzy warunki tego życia dobrze rozumieli, którzy chcieli, żeby ono było godnem, rozumnem i przyjemnem, przedstawia ich jako ludzi prawdziwie i szlachetnie cywilizowanych. „Humanizm“, który wiek ten wziął sobie za hasło, nie ten naturalnie, który pozostał w jego pismach, ale ten, który przeszedł w jego obyczaj i życie, odbija się jak w zwierciadle w tej książce, która jest jak żeby pomnikiem, dziełem pamiątkowym na uwiecznienie i uwidocznienie związku ówczesnej cywilizacji w Polsce z zachodnią, a mianowicie z włoską. A jeżeli zmniejsza to naszą chlubę i przyjemność, że dzieło to jest tylko naśladowaniem obcego, to na pociechę powiedzieć sobie możemy, iż się w niem dość jeszcze właściwości polskich odbiło, a te, które się odbiły, świadczą pod niejednym względem o wyższości ówczesnej Polski nad Włochami. Nie pod względem intelektualnym oczywiście, ale moralnym. Dworzanin polski jest od włoskiego w obyczajach i mowie poważniejszy. Tamten zabawia kobiety żartami lekkiemi, których ten w gronie samych tylko mężczyzn sobie

nie pozwala: tamten pobłaża swojej „lascywii“ i skłonności do używania, ten, samo zalecanie się kobiecie zamężnej a nie dopieroż stosunek miłosny z nią, uważa za zdrożność; tamten przede wszystkim ma uwagę zwróconą na własne powodzenie, zawód i pokaz przed światem, ten na pożytek, jaki ludzie z niego mieć mogą; u tamtego główną sprężyną i regulatorem postępowania jest honor, u tego uczciwość. Słowem, Dworzanin polski żywiej czuje nad sobą prawo moralne, lepiej go słucha i ściślej przestrzega. Pod wszystkimi względami więc daje on wysokie wyobrażenie o moralnem i umysłowem wykształceniu ówczesnej Polski, a ukazuje ją ze strony zkadinań nie znanej. Pełen rozumu, wdzięku, prostoty, a co do formy, „jedna z przedziwności języka polskiego“, jest Dworzanin prawdziwym klejnotem w naszej literaturze, jest, żeby skończyć jak się zaczęło, jedną z najmiłszych i najciekawszych książek, jakie nam nasz złoty wiek zostawił.



alic 185/50 k

ii

1218

3.